



RAFAŁ
DEBBSKI

WILKOŃZACY

Wilcze prawo

DEBSKI RAFAL

Wilkozacy Wilcze Prawo

RAFAŁ DĘBSKI

Wilcze prawo



Fabryka Słów

2010

Wilkozacy. Wilcze prawo.

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-279-4

Redakcja:

Małgorzata Koczańska

Korekta Barbara:

Caban, Agnieszka Pawlikowska

Skład oraz opracowanie okładki:

Dariusz Nowakowski

WYDAWCA:

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-607 Lublin, ul. Wallenroda 4c

tel.: 81 524 08 88, faks: 81

524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Spis treści:

TOC \o "1-1" \h \z \u [Rozdział 1. PAGEREF _Toc284288210 \h 5](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 2. PAGEREF _Toc284288211 \h 15](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 3. PAGEREF _Toc284288212 \h 27](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 4. PAGEREF _Toc284288213 \h 36](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 5. PAGEREF _Toc284288214 \h 42](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 6. PAGEREF _Toc284288215 \h 56](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B0200000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 7. PAGEREF _Toc284288216 \h 74](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 8. PAGEREF _Toc284288217 \h 84](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 9. PAGEREF _Toc284288218 \h 96](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 10. PAGEREF _Toc284288219 \h 112](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 11. PAGEREF _Toc284288220 \h 123](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 12. PAGEREF _Toc284288221 \h 141](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 13. PAGEREF _Toc284288222 \h 151](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 14. PAGEREF _Toc284288223 \h 170](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

[Rozdział 15. PAGEREF _Toc284288224 \h 184](#)

[08D0C9EA79F9BACE118C8200AA004BA90B02000000080000000E0000005F0054006F00](#)

Ponieważ żyli prawem wilka

historia o nich głucho milczy

pozostał po nich w kopnym śniegu

żółtawy mocz i ten ślad wilczy

szybciej niż w plecy strzał zdradziecki

trafiła serce mściwa rozpacz

pili samogon jedli nędzę

tak się starali losom sprostać

Zbigniew Herbert „Wilki”

Rozdział 1

Głuchy głos pękniętego dzwonu w jednej chwili postawił na nogi całą wieś. Mężczyźni w ciemnościach chwyтали za broń i pędzili w stronę skleconej z bali i surowych desek dzwonnicy. W blasku pochodni nadbiegający ujrzeli ślepego Antona, który z całych sił ciągnął za sznur.

–Co się dzieje? Czego hałasujesz po nocy?

Pytania fruwały w powietrzu, mieszały się w gwar, ale Anton nie zwracał uwagi na nic, w zapamiętaniu targał powróż. Dopiero kiedy nadbiegł stary Barańczuk i okrzyknął ślepca, ten przestał dzwonić.

–Idą ku nam – wychrypiał. – Zaraz tu będą!

Ucichło, chłopci wlepili w ślepca wzrok.

–Kto, Antonie? – Barańczuk poczuł dreszcz pełznący wzdłuż pleców.

–Słyszałem ich – świszczącym szeptem oznajmił ślepiec. – We śnie ich słyszałem...

Wśród zgromadzonych zaszemrało. Jedni z ulgą rozluźnili uchwyt na rękojeści szabli, berdysza czy zwykłej siekiery, kto tam za co porwał, zbudzony z głębokiego snu, inni przeciwnie, zacisnęli z wściekłością palce.

–Skocz tam który, zobacz, czy jaki czambuł się nie skrada – poleciał Barańczuk.

Znał Antona od kołyski. Chłopak urodził się może ślepy, ale na pewno nie głupi, a co mu dobry Pan zabrał we wzroku, wynagrodził w innych zmysłach. Barańczuk wątpił wprawdzie, czy można dowierzać sennym majakom chłopca, ale wciąż czuł niepokój.

–Powiadam wam, Wano – szeptał dalej Anton – słyszałem ich i wciąż słyszę.

–Kogo? Gadaj zaraz!

–Ich...

Nadbiegł Iwan, najlepszy tropiciel we wsi.

–Nikogo nie widać – oznajmił.

–Możesz co przeoczyć?

–Mowy nie ma. Księżyc świeci tak jasno, że igłę bym w stepie znalazł.

Barańczuk odetchnął z ulgą.

–No, chłopcy – rzekł. – Trza nam...

Nie dokończył. Przerwało mu potężne wycie dochodzące zza ostrokołu. Do pierwszego głosu przyłączyły się następne, tworząc przerażający chór.

–Nikogo, mówisz, głupcze? – warknął naczelnik wioski. – A to pewnie śpiew porannych świerszczy?

–To oni – zasyczał Anton. – To oni... Przepadliśmy. Przyszli się mścić...

Od strony ogrodzenia rozległy się zmieszane okrzyki, najpierw zaskoczenia, potem przerażenia. Księżyc świecił rzeczywiście tak mocno, że bez trudu można było rozróżnić kształty. Rozmazane, kosmate postacie przesadzały częstokół zupełnie jakby mierzył łokieć, a nie dwanaście. Po chwili między domami zaroilo się od...

–Wilki! – zaskrzeczał Anton. – To Wilkozacy! Przyszli wypić naszą krew!

–Do bronii! – wrzasnął ktoś.

Ale Wano Barańczuk już wiedział, że nie ma ocalenia. Nie próbował stawiać czoła napastnikom. Rzucił się w stronę chałupy, w której zostawił córkę wraz z niemowlęciem. Może uda się ocalić chociaż te dwie niewinne istoty...

Wpadł do środka, zaryglował drzwi i zawałił sprzętami. A potem w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała ciężka ława, namacał żelazny uchwyt klapy prowadzącej do piwniczki, z której biegł wąski tunel wiodący w step. A nuż wataha, zajęta mordowaniem, nie zauważy pojedynczych uciekinierów? Jednak ledwie szarpnął ciężkie deski, trzasnęła okiennica. Potężne uderzenie powtórzyło się, drewno nie wytrzymało naporu, drzazgi i odłamki poleciały na wszystkie strony, a do izby wtargnął wielki cień. Kobieta wrzasnęła przeraźliwie, zakwiliło zbudzone hałasem dziecko, a Wano zmarł, zgięty w pół.

Ślepy Anton został sam pod dzwonnica. Oparł się plecami o szorstką deskę rusztowania, na którym zawieszono zdobyty niegdyś w jakiejś mołdawskiej cerkwi dzwon i wsłuchiwał w dolatujące zewsząd odgłosy. Bez trudu rozróżniał głuche uderzenia siekier, trafiających w ziemię lub deski, mijających zwinne ciała napastników, świst szabel, raz i drugi gruchnął wystrzał, wrzaski przerażonych ludzi raziły uszy tak, że ślepiec miał ochotę zatkać je szczelnie palcami, jednak nie był w stanie, wbrew sobie chłonał przerażenie, którym przesiąkło powietrze. Usłyszał cichy odgłos wilczych łap. Drapieżnik zbliżał się niespiesznie, stanął o kilka kroków i warknął. Anton zwrócił ku niemu twarz. Czekał na śmierć, wiedział, że nie będzie litości. Nie na darmo mawiano o tych stworzeniach, że najbardziej smakuje im krew złąknionej ofiary.

–Ale ja się nie boję – zamruczał. – Moje życie i tak nic warte nie było.

Wilk znieruchomiał. Ślepe, pokryte bielmem oczy człowieka zdawały się widzieć więcej niż wzrok najbystrzejszego sokoła. W zwierzęcym umyśle obudziło się coś na kształt obawy i szacunku. Drapieżnik odwrócił lekko łeb, bo obok niego pojawiło się kolejne cielsko, gotowe do ataku.

Anton słyszał powarkiwanie dwóch wilków. Brzmiało to jak rozmowa, a może raczej kłótnia. Wreszcie ten, który przyszedł później, oddalił się, a pozostał pierwszy. Ślepiec stał nieruchomo, czekając na uderzenie i już czując na szyi ostre kły. Wyczuwał napięte mięśnie, dolatywała do niego woń wilgotnej od przedrannej rosy sierści.

Zza okna dochodziły odgłosy rzezi, a pochylony Barańczuk wpatrywał się w intruza. Teraz miał już zupełną pewność, z kim sprawa. Zresztą przedtem także nie powinien mieć wątpliwości. Zwyczajne wilki nie napadają w ten sposób ludzkich osiedli, nawet w najostrzejszą zimę, a co dopiero mówić o pełni wiosny. A w tej chwili, w poświacie księżycy wpadającej przez rozbite okno, widział na grzbiecie kudłatego napastnika uprząż, do której przypięto szablę, dwa pistolety i krótki muszkiet. Sam zwierz był też większy od zwyczajnego postrachu lasów i stepów. I miał niesamowite oczy... To było chyba najstraszniejsze – zimny wzrok, w którym człowieczeństwo walczyło o lepsze ze zwierzęcą krwiożerczością. Młoda sztuka. Wano widział już w życiu kilka z tych stworzeń, wiedział, że stare Wilki lepiej panują nad pożerającą ich serca żądzą krwi.

Kozak wyprostował się powoli, spojrzął na córkę tulącą niemowlę. Gdyby był tutaj Serhij, który siedział teraz w Czehryniu i szykował wyprawę na drugi brzeg Dniepru... Ale cóż by zdziałał nawet najsilniejszy mołojec przeciwko tym bestiom? – nadeszła zaraz trzeźwa myśl. A tak będzie miał ich przynajmniej kto pomścić.

Wilk patrzył spokojnie, podążył za wzrokiem gospodarza. Na zewnątrz cichło, wieś powoli stawała się ciemna i martwa. Nagle stary Barańczuk zrozumiał.

–To wy – powiedział martwym głosem. – Nie mogliście znaleźć Serhija, więc dopadliście nas, gadzino.

Wilk potrząsnął lekko łbem, a potem warknął głośno. Widać było, że za chwilę nastąpi śmiertelny atak. Wano postanowił drogo sprzedać skórę. Błyskawicznie schylił się, żeby podnieść szablę, którą odłożył, gdy siłował się z klapą. Jednak Wilk był o wiele szybszy od leciwego człowieka. Śmignęło wielkie cielsko, a nieszczęsny Kozak zwałił się na bok, rżąc. Z przegryzionego gardła lała się krew.

Kobieta z dzieckiem krzyknęła przenikliwie, a potem umilkła, wpatrzona w dogorywającego ojca. Wilk podszedł do niej powoli, wyszczerzył czerwone od posoki

zęby. A potem wspiął się na tylne łapy, przysunął pysk do twarzyczki dziecka. Zrozpaczona matka zasłoniła maleństwo.

–Nie – jęknęła błagalnie. – Proszę, nie!

Wilk wciągnął w nozdrza zapach niemowlęcia, warknął krótko, a właściwie nie było to warknięcie, tylko na wpół ludzkie mruknięcie. Odsunął się, przetoczył kosmate cielsko, a przerażona kobieta zobaczyła nagle przed sobą wysokiego żołnierza o długich czarnych włosach, ujętych z tyłu rzemieniem.

–Chodź – wyciągnął rękę.

Dziewczyna niczym bezwolna kukła dała się prowadzić przez ciemną, cichą już wieś. Dostrzegała wokół sylwetki napastników, niektórych w ludzkiej, innych w wilczej jeszcze postaci. W głowie miała tylko jedno – ratować córeczkę, za wszelką cenę uchronić to maleńkie życie. A z nią niech się dzieje, co chce. Niech wilkołaki wypiją jej krew, niech nawet rozszarpią żywcem, byle Halszka przeżyła. Przez lęk i determinację przebiła się naraz myśl, że córeczkę w pazurach tych bestii może czekać jedynie los nie do pozazdroszczenia, ale zaraz młoda kobieta przegnała tę obawę. Może coś się uda wymyślić. Może...

–Nie mieliśmy brać jeńca – rzekł Hrehory, patrząc z odrazą na matkę z dzieckiem. – Sprzeciwiasz mi się po raz kolejny, Micheju.

–To żona tego rzeźnika! Żona i szczenię!

Hrehory pokręcił głową.

–To nie tak, Micheju. Nie chcę jego rodziny. Chcę poczuć Serhijową krew, upić się posoką z jego żył. Mam zamiast niego zarznąć niemowlaka i białkę?

–Zarznąć nie – odparł Michej. – Ale zawsze przyda się zdrowa wadera, nie uważasz, atamanie?

–Bab mamy na razie dość! Te Wołoszki, któreśmy przywiedli dwie Pełnie temu zdatne są do rodzenia jak rzadko. To twój żołnierz oszczędził ludzi wbrew rozkazom i chcę wiedzieć, jaką zamierzasz wymierzyć mu karę.

Młody Wilk nie odpowiedział. Popatrzył w stronę ogniska, przy którym Marika karmiła Halszkę. Pytał już Kiryła, co się stało, ale wojownik tak naprawdę sam nie wiedział, dlaczego oszczędził tych dwoje. Kiedy wilczym nosem powąchał niemowlę i wyczuł zapach dziewczynki, nagle poczuł, jak odchodzi go wściekłość i chęć mordy. To było wszystko, co potrafił powiedzieć.

–Co zamierzasz uczynić, aby go ukarać? – powtórzył Hrehory.

–W tej chwili na pewno nic. – Michej wzruszył lekko ramionami. – Zastanowię się, kiedy wrócimy do siczy. Ninie może nam się przydać każda szabla.

–Może i słusznie prawisz – zgodził się niechętnie ataman – ale nie myśl, że zapomnę upomnieć się o sprawiedliwość po powrocie. Jeśli ty jej nie domierzysz, ja to zrobię.

–Nie wątpię.

Michej odszedł, zbliżył się do Kiryła, który stał poza kręgiem światła, patrząc w rozgwieżdżone niebo.

–Nie darują nam tego – rzekł Michej.

–Mnie nie darują – poprawił go Kirył. – Ty nie jesteś niczemu winien.

–Jestem. Powinienem zagryźć dziewczuchę z pomiotem od razu, jak ją zobaczyłem.

–Dlaczego więc tego nie zrobiłeś?

Michej milczał dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

–Ta wyprawa od początku mi się nie widziała. W ogóle nie widzi mi się to, co czyni nasz ataman siczowy. Serhij jest zajadłym wojakiem, nie daruje krzywdy. Będzie nas ścigał do upadłego, a wiesz, że ma poważanie na całej Kozaczyźnie.

–Myślałby kto, że strach przez ciebie przemawia – prychnął Kirył.

–Strach nie. – Michej, wbrew oczekiwaniu towarzysza, nie uniósł się gniewem. – Ale idą nowe czasy. Dopokąd byliśmy tutaj tylko poddanymi Korony Polskiej, mogliśmy liczyć na uznanie naszych praw, a przynajmniej spokój. Lecz teraz, gdy Chmielnicki zamierza rzucić się na kolana przed carem, zhołdować mu Ukrainę, nie liczyłbym na respekt. Moskale zbyt mocno nas nienawidzą, pamiętają, żeśmy stawali po stronie polskiego króla przeciwko nim w czas wojen króla Batorego, a sicze Wilków wokół Moskwy w czas wypraw zygmunto-wskich nie rzuciły się do gardeł najeźdźcom. Zaś Chmielnicki nienawidzi nas za to, że stoimy z boku, nie opowiadając się po jego stronie. Po żadnej ze stron.

–Przeklęty Serhij swego czasu ponoć sprzeciwił się hetmanowi, nie chciał iść na Lachów wraz z Tatarami, a jednak go nie ubito.

–Ale w końcu poszedł i wybaczone mu, tym łatwiej, że to człowiek, nie Wilk. A potem odkupił winę, czyniąc jatkę w Żelaznych Chutorach.

Zamyślił się. Jeszcze kilka lat wcześniej nazywano ich nie inaczej niż Wilkami. Żyli

nie z ludźmi, ale obok nich, starając się nie wchodzić coraz liczniejszym przybyszom w drogę. Ledwie jednak zaczęły się rozruchy, a oni nie chcieli przyłączyć się do rebelii, zaraz zaczęto ich zwać wilkołakami, a niedługo potem ukuto nazwę Wilkozacy. W określeniu tym były zarazem strach i nienawiść, mimowolny podziw i szczere życzenie śmierci. Ludzie nienawidzą tych, którzy nie chcą uznawać ich wyższości. Nienawidzą też wszystkiego, co obce.

–Cóż – przerwał milczenie Kirył. – Będziesz musiał mi zadać pokutę. Batogi do ostatniego tchu czy od razu kulę w łeb?

–Jeszcze się okaże, czy będę musiał – mruknął Michej. – Ktoś powinien w końcu przeciwstawić się rządowi starych pierdunów. Hrehory wciąż żyje w dawnych czasach, wydaje mu się, że nic się nie zmieniło, nie widzi tego, co dzieje się dookoła.

–Nie zadzieraj z nim – ostrzegł Kirył. – Nie doceniasz go. Wciąż ma duże poparcie w radzie, bez wahania powierza mu się dowodzenie najważniejszymi wyprawami. Jeżeli nie chcesz mnie zabijać, to każ porządnie wybatożyć albo rozciągnąć na pomoście i połamać nogi. Tylko zrób to tuż przed Okołopelnią, w wilczej skórze szybciej wydobrzeję. Bo że ukarać mnie musisz, to rzecz oczywista.

–Jeszcze się okaże – powtórzył z uporem Michej.

Młoda kobieta, w zasadzie dziewczyna jeszcze, patrzyła z przerażeniem na otaczających ją mężczyzn. Na szczęście straszliwe przeżycia nie odebrały jej pokarmu, mała Halszka nie płakała więc z głodu i najzupełniej nieświadoma tego, co się działo, spała, ukryta w chuście przewiązanej wokół ramion matki. Najbardziej przerażały Marikę chwile, kiedy prześladowcy przemieniali się w wilki. Chociaż, kiedy się nad tym trochę głębiej zastanowiła, straszniejsi byli chyba jednak w ludzkiej postaci. W ich oczach próżno szukała litości czy choćby cienia współczucia. Patrzyli na nią zimno, bez nienawiści wprawdzie, ale chyba wolałyby już doświadczyć niechęci niż takiej obojętności. Traktowali ją jak przedmiot, a może raczej jak zwierzę, o które trzeba dbać, ale do którego gospodarz nie przywiązuje się, wiedząc, że prędzej czy później będzie je musiał zabić. Z opowieści, które słyszała o Wilkozakach, wynikało jasno, że żywią się ludzkim mięsem, a jedno ukąszenie przemienionego w bestię wojownika wystarczy, aby zarazić zwyczajnego człowieka. Jak na razie żaden jeszcze nie próbował ugryźć Mariki, nie miała jednak pewności, czy nie stanie się to w każdej chwili. W dzień maszerowali bez wytchnienia. Ten czy ów odbierał od niej Halszkę, kiedy młoda kobieta ustawała ze zmęczenia, a wtedy drżała o los córki. Lecz nikt jej nie krzywdził, przynajmniej na razie. Minęły trzy dni od napadu na wioskę, a ona wciąż miała przed oczami twarz konającego ojca. Z rozerwanego gardła buchałaposoka, Wano patrzył na nią gasnącymi oczami, jakby chciał dodać córce odwagi, podnieść ją na duchu. Może wiedział o napastnikach coś,

o czym ona nie miała pojęcia?

W nocy zostawał przy niej jeden z Wilkozaków, nie przemieniając się w zwierzę, a inni roztapiali się w ciemnościach stepu. Szli polować, a nad ranem wracali obciążeni łupem. Wartownikowi przynosili mięso – udziec łani czy dzika, a ten przyoblekał wilczą skórę i rzucał się na zdobycz, aby zatopić w niej kły. Wtedy Marika odwracała wzrok, czując mdłości. Ją samą karmili zrabowanymi po chutorach chlebem, owocami, serami i wędlinami. Ale tego dnia nie wyruszyli na łowy. Przed nocą rozłożyli się obozowiskiem, takim zwyczajnym, nie wygniatając trawy pod wilcze cielska, ale kładąc na ziemi dery, rozpalając ogień. Marika patrzyła na to zdziwiona. Kiedy przygotowania do noclegu zakończyły się, podszedł do niej wysoki Kozak o żywych, czarnych oczach.

–Masz iść ze mną – oznajmił. – Ataman siczowy chce cię zobaczyć.

Hrehory wyglądał na pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat. Jednak ile miał w istocie, Marika nie potrafiłaby odgadnąć. Z tego, co powiadano o przemieńcach, żyli o wiele dłużej niż ludzie, niektórzy utrzymywali nawet, jakoby byli nieśmiertelni, a zabić ich mogły jedynie kule lane na święconą wodę, najlepiej srebrne. Ale Serhij powiedział jej kiedyś, że do Wilka można się dobrać zwykłym żelazem, kiedy nie jest przemieniony. Zaś gdy spotka się takiego w wilczej postaci, w ogóle trudno weń trafić, bo szybki się staje niczym błyskawica. I wówczas istotnie warto mieć srebrne pociski lub przynajmniej posrebrzone ostrze, które łatwiej niż zwyczajne przedrze się przez skórę. Tego też jednak nie wiedział na pewno.

–Gdzie on jest? – spytał ataman krótko. Nie patrzył na dziewczynę tulącą posapujące dziecko.

–Kto, panie? – głos jej drżał.

–Nie próbuj robić ze mnie głupca! – warknął Hrehory. – Twój kochaniec czy mąż, nie wiem, jak tam z wami jest i czyście się parzyli z błogosławieństwem popa, zali tylko twego plugawego ojczulka. Serhij Kostenko, chorąży kozacki. Gdzie jest?

–A mnie skąd wiedzieć? – odparła nieco śmieiej. Co tam, mają ją zabić, to zabijają, a i małej nic nie pomoże, jeśli zechcą ją ukrzywdzić. – Nie zwykł mi się spowiadać.

–Wierzę – zarechotał siedzący obok Hrehorego Wilkozak o okrutnej, na wpół tatarskiej twarzy, przezywany przez towarzyszy Kałmukiem. – Przyjedzie do siola, zerznie rzyci i odjedzie. Myślałaś kiedy, ile takich suczek jak ty miewa po chutorach w całej Ukrainie?

Marika zacięła zęby. Zniewaga zabolą ją, ale nie chciała okazać jak bardzo.

–Milcz, Kara – ofuknął Kałmuka ataman.

–Dajcie ją mnie na jedną noc, a do rana wyśpiewa wszystko. – Kara oblizał się obleśnie.

Hrehory po raz pierwszy popatrzył dziewczynie w twarz. Zadrżała. W głęboko osadzonych, mrocznych oczach Wilkozaka czaiła się groźba i mądrość. Ta groźba była straszniejsza niż wszystko, czego Marika doznała w krótkim życiu, a mądrość... Nie, nie, to nie była mądrość, bo ta nie chadza w parze z okrucieństwem, lecz raczej jej bliska krewna, którą trudno tak po prostu nazwać, ale dzięki której okrucieństwo nie jest całkiem bezmyślne.

–Mów, dziewczko – warknął. – Wiesz dobrze, że nie o ciebie nam idzie ani twoje szczenię, ale o gaszka! Powiedz, gdzie jest, dokąd się udał i co zamierza, a może cię uwolnimy.

Milczała, patrząc mu w oczy. Nie wytrzymała jednak i odwróciła wzrok.

–Masz czas do rana, aby się zastanowić – rzekł ataman. – Zważ tylko jedno: prędeej czy później twój Serhij dowie się o losie wioski. Prędeej niż później, jak mi się zdaje, bo zapewne ciągnie go do młodej żonki i dziecięcia. Podąży wtedy za nami dokonać zemsty, więc tak czy inaczej go dopadniemy. Może nastąpi to jutro, może za tydzień czy miesiąc. Warto poświęcać życie swoje i szczenięcia, żeby odsunąć to, co i tak jest nieuniknione?

Nie odpowiedziała, a on odprawił ją gestem. Wróciła na swoje legowisko z zupełnym mętlikiem w głowie. Tak, stary Wilkozak miał słuszność – Serhij na pewno przybędzie do wsi, jeśli mu tylko droga w pobliżu wypadnie. A zawsze do tej pory potrafił tak uczynić, by mu wypadła, nawet jeśli szedł nie ku Wołoszczyźnie lub Polsce, ale choćby ku Krymowi. Zaś niedawno do wsi przyjechał Gorosz podleczyć rany i opowiadał, że Serhija niebawem hetman gdzieś ma wysłać. Na dniach mógłby się nawet pojawić...

Obóz pogrążony był w ciszy. Wilkozacy nie ulegli przemianie. Marika domyśliła się, że minął czas pełni i jej prześladowcy stali się z powrotem ludźmi... Jeśli w ogóle można tak było o nich powiedzieć. Sen nie chciał przyjść. Marika nakarmiła Halszkę, ułożyła ją sobie pod ramieniem, przytuliła. Dziwnie się czuła ze świadomością, iż wokół niej śpi dobra setka mężczyzn, z wyjątkiem kilku czuwających wartowników. Przez kilka dni przywykła uważać prześladowców bardziej za zwierzęta niż istoty podobne sobie.

W głowie huczał jej głos Hrehorego, pytającego o Serhija, przed oczami miała okrutne oczy atamana. Serhiju, Serhiju, gdzie jesteś? Dlaczego wtedy, kiedy byłeś najbardziej potrzebny, wyjechałeś w świat? Chociaż może i lepiej, bo co byś poradził sam przeciw sotni Wilków? A tak będziesz mógł przynajmniej pomścić bliskich.

Bolesny ciężar zwałił się na nią znienacka. Musiała jednak przysnąć na chwilę, inaczej przecież wyczułaby ruch. Zanim zdążyła krzyknąć, jej głowę okutała cuchnąca psią sierścią szmata, Halszka wysmyknęła się z objęć. Marika próbowała jeszcze sięgnąć ciepłego tłumoczka, ale twarde ręce odepchnęły jej dłonie. Najpierw ogromna siła pociągnęła ją po suchej trawie, potem poderwała w powietrze. Dziewczyna poczuła ból w brzuchu, kiedy wparło się weń coś kanciastego. Dopiero po chwili domyśliła się, że napastnik przerzucił ją sobie przez ramię, a to, co sprawia jej ból, to szeroka sprzączka pasa od pendentu. Czyżby któryś z Wilkozaków postanowił się jej pozbyć? Aż tak nienawidził jej kochanka?

Droga nie trwała długo, ale Marice zabrakło już powietrza, zaczęła tracić przytomność. Ocuciło ją uderzenie o ziemię, szmata została brutalnie zerwana. W świetle księżyca zobaczyła twarz prześladowcy. Zmartwiła. To był ten półkrwi Kałmuk czy Tatar, zwany Karą. Zawołanie pasowało do niego – wydawał się czarny. Nie tak po prostu czarny, ale z jego źrenic wyglądało piekło. Czarne, mroźne piekło bez śladu ognia.

–Udałaś mi się, suko! – zawarczał. – Zaraz będziesz wyła z rozkoszy i bólu, nie wiedząc nawet, co jest czym!

Marika zaczęła drzeć trawę rękami i piętami, próbując odpełznąć jak najdalej. Kara zaśmiał się krótko, gardłowo.

–Wezmę cię sobie – oznajmił chrapliwie. – Posiadę cię teraz jako ludzką samkę, a gdy nadejdzie Okołopelnia, uczynię z ciebie prawdziwą waderę.

Dziewczyna nie rozumiała, o czym Wilkozak mówi, nie chciała zresztą tego rozumieć, czuła jedynie, że czeka ją coś strasznego, o wiele gorszego niż to, że za chwilę posiadzie ją gwałtem śmierdzący wojak.

–Nie, nie – powtarzała, wciąż się cofając. Wiedziała, że niczego to nie zmieni, nie zdoła ani uciec, ani ubłagać pochutnika, ale nie potrafiła zastygnąć bez ruchu i czekać na swój los.

Myślała, że mężczyzna rzuci się na nią, aby rozedrzeć bluzkę, chwycić nabrzmiąle mlekiem piersi, a potem będzie chciał rozgnieść jej wargi w wymuszonym pocałunku. Tak kiedyś Wasylko, syn kowala, próbował ją dopaść przy stogu siana. Wyrwała się wtedy, uciekła do chałupy, a potem Wasylka najpierw stłukł Wano, potem jego własny ojciec, a na koniec Serhij. Tutaj została wydana na żer chuci i nikt nie mógł jej uratować.

Jednak Kara nie zamierzał próbować zwyczajnych karesów. Przypadł do niej, poderwał i odwrócił tyłem do siebie.

–Klękaj! – rozkazał.

Szarpała się bezsilnie w jego uścisku.

–Klękaj! – powtórzył, a potem zdzielił ją pięścią w kark.

Świat zawirował, chcąc nie chcąc, osunęła się na kolana. Poczuła, że Kara zadziera jej spódnicę, a potem... Potem był okrutny ból, palący i tępy zarazem. Wiedziała, że Wilkozak porusza się w niej gwałtownie, ale nawet tego nie czuła. Tak jak zapowiadał, jej udziałem stał się ból, ale poczuła też coś więcej, jakąś dziwną, dziką i obcą rozkosz, nierozzerwalnie związaną z cierpieniem. Krzyknęła przeciągle, a gwałcieł zaśmiał się gardłowo.

–Dobrze ci, suko? – jego głos przypominał warczenie. – Mówiłem, że będzie dobrze!

Marika chciała odpowiedzieć, poprosić, aby przestał, zlitował się nad nią, lecz słowa więzły w krtani, tłumione bólem i rozkoszą. Z gardła Kary dobyło się potępieńcze wycie.

–Dość! – rozległ się ostry głos. – Kara, dosyć, bo zabiję!

Ból pomieszany z niechcianą rozkoszą skończył się nagle. Marika, wypuszczona z żelaznego uścisku, zwała się ciężko na bok, podkuliła kolana, włożyła ręce między uda i zastygła bez ruchu. Głosy docierały do niej jakby z wielkiej dali.

–Co robisz, głupcze? – Michej trzymał Kałmuka pod lufą pistoletu.

–Co ci o tę samkę? – Kara wciąż jeszcze rozpalony chucią gotów był rzucić się na intruza, nie bacząc na nic.

–Nic mi o nią. Ale Hrehory dał jej czas do rana. Jakby nie powiedziała, gdzie jej chłop, pewnie byś ją dostał. Nie mogłeś wytrzymać?

Kara zaśmiał się.

–A nie mogłem. Nie wiesz, jak to jest?

–Nie wiem. Nie jestem taki jak ty, żeby tkwić w rui bez przerwy. A teraz zostaw ją i odejdz, przybłędo.

–Ona jest moja! Ataman obiecał mi, że... – Kałmuk szarpnął się, ale znieruchomiał, bo pistolet ani drgnął, za to zaśmiał ostrze szerokiego noża.

–Postrzelę cię w kolano, a potem wykastruję – ostrzegł Michej. – Ta kobieta należy wciąż jeszcze do naszej watahy i całej siczy, nie do ciebie.

–Ażebyś wiedział, że do mnie – zawołał triumfalnie Kara. – Zanim mi przeszkodziłeś, zdążyłem napełnić ją nasieniem! To już moja wadera.

Michej spojrzął na skuloną Marikę, przeniósł wzrok na Wilka.

–Nieważne. Odejdź, powiadam. O wszystkim zdecyduje rada. O twoim losie też. Przyjęliśmy cię, ufając, że dobrego żołnierza bierzemy. A z ciebie zwykły obwieś, gorszy niż człowiek.

–Pilnuj lepiej swojego Kiryła!

Wypowiadając ostatnie słowa, Kara skoczył. W lewej dłoni trzymał wąski sztylet, celował w gardło przeciwnika. Wydawało się, że zupełnie zaskoczył Micheja i ten czeka, aż ostrze przetnie skórę, wytoczy krew. Był to jednak tylko pozór. W ostatniej chwili Wilkozak cofnął się, odchylił, przepuszczając morderczą klingę o włos, a jednocześnie rąbnął rękojeścią pistoletu w plecy przelatującego obok napastnika.

Kara zwałił się z jękiem na ziemię, przetoczył bezwładnie. Próbował wstać, ale wtedy Michej podszedł niespiesznie i mierzonym kopnięciem w bok głowy pozbawił Kałmuka przytomności. Ten padł z rozrzuconymi rękami. Michej wrócił do Mariki.

–Wstań – powiedział.

Dziewczyna nie ruszyła się. Michej wzruszył lekko ramionami, pochylił się, podniósł ją bez wysiłku i zarzucił sobie na ramię. Marika bała się choćby drgnąć. Czy także ten będzie chciał ją posiąść? Wspomnienie bolesnej rozkoszy wciąż płonęło w dole jej brzucha.

Rozdział 2

Serhij suchymi oczami patrzył na zgliszcza pozostałe z wioski. Od pierwszego spojrzenia wiedział, że masakry nie dokonali zwyczajni napastnicy – ordyńcy albo wrogo nastawieni Kozacy. Tamci ozdobiliby bramę wisielcami, powbijali na pale ostrokołu głowy zamordowanych, a gdyby tylko wypruli wnętrzności ofiarom, jak tutaj, na ciałach nie pozostałyby przecież ślady kłów. Serhij zacisnął zęby, aby powstrzymać skowyt. Byli tu wszyscy – ślepy na jedno oko kowal, jego synowie i córki, Prokop, guślarz i uzdrowiciel, który potrafił ponoć leczyć nawet jaskrę, jego młodziutka żona, niemowa przywieziona z pewnej wyprawy na Multany, czarnowłosa Wołoszka o cudownie zielonych oczach, rodzina kulawego Marczuka, najliczniejsza w siole, zawsze chcąca rządzić i przewodzić... Był stary Wano Barańczuk, wszyscy byli oprócz Mariki i dziecka.

–Musieli ją wziąć w zakładniki – odezwał się stojący obok Serhija setnik Hryńka, zwany Szpakiem dla ciemnych włosów przeplatanych siwizną. Był niewiele starszy od towarzysza, ale ciężki los położył się piętnem nie tylko na jego głowie, ale i pobrużdżonej twarzy. Podczas wojny polsko-kozackiej wziął z początku stronę króla polskiego, ale gdy księżę Wiśniowiecki dokonał jednej i drugiej rzezi na bezbronnych chłopach, wraz z całym oddziałem uszedł do Chmielnickiego. Jego Wysokość Jeremi podziękował mu za zdradę, wyrzynając w pień rodzinę Hryńki wraz z całą wsią. Rozumiał więc doskonale przyjaciela, czuł całym sercem jego ból. – Przynajmniej wiesz, że żyją.

Spojrzenie Serhija było takie, że cofnął się pół kroku.

–Myślisz, że to lepiej? – wychrypiał chorąży. – To Wilcy, nie Tatarzy. Nie biorą jasyru, aby go sprzedać lubo do roboty zaprząć, jeno czynią z jeńców takie same bestie jak oni.

–Może chcą cię zmusić, żebyś dał spokój ich watahom?

Serhij pokręcił głową.

–Byłeś kiedyś w siczy Wilków? – spytał.

–Nie. Niewielu jest takich, co tam gościli.

–A ja byłem. Na początku ruchawki hetmana Chmielnickiego, gdyśmy próbowali ich pozyskać. Stary Hrehory zaprosił mnie w gości, aby dać świadectwo pokojowych zamiarów. Ich sicz nie jest taka jak nasza. U nas gromadzą się same chłopcy, kiedy coś chcemy zdziałać, ruszyć na wyprawę, wszcząć wojnę. U Wilków sicz to coś jak nasze wielkie, warowne wsie. Nie mają jednej, najważniejszej, jak u nas, ale każde większe swoje siedlisko tak nazywają. Do bab nie jeżdżą na chutory, mają je zawsze

przy sobie, dzieciaki też tam między chałupami latają. Dla nich sicz to życie całe, nie tylko wojskowy obóz. Nie znajdziesz u nich jeńców ani niewolników. Wilcy nie są jak ludzie, nie chcą okupów, nie pożądamy bogactwa, cenią sobie tylko dzielność, a dobrem największym jest dobro siczy całej i każdej watahy z osobna. Nie wierzę, że porwali Marikę z Halszką, aby koniecznie uczynić z nich Wilczyce... Nie wiem, dlaczego to uczynili, powinni je raczej zabić! Chyba że... – Zamilkł na chwilę, a potem dodał głucho: – Chyba że chcą z niej wyciągnąć, gdzie można mnie znaleźć. Albo... Szpak milczał długą chwilę, zanim zapytał:

–Idziemy za nimi?

–Nie! – Serhij zgrzytnął zębami. – Skoro je wzięli, właśnie tego chcą!

–Nie chcesz uratować żony i córki? – zdziwił się Szpak.

Chorąży przyskoczył do niego z nienacka, chwycił za wyłogi kurty, zbliżył twarz do jego twarzy.

–Chcę! – wychrypiał. – Nawet nie wiesz jak bardzo! Ale nie wiem, jest li jeszcze kogo ratować?! Może moja ukochana jest już waderą, a dziewczuszkę zabili, bo po co im chować takie maleństwo? Wiem jedno, nie możemy uczynić tego, co chcą, abyśmy uczynili!

Hryńka Szpak patrzył w pełne straszliwego cierpienia oczy dowódcy. Zdawało mu się, że wie, ile taka decyzja kosztowała Serhija, ale może nie wiedział? Co innego stracić rodzinę, zobaczyć trupy bliskich, a czym innym jest niepewność ich losu, który może okazać się gorszy niż śmierć.

–Co w takim razie chcesz zrobić?

–To, co nam rozkazano. Idziemy na Wołoszczyznę przypomnieć Lupulowi, jak dokuczliwi potrafią być Kozacy, jeśli ich podrażnić. Dla mnie Marika i Halszka nie żyją i tak ma być od teraz dla wszystkich. Zapowiedz ludziom, że jeśli który wspomni przy mnie o tym, cośmy tutaj zastali, ubiję na miejscu jak wściekłego psa!

–Jak rozkażesz, atamanie.

Szpak odwrócił się, nie miał ochoty patrzeć na zgliszcza.

–Hryńka – zatrzymał go jeszcze Serhij.

–Tak?

–Gdyby coś się ze mną zdarzyło... – Dowódca przełknął ślinę. – Gdyby mnie nie stało, wykonaj zadanie tak, jakbym trwał przy tobie i sam wydawał rozkazy.

–Oczywiście, jakżeby inaczej! Ale skoro nie idziemy za Wilkozakami, tylko do Wołochów, nic ci się przydarzyć nie może.

–Ale gdyby jednak... Obiecuj, że nie zawiedziesz.

–Obiecuję – odparł z mocą Szpak. Kiedy człowieka ogarnia szaleństwo, przemknęło mu przez głowę, nie należy się sprzeciwiać. Niech chorąży zaśnie spokojny jeśli nie o los bliskich, to przynajmniej o wyprawę.

Kostenko skinął głową, nie patrząc na Hryńkę.

–Kto... – mruknął.

–Co mówisz, atamanie? – Szpak nadstawił ucha,

–Do siebie mówię, druhu. Myślę, kto zdradził, wyjawił Wilkom, gdzie szukać moich.

–Wywęszyli pewnie. To nie głupie zwierzęta, myśleć potrafią.

–Pewnie tak – wymamrotał Serhij. – A jeśli ktoś im powiedział, i tak się nie dowiem. Jak znam Wilków, taki ktoś już nie żyje... Zresztą co za różnica?

Hryńka przymknął oczy, modląc się w duchu, aby dowódca odszedł już. Ciężko było patrzeć na jego mękę, nawet żołnierzowi o sercu tak twardym jak u Szpaka.

Słońce podnosiło się leniwie znad widnokręgu, zalewając świat krwawą łuną. Trawa oraz burzany rosnące opodal wydawały się płonąć chłodnym ogniem. Wyglądało to, jakby natura przygotowywała się na okrutne widowisko. I rzeczywiście tak było.

Kirył stał naprzeciwko Kary z obnażoną szablą. Kałmuk także dzierżył w dłoni zakrzywione ostrze, patrzył na przeciwnika, szczerząc zęby.

–Widać w nim wilka nawet w czas Bezpełni – mruknął Michej do stojącego obok Stepana. Byli prawie w równym wieku, ten drugi może nieco starszy, ale na pewno niewiele.

–Bo nosi pod sercem bestię – odparł równie cicho Stepan. – Tacy rodzą się wszędzie – i u nas, i u ludzi. Tylko że u nich na pewno częściej.

–Jak przekłęty Serhij – warknął Michej.

–Jak on – zgodził się Stepan. – Ale uciszmy się, bo zaraz zaczną.

Hrehory zbliżył się do każdego z przeciwników po kolei, kładąc mu na ramieniu

szeroką, ciężką dłoń. Kirył i Kara odziani byli tylko w koszule i szerokie spodnie wpuszczone w wysokie buty.

–Wszyscy jesteście z wilczej krwi – oznajmił uroczyście ataman – i jako Wilcy do walki mężnie stajemy. Niech zwycięży lepszy.

–Niech zwycięży lepszy – odpowiedziała setka głosów.

–Zgodnie z prawem do walki staje pokrzywdzony, to znaczy brat nasz Kirył, który oskarża Karę zwanego Kałmukiem o naruszenie jego jasyru. Kirył ustami dowódcy swego, Micheja z rodu Gryszczych, zażądał walki, a ja jako najwyższy zwierzchnik wyrażam na nią zgodę. A zatem niech się stanie, co ma się stać!

Wilkozacy utworzyli kolisko wokół walczących.

Pierwszy wyprowadził cios Kara. Ciął szybko, z nadgarstka, wyrzucając ramię do przodu, nagłym ruchem skręcając klingę tak, aby cięta nie skroń, jak można by się spodziewać z początkowego ruchu, ale szczękę od dołu. Kirył znał jednak tę sztuczkę, odchylił tylko głowę i sam uczynił wypad na prawą nogę, tnąc w dół brzucha. Lecz i Kara nie dał się zaskoczyć błyskawicznej ripoście. Wojowali razem nie od dziś, mieli czas poznać swoje nawyki.

–Trochę to potrwa – zauważył Stepan. – Obaj znają się na rzeczy.

–Pewnie tak – zgodził się Michej. Z pewnym niepokojem spoglądał na walczącego przyjaciela. Podczas napadu na wieś Kirył ucierpiał – jakiś zajadły, niedobity chłop zajechał go znienacka sękatym kijem po grzbiecie. W czasie marszu nie przeszkadzało to szczególnie, ale w pojedynku Wilk musiał mocno odczuwać kontuzję. Już podczas tego pierwszego złożenia widać było, że nie jest w stanie wyrzucić ręki dostatecznie daleko, aby sięgnąć przeciwnika. Nawet gdyby Kara nie był tak szybki, sztych szabli zaledwie musnąłby koszulę. Idąc upomnieć się o rozliczenie Kałmuka ze wstrętного uczynku, Michej miał nadzieję, że to jemu przyjdzie walczyć z obrzydłym przybłądą, ale ataman był bardziej od niego biegły w prawie. Powołał się na zapisy wyryte na świętych słupach, zgodnie z którymi w czas wojen albo wypraw swoich praw dochodzić mógł jedynie sam zainteresowany, bez czyjegokolwiek pośrednictwa i zastępstwa. A ponieważ samica Kostenki została uznana za własność Kiryła, tylko on mógł wziąć pomstę na krzywdzicielu.

Kałmuk zawinął bronią nad głową. Nie był może zbyt mądry, ale na pewno na tyle bystry, aby zauważyć niedomaganie wroga. Postanowił wykorzystać przewagę od razu, nie czekając. Zaczął krążyć wokół Kiryła w jego prawą stronę, zmuszając do obracania się i prowadzenia szabli w kierunku, w którym ruchy miał nieco utrudnione. Niewielka to może była przewaga, ale w walce na śmierć i życie liczy się wszystko. Nagle Kałmuk pobiegł, drobiąc, a potem ciął z całej siły, zatrzymując się w

miejscu. Kirył w ostatniej chwili odbił uderzenie, krzesząc z główki pojedynczą iskrę. Kara znów przesunął się w prawo i znów mocno rąbnął. Kirył skrzywił się od ukłucia pod łopatką. Diabli nadali tego wieśniaka z kosturem! Żeby to jeszcze taki zdzielił go w czasie rzezi, ale nie – wyskoczył jak filip z konopi, kiedy Wilkozak prowadził kobietę Serhija, i to właśnie ją najwyraźniej chciał pomiłować lagą. Pewnie uznał, że jeśli zabije babę chorążego, nie będzie mu rodzina wiązać rąk. Kirył w ostatniej chwili zasłonił sobą Marikę, ale uderzenie było zaiste mocne, odebrało mu dech na dobre pół pacierza.

–Już nie żyjesz. – Kara wyszczerzył zęby jeszcze mocniej. Kirył nie cierpiał tej wiecznie wykrzywionej okrucieństwem gęby, najchętniej powybijalby wrogowi białe kły głowicą szabli, jeden po drugim, powoli, z namaszczeniem.

Marika siedziała na kamieniu poza kręgiem. Słyszała tylko szczęk broni i pomruki, jakie wydawali patrzący. Było jej wszystko jedno, nie wyobrażała sobie, żeby mogło ją spotkać coś gorszego niż tej nocy, choćby i śmierć w męczarniach. Gdyby nie malutka Halszka, skradłaby któremuś z Wilkozaków nóż i skończyła ze sobą. Ale dopóki dziecko żyło, dopóty nie mogła decydować o swoim losie. Nienawidziła obrzydliwego Kary, nienawidziła spokojnego jak głaz Micheja, nienawidziła starego atamana Wilków, nawet tego Kiryła, który najpierw ją oszczędził, a teraz chciał zabić jej gwałciciela. Jego chyba nienawidziła najbardziej. Zapewne dlatego, że w łasce Wilkozaka nie dostrzegła nic z ludzkich uczuć: ani litości, ani choćby cienia zainteresowania. Wyglądało to tak, jakby czynił, co powinien, a ona nie istniała. Dlatego nawet nie próbowała patrzeć na pojedynek.

Kara wciąż krążył wokół przeciwnika, ale ten wziął się na sposób: zamiast obracać się za wrogiem, czekając na atak, ruszył w tę samą stronę. Przez to Kałmuk musiał dostosować się do nowego rytmu, tracąc przewagę. Widać było, że zaczyna się złościć. Kirył postanowił dolać oliwy do ognia.

–Jak głupi byłeś, tak głupi jesteś i zostaniesz na zawsze – powiedział spokojnie, lekceważąco. – To znaczy, już niedługo. Do szabli potrzebny jest rozum, bo żelazo to nie goła kuśka, byle gdzie go nie wetkniesz.

Kara syknął coś w odpowiedzi, ale niewyraźnie, było to raczej przekleństwo niż złośliwość. Zrobił wypad na zakroczną nogę, wyprowadził płaski sztych, próbując trafić między żebra. Kirył bez większego trudu odbił klingę, zaśmiał się krótko.

–Mówiłem, że szabla to nie kuśka, ale chyba już bardziej by mnie wystraszyło twoje marne pyje niż klinga.

–Za dużo gada – szepnął Stepan.

–Wie, co robi – odparł Michej.

Wiedział doskonale, do czego zmierza Kirył. Kara, wbrew temu, co mówił Wilk, doskonale potrafił obchodzić się z żelazem, ale brakowało mu opanowania, łatwo wpadał w gniew i szał bojowy. To, co było przydatne w potyczkach czy bitwie, mogło okazać się zgubne w walce sam na sam z doświadczonym wojownikiem. Kałmuk jeszcze nad sobą panował, jeszcze czerwona mgła wściekłości nie przesłoniła mu wzroku, ale już bliski był wybuchu. Zablokował cięcie Kiryła, cofnął się pół kroku i zanurkował pod ostrzem prowadzonym cięciem ojcowskim na policzek, spróbował sięgnąć nóg wroga. Tamten musiał odskoczyć, aby uniknąć zranienia, a wtedy Kara wyskoczył, rąbiąc w odsłonięty na mgnienie oka lewy bark: kontuzja dała znać o sobie, Kirył opuścił klingę nieco zbyt nisko. Zawirował w uniku, ostrze zawadziło ramię, przecinając skórę.

–Widzisz, mądralo? Ranilem cię!

–To nazywasz raną? – zaśmiał się Kirył. – A babom pewnie wmawiasz, że to, co w nie wlewasz, jest prawdziwym nasieniem? Muszą mieć z tobą kupę śmiechu!

Tego było zapalczywemu Kałmukowi za wiele. Poczuł, jak ogarnia go amok, świat się zamglił, dźwięki docierały przytłumione, mężczyzna wyraźnie widział tylko przeciwnika, a ciało i obie dusze wołały o krew. Rzucił się do wściekłego ataku, młynkując szablą i zadając mnóstwo ciosów. Nie silił się na podstępne sztychy i wyrafinowane zwody, szedł do przodu jak po swoje. Kirył część uderzeń przyjmował na klingę, część przepuszczał, przed częścią zwyczajnie odskakiwał. Cofał się cały czas po okręgu, czekając, aż Kara nieco się zmęczy. Nie wyglądało jednak na to, żeby miało to szybko nastąpić. Konieczność ustawicznego zastawiania się ostrzem sprawiała, że ból w potłuczonych plecach stawał się coraz mocniejszy, trudny do zniesienia. Kirył wiedział, że musi coś prędko wymyślić, bo inaczej ten szalony wiatrak dopadnie go w końcu i rozsieka na kawałki. Zerknął za siebie, na przypatrujących się starciu Wilków. Brutalnej sile mógł w tej chwili przeciwstawić tylko spryt. Zaczął się cofać na kolisko zbrojnych. Nie wolno im było się rozstąpić, więc jeśli dotrze do towarzyszy, zostanie odepchnięty w stronę środka pola walki. Wszyscy stali z wydobytymi szablami, aby się zastawić, gdyby nieostrożny cios trafił w ich stronę, co w ferworze walki mogło się łatwo zdarzyć.

–Nadal twierdzisz, że Kirył wie, co robi? – spytał z przekąsem Stepan.

–Bądź cicho i daj popatrzeć – ofuknął go Michej.

Kirył był już o krok od ściany wojowników, ci przygotowali się, aby pchnąć go, gdy tylko znajdzie się w zasięgu rąk, ale wtedy nagle Wilkozak skoczył w lewo, przetoczył się przez ramię, warcząc z bólu przeszywającego plecy i rozcięty bark. A zaślepiiony żądzą mordy Kara napotkał nastawione klingi, na których zadzwoniła jego szabla. Z rozpędu wpadł na patrzących, a oni pchnęli go mocno, mocniej może nawet, niż potrzeba. Mało kto żywił przyjazne uczucia do zajadłego i nieobliczalnego Kałmuka.

W zasadzie Kirył mógłby w tej chwili zakończyć pojedynek, rąbiąc pochylony kark próbującego utrzymać równowagę przeciwnika, lecz znalazł się nieco za daleko, a gdy podbiegł, Kara był już gotów postawić zasłonę. Nieoczekiwane wydarzenie wytrąciło go jednak z amoku, a to sprawiło, że poczuł nagle ogromne zmęczenie. Na to właśnie liczył obolały przeciwnik. I jego kilka razy dopadł w trakcie zmagania z Tatarami czy Wołochami szal bojowy, wiedział więc doskonale, że płaci się zań utratą sił. Kirył musiał się jednak teraz spieszyć, bo Wilkozacy bardzo prędko potrafili opanować zmęczenie, nawet w czasie dalekim od Okołopełni. Zaatakował więc z całej mocy, nie zważając na ciekącą z rany krew. Zadawał krótkie, mocne cięcia i mordercze sztychy. Już raz i drugi ostrze minęło zbyt późno stawiane zasłony, już z rozcięcia na piersi i brzuchu Kałmuka sączyła się posoka. Jej zapach odurzył Kiryła, sprawił, że przestał odczuwać dolegliwości. Podskoczył bliżej wroga, przechwycił jego prawe przedramię, pociągnął ku sobie, odchodząc jednocześnie w bok, a potem płytko, mocno ciął. Trafił tuż powyżej nadgarstka, ostre żelazo zgrzytnęło po kości, rozcinając ją bez trudu. Dłoń, wciąż ściskająca szablę, upadła na ziemię. Kara zawył, lewą ręką chwycił kikut, wpatrzył się w niego, a potem szybko schylił się po szablę, przydepnął odcięty kawałek kończyny, wyszarpnął rękojeść z uścisku martwych już palców.

Michej widział kiedyś podobne zdarzenie, gdy gościł w Rzeczpospolitej wraz z poselstwem. Dwóch panów braci poróżniło się o jakiś drobiazg, stanęło do pojedynku. Wtedy jeden drugiemu nie odrąbał wprawdzie ręki, ale zranił go tak mocno, że tamten musiał walczyć lewicą. Wówczas jego przeciwnik także ujął szablę w lewą dłoń, aby uczynić zadość zasadom honorowym. Michej tego nie rozumiał. Wilcy nie uznawali czegoś, co ludzie nazywali szlachetnym postępowaniem względem wroga. Zbyt mało ich było, by mogli sobie na to pozwalać. Prawo Wilków stanowiło jasno, że najważniejsze jest dobro siczy, ono zaś wykluczało litość, w którą wpisana jest słabość. Kara nie oczekiwał zmiłowania, a Kirył nie zamierzał go okazywać. Zanim Kałmuk zdołał wyprowadzić cięcie lewicą, spadł na niego grad ciosów. Kirył znów podszedł przeciwnikowi pod ramię z szablą, jednak tym razem nie próbował zranić ręki przeciwnika, ale kopnął go z całej siły kolaniem w krocze. Oszołomiony bólem i gwałtownym wpływem krwi Kara już nawet się nie bronił. Siła uderzenia zgięła go wpół, odrzuciła na dwa kroki. Kirył spojrzął na bezbronnego przeciwnika, podszedł do niego i wzniosł szablę.

Hryńka Szpak westchnął, patrząc na puste miejsca w wygniecionej trawie. Poranek przywitał ludzi mżawką i szarymi chmurami. Serhija nie było. Nie było też pięciu innych ludzi – tych, którzy z Kostenką przebyli długi szlak bojowy, od pierwszych chwil chmielnikowszczyzny, jak między sobą nazywali powstanie wzniecone przez hetmana Zaporozców. Pięciu ich zostało z dobrych czterech sotni, pięciu najwierniejszych, gotowych skoczyć w ogień za dowódcą, którego nazywali często atamanem, choć mu ten tytuł nie przysługiwał. Tak, pięciu najwierniejszych i szósty

on, Szpak. Ale jego Serhij nie chciał ze sobą brać, jemu pozostawił dowodzenie wyprawą.

–Ech, atamanie, atamanie – powiedział cicho do siebie Hryńka – młodojecka krew w tobie silniejsza się okazała od żołnierskiego obowiązku. Ale to i dobrze, szukaj swojej niewiasty, inaczej pewnie byś oszalał w drodze, i tak pożytku by z ciebie nie było.

Odwrócił się w stronę budzących się Kozaków.

–Wstawać, psiewiary! Słoneczko na niebie wysoko, grzeje, że upał was roztopi, zanim dupska spod derek wytoczycie! A dźwigaj się jeden z drugim, ogień rozpalaj, strawę warz!

Ludzie klęli pod nosem nawilgłe okrycia i ołowiane niebo. Gdzie to w taką pogodę ogień palić! I czym, kiedy wszystko drewno poszło w nocy! W stepie nie tak łatwo o porządny opał, a na mokrej trawie nie za wiele się nagotuje. Ale Hryńka już był między nimi, nie szczędząc szyderstw i lekkich kopniaków.

–A toście się pospali, susły stambulskie! Aż was boki bolą! Wstyd, żeby wojak w południe wstawał! Co robisz z tym krzesiwem, Szaraj? Co chcesz podpalić, głupcze? Na żartach się nie wyznajesz? Siodło bierz i konia oporządź. W drodze przegryziesz co z juków! Nie zdechniesz z głodu bez śniadania, nie bojać się!

–A chorąży gdzie? – spytał ponuro spostponowany Szaraj, jedyny, który wziął sobie do serca słowa o gotowaniu strawy.

–Przodem ruszył, a zresztą nie twoja rzecz. Ninie ja wami dowodzę, a rękę mam twardszą niżli chorąży Kostenko.

To akurat wiedzieli doskonale. O ile surowy Serhij miewał wyrozumienie dla takiej czy innej słabości podkomendnych, o tyle Szpak – sam twardy jak rzemień – wymagał równej twardości od wszystkich. „Plunąć na takiego Kozaka, co stepu nie umie przejść na bosaka”, mawiał i pędził ludzi, że im istotnie buty z nóg spadały albo się i rozlatywały. To w marszu. Teraz, kiedy wyruszyli konno, Hryńka chciałby noce nawet spędzać w siodle. Szczęściem na brak sił u zwierząt niewiele mógł poradzić. Wierzchowcowi rozkazu nie wyda, a jeśli nawet, bydlę słuchać nie będzie, uwali się i ponad możliwość kroku nie uczyni.

–Co, Szaraj?! – huknął Szpak. – Będziesz tak sterczeć i gały wybałuszać czy zbierzesz dupsko w troki i zaczniesz szykować podjezdka?

Szaraj zmełł przekleństwo. Z Hryńką można było nawet i pożartować, powiedzieć mu szorstkie słowo, ale przy ognisku, nie zaś wtedy, gdy brał się za dowodzenie.

–Atamanie. – Do Serhija zbliżył się Kozak tak wielkiego wzrostu, że zdawało się, iż siedzi na kucu, a nie bojowym rumaku.

–Czego chcesz, Semen?

–Wiesz, atamanie, że w ogień za tobą skoczę i nawet nie spytam po co.

–Wiem, druhu. I rozumiem, że skoro chcesz zapytać, rzecz nie idzie o to, dokąd zmierzamy?

–Nie o to, ale i o to – odparł niepewnie Semen.

–Mów.

Z początku Serhij chciał zbyć towarzysza, pozostać sam na sam z myślami, ale otrząsnął się z przygnębienia. Nic takie smucenie się w samotności nie da, zaszkodzić tylko może, a wiernych ludzi nie wolno ot, tak sobie zniechęcać.

–O Wilkozaków mi idzie. – Semen zaciął się na chwilę, szukając słów. – Nie wojowaliśmy z nimi wiele do tej pory, ot, czasem się zdarzyło wleźć sobie w drogę. Lecz po Żelaznych Chutorach wiem już, że gadki to jeno babskie, jakoby całkiem nieśmiertelni byli, chyba że obleczeni w wilczą skórę, bo nie widziałem nigdy ubitego w czasie pełni przemienca... Juźci, w ludzkiej postaci twardzi są, o wiele twardsi i silniejsi od ludzi, ale...

–Chyba nie od ciebie – zaśmiał się z przymusem chorąży. – Ty byś jak nic tęgiemu Wilkowi kark skręcił jedną ręką.

–Nie gadaj byle czego. – Semen potrząsnął głową. – Pamiętasz tego nieboraka, co go na naszych oczach ów stary Wilkozak rozdarł i przecież wcale nie w czas pełni. Ja bym tak nie dał rady. Co z nimi jest? Dlaczego tak się dzieje? Niby ludzie jako my, a tacy inni nawet we zwyczajnej porze, gdy księżycyca nie ma i przemiencami się nie stają.

–A ty jak dumasz?

–Bo ja wiem? – Wielki Kozak wzruszył ramionami. – Wszak jakbym miał pojęcie, to bym nie pytał. Moja macierz powiadała, że zielska jakoweś żrą tajemne i od tego w zwierza się obracają. Ino mnie się coś tak nie zdaje.

Serhij milczał dłuższą chwilę. Semen uznał już, że dowódca nic nie powie, że znów zagłębił się w ponurych rozmyślaniach. Wstrzymał lekko wierzchowca, aby zostawić Kostenkę samemu sobie, kiedy ten odrzekł niespodziewanie:

–Inni są. Inni niżli ludzie.

–Aleś też mi objaśnił rzecz, atamanie. – Semen parsknął krótkim śmiechem. – A dlaczego nazywasz ich Wilkami, nie Wilkozakami jak drudzy?

–Sami o sobie tak mówią. Naród Wilków. I myśmy wszak o nich tak niegdyś mówili. Nikt nie wie, skąd się wzięli, byli tu, gdy pierwsi zbiedzy osadzali się na Kozaczyźnie. Jak by ci to wytłumaczyć? Jak wytłumaczyć coś, co samemu nie bardzo się rozumie? Pamiętasz Prohyrego z Kamińskiego Chutoru?

–Co mam nie pamiętać. Bo to raz byliśmy u niego po radę? Ze sto dwadzieścia lat miał, jak umarł.

–Ponoć jeszcze więcej. Ja poznałem go, będąc jeszcze chłopcem. Ojciec z braćmi pociągnęli wonczas z hetmanem na Wołoszczyznę, a mnie z matką zawieźli do Prohyrego, by nas pilnował. Prawił mi stary o pewnym przybyszu z Korony, z którym chadzał na Tatara. Dziwny to był człek, w czerń odziany, o skórze smagłej i ponoć nawet krew miał nie czerwoną, a czarną niby sadza. Jakub mu bodaj było. Prohyry mówił, iż człek ten, mimo młodego wieku, odznaczał się wielką mądrością. Stary zapytał go kiedyś, czemu ludzie są, jacy są. Pozłościć go chciał poniekąd, bo tamten wiele krzywdy w życiu zaznał i źle powinien o ludziach sądzić. Zaś ów Jakub odpowiedział mu coś, co Prohyry zapamiętał na całe życie, a i mnie utkwilo to w duszy.

Zamilkł, przypominając sobie opowieść starego. Semen cierpliwie czekał, aż dowódca znów się odezwie.

–Człowiek rodzi się z woli bożej, a zatem więcej musi być w nim dobra niżli zła. Rzec można, że taki ssący pierś matczyną tłumoczek to samo dobro, a czerni ma w sobie tyle, co brudu za paznokciem. Dość jej jednak, by się rozrosła i opanowała część duszy. Wszyscy jesteśmy skłonni do dobra, ale też i do zła. Zazwyczaj łączy się to wszystko w szarość, u jednych jaśniejszą, u innych ciemniejszą. Czasem się jeno zdarza, że u jednego człowieka owa szarość zmierza ku bieli, a u innego bardziej barwi się mrokiem. Pierwszy zostaje zatem świętym, a drugi zbrodniarzem. Ale dlaczego tak się dzieje, nie pytaj, nie potrafię odpowiedzieć.

–A cóż to ma wspólnego z Wilkozakami? – spytał Semen, marszcząc brwi.

–Nic pewnie. To, co powiedziałem, ma odniesienie do ludzi i dzięki temu możemy coś pojąć. Ale Wilków to nie dotyczy. Oni żyją wedle własnego prawa. Wilczego prawa. Są inni i to ci chciałem uświadomić. Inni tak, że nie potrafimy ich zrozumieć ani oni nas.

–Tyle wiem, co i przedtem – mruknął Semen. Całe to gadanie o bieli, szarości i ciemności nie trafiało do niego. Stary Prohyry był mądry, ale na pewno nie w pełni zdrowych zmysłów. Święty człowiek zazwyczaj bywa nieco szalony, a jego słowa nie

zawsze oznaczają to, co się wydaje. Serhij może rozumiał, co sam przed chwilą powiedział, ale dla prostego Kozaka za wiele tego było.

–Tyle wiesz, co i przedtem – powtórzył za podwładnym chorąży. – To tak, jak i ja. Nie turbuj się, to nie na nasze głowy. Ciebie ludzie przezwali Porochem, bo jesteś wielki tak, że gdyby cię w Dniestr rzucić, przegrodziłbyś rzekę, a ich nazwali Wilkami, a potem Wilkozakami, bo w czas około pełni rosną im zęby, pazury i przyoblekają się w wilczą skórę. Trzeba to przyjąć i już.

–Dogonimy ich, zanim dotrą do siczy? – Semen z ulgą porzucił nurtujące go wątpliwości.

–Mam nadzieję. Jeśli tylko zamarudzili gdzieś w drodze, damy radę.

Semen nie pytał, jak dowódca wyobraża sobie starcie sześciu ludzi z sotnią wilkozacką. Ślepo ufał chorążemu. Bo to raz Kostenko prowadził ich niby na zagładę, a potrafił tak rzecz obrócić, żeby wyszli cało? A poza tym dla Kozaka śmierć jest smaczna jak chleb i słodka jak miód.

Nie pogrzebali towarzysza. Porąbali go i rozwłóczyli jego szczątki, by zwierzęta łatwiej sobie z nim poradziły. Marika z przerażeniem odwróciła wzrok, gdy się to dokonało. Zobaczyła wtedy wykrzywione wściekłością oblicze Hrehorego. Stało się coś, co rozzłościło wodza Wilkozaków na tyle, że odmówił pochówku niedawnemu sprzymierzeńcowi. Nie miała pojęcia, co zaszło, ale wiązało się to z pojedynkiem. Mężczyźni zebrali się szybko, do niej podszedł ten zwany Michejem.

–Należysz do Kiryła – oznajmił. – On wziął cię w jasyr i on po powrocie postanowi, co z tobą zrobić.

Miała ochotę zapytać, czy to znaczy, że nie będą więcej chcieli wyciągać od niej wiadomości o Serhiju, nie miała jednak odwagi. Michej zdawał się czytać w jej myślach.

–Hrehory o twojego gacha wypytywać nie będzie – rzekł z pogardą. – Wiemy bowiem, że Kostenko już jedzie za nami. Ledwie o dni kilka się z nim rozminęliśmy. Szkoda wielka.

–Skąd wiecie? – spytała zduszonym głosem.

Wahał się przez chwilę, czy odpowiedzieć. Ludzka samica była dlań niczym. Przemógł się wreszcie.

–Kara miał widzenie w chwili śmierci.

Marika bardzo chciałyby wiedzieć, czy właśnie ono sprawiło, że ataman wilkozacki tak spochmurniał, jednak zdawała sobie sprawę, jak podobna zuchwałość mogłaby rozgniewać Micheja. Kozacy nie lubią, jak baby ich wypytyją, zawsze chadzają swoimi ścieżkami, a co dopiero dzicy Wilkozacy... Ma mołojec co powiedzieć, to z dobrej woli, a jeśli go przymuszać, zęby co najwyżej pokaże albo i do bicia się weźmie.

–Kiryła się trzymaj, bo wrogów mu nie brakuje, któryś mógłby cię niby przez przypadek potrącić.

„Któryś mógłby...” Od tych słów uczyniło jej się zimno. To oznaczało, że stała się wyłączną własnością tego, kto ubił gwałciciela, i zabójca może z nią zrobić wszystko.

–Już, ruszaj się, samko! – warknął Michej.

Marika wstała ciężko z kamienia, związała starannie chustę podtrzymującą dziecko. Cekał ją kolejny trudny dzień. Zapewne już do końca życia nie zazna spokoju. Nie wiadomo zresztą, ile jej tego życia zostało... Czuła zawroty głowy. Kiedy walka skończyła się, gdy usłyszała krzyk Kałmuka, poczuła szarpnięcie, jakby ktoś uderzył ją w samo serce, potem przyszła słabość, która minęła w jednej chwili, ale dziewczyna wciąż jeszcze nie mogła się uspokoić.

Michej oddalił się, nie patrząc więcej na brankę. Sotnia ustawiła się w kolumnę, ruszyła naprzód. Michej szedł na samym końcu, obok niego Gudry, najstarszy syn głowy rodu Belikanów.

–Czego stary tak się wściekł? – spytał. Na pewno nie był głupi, miał trzeźwy umysł, ale myślał dość wolno.

–Nie wiesz? Kara powinien dać mu swoją siłę.

–A nie dał?

–Nie dał! Ogłuchłeś czy oślepieś? Zanim odszedł, wieszczę zaczął.

Gudry zmarszczył brwi.

–A co ma wieszczenie do przekazania duszy?

–W zwyczajnym czasie nic. Lecz tym razem wyglądało, jakby Kara tylko wieszczę. Może nie chciał oddać sił Hrehoremu?

–To komu? Można zabrać całą dwuduszę do Pośmierci?

–Nie można. Wiesz przecież. Trzeba Nienazwaną komuś przekazać, jak nie jednemu

Wilkowi, to watasze.

–Ale Kara nie przekazał duszy stadu, poczułbym przecież.

–Właśnie, przyjacielu. Hrehoremu też jej nie oddał.

Gudry zmrużył oczy, spojrzął na towarzysza.

–Rozumiem już. Dał ją komuś innemu. Hrehory wie komu?

–Gdyby wiedział, nie byłby aż tak zły.

–A ty wiesz?

Michej wzruszył lekko ramionami.

–Może wiem, może nie.

Gudry zamilkł, przetrawiając to, co usłyszał.

–To znaczy, że naprawdę szykuje nam się walka o przywództwo – powiedział wreszcie. – Myślałem, że to tylko takie gadanie. Jak za długo siedzimy w siczy, zawsze rozchodzą się podobne pogłoski.

Michej westchnął ciężko.

–Jak myślisz, po co wyruszyliśmy na tę wyprawę? Bo koniecznie trzeba było mścić się na Serhiju Kostence? To mogło jeszcze trochę poczekać. Stary Hrehory chciał tylko odsunąć chwilę, kiedy będzie musiał zmierzyć się z pretendentem. Rozumiesz? Dla niego lepiej, żeby wisiała nad nami zemsta Kozaka, wówczas rada nigdy nie zgodzi się na walkę. Wszystko jedno, czy Kostenko znajdzie trupy baby i córki i będzie szukał pomsty czy też zechce je uwolnić. Dlatego Hrehory nie nastawał później, aby je zabić. Tak czy inaczej, jest na razie bezpieczny.

Gudry kiwnął głową.

–Tak, masz słuszność. Ale żeby Kara stanął przeciw Hrehoremu? Toż był jego wiernym psem.

–Zdrady zawsze spodziewaj się od najbliższych i szukaj jej tuż przy sobie – rzekł cicho, jakby do siebie, Michej. – Kałmuk pewnie miał żal do atamana, że ten wpierw pozwolił mu posiąść kobietę, bo chyba nie wierzysz, że Kara wziął ją przeciw rozkazowi, a potem wystawił go na pojedynek, udając, jakoby nic nie wiedział.

–Ale komu przekazał moc?

–Też chciałbym wiedzieć – mruknął Michej.

–Mówiłeś, że wiesz – zdziwił się Gudry.

–Mówiłem, że może wiem, a może nie.

Gudry skrzywił się.

–Będzie z ciebie dobry ataman – mruknął. – Potrafisz mącić.

Rozdział 3

Serhij popędzał towarzyszy, zmuszając ich i wierzchowce do straszliwego wysiłku. Z całej duszy pragnął dogonić watahę i albo odbić Marikę, albo przekonać się, że już ją zgładzili. Watahę... Tak Kozacy nazywali każdy oddział Wilków i tak samo zwali je Wilcy. Ale w prawdziwej wilczej watasze bywa najwyżej dziesięć zwierząt, a u Wilkozaków mogła to być nawet sotnia. I taką liczbę chorąży musiał brać pod uwagę. Zresztą, w zasadzie wszystko jedno, czy było ich trzydziestu czy trzystu. Sześciu ludzi nie dałoby rady otwarcie zmagać się z taką przewagą, tak czy inaczej byli skazani na stosowanie podstępów. Gorzej, że chorąży nie miał do tego zupełnie głowy. Myślał tylko o Marice i maleńkiej Halszce. Jeszcze kilka miesięcy wcześniej nigdy by nie uwierzył, że tak się przywiąże do maleńkiej dziewczuszki. Po przyjściu na świat dziecka pierwszy raz z prawdziwym żalem opuszczał wieś, w której zostawił serce, a przebywając w siczy i później w Czehryniu, mimo mnóstwa obowiązków i ciągłych narad, wciąż myślał o młodej żonie i córeczce. Chętnie by się do nich wyrwał, musiał jednak siedzieć przy hetmanie. Coś się szykowało. Stronnicy polityki przychylniej Rosji zamierzali przy pomocy hetmana zbliżyć się do Moskwy i jeszcze niedawno tylko to zaprzętałoby umysł Serhija, lecz teraz sprawy wolnej Ukrainy stały mu się jeśli nie zupełnie obojętne, to na pewno dość odległe. Zaczął rozumieć tych wszystkich, którzy nie chcieli wypraw i wojen, woleli siedzieć na swoim, gospodarzyć w spokoju. Nie dla niego, rzecz jasna, takie życie – mołojec zawsze będzie uganiał się za sławą, miłsza mu szabla w garści niż pług w polu i żarna w obejściu, ale dobrze było wiedzieć, że ma gdzie i do kogo wrócić, a jeśli legnie w polu, pożałują go nie tylko towarzysze broni.

Jadący z przodu Ilja Zająć zwolnił, zrównał się z dowódcą.

–Nie kryją się, atamanie – rzekł. – Wygląda, jakby chcieli, abyśmy znaleźli ich tropy bez zbytej fatygi.

–To mnie nie dziwi – odparł Serhij. – Łakną mojej krwi, to przemieńcy, parają się ponoć wiedzą tajemną, na pewno już odgadli, że za nimi jadę.

Ilja kiwnął w odpowiedzi głową i znów wysunął się do przodu. W oczach Kostenki ujrział dno piekła i obietnicę śmierci, wołał nie wchodzić teraz w drogę chorążemu, nie zadawać zbędnych pytań. Co ma być, to będzie...

Spojrzał jeszcze w tył, na podążającego tuż za przywódcą Seję, dotrzymującego mu kroku Liwkę Pastucha, dłubiącego w zepsutych zębach Pawkę Hurbacza i wlokącego się na końcu Semena Poroha, którego koń miał najtrudniejszą robotę i zaczynał już ustawać. Mieli wyrwać rodzinę chorążego setce Wilkozaków. To tak, jakby paru ludzi porywało się na zastępy piekielne. Wprawdzie już wiele razy zdawało się, jakoby ataman całkiem zdurniał, podejmując jakieś zadanie, a potem się okazywało, że wcale

udatnie to wychodziło, jednak nigdy przedtem nie miał tak oszalełego spojrzenia. Widać było, że niewiele go obchodzi los własny i towarzyszy, nie pożałuje ich życia i jeśli uzna za stosowne, poprowadzi na pewną zagładę. Śmierci się Iłja nie obawiał. Przewisko Zajac zyskał dla znakomitego słuchu i czujności, a nie przymiotów ducha. Nieraz musiał przykrócić jęzora jakiemuś nieświadomemu i nieostrożnemu Kozakowi, kiedy taki się zeń naigrawał, przekonany, iż można bezkarnie szydzić z kogoś, kogo otwarcie zwą mianem tchórzliwego szaraka. Po czasie sława przewiska rozeszła się i coraz mniej znajdowało się chętnych próbować, czy Iłja potrafi robić szablą.

Popatrzył przed siebie. Gdzieś tam wataha zdążała do swojej siedziby, a oni byli coraz bliżej groźnego wroga. Kiedy indziej Kozak pomyślałby, że to szczęście, iż Wilcy nie jeżdżą konno i można ich dognać, ale teraz nie wiedział, czy to aby powód do radości. Poczł lekkie ssanie w żołądku, kilka razy wypuścił szybko powietrze. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale bał się. Bał się naprawdę i zwyczajnie bodaj po raz pierwszy w życiu. I nie był to strach przed walką czy śmiercią: włos mu się jeżył na samą myśl, że mógłby zostać ukąszony i zamieniony w Wilka. Diabli wiedzą, czy te bestie zarażają tylko w porze przemiany, mając w paszczy wilcze kły. Może czynią to przez cały czas?

–Na pewno są już niedaleko – powiedział Michej, siadając obok atamana przy niewielkim ognisku. Niebo wciąż zaciągnięte było chmurami, ale przynajmniej nie siał deszcz.

Hrehory w odpowiedzi kiwnął tylko głową. Nie tak to wszystko miało wyglądać. Zamierzał napaść na warowną wioskę, korzystając z mocy Okołopelni, wymordować wszystkich bez wyjątku i wyczekiwać, aż przeklęty Kozak, zaślepiiony nienawiścią i żądzą zemsty, zbrojnie zacznie się upominać o sprawiedliwość. Wtedy miałyby dwa wyjścia: w razie powodzenia mógłby się poszczycić przed radą zgładzeniem zajadłego wroga i umocnić pozycję na długie lata albo odwlekać rozstrzygające starcie, trzymając radę w szachu. Ale musiał mu w drogę wejść ten szczeniak, przemądrzały Michej. Jego ród znaczył niewiele, liczył ledwie piętnastu zdatnych do walki Wilków, nigdy nie wystawił do bitwy własnego pełnego kurenia, w szyku zawsze musiał stawać obok innej rodziny. Nigdy też do tej pory basior rodu Gryszczych nie pretendował do przewodzenia watasze, nie mówiąc już o całej siczy. Gryszczy znali swoje miejsce. Ale Michej był inny – podstępny, przy tym bystry, a ponadto potrafił sobie jednać głodnych sławy kompanów, jak chociażby tego Kiryła. Hrehory nie miał najmniejszych wątpliwości, że podkomendny Gryszczego znalazł sukę i szcenię Kostenki na rozkaz dowódcy i być może też na jego polecenie oszczędził. Właśnie przez to położenie uległo diametralnej zmianie. Oczywiście ataman mógłby rozkazać zarznąć niewiastę i młode, ale zdawał sobie sprawę, że Michej nie pozwoliłby na to za żadną cenę, nawet rozlewu krwi własnego plemienia. A potem było na to za późno. Zresztą z tej sytuacji doświadczony wódz także potrafił

skorzystać. Hrehorego najbardziej złościło to, że z jednej strony nie umiał przeniknąć zamiarów młodego konkurenta, a z drugiej nie mógł doprowadzić do bratobójczej walki właśnie teraz, podczas wyprawy. Nie mógł też stanąć do pojedynku z pretendentem. To byłoby wbrew prawu. Gdyby zginął, w siczy zapanowałyby zamęt i bezhołowie, rządy przejęłaby wiecznie skłócona rada, i to nie rada starszych, ale sejmik siczowy. Zanim opanowano by wrzenie i wyłoniono nowego atamana, mogłoby się stać jakieś nieszczęście, chociażby atak oddziału Serhija. Gdyby zaś Hrehory zwyciężył, chwała z tego żadna, a starsi rodów bez wątpienia skorzystaliby z okazji, aby wykazać, iż sędziwy przywódca nie panuje nad jedną watahą, wdając się w bójki z podkomendnymi, więc z pewnością nie da sobie już rady z całą siczą. Prawo było w tym względzie bezlitosne i radzie przysługiwał przywilej odwołania atamana siczowego większością głosów, a nie – jak to było w zwyczajnych okolicznościach – jednomyślną decyzją. Walka o przywództwo mogła się odbyć tylko w siczy, za zgodą rady i wedle ściśle określonych reguł. Michej wiedział o tym nie gorzej od wodza i robił wszystko, aby dopiąć swego. Cokolwiek by to oznaczało. Tak czy inaczej, Hrehory musiał cierpieć obecność Mariki z dzieckiem, musiał ze względu na nie opóźnić pochód, przez co Serhij mógł ich dogonić, zanim zbliżą się do domu i w doskonale znanym terenie przygotowują pewną zasadzkę. Jeśli ataman chciał utrzymać się przy władzy i zyskać większe wpływy, musiał teraz ująć Kostenkę żywcem, aby zgodnie z prawem powiesić go na oczach siczy, w której prawie wszyscy mieli krewniaków w spalonych przez chorążego Żelaznych Chutorach.

–Są już niedaleko – powtórzył Michej.

–Słyszałem – odparł Hrehory ze zniecierpliwieniem. – I co z tego? Sześciu ich jeno, tak przynajmniej wieszczęł Kara przed zgonem.

–Sześciu – zgodził się Michej. – Lecz to z pewnością najlepsi jego ludzie.

–Boisz się? – Na twarzy basiora zagościł krzywy, prowokujący uśmieszek.

–Powinniśmy się przygotować. – Gryszczy zachował kamienny spokój. – Na pewno zechcą nas napaść, kiedy będziemy na postoju, zgodnie z obyczajem ludzi tuż przed świtem, kiedy sen jest najtwardszy.

–Będziesz mi tu opowiadał dyrdymały i rzeczy, które wiem nie gorzej od ciebie, czy chcesz udzielać rad?

Michej zerknął z ukosa na atamana. Gdyby stary mógł, w tej chwili wsadziłby mu swój ulubiony kindżał między żebra.

–Ani jedno, ani drugie. Ale trzeba coś postanowić. Kostenko będzie chciał odzyskać babę i dzieciaka. Nie wie wszak, że jego samkę splugawił Kałmuk. A gdyby nawet i wiedział, pozostaje dziewczynka. Ludzie bardzo się przywiązują do swoich szczeniąt,

gotowi są poświęcić dla nich życie.

Hrehory znowu kiwnął głową. Michej miał jakiś plan i najwyraźniej chciał się nim podzielić z atamanem. Jeśli będzie dobry i uda się, chwała przypadnie zarówno wodzowi, jak i jego oficerowi, lecz zawsze dowódca spija więcej śmietanki. Lecz jeśli się nie powiedzie, to Hrehory zostanie obciążony odpowiedzialnością, bo to on jest głową wyprawy. Tak czy inaczej, w każdej sytuacji młody Gryszczy z tego skorzysta.

Ataman słuchał uważnie Micheja, a w jego duszy rodziło się mimowolne uznanie. Kto wie, może to właśnie ten Wilk powinien przejąć po nim kiedyś pieczę nad siczą, mimo całej niechęci, jaką Hrehory do niego odczuwał. Ale na pewno jeszcze nie teraz. Dlatego musiał na własną rękę zmienić nieco plan Micheja.

Hetman uderzył pięścią w stół z taką mocą, że wypełniony do połowy winem dzban przewrócił się, zalewając mapę karminową falą. Chmielnicki nie zwrócił na to uwagi, z jego oczu zdawały się sypać iskry wściekłości.

–Sobiepan jak zawsze! – warknął przez zaciśnięte zęby. – Zamiast wprost na Wołoszczyznę, musiał poleźć w pierw do swojej nałożnicy! Ale niech mu tam, ma Kozak między nogami bat, winien go używać, bo potrzebni nam nowi mołojcy i zdrowe dziewczki! Lecz że samowolnie porzucił oddział przy ważnym zadaniu, za to każe go oćwiczyć, pasy z pleców drzeć i na haku za żebra obwiesić!

Bezużyteczny do tej pory donosiciel, jeden z wielu, jakich umieścił przy wiernych sobie wojskach i jakich miał po chutorach, wsiach i miastach, przydał się teraz. Wierni żołnierze Kostenki prędzej daliby się posiekać, niż zdradzili, że chorąży porzucił misję dla prywaty.

–Zostawił jednak swojego najlepszego człowieka, Hrynkę Szpaka, by rzecz poprowadził – próbował zmytygować Chmielnickiego Jan Tetera, ataman koszowy, jedyny, który miał odwagę przemawiać do hetmana, kiedy ten popadał w złość bliską szału.

–Ty się za nim nie wstawiaj, Janie! – odpowiedział mu głuchy ryk. – Nie wstawiaj się, powiadam, bym i o tobie nie pomyślał czego złego!

Ataman koszowy zniósł wybuch z kamiennym spokojem.

–Nie wstawiam się, chcę jeno rzecz, iż nieposłuszeństwo chorążego nie pociągnie za sobą oplakanych skutków, a i misja jego niezbyt była ważna. Ot, poszarpać Wołochów...

–Nie udawaj, że nie wiesz, jaki był cel tej wyprawy! – podniecił się hetman. –

Wołochom przypomnieć trzeba, kto pograniczem trzęsie! A hospodara nastraszyć, by mojemu Tymoszce córę dał, a nie jakimś Radziwiłłom czy innym Koniecpolskim!

–Tak, wiem, wiem. – Tetera potrząsnął siwą głową. – Jeno do tego nie trzeba senatorskiego umysłu, wystarczy sprawny oficer albo i podoficer zgola. Sami wiecie, że tak czy inaczej czeka nas wyprawa, bo próżno czekać od Lupula, by wam dziewczkę z własnej woli wydał, nawet co dzień szarpany zagonami.

Chmielnicki ochłonął nieco, usiadł, a obecni na naradzie odetchnęli z ulgą.

–Tak czy inaczej – oznajmił – Serhija kara nie minie. Nie będzie byle watażka grał mi na nosie!

–Oby tylko kara nie była zbyt sroga – mruknął delegat czerni siczowej. – Ludzie kochają chorążego, nie zechcą jego krzywdy.

Hetman westchnął ciężko. Sam wiedział, że nie może sobie pozwolić na nieposkromioną surowość. Dla Kozaków obowiązek dokonania zemsty znaczył wiele, często więcej niż miłość do własnej ziemi i rodu. Zrozumieją Kostenkę, ale nie pojmą surowej kary za takie przewinienie.

Chmielnicki kochał niegdyś takich ludzi, dla nich wszak parę lat temu wszczął wojnę z Polską, dla nich – dzielnych i nieposkromionych – chciał uczynić z Ukrainy wolny kraj. Dla nich i dla własnej korzyści... Ale jedno z drugim ściśle się wiązało, przynajmniej w jego umyśle. Musiał się liczyć przy tym z układami zawartymi z Moskwą, zawsze niepewnym sojusznikiem i zarazem wrogiem – chanem tatarskim, wypełniającym wolę tureckiego sułtana, z opozycją ze strony wyższych dowódców, ale także ze zdaniem kozackiej czerni. Bez tego motłochu sam byłby niczym, mógł go rozgrywać przeciwko politycznym przeciwnikom, umiał trafić do prostych umysłów. Jeszcze umiał... Jak długo? Kiedy tłumy zrozumieją, że ich hetman oddalił się od nich i zaczął mierzyć w niebotyczne wyżyny władzy? Kiedy pojmą, że nie miłuje już nieokiełznanej natury kozackich bohaterów, wolałby ich zamienić w posłusznych poddanych? Na razie potrafił zachowywać pozory, jednak na jak długo jeszcze wystarczy mu cierpliwości?

–Macie słuszność – rzekł po chwili milczenia. – I wy, Janie, i ty, Madeju. Nic złego się nie stanie, jeśli wyprawę poprowadzi Hryńka Szpak, a ludzie chętnie przebaczą nieposłuszeństwo chorążemu, który zapewne z bólu postradał zmysły. Radźmy lepiej o tym, co należy czynić z żądaniami carskiego posła. Jeśli zgodzimy się na przedstawione warunki, zyskamy siły na dalszą wojnę z Polską, ale popadniemy w większą zależność od Moskwy.

–Już popadliśmy – zauważył pułkownik Koroman, siedzący przy końcu stołu. – Więcej ma u nas do powiedzenia delegat ze wschodniej strony niż cały sejm kozacki.

Hetman spojrział groźnie w stronę mówiącego, ale nie przerywał mu. Czasem warto dać się ludziom wygadać, skłonniejsi są później do słuchania.

–Z Lachami wojowaliśmy o nasze prawa – ciągnął pułkownik – bo książęta i szlachta mieli nas za mierzwę, robili, co chcieli, i patrzyli tylko, jak się Kozakami wyręczyć. Ninie Rosja czyni to samo, a kto popadł w poddaństwo ichnich bojarów i zarządców, na własnej skórze przekonać się mógł, co znaczy prawdziwa pogarda i wyzysk. Regestr niby mieli robić, rzetelniejszy niżli Rzeczpospolita, a jak to wygląda? Mam rzec czy sami wiecie?

–Sam wiem, Demeenie – mruknął z niechęcią Chmielnicki. – Tyle powiedzieć mogę, że odwrotu z obranej drogi nie ma. Komu marzy się żyć pod rządami polskich panów, droga wolna, może się przenieść, kędy chce. Za zdrajcę go będziemy mieć, gorszego niżli odstępcą od wiary, ale zatrzymywać nie myślę. Chcecie to uczynić, pułkowniku, czyńcie.

–Wszakóż ja nie o tym – zmieszał się Koroman. – Ja powiadam tylko, jak jest, a przy swoich zostanę i wiernie służyć będę, nawet mi przez myśl nie przeszło, aby was opuścić. Zresztą dokąd niby miałbym się udać? Nienawidzą nas i w Koronie, i na Litwie, pamiętając, żeśmy ich bijali, miasta im palili, chcieliśmy wyżenać, przegnać na cztery wiatry.

Chmielnicki odchrząknął, ukrywając uśmiech zadowolenia. Pułkownik wyraził to, co myśleli inni. Nie masz lepszego spoiwa od wspólnego przekleństwa. Strach przed wrogiem jest bardziej skuteczny niż najszczęsze przysięgi.

–Polska szykuje się do wojny z Moskwą – powiedział. – A może prawdziwiej byłoby powiedzieć, że to Moskwa szykuje się na wojnę z Rzeczpospolitą. Poseł cara grozi i żąda, ale potrzebuje od nas pomocy, bo my wiemy, jak wojować z Lachami, jak zatrzymać ich ciężką jazdę. Sławne są nasze szyki taborowe, słynna mołojcka śmiałość i pogarda śmierci. A i politykę potrafimy wieść niezgorzej. Nasi wysłańcy w dalekich górach namówili tamtejszy lud do powstania przeciw ciężkiej ręce polskich panów.

–I wygnietli ich Lachy jak pluskwy – powiedział cicho Koroman.

Hetman uśmiechnął się krzywo.

–Wygnietli, lecz za to mniej siły mieli na nas.

Pułkownik nie odpowiedział. Sam jeździł namawiać górali na wszczęcie ruchawki, obiecywał im wsparcie Chmielnickiego. Kostka-Napierski, przywódca małopolskiego zbuntowanego ludu, zaufał zapewnieniom emisariuszy, poderwał uciemnione masy do walki. Niestety, jak można się było spodziewać, pozbawionym pomocy chłopom polscy magnaci zgotowali los straszliwy, a Koroman czuł się za to odpowiedzialny w

odróżnieniu od hetmana kozackiego, który widział w mieszkańcach Tatr tylko narzędzie walki ze zniechęconym wrogiem. Pewnie, przydała się tamta ruchawka, dzięki której Polacy nie skierowali przeciwko wojskom kozackim jeszcze większych sił, inaczej bardzo możliwe, że wjechałoby na karkach mołojców aż do Czehrynia i Siczy Zaporoskiej.

–Rzeczpospolita chyli się ku upadkowi – rzekł stary Zyńka, służący jeszcze pod Chodkiewiczem. – Nie znajdziesz już w niej hetmanów Żółkiewskich, kanclerzy Zamojskich, królów takich jak Batory. Wyplynie spośród mierzwy Potockich czy Wiśniowieckich czasem wódz wybitny, jednakowoż zepchną go zaraz w odmęty zazdrośnicy, ustanowią miast jednego przywódcy radę regimentarzy, a każdy z nich patrzy jeno, żeby urwać korzyści dla siebie, żeby wynieść swój ród nad inne.

Chmielnicki słuchał ze znudzeniem gadania leciwego atamana. Rzeczy oczywiste go nie ciekawiły, a przerywać szanowanemu członkowi rady byłoby niepolitycznie. Ożywił się dopiero, kiedy Zyńka powiedział:

–I u nas zaczyna być nie inaczej. Kto tylko władzy trochę zagarnie, zaraz grabi pod siebie, co może, a to godności, a to tytuły, a to ziemię i pieniądze, a najchętniej wszystko naraz. Niech jeno marny atamanik, co dopotąd kurenim dowodził, raz pułk pod komendę dostanie, równy się książętom staje. Niech jeno dostojnik, co na jednym mająteczku siedział, ziem sobie nada, zaraz z królami chce się równać.

Wargi hetmana zacisnęły się w złym grymasie. Wiedział doskonale, do czego pił staruch. Wszak to Chmielnicki zarządzał niewielkimi włościami, to jego Czapliński wtrącił do lochu, a wypuścił na usilne nalegania własnej dobrotliwej małżonki. To Bohdan, korzystając potem z godności hetmańskiej, zgromadził majątek, którego pozazdrościłby mu niejeden koronny szlachcic mieniący się równym wojewodzie.

–Dość o tym – przerwał szorstko mówiącemu. – Zdecydować mamy, co czynić i jaką odpowiedź dać moskiewskim posłom. To, czego od nas zażądali, nie ma nic wspólnego z wzięciem nas pod protekcję, jak się obawiają niektórzy.

–Radźmy zatem – poparł przywódcę ataman koszowy.

Spadli na uśpione obozowisko nie przed świtem, jak byłoby najrozsądniej, ale tuż po północy. Serhij wiedział doskonale, że Wilkozacy są inni od ludzi, wcale nie był przekonany, że przed świtem ich czujność będzie najslabsza. Znał za to zwyczaje prawdziwych wilków. A one nigdy nie pozwalają sobie na słabość, zawsze pozostają w gotowości albo do walki, albo ucieczki.

A poza tym nie miał siły dłużej czekać. Każda chwila, którą wśród wroga przebywała Marika z dzieckiem, stanowiła dla młodego chorążego prawdziwą torturę, zastanawiał

się, czy właśnie teraz, w tej sekundzie, jakiś Wilk nie czyni im krzywdy.

Obozowisko pogrążone było we śnie. Wilcy najwyraźniej nie przygotowali się na atak. Setka drapieżników w ludzkich skórach nie stanęła w jednej chwili gotowa do walki. Konie płoszyły się, jak zawsze w pobliżu tych istot, ale posłuszne jeźdźcom, wdarły się do środka obozu. Serhij skierował się tam, gdzie obserwując watahę przez zapadnięciem ciemności, zobaczył żonę. Była tam, była na pewno! Czuł to całym sobą, a upewnił się, gdy usłyszał cichy płacz dziecka. To było coś zadziwiającego. Pośród narastającego szczęku broni i krzyków dosłyszał ten stłumiony głosik. Wbił pięty w końskie boki, płazem szabli chlasnął wierzchowca po zadzie. Towarzysze bez wahania ruszyli za nim, tnąc i rąbiąc z całej mocy nadbiegających już zewsząd wrogów. Jednak ostrza pozostawały nieskrwawione. Przeciwnik był niesamowicie zwinny, za to gromadził się już dookoła szóstki śmiałków, zupełnie jak morskie fale wdzierające na plażę otaczają samotny głaz. Kiedy impet Kozaków osłabł, zamiast zadawać ciosy, śmiałkowie musieli skupić się prawie wyłącznie na obronie. A już ze wszystkich stron spadały na nich ostrza, w blasku ognisk szczyrzyły się zęby wrogów.

–Szybciej! – krzyknął Ilja. – Zaraz całkiem nas ogarną!

W istocie, ludzie Kostenki już zostali otoczeni, zewsząd pędziły ku nim zdające się rozmazywać w ciemnościach sylwetki. Jeszcze chwila, a po straceńcach nie zostanie nawet ślad... Ale już Serhij dopadł legowiska, na którym skuliła się niewieścia postać, ciasnym kręgiem ramion otaczając bezbronny, kwilący kłębuszek. Chorąży zeskoczył z konia, pochylił się nad leżącą.

–To ja, Mariko! Wstawaj!

Jego kompani odcinali się Wilkozakom, przerażeni bodaj nie mniej od nieszczęsnej kobiety. Szczęściem obozowisko było dość rozległe, przeciwnik nie mógł się skupić w jednej chwili w jednym miejscu.

Marika usiadła, przyciskając dziecko do piersi. Od wielu dni marzyła o tej chwili, śniła o niej, modliła się o łaskę, jednak teraz wszystko z niej opadło, nadzieja nagle zniknęła. Zupełnie jakby z chwilą, gdy zobaczyła twarz ukochanego, w sercu zgasł ledwie pełgający płomycek wiary w to, że może być lepiej. Znowu targnął ją spazm, jak wtedy, gdy słyszała krzyk umierającego Kałmuka. Nie myślała o niebezpieczeństwie, o tym, że Kozacy za chwilę zostaną zupełnie otoczeni i wycięci bez litości. Poczula po prostu, że dla tego człowieka jest już obca. Ona tak... Ale dziecko? Znowu ten ból... Wbrew sobie, walcząc z chęcią ucieczki od męża, wyciągnęła do niego ręce, podała mu małą, a potem odwróciła się, żeby nie widzieć, jak odjeżdża. Odjeżdża? A może raczej ginie? Tak czy inaczej, nie chciała patrzeć. Czuła, że dla małej lepsza już będzie śmierć w ramionach rodzica niż życie z taką matką – matką bez serca, bez nadziei...

–Marika! – krzyknął rozpaczliwie Serhij. – Wsiadaj za mną!

Chwycił łąk, z zamachu wskoczył w siodło, trzymając mocno córeczkę

–Marika – szepnął.

Wiedział już, że żona nie pójdzie za nim, odgadł to, kiedy spojrzał w jej puste oczy. Puste... Niezupełnie puste. Na ich dnie czał się mrok, straszliwy, nieludzki, gotów w każdej chwili wypełnić ową pustkę.

–Marika... – powtórzył ciszej.

–Atamanie! – rozległ się krzyk.

Serhij kątem oka dostrzegł, jak pod kopyta własnego konia spada Pawka Hurbacz, jak chwieje się cięty w policzek Liwka Pastuch. Semen i Ilja pracowali szablami z całych sił. Seja zniknął gdzieś w zgiełku. Kostenko zrozumiał, że to była zasadzka. Chcieli go wziąć żywcem. Obóz wcale nie spał, Wilkozacy mieli wpuścić intruzów do samego środka, a potem unieruchomić samą masą. Jeszcze chwila, a pułapka całkowicie się zatrzaśnie.

–W konie! – wrzasnął chorąży.

Łatwiej było jednak wydać rozkaz, niż go wykonać. Wokół roilo się od Wilków, żądnych krwi, tnących bez wyboru jeźdźców i konie. Ilja jakimś cudem wyskoczył z siodła swojego padającego wierzchowca i odpychając się od niego, potężnym susem zajął miejsce opuszczone przez Pawkę. Serhij ciął od ucha przeciwnika, który zbliżył się do niego, próbując ugodzić konia berdyszem. Poczował opór, Wilk odskoczył, cięcie rozplatało mu bok szyi i z otwartych żył puściły się strugi krwi. Nie upadł jednak, za to zwinął się w szybkim przewrocie w tył i oczom chorążego ukazał się potężny basior, szczerzący kły. Ten widok dodał Kozakom sił, a woń zniechęconego drapieżnika zmusiła konie do większego wysiłku. Serhij sam nie wiedział, jak przerwali krąg napastników. Pamiętał jedynie, że trwało to mgnienie oka, dostrzegł przed sobą jakiś ruch, zwarta ściana wrogów niespodziewanie prysła, a potem zobaczył otwartą przestrzeń. Za nim pędzili pozostali przy życiu towarzysze. Poroh, jadący na końcu, potężnym uderzeniem pięści zrzucił na ziemię Wilkozaka, który spadł mu zniecka na kark.

Z tyłu zagrzmiały beładną palbą muszkiety, świsnęły kule. Serhij poczuł potężny cios w plecy, jęknął, pochylił się niżej, opadł czołem aż na końską grzywę. Ze wszystkich sił starał się nie stracić przytomności, nie uronić cennego zawiniątka, nie przydusić go własnym ciężarem. Nie czuł bólu. Ten miał przyjść później. Czuł za to żal. Niesamowity, ogromny żal i równie wielką nienawiść. Co ci łajdacy zrobili z jego Mariką, że tak się odmieniła? Jakie cierpienie może uczynić żrenice człowieka tak nieludzkimi?

–Atamanie...

Poczuł silną dłoń podtrzymującą jego ramię, w którego zagięciu spoczywało niemowlę.

–Atamanie. Daj mi ją.

Z wahaniem wyprostował rękę, pozwolił odebrać sobie Halszkę.

Tak, maleńka... Bezpieczniejsza będziesz z Semenem. To silny chłop. Konie rwały cwałem, lecz Serhij miał wrażenie, jakby szły powolnego stępa. Oddalili się od Wilków na tyle, że kule przestały być groźne.

–Opiekuj się nią...

Poroh bardziej odgadł, niż dosłyszał słowa dowódcy.

–Tak, atamanie.

–Opiekuj się...

Głowa Serhija opadła na koński kark, z ust puściła mu się krew, w pędzie ściekając strumykami aż pod siodło.

Semen skinął głową Ili, pokazując mu, aby podtrzymywał chorążego.

A przed oczami Serhija płynął ciąg obrazów. Roześmiana Marika, jej ojciec o poważnym, surowym spojrzeniu... Krew na pylistej ziemi... Kobieta wyciąga w jego stronę ręce w błagalnym geście, ale on odwraca wzrok, odchodzi. Marika kładzie sobie na brzuchu rękę męża, aby poczuł, jak wewnątrz porusza się dziecko. Płomień. Wielki płomień bijący pod niebo, ogarnia przeklęte ciała, a one skręcają się w huczącym gorącu, otwarte usta złorzeczą krzywdzicielowi... Puste oczy Mariki... I ciemność. Litościwa, wszechogarniająca ciemność...

Rozdział 4

Michej obrzucił Hrehorego ciężkim spojrzeniem.

–Jak to się stało, że ten rzeźnik zdołał uciec?

–Chyba widziałeś – odparł niecierpliwie ataman. – To demon wcielony! Kto się mógł spodziewać? Ten przeklętnik zabił nawet Kobaja! Powiada się, że gdy człowiek walczy o swoje szczenię, staje się równie groźny jak najtęższy Wilk, alem w to nie wierzył.

–Nie pytam, w co wierzysz, atamanie – rzekł lodowatym tonem Michej – ale jak się zdołali wyrwać? Przeszli w miejscu, gdzie widziałem ciebie. Wyglądało to, jakbyś uczynił im ze swoimi drogę!

–Mało to się rzeczy przywidzi w zamęcie? – Hrehory podrzucił lekceważąco ramieniem. – A co dopiero młodemu wojownikowi, co mu się zda, że wszystkie rozumy pozjadał. Sam byś spróbował wytrzymać taki impet, jaki znienacka wzięli. Konie się spłoszyły, gdy Romka przed skonem się przemienił, a i ludziom strach siły dodał!

Michej zmrużył oczy i otworzył usta, jakby chciał rzec: „Breszesz, atamanie. Kłamstwo wychodzi z ciebie i ustami, i oczami”, ale zmilczał. Nie czas było w tej chwili wchodzić w spór z przywódcą. Wilcy musieli jak najprędzej wracać do siczy. Nie wiedzieli wszak, czy Kostenko nie sprowadzi im niebawem na kark znaczniejszych sił. Po chutorach zawsze siedzieli ludzie gotowi pójść za kimś silnym, a tutaj w dodatku ów ktoś był sławnym mołojcem. Poszczerbili też Kozacy paru Wilków, bo w zamęcie łatwiej było garstce napastników ciąć na wszystkie strony, niż obrońcom razić ich tak, by nie czynić krzywdy swoim. Gdyby Hrehory nie był tak mocno przeświadczony, że atak nastąpi dopiero przed świtem, i wydał na taką okoliczność odpowiednie rozkazy, nie byłoby tego wszystkiego, a Kostenko miałyby się teraz w pętach. Inna rzecz, że gdyby oddział prowadził sam Michej, zawróciłby już wczoraj i zastawił pułapkę na Kozaków w jakimś dogodnym miejscu. Cóż, trzeba będzie pomyśleć, jak klęskę obrócić w zwycięstwo.

–Diabeł z niego, nie człowiek – powiedział przysłuchujący się utarczce Kudłacz, wysoki Wilk o szerokich barach i dziwnie wąskich biodrach. Wyglądałby może nawet zabawnie, gdyby nie grube, okrutne rysy i lodowate oczy, które sprawiały, że każdy, kto go napotkał, miał ochotę jak najszybciej porzucić jego towarzystwo.

–Myślałby kto, żeś się przeraził – rzucił drwiąco Hrehory.

–Ja na pewno nie – odparł głuchym głosem Kudłacz – ale wy, atamanie, jakoś bardzo skwapliwie zeszliście im z drogi.

Hrehory błysnął zębami we wściekłym grymasie.

–Co chciałeś przez to powiedzieć?

–Gadam tylko, co widziałem.

Michej ledwie dostrzegalnym gestem uciszył Kudłacza. Czy on naprawdę nie rozumie, co się stało? Nie powiódł się zamiar zabicia Kostenki, Kozak uszedł z życiem, na dobitkę zabierając dziecko, ale została jego kobieta.

–Będzie chciał ją odzyskać – powiedział Michej bardziej do siebie niż Hrehorego czy Kudłacza.

–Tak sądzisz? – Ataman skrzywił wargi w wyrazie wątpienia. – Nie chciała z nim iść, to widziałem doskonale i ja, i wielu innych. Oddała mu szczenię i odstąpiła. Dziwne to, bo wygląda, jakby nasza już była. Czyżby nasienie Kary tak silne się okazało? Kto wie, może już najbliższej Okołopełni przygotujemy ją do przemiany?

Popatrzył na Gryszczego z triumfem. Michej zacisnął zęby. Stary lis zabezpieczył się na wszystkie strony. Nie na darmo pozwolił Karze posiąść samicę chorążego. Biesy wiedzą czy ataman spodziewał się podobnego obrotu sprawy, czy uczynił to tylko na wszelki wypadek, ale udało mu się. Będzie głosił w siczy, że zajadły wróg wprawdzie uszedł z dzieckiem, ale z pewnością zechce mścić się za żonę, co do Wilków przystała. I wtedy będzie zajadno, żyje ona czy nie. Michej zmrużył oczy. Trzeba uczynić, co w jego mocy, żeby jednak żyła. Kto wie jak się to obróci?

Ze złością patrzył na zadowolone oblicze przywódcy. Stary basior był tym bardziej rad, że poległy w utarczce Romka właśnie jemu oddał siły. To stanowiło najlepszy dowód, że ataman wciąż jeszcze cieszył się mirem wśród siczowej braci.

Serhij oddychał chrapliwie, leżąc na brzuchu z szeroko rozrzuconymi rękami. Spod rozciętej koszuli wyglądała miazga, w jaką kula zamieniła jego prawą łopatkę. Odłamki kości sterczały wśród rozbitych mięśni. Znachorka stała nad chorążym, mamrocząc pod nosem. Zatomowała upływ krwi, przemyła ranę gorzałką i wywarem z ziół, a teraz odprawiała obrzędy oczyszczające. W kominie huczał ogień, w pomieszczeniu unosił się ciężki zapach trawy zwanej bagnem, przemieszany z wonią mięty, rumianku oraz innych suszących się przy kominie i na ścianach roślin.

–To na pewno nie był ołów – szepnął Semen do Ilji. Wielki Kozak trzymał na ręku śpiące, nakarmione kozim mlekiem niemowlę. – Sami żelaznych kul na pewno nie odlewają, muszą kupować je od Turków.

–A może dostają od Lachów? – odparł równie cicho Zajac. – Ci chętnie zasilą

każdego, kto może się sprzeciwić Chmielowi.

–Mnie tam się zdaje, że raczej od Turków – upierał się olbrzymi Kozak. – Oni kochają takie rzeczy. A Wilkozacy nie wspierają polskich panów. Za nikim się nie opowiadają.

–Ninie są przeciw nam, jeśli tego nie dostrzegłeś – zauważył cierpko Ilja.

–Przeciw nam? – Poroh pokręcił głową. – Może i tak, ale raczej przeciw Serhijowi i tym wszystkim, co byli w Żelaznych Chutorach.

–Uważasz, że nie wiedzą, kto wydał rozkaz? Nasz chorąży był tylko narzędziem.

–Chmielnickiego dopaść nie są w stanie – rzekł trzeźwo Semen. – Biorą zatem pomstę na bezpośrednim sprawcy.

–Jak by tam z tym nie było, dobrze, że się kula nie przedarła do trzewi – machnął ręką Zajęc. – Ześliznęła się na żelaznych guzach na pasie. I nie utkwiała mocno w kościach, bo mielibyśmy dopiero zabawę.

Semen spojrział z obrzydzeniem na opartą o stół janczarkę o długiej lufie.

–Nie lubię samopałów – oznajmił. – W bitce winna się liczyć mocna pięść i sprawność w machaniu żelazem.

Ilja podążył za spojrzeniem przyjaciela. Janczarka należała do niego. Wspaniała broń, potrafił z niej trafić na sto kroków gawrona podrywającego się do lotu.

–Tak wojowano dawniej – odparł. – Tamte czasy nie wrócą. Ale i wtedy ludzie używali kusz i łuków, by dosięgnąć wroga. Zawsze Dawid będzie chciał przechytryć Goliata.

Poroh westchnął ciężko.

–Wiem, wiem – mruknął. – A jednak żal. Strzała to strzała. Jak grot nieugnoiony i nie z tych, co się w ranie rozszczepiają, to wydobędziesz go, wlot przypalisz i niebawem na koń możesz siadać. A z takim postrzałem nie wiadomo, czy gorętwa się nie wda, a w środku toto, zamiast tylko przeszywać, zgniata i rozrywa. Bądź potem mądry i powiedz, czy otwór, który widać na wierzchu, nie jest znakiem, że trzewia przypominają sieczkę.

Znachorka syknęła, aby ich uciszyć, a Liwka Pastuch, napojony ziołami, z obandażowaną twarzą i lewą ręką, poruszył się niespokojnie na pościeli.

Mężczyźni zamilkli posłusznie. Przerazały ich nieco te babskie gusła. Po leśnych

komyszach, a często też w pobliżu małych osiedli żyły znające kobiety, co to i przyszłość wyróżyły, i w przeszłość chłopu zajrzały. Najczęściej były to stare niewiasty, ale zdarzało się i inaczej. W rodzinnej wiosce Semena stara uzdrowicielka zmarła kilka lat temu, a na jej miejsce nastąpiła dziewczyna, którą tamta przyuczała do znachorstwa, teraz już pewnie uczyniła się z niej hoża kobieta. Smalił do krzepkiej niewiasty cholewki niejednen, lecz żadnemu nie udało się jej usidlić. Powiadali, że z samym Złym zwykła obcować, wzorem starej jędzy, nauczycielki swojej, co też bez męża się obchodziła, więc zwykły chłop ukontentować jej nie da rady. Złe języki zawsze coś wymyślą. Semenowi nie wydawało się jednak, żeby ktoś o tak jasnych oczach mógł się oddawać biesom. A i nieboszczka wróżycha dobra była zawsze, małemu Siemiuszce nieraz miodu łyżkę dała zaprawionego ziołami albo wcisnęła w dłoń jakiś smaczny kąsek. Inna rzecz, że kiedy przyszła do niej jaka niewiasta ze skargą na niewierność ślubnego, stara wraz odbierała nieborakowi męskie siły tak, że tylko wstyd mu zostawał, wystawiała takiego na pośmiewisko. Nic zatem dziwnego, że ten i ów jej nienawidził. Płodów też spędzać się wzdragala, goniła lekkomyślne dziewczuchy na cztery wiatry. „Babska to rzecz rodzić”, mówiła takiej zrozpaczonej brzemienniej. „Nie wiatr ci w brzuchu ziarno zasiał, bym je jako plewę wywiewać miała”. I to też jej wrogów wielu musiało przysparzać.

Ta zaś tutaj starucha oczy miała bystre, rozbiegane, niby to mamrotała zaklęcia, a spod przymrużonych powiek łypała łakomie na sakiewkę przytroczoną do pasa Poroha. Kompani przed bitką przekazali mu wszystko, co mieli cennego, bo jako najsilniejszy, największe miał szanse przeżyć. Gdyby im przyszło zginąć, niechby przekazał chociaż jaki kawałek złota matce czy ulubienicy.

–Długo jeszcze? – spytał niecierpliwie Ilja, chwytając kolejne pożądlive spojrzenie baby.

–Ano, zejdzie mi trocha, sokole jasny – odparła trzęsącym się, chrypliwym głosem. – Paskudna to rana, oj paskudna, że gorszej dawno nie widziałam. Tu nie ziół i zamawiania potrzeba, tu by i żywa woda, i pióro żar-ptaka się zdało...

–Co też za gadki prawisz? – poderwał się Semen. – Źródło żywej wody pono gdzieś na krańcu świata bije, trza by nie tylko Dzikie Pola i Ruś całą, ale i w kraje dalekich Mongołów zawitać, aby je odnaleźć! Zaś pióro żar-ptaka skąd wziąć? Nie masz wszak na naszej ziemi takowego stworzenia.

–Usiądź – powiedział łagodnie Ilja, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. – Pewien jestem, że nasza miła gospodyni nie opowiadałaby bajęd, gdyby i żar-ptak nie znajdował się gdzie w okolicy, i źródło żywej wody nie biło bliżej niżli na dalekich rubieżach.

Baba uśmiechnęła się krzywo, ukazując pożółkłe zęby, mlasnęła językiem. Semena przeszedł dreszcz obrzydzenia.

–Ano mądrość przez ciebie przemawia, sokole, widać, żeś człek bywały. Mam ci tu niedaleczko, w pewnej jamie, schowane troszeczkę żywej wody, a nawet jakieś ostatnie z najostatniejszych piórko cudownego ptaka się znajdzie, jeno nie może to być, bym oddała takie skarby bez należytej zapłaty. Gdzie mi potem ich szukać, gdy stara już jestem i do wędrówek mi niesporo? A i złapać żar-ptaka niełatwo, i pióra jego przechować tak, by nie straciły mocy, trzeba umieć.

Ilja kiwnął głową, wyciągnął rękę po sakiewkę. Semen zmarszczył brwi, ale posłusznie odwiązał ramię, podał woreczek kompanowi. Zając wysupłał dwa złote talary, położył na stole.

–Wystarczy?

–Dwadzieścia godów temu powiedziałabym, że wystarczy, sokole jasny A trzydzieści – pewnie bym i darmo dała takiemu pięknemu młodzianowi i żywej wody, i pióro ptaka cudownego, i jeszcze czegoś. Lecz dziś stara jestem, myśleć muszę, co za chwilę będzie, gdy sił nie starczy i zostanę sama, opuszczona...

Ilja wydobył jeszcze talara i duży pierścień z jasnozielonym kamieniem. Na ten widok starej zaświeciły się oczy, ale narzekała dalej.

–Resztkę wody wam oddam i piórko ostatnie, com je dla siebie chowała na gorsze czasy...

Ilja dorzucił rubin oprawiony w misterny kosz z czerwonego weneckiego złota. Widząc, że znachorka otwiera znowu usta, warknął:

–Bierz, co daję, albo pod nożem wyznasz, gdzie masz te rzeczy.

Stara zakręciła się jak fryga, a potem znikła za drzwiami. Kozacy spojrzeli po sobie.

–Wierzysz, że starucha pomoże atamanowi? – spytał Semen.

–Mam nadzieję. Co więcej niż ona nam pozostało?

–Daliśmy jej prawie trzecią część tego, co było w sakwie – zauważył zwałisty wojak.

–Atamanowi żałujesz?

–Gdzież tam! – zachnął się Poroh. – Nie wiem tylko, skąd baba miałaby żywą wodę i pióro żar-ptaka.

–Ja tam... – zaczął Ilja, ale w tej chwili weszła znachorka, więc zamilkł.

Stara pokazała mężczyznom niewielką flaszkę z rżniętego niebieskiego szkła i barwne pióro, mieniające się niczym rosa o poranku, połyskujące ni to srebrem, ni to

złotem. W blasku ognia kaganków zdawało się płonąć. Semen z zachwytu wstrzymał oddech.

Znachorka podeszła do wyrka, na którym złożyli Kostenkę, odkorkowała flaszkę, wylała zawartość na ranę. Chorąży nawet nie drgnął. Potem uzdrowicielka zdjęła ze ściany pęk ziół, włożyła w środek piórko i zaczęła wodzić tym wszystkim nad ciałem Serhija.

–Cała reszta już jeno w rękach Boga – oznajmiła na koniec, prostując pochylony wiekiem grzbiet. – Bo jeśli zechce, wasz towarzysz wyzdrowieje i stanie się silniejszy niż przedtem, a jeśli postanowi go powołać między anioły, to żywa woda oczyści jego duszę z najcięższych nawet grzechów, a moc pióra żar-ptaka uczyni ją lżejszą niżli zwykłego śmiertelnika.

Podeszła do stołu, powykrzywiane palce wyciągnęły się po stosik kosztowności, ale nagle między starą a zdobyczą wyrosło silne ramię. Ilja odepchnął znającą, zgarnął złoto do sakwy.

Twarz uzdrowicielki wykrzywił paskudny grymas.

–Oszukać mnie chcesz, sokole? – zaskrzypiała. – Dobrodziejkę swoją? Klątwę na cię rzucę i na twoich kompanionów!

Poroh, przestraszony, uniósł dłoń, by uczynić znak krzyża, lecz zamarł na widok wyszczerzonych zębów Ilji.

–Wiedzma! – wychrypiał Zajac. Wściekłość prawie odbierała mu oddech. – Kłamliwa wiedźma!

Wyrwał starej pęk ziół, wydobył zeń pióro żar-ptaka. Znachorka znieruchomiła z otwartymi ustami, patrząc na poczynania Kozaka. A ten ujął piórko w dwa palce, podszedł do maleńkiego okna, uniósł zdobycz tak, aby spojrzeć na nią pod światło, a potem przeciągnął w zaciśniętej dłoni, skoczył do uzdrowicielki, podstawił jej rękę pod nos.

–Piórko cudownego ptaka? – wycedził przez zaciśnięte zęby, pokazał skrzące się palce Semenowi. – Widzisz? Złoty i srebrny pył! A pióro pewnie zwykłej żoły, babo, co?! Gadaj!

Chwycił ją za gardło, ścisnął, aż starej oczy zaczęły wylazić z orbit.

–Udusisz ją – zauważył spokojnie Semen – i wcale nie będzie z próchna pożytku.

Ilja zmitygował się, puścił znachorkę. Ta, ledwie chwyciła oddech, zaczęła mówić bardzo szybko:

–Jasny panie, gdzieżbym chciała was oszukać! Po co by to było mnie, starej, wystawiać się na gniew mołojca, sokoła stepowego? Zazdrośnik jakiś musiał podmienić mi pióro żar-ptaka...

–I pewnie wychłał żywą wodę, co? – wpadł jej w słowo Zając. – Nie łżyj, ścierwo. Zostawię cię przy życiu tylko dlatego, że trzeba leczyć naszego atamana. Gdyby nie to... – zawiesił groźnie głos.

–Jednakowoż bez wody żywej i piórka... – zaczęła mamrotać starucha.

Tym razem nie wytrzymał Semen. Kiedy dotarło do niego, jak perfidnie został oszukany, straszny gniew wezbrał w twardym sercu. Trzymając małą Halszkę tak, aby się nie obudziła, zbliżył się powoli do wiedźmy, ujął ją za szczękę i bez wysiłku dźwignął na wysokość swoich oczu. Stara zamajtała bezradnie nogami w powietrzu.

–Bez wody żywej i bez piórka – syknął – masz zrobić tak, żeby ten nieborak przeżył. A jeśli ci się nie uda, obiecuję, że będziesz miała ciężką śmierć! Nie wiem, kiedy ostatni raz jakiś chłop zrobił ci dobrze, ale na pożegnanie z życiem sprawię ci rozkosz zaostrozonym kłocem drewna!

Znachorka wisiała, patrząc z przerażeniem w wykrzywioną złością twarz Poroha. Kiedy ją puścił, nie próbowała nawet protestować, tłumaczyć czegokolwiek. Chodziła po tym świecie dość długo, żeby wiedzieć, iż taki wojownik może wybaczyć oszustwo, a nawet krzywdę, lecz nigdy nie potrafi pogodzić się z własną słabością, ze strachem. Zaś ona sprawiła, że ten olbrzym przez chwilę naprawdę się bał. Popatrzyła na pogrążonego w nieświadomości Serhija. Jemu patrzyłby się bardziej pop niż uzdrowicielka, ale musiała uczynić wszystko, co w jej mocy.

Dziecko w objęciach Semena zakwiliło. Iłja, biernie przyglądający się do tej pory poczynaniom towarzysza, ruszył w stronę drzwi.

–Kozę wydoję – oznajmił. – A ty, stara, do roboty. Jeśli ataman umrze, śmierć spotka także ciebie, jak przyobiecał mój druh, ale jeśli postawisz go na nogi, złoto, które wyludziłaś, pójdzie w twoje ręce, a może coś nawet dołożymy.

Rozdział 5

Hryńka Szpak bardzo się zmartwił, kiedy nie zastał w Czehryniu chorążego. Wyprawa była może nie tyle udana, co owocna w łupy. Udaną jej nazwać nie było można z jednego względu: rozkaz hetmana Chmielnickiego był jasny – podrażnić Wołochów, przypomnieć gospodarowi, że jeśli wciąż będzie się wahał, po której stronie stanąć, Kozacy zawsze znajdą sposób, aby mu dokuczyć. Zamiast jednak na Wołochów, oddział Hryńki w szerokim jarze niespodziewanie natknął się na Nogajców, którzy zdążali z łupem od strony Polski. Nim się obejrzał, z obu stron świsnęły pierwsze strzały, zaczęła się palba z samopałów. Nie było czasu deliberować, czynić politycznych kalkulacji, rozważać wszelkich za i przeciw. Szpak miał tylko nadzieję, że walczy ze zbójami, co ruszyli na wyprawę łupieżczą wbrew woli chana, co się często zdarzało. Tak czy inaczej, na wszelki wypadek kazał wszystkim poderżnąć gardła. A potem miał do wyboru – albo porzucić wozy z bogatymi towarami i iść dalej, albo zawrócić i przywieźć łupy hetmanowi. Oczywiście każdy z mołojców mógł liczyć na dodatkowe wynagrodzenie z bogatego łupu oprócz zwyczajowej części. Każdy, ale niekoniecznie sam Hryńka. Zaraz po przyjeździe został wezwany do kwatery Chmielnickiego i powiadomiony, iż jego dowódca przepadł bez wieści.

Stał teraz w sieni pod drzwiami prowadzącymi do pokoju posłuchań i zastanawiał się, czy porywczy wódz każe go rozstrzelać, powiesić, rozrywać końmi czy tylko rzucić na włócznie zawsze żądnej krwi czerni. Pokój posłuchań... Kto by pomyślał kilka lat wcześniej, że z Bohdana Chmielnickiego, który zdawał się Kozakom jednym z nich, uczyni się wielkie panisko. Byli tacy, co szemrali, że trzeba by pomyśleć o nowym przywódcy, ale Hryńka uważał, tak jak i Serhij, że nie pora wszczynać walki wewnętrzne, kiedy trzeba wciąż prowadzić wojny i rokowania. A poza tym hetman był sprawnym wodzem i tylko on mógł uczynić Ukrainę państwem na tyle silnym, by liczyli się z nią sąsiedzi.

Lecz kiedy Szpak tak stał i czekał na audiencję jak na wyrok, z tęsknotą myślał o czasach, gdy powstanie nie oznaczało długotrwałej krwawej wojny, ale zwykłą ruchawkę gdzieś na rubieżach. Zdawało się wówczas, że polscy panowie to obrzydliwe bydła i bestie. Teraz nie był już taki pewien...

–Hetman wzywają! – W drzwiach ukazał się Horba, stary Kozak, ulubieniec Chmielnickiego i jego prawa ręka. Przywódca często liczył się ze zdaniem pokojowca bardziej niż z opiniami całej rady.

–Zły jest? – spytał Hryńka.

–W ostatnich czasach ciągiem jest zły – odparł wymijająco Horba.

Szpak westchnął w duchu, nabrał powietrza, jakby zaraz miał skoczyć do lodowatej wody, i wszedł do komnaty. Drewniane ściany zawieszono kilimami, pośrodku pomieszczenia ustawiono wielki stół, na którym w siedmioramiennym lichtarzu, zrabowanym zapewne z jakiejś bożnicy, płonęły świece z barwionego i wzbogaconego wschodnim pachnidłem drogiego wosku.

– Jest nasz mały jastrząb, co wypadł z gniazda! – zawołał Chmielnicki na widok setnika. – A mateczka twoja, dzielny nasz chorąży Kostenko, gdzie się podziewa? Czyżby zginął na wyprawie?

Hryńka milczał. Hetman zresztą nie oczekiwał odpowiedzi. Pozornie lekkim tonowi głosu przeczyły ściągnięte brwi i opuszczone w dół kąciki warg. Wódz kozacki wyglądał w tej chwili jak wściekły pies myśliwski.

– Skoro tak – ciągnął Chmielnicki – skoro nie masz go pośród żywych, trzeba godnie uczcić bohatera, a i o rodzinę jego zadbać. Zostawił jednak żonę i dziecko...

Tego Szpak nie wytrzymał. Wspomnienie pełnych bólu oczu Serhija w zderzeniu z drwiącymi słowami wyrwało się w przędkich słowach:

– Tak się nie godzi, hetmanie! Tak się nie godzi! Skoro doniesiono wam, że sam prowadziłem oddział, na pewno życzliwy podły jęzor powiedział też, dlaczego tak się stało!

Chmielnicki podniósł się groźnie zza stołu, chwycił leżący na stosie pergaminów sztylet o złoconej, wysadzanej drogimi kamieniami rękojeści. Hryńka pożałował, że przyszedł bez szabli. A co tam, i tak by mu ją zabrali przed wejściem... Znał porywczosć hetmana, wiedział, ilu takich, co odważyli się przemawiać nazbyt śmiało, gryzło teraz ziemię. Patrzył śmiało w mroczne oczy przywódcy, szykując się na śmierć, postąpił nawet pół kroku naprzód, unosząc dumnie głowę. Wolałby wprowadzić śmierć na polu walki, od ostrza lub kuli, ale gotów był na spotkanie z nią zawsze i w każdym miejscu. Taki los wojaka.

Było w postawie setnika coś, co sprawiło, że Chmielnicki zatrzymał się, odłożył sztylet.

– Śmiały jesteś, Szpaku. Może nawet za dużo śmiały. Doniesiono mi, że twego dowódcę pościgło nieszczęście. Ponoć żonę jego i córkę porwali jacyś zbóje.

– To się wasz donosiciel nie spisał, hetmanie. Nie zbóje wyrznęli wioskę i uprowadzili rodzinę atamana, ale Wilcy. Wilkozacy – dodał zaraz Hryńka, widząc, że Chmielnicki zachnął się, słysząc nie lubiane miano nieprzyjaciół, którego zabronił używać.

– Wilkozacy, powiadasz... – rzekł hetman w zamyśleniu. – Przeklęte plemię. Ze wszystkich ich watah tylko jedna stanęła po naszej stronie, gdyśmy powstanie

zaczynali. A i tę spalili do cna, nie szczędząc nikogo, bo ich siczowe rady zgodnie postanowiły się do wojny nie mieszać. Okrutne z nich bestie, prawe wilkołaki.

Hryńka odetchnął z ulgą. Zdawało się, że gniew hetmana minął. Pewnie jeszcze połaja i obsobaczy, ale życia nie pozbawi ani na męki nie wyda. A hetman ciągnął dalej:

–Ale że też się tak uwzięli na twojego chorążego. Za co? Że im jedną czy drugą osadę z dymem puścił?

–Jedną czy drugą osadę... – Szpak zaśmiał się z przymusem. – Żelazne Chutory im przetrzebiliśmy, na wasz przecież rozkaz, gdybyście zapomnieli. A tam więcej ich bab i wilczą przebywało niżli w dużej siczy... Co tu gadać, same baby i dzieciaki żeśmy tam zastali. I niedołącznych starców kilku, co już moc wilczą utracili.

–Na mój rozkaz czy nie mój, uczynił wonczas, co należało – przerwał Kozakowi Chmielnicki. – A jeśli wszyscy wiedzą, że na mój, powiedz, dlaczego te bestie nie ścigają mnie, tylko jego? Chcą ukarać miecz, miast odciąć dłoń, która go dzierży?

Hryńka wzruszył lekko ramionami.

–Cóż w tym dziwnego? Was sięgnąć, toby trza wojnę rozpocząć, a na to sił nie mają, chyba że ze wsparciem Rzeczypospolitej, a na nie liczyć nie mogą. Lecz jest coś jeszcze ważniejszego, bo może by się i ważyli na was targnąć. Idzie o ich prawo. Powiadał mi kiedyś ataman... chorąży – Hryńka poprawił się zaraz, widząc zmarszczoną brew hetmana – a wiedział on coś o tym, że wpierw muszą ukarać właściwego sprawcę rzezi, dopiero potem zaś tego, kto za nim stał.

–Głupie to ich prawo – prychnął Chmielnicki.

–Nie wiem, czy głupie, lecz na pewno srogie. A Serhija też nie mogą zgładzić ot, tak sobie, zgotować zasadzkę i zwyczajnie go zabić. Za taką zbrodnię winny musi odpowiedzieć przed ich radą i zostać rozszarpany na oczach rzeszy Wilkozaków. Wpierw więc muszą go ująć.

–Ująć, powiadasz? – mruknął hetman. – A jeśli mimo wszystko podczas tego ujmowania przywiodą go *ad mortem*?

Hryńka zmarszczył brwi, słysząc obce słowo, którego nie rozumiał. Hetman zauważył to i zaraz wyjaśnił:

–Do śmierci.

–Nie mam pojęcia, hetmanie. – Szpak rozłożył ręce. – O Wilkozakach wiem tyle, co mi powiedział chorąży, a reszta to babskie gadki, którym wierzyć nie idzie.

–Czasem w babskich gadkach można znaleźć sporo prawdy – zauważył przywódca kozacki.

–Ale nie wtedy, gdy mowa o Wilkach – odparł twardo Hryńka.

–Szkoda... – zaczął mówić hetman, ale w porę zdał sobie sprawę, że głośno wyraża myśli i zamilkł. Niedbałym gestem odesłał Kozaka. Będzie czas postanowić, co z nim uczynić.

Szkoda, rzekł już sam do siebie, że nie dało rady umieścić żadnego postrzegacza przy Wilkozakach. Chociaż jednego, w odległej i malutkiej nawet siczy. Ale cóż, nie da się wszak przebrać wilka i puścić go między owce, żeby nie został rozpoznany jeśli nie zaraz, to bardzo szybko. A jeszcze trudniej wprowadzić owcę w wilczej skórze między drapieżniki i kazać jej żyć z nimi. Każdy szpieg zostałby rozpoznany przy pierwszej pełni, kiedy nie uległby przemianie. A wśród samych Wilków próżno szukać zdrajców. Oni nie rozumieją ludzi, a ludzie ich. Nie są łasi na złoto, nie wiadomo, czym ich przekupić. Nawet tacy, których wataha przegnała za zbrodnie lub występki przeciw prawu, nie byli skłonni do współpracy. Traktowali ludzi tak, jak człowiek traktuje bezrozumnego gada, z którym nie można się porozumieć.

Chmielnicki westchnął ciężko. Tak, zanadto się różnią te bestie od ludzi... Zanadto.

Pośrodku siczy, na majdanie, stała spora konstrukcja, składająca się z dużego dachu i wspierających go dziewięciu kolumn. Kolumn nie zwykłych, ale kamiennych, pokrytych płaskorzeźbami i runami. Opowiadały one dzieje Wilków od czasów najdawniejszych. W każdej siczy można było znaleźć właśnie takie kolumny, jeśli nie stanowiące podpory dla podobnego dachu, to rozmieszczone wokół majdanu w równych odległościach.

Pod dachem zasiadło kilkudziesięciu Wilków.

Hrehory – ledwie tylko wrócili z wyprawy – kazał zwołać radę starszych, w której brali udział przywódcy watah oraz głowy wszystkich rodzin. Nie można do niej było delegować młodszych wojowników, więc jeśli w którymś ze stad zabrakło najstarszego z rodu, a żaden z samców nie osiągnął jeszcze wieku uprawniającego do zasiadania w zgromadzeniu, rodzina nie miała wpływu na obrady.

Na środek wyszedł stary Wilk z bielmem na lewym oku, bez prawej dłoni, mocno chromający. Stał obok posągu Kamiennego Wilka, oparł lewą rękę o grzbiet statui i oznajmił:

–Przemówi teraz Hrehory, ataman siczowy i oskarżyciel zarazem.

Starzec odszedł, a Hrehory niespiesznie zajął jego miejsce. Rozejrzał się po twarzach zgromadzonych, uśmiechnął się krzywo do stojącego poza kręgiem starszych Micheja. Jeszcze nie czas ci, szczeniaku, rwać się zębami o władzę, mówił ten uśmiech, trzeba było wykazać trochę cierpliwości, patrzeć i uczyć się, jak zwyciężać, nie dobywając szabli, nie podsypując prochu na panewkę, jak wykorzystać dla odniesienia zwycięstwa nie tylko słabości przeciwnika, ale nawet własne porażki.

–Dziękuję wam, Koszko. – Hrehory skłonił się staremu, a potem spojrzał na zebranych i zaczął: – Jak te słupy, które podtrzymują dach nad naszymi głowami – zaczął zgodnie z tradycją – niech rady nasze i to, co dziś przedsięwzięmiemy, podtrzymają istnienie siczy naszej. Jak te słupy, co oznaczają dziewięć sił, dzięki którym przemieniamy się i przybieramy najszlachetniejszą postać wilka, niechaj rady nasze stanowią o mocy naszego plemienia. Jak w tych słupach, na których zapisano dzieje i czyny naszych przodków, niechaj mądrość nasza w słowach się objawi, nim w czyn je wprowadzimy. Zgromadziliśmy się dziś na moje żądanie, aby osądzić postęпки Kiryła z rodu Gotczych. Niechaj obwiniony wystąpi na środek, aby wszyscy mogli mu się przypatrzeć.

Kirył posłusznie wyszedł, stanął o dwa kroki przed mówiącym. Ataman nawet na niego nie spojrzał, wbił wzrok w Micheja, jakby mówił tylko do niego.

–Ten oto Wilk, brat nasz i siczy obrońca, wbrew przysięgom składanym na Świętego Spasa i Najświętszą Przczystą, podczas ostatniej wyprawy przeciwko wrogowi naszemu śmiertelnemu, złamawszy rozkazy, sukę owego i szczenię oszczędził, co spowodowało na nas nową grozę.

Michej zmełł w ustach przekleństwo. Gdyby mógł zabrać głos w radzie, stanąć teraz naprzeciw starego lisa, na pewno zdołałby przekonać większość, iż Kirył nie zawinił, a w każdym razie nie zasłużył na surową karę. Niestety, Hrehory po raz kolejny okazał się sprytniejszy od młodego pretendenta. Nie zwołał rady powszechnej, ale zgromadzenie starszych. Tutaj zasiąść mogły tylko głowy rodów, nie uznawano rękodajnych i delegatów. A przecież i Michej nie był głową swojego rodu. Wciąż jeszcze żył ojciec, gnuśny i niechętny mieszaniu się w sprawy przywódców, jak wszyscy w watasze Gryszczych. Jak wszyscy poza nim jednym. Musiał więc cisnąć się wśród tych, którzy przyszli przysłuchiwać się, co zadecyduje zgromadzenie.

–Jego dowódca, znany wszystkim Michej z rodu Gryszczych, odmówił ukarania nieposłuszeństwa. Co więcej, wsparł swego podkomendnego w lekceważeniu rozkazów. I jego zatem obwiniam i żądam przykładowego ukarania!

Tego nikt się nie spodziewał. Michej wstrzymał oddech, patrząc z niedowierzaniem to na Hrehorego, to na Wilków, którzy skierowali na niego spojrzenia. Widać stary był gotów na wszystko, aby utrzymać się przy władzy, nie cofnie się nawet przed

skazaniem na śmierć najzdolniejszego wojownika w całej siczy, a może i we wszystkich siczach wilkozackich.

**–Niechaj drugi z oskarżonych wystąpi na środek, aby stanąć w świętym kręgu rady!
– zawołał kaleki Wilk donośnym głosem.**

Michej ruszył przed siebie sztywnym krokiem. Zgromadzeni i starsi rodzin rozstępowali się przed nim pospiesznie, jakby niósł jakąś zarazę. W ich oczach widział potępienie. Słusznie powiedział Kirył – młody Wilk zbyt zlekceważył starego. Hrehory z pewnością po cichu zdołał przekonać głowy stad i watah, że jedynym słusznym rozwiązaniem, aby zapewnić siczy spokój w trudnych czasach, będzie pozbycie się pretendenta. Tak, ambitny młody basior nie docenił przeciwnika, ale też i nie docenił determinacji innych Wilków, którzy nie chcieli zmian. On, Serhij, Kirył, nawet samica Kostenki, posłużyli Hrehoremu do osiągnięcia celu. Ataman wiedział, co robi, od samego początku, kiedy nie próbował zmusić Micheja do ukarania nieposłuszeństwa podwładnego na miejscu, jeszcze w stepie.

Gryszczy zatrzymał się obok Kiryła, wymienił z przyjacielem spojrzenia. Dwa kroki od nich stał Hrehory. Nie uśmiechał się, nie wyglądał nawet na zadowolonego. Po prostu robił swoje, czynił, co uważał za słuszne – bez nienawiści, bez śladu złości nawet. Stary naprawdę wierzył, że tylko jego rządy mogą zapewnić siczy pomyślność.

–Za tak wielkie nieposłuszeństwo w czas wojny – oznajmił Hrehory – kara może być tylko jedna. Śmierć!

–Śmierć albo wygnanie – powiedział głośno ktoś w tłumie. Michej mógłby przysiąc, że to Stepan. Odszukał podkomendnego wzrokiem. Surowa twarz Stepana nie wyrażała niczego, tylko lekko uniesiona brew świadczyła o pewnym wzburzeniu.

–Tak stanowi prawo – zgodził się Hrehory. – Jednak mówi ono także, że jeśli zagrożone jest dobro całej siczy, nieposłuszeństwo można ukarać tylko i wyłącznie śmiercią! A zachowując przy życiu sukę i szczenię Kostenki, Michej Gryszczy sprowadził na nas straszliwe zagrożenie!

Michej poczuł krótki, ale intensywny zawrót głowy, kiedy wszystko ułożyło się w jedną całość. Hrehory był bardziej przebiegły, niż się młodemu Wilkowi do tej pory zdawało. Teraz bowiem stało się jasne, dlaczego pozwolił koniec końców oszczędzić Marikę z dzieckiem oraz dlaczego jego ludzie tak łatwo przepuścili pamiętnej nocy chorążego z towarzyszami! Ataman siczowy potrafił obrócić na swoją korzyść nawet taką klęskę, jaką musiało dlań być złamanie rozkazu i oszczędzenie przez Kiryła kobiety Kostenki. Młody pretendent uważał, że wówczas to właśnie dla niego dzwon wybił triumfalny kurant, że udowodni radzie, iż dotychczasowy przywódca stracił pazur i posłuch, powinien więc odejść. Tymczasem...

–O jakim zagrożeniu mowa? – tyradę atamana przerwał starszy rodu Kurenów, dziad Stepana.

–Naprawdę tego nie wiesz, Melchiorze? – udał zdziwienie Hrehory. – Przecież teraz chorąży kozacki nie popuści, dopóki nie odzyska samicy. – A kiedy się dowie, że została splugawiona przez Karę...

–Za twoim przyzwoleniem, atamanie – nie wytrzymał Kirył.

–Łzesz – odparł spokojnie przywódca. – Gdyby uczynił to za moją zgodą, czy pozwoliłbym mu z tobą walczyć?

–Liczyłeś na to, że zginę i Michejowi ubędzie jeszcze jeden sprzymierzeniec! – ciągnął porywczy Wilk, nie zważając na ostrzegawcze syknięcie kompana. To nie była najlepsza pora, żeby przypominać, iż gdzieś pod płaszczem pozornego ładu w siczy toczy się zażarta walka o władzę. – Wiedziałeś też, że odniosłem kontuzję, dzięki czemu Kałmuk miał ułatwione zadanie!

Hrehory potrząsnął głową, a potem rzekł uroczyście:

–Jako obwiniony i nazbyt młody, aby zasiadać w dzisiejszej radzie, nie masz prawa głosu. Jeśli wypowiesz jeszcze choć słowo bez mojego pozwolenia, każę cię zakneblować! Na razie jeszcze ja tutaj jestem atamanem!

Kirył chciał powiedzieć coś więcej, ale wreszcie zwrócił uwagę na znaki dawane przez Micheja i zmilczał.

–A zatem – rzekł ataman – wszystko stało się jasne. Zarówno esauł Michej, jak i jego żołnierz, Kirył, powinni zostać zgładzeni jutro o świcie. Czy rada wyraża zgodę?

Wśród zgromadzonych zaczęły się pomruki. Stary basior miał słuszość – prawo Wilków bardzo wyraźnie mówiło, jaka kara grozi za niesubordynację w obliczu wroga. Wystąpił Koszko, popatrzył krótko na oskarżonych.

–Jako rzekł nasz ataman – oznajmił – jedna może być kara. Jeśli kto ze starszych ma coś do powiedzenia, niechaj wystąpi i przemówi.

Szmery ucichły, zgromadzeni trwali w napięciu przez kilka chwil. Michej uśmiechnął się z goryczą. Któż stanie w obronie dwóch młodych Wilków, skoro Hrehory zdołał przekonać wszystkich, iż idzie o dobro całej siczy? Mogliby to uczynić tylko ci, którzy nie mieli jeszcze prawa głosu w radzie starszych. Co innego, gdyby zwołano zgromadzenie powszechne, ale o to musiałyby wystąpić głowy przynajmniej pięciu rodzin. Co było najzupełniej niemożliwe w obecnym położeniu.

–Brać ich! – rozkazał ataman.

Michej patrzył spokojnie na zbliżających się zbrojnych z rodu Makczych, przybocznych Hrehorego. Wyciągnęły się po niego silne ręce. Wtedy skoczył, rzucając się nie na tego, który stał naprzeciwko i mógł spodziewać się ataku, ale w lewo, w najmniej spodziewanym kierunku. Zaskoczony Wilk upadł, a Michej krzyknął na Kiryła i... stanął jak wryty. Prosto w oczy zaglądała mu podwójna lufa dużego pistoletu. Ataman spodziewał się oporu, przygotował więc niejako drugą linię wartowników i właśnie jeden z nich zagroził drogę pretendentowi.

Serhij odzyskał wreszcie przytomność. Od sławetnego zamawiania i usilnych prób oszukania Kozaków przez staruchę minęły cztery dni. Liwka już stanął na nogi, pojękiwał tylko, kiedy musiał się schylać, gdyż prawy bok miał rozplątany tuż nad biodrem. Gdyby nie znachorka, albo by się wykrwawił, albo wdało się jakieś zakażenie. Stara była na pewno oszustką i szarlatanką, ale знаła się na ranach i leczeniu gorętki, co Semen z Iłją musieli jej sprawiedliwie oddać. Jak się zgadzało w czasie tych dni, nawet wstydlive choroby leczyła odpowiednimi ziołami i wywarami, a i gorętkę przeganiała nie tylko prochem lub popiołem zmieszonym z gorzałką, jak to było we zwyczaju na całym Zaporozżu.

–Gdzie mała? – wyszeptał słabym głosem Serhij. Leżał na lewym boku, a przesiąknięte krwią szarpie sterczały znad jego pleców niczym upiorny garb.

Semen zbliżył się do niego, pokazał śpiące dziecko. W tej chwili Halszka otworzyła oczy i wykrzywiła usteczka w podkówkę. Olbrzymi Kozak czym prędzej sięgnął po gałganek nasączony kozim mlekiem, ale zanim zdążył go podać dziewczynce, ta znów zamknęła powieki. Byli w chałupie tylko we trójkę, bo stara karmiła kury, Liwka wygrzewał się na słońcu, a Iłja wziął guldynkę i poszedł upolować jakiegoś jelonka lub przynajmniej kilka bobaków.

–Grzeczna jest nad podziw – mruknął Poroh. – Płacze rzadko, a jak się naje, to śpi. Pamiętam mojego najmłodszego brata. Krzyczał ciągiem, nieraz cały dzień i pół nocy, aż kiedyś ojciec nasz w desperacji, nie mogąc już tego znieść, wyrwał go matce i wyrzucił przez okno. – Zaśmiał się cicho na to wspomnienie. – Krzywdy wydrzymordzie nie uczynił, bo okno w naszej chałupie jest nad ziemią, a pod nim gęste łopiany rosną. Tyla z tego było, że matka ojcu gliniary dzban z miejsca na łbie rozbiła w złości, a gówniarz jak wrzeszczał, tak wrzeszczał – i za oknem, i jakem go przyniósł z powrotem.

–Połóż ją przy mnie – poprosił Serhij.

Semen bardzo ostrożnie ułożył dziecko przy chorążym. Ojciec spojrział na małą twarzączkę i pełne policzki. Dobrze o ciebie zadbała matka, pomyślał, nie dała ci zmarnieć. Dzielna białka, nawet między wilkami nie straciła rezonu... Szkoda, że...

Nie potrafił dokończyć myśli. Wiedział, że Marika jest stracona. Zrozumiał to w chwili, gdy podała mu dziecko i cofnęła się. Najpierw był pewien, że wyczytał to w jej oczach, potem zemdlał i zatracił się w nieświadomości, ale kiedy teraz o tym myślał, dochodził do przekonania, że nie tylko w źrenicach, lecz w całej postaci żony wyczytał obcość. Zupełnie jakby przestała...

Nie! O tym nie chciał myśleć!

–Co ze mną? – spytał.

–Wyzdrowiejesz, atamanie. Musisz poleżeć, ale wróżycha twierdzi, że będziesz taki jak dawniej.

–Nigdy już nie będę taki jak dawniej – odparł cicho Serhij.

Semen nie odpowiedział. Nie wiedział, co w ogóle można odrzec. Nieraz Kozaka poścignie nieszczęście i zda mu się, że oto świat się skończył, ale potem życie bierze górę nad żalnością. Jednak w głosie dowódcy było coś takiego, że olbrzym nie potrafił znaleźć słów pocieszenia.

Halszka, wyczuwając ciepło ciała rodzica, przesunęła w jego stronę główkę, cmoknęła i mlasnęła głośno, a potem zaczęła posapywać, zasypiając głęboko.

–Twoja krew – powiedział Semen z uśmiechem.

Uczyniło mu się słodko koło serca i w tej chwili pozazdrościł chorążemu tego dzieciątka. Sam bardzo się przywiązał przez te dni do maleńkiej. Twarde serce Kozaka, bez zmrużenia okiem potrafiącego zabić gołą pięścią, na śmierć towarzyszy patrzącego bez wielkiego żalu, okazało się miększe, niż przypuszczał. Do tej pory przekonany był, iż dusza jego przypomina wyrobiony rzemień, suchy i mocny, a teraz przekonał się, że płyną w niej jeszcze jakieś soki. Serhij spojrzał głęboko w oczy pochylonego nad nim przyjaciela. Nigdy przedtem nie widział w nich takiego rozrzewnienia, tak miękkiego wyrazu.

–I po to pewnie Bóg urządził wszystko tak, by kobieta nosiła w sobie owoc nasienia mężczyzny niby najcenniejszy skarb i wydawała na świat dziecię bezradne ku radości nie tylko rodzica, ale i świata całego – powiedział bardziej do siebie niż Poroha.

–Nie rozumiem, atamanie – zmieszał się Semen.

–Rozumiesz, rozumiesz. – Kostenko uśmiechnął się samymi kącikami warg. – Nie twoje to potomstwo, a już sobie kupiło życzliwość srogiego mołojca. Nie z twoich lędźwi wyszła, a przecież już byś za nią życie oddał, przyjacielu. Mylę się?

–Chory jesteś, to i dziwne rzeczy wygadujesz, atamanie – odparł szorstko Semen. –

Dbam o nią, bo to twoje dziecko, obcego bym nie przyhołubił.

Choraży pokiwał głową i skrzywił się z bólu, który przy tym ruchu przeszył go od prawej łopatki aż do piersi, podążył w dół brzucha i rozplynął się gorącą falą dopiero gdzieś na udach.

–Źle ze mną – stwierdził. – Nie zaprzeczaj, Semen. Jeśli nawet jeszcze dam radę szablę dźwignąć, to nieprędko. A coś mi się zdaje, że już nigdy nie zawinę żelazem równie sprawnie jak niegdyś.

–Nawet jeśli, masz jeszcze lewicę – Poroh nie porzucił szorstkiego tonu, tym razem jednak nie musiał się do niego przymuszać. Mołojec nie powinien litować się nad sobą, bo życie Kozaka to nie jedwabny szal utkany delikatnymi paluszkami wielkiej damy, ale raczej pasmo zgrzebnej wełny, jaka wychodzi z chłopskich krosien. – Z pistoletu zasię strzelać na pewno prawą dłonią wydolisz. Ciesz się, że nie trza było ramienia odejmować, choć widziałem i takich, co zgoła bez jednej ręki wojowali. Twoja zasię moc nie tkwi jeno tu – zgiął ramię i poklepał się po potężnym, rozsadzającym rękaw rubachy bicepsie – ale przede wszystkim tutaj – wskazał palcem skroń. – W rozumie.

–Idąc samopięt na Wilków osobliwie tego swojego wielkiego rozumu dowiodłem – prychnął Serhij.

–Dowiodłeś – odparł z mocą Semen. – Kto inny z miejsca by wskoczył w siodło i pomknął z pościgiem, zaś ty wpierw przemyślał co i jak, nad ranem dopiero nas powiodłeś.

Choraży nie odpowiedział, przymknął oczy i zaśmiał się gorzko w duchu. Jego wierni towarzysze uważali, że przez pół nocy układał w głowie plan, zastanawiał się, w jaki sposób najlepiej dopaść wroga. A tymczasem on miotał się rozdarty między obowiązkiem a rozpaczą. Oddalił się od obozowiska, aby ludzie nie słyszeli, jak mówi sam do siebie, przeklinając się na przemian i próbując pocieszyć. Jak modlił się zarazem o to, by Marika z Halszką żyły, jak i aby okazało się, iż zostały zabite, bo wtedy wszystko stałoby się prostsze. Pobudził najwierniejszych i odjechał z nimi, zanim zdołał pomyśleć, co robi, zanim rozsądek wziął górę nad porywem serca. Koniec końców okazało się, że to serce miało słusność, bo odzyskał przynajmniej córkę, jednak chyba wolałby nigdy nie widzieć, jak ukochana kobieta odstępuje od niego, obca i daleka niczym gwiazdy... A może niczym księżyc?...

Rozmyślenia przerwały głosy na dworze i skrzyp otwieranych drzwi. Uniósł lekko głowę, spojrzął na wchodzącego. Ilja na widok przytomnego dowódcy uśmiechnął się szeroko.

–Nareszcie – zawołał. – A jużem miał babę znającą brać w obroty, coby ci jaki

dekokt uwarzyła na przytomność!

Donośny głos Kozaka sprawił, że Halszka drgnęła i obudziła się. Przed dłuższą chwilę wpatrywała się ze zmarszczonym czołkiem w twarz leżącego przy niej mężczyzny, a potem dała do zrozumienia światu, że jest głodna. A głodna znaczy zła...

Kiedy zgrzytnęła zasuwa ciężkich, dębowych, okutych żelazem drzwi, Michej zerwał się na równe nogi. Noc panowała jeszcze głęboka, zbyt wcześnie na to, by przyszli po nich oprawcy. Tego, co stało się poprzedniego dnia, młody Wilk nie potrafił przewidzieć i klął się za to w duchu oraz na głos przez cały wieczór, aż wreszcie zniecierpliwiony Kirył kazał mu zamilknąć, grożąc, że jeśli powie jeszcze słowo, nie doczeka kaźni. Brzęknęły łańcuchy, kiedy obaj Wilcy stanęli gotowi bronić się przed skrytobójcami. Nie wiedzieli, dlaczego niby Hrehory miałby przysłać morderców nocą, skoro o świcie skazańcy i tak mieli stracić życie, ale nic innego nie przychodziło im do głowy.

Intruz był jednak zupełnie sam. Niósł przed sobą kopnącą lampkę oliwną, do której jakiś głupiec nalał cuchnącego, półpłynnego łoju zamiast porządnego oleju. Przybyły miał na sobie płaszcz, na głowę naciągnął kaptur.

–Czas na was, bracia Wilcy – powiedział, a raczej wysyczał wysilonym szeptem.

Michej zmarszczył brwi.

–Chcesz, żeby straże zabiły nas podczas ucieczki? – spytał. – Hrehory cię nastął?

–Poczekaj – odezwał się Kirył. – A może to...

–Stepan? – spytał z niedowierzaniem Gryszczy. – Nie, niemożliwe. Jak by tu wszedł?

–Będziecie gadać czy ruszycie tyłki? – Pod nogi Micheja upadł pęk kluczy.

Wciąż z niedowierzaniem, młody pretendent schylił się i podniósł ciężkie, brzęczące koło. Przez chwilę szukał właściwego klucza, wreszcie wielka kłóda przy kostce poddała się z przenikliwym skrzypnięciem. Michej podał klucze Kiryłowi, popatrzył uważnie na wybawiciela.

–Nie jesteś Stepanem – rzekł z namysłem. – Zresztą jego i innych z mojego oddziału na pewno dobrze pilnują, żeby nie próbowali nas uwolnić.

Zakapturzony nie odpowiedział. Gryszczy milczał przez chwilę, czekając, aż jego

towarzysz upora się z kłódką, a potem zwrócił się do przybyłego.

–Dlaczego to robisz, Hrehory? – spytał.

Tamten drgnął wyraźnie, dopiero po kilkunastu uderzeniach serca odpowiedział, wciąż świszczącym szeptem.

–Skąd przyszło ci do głowy, że jestem Hrehorym?

Michej zaśmiał się cicho.

–Bo nie może być inaczej.

Kirył patrzył na dowódcę, jakby ten oszalał. W mętным świetle kaganka oczy Gryszczego rzeczywiście zdawały się lśnić niepokojącym blaskiem.

–Oczadziałeś? – spytał zduszonym głosem. – Po co ataman siczowy miałby nas uwalniać? Pospieszmy się lepiej, zanim ktoś zauważy światło.

–Nikt tu nie przyjdzie – oznajmił spokojnie Michej. – Nie po to sam Hrehory się do nas pofatygował, żeby wydać teraz w ręce strażników.

Przybysz odrzucił kaptur. Niepewny płomyk wydobył z mroku pobrużdżoną, pokrytą zmarszczkami twarz i grzywę siwych włosów. Głęboko osadzone, ciemne oczy patrzyły badawczo na więźniów.

–Wystarczy jeden mój okrzyk, a zostaniecie rozsiekani w mgnieniu oka – ostrzegł.

–Boisz się. – Na ustach Micheja zagościł drapieżny uśmiech.

–Jestem ostrożny – poprawił go ataman. – Strach jest Wilkom obcy, nawet takiemu staremu i doświadczonemu basiorowi jak ja. Nie śmierci się obawiam, lecz chaosu. Nie czas teraz zmieniać przywódcę, dla dobra siczy powinienem żyć.

–Dla dobra siczy? – zapytał drwiąco Gryszczy. – To dla jej dobra ściągnąłeś na nas zemstę Kostenki? Wiem doskonale, o co ci idzie. Dopóki wisi nad nami groźba odwetu, nikt nie odważy się stanąć przeciwko tobie!

Hrehory westchnął ciężko, pokręcił głową.

–Niegłupi z ciebie pachoł, Wilku – powiedział łagodnie, tak łagodnie, że Michej nie oburzył się nawet na poufale określenie, ciekaw, co usłyszy dalej. – Ale o pewnych rzeczach niewiele wiesz, a te, o których wiesz, przeceniasz. To nie Serhij Kostenko stanowi dla nas największe niebezpieczeństwo. Owszem, obawa przed jego zemstą jest mi potrzebna do pewnych celów, ale prawdziwe zagrożenie idzie skądinąd. Chmielnicki sprzymierza się z Rosją, zawiera układy nad głowami czerni kozackiej i

nad naszymi głowami. Teraz, kiedy ważą się losy Ukrainy i wszystkich Wilków, nie wolno wprowadzać zamętu.

–Pięknie to sobie wymyśliłeś – odparł z lekceważeniem Michej. – Ale mnie nie kupisz takimi strachami.

–Wiem. – Hrehory kiwnął głową, a potem dodał twardo: – Nie mogę pozwolić, abys mi teraz bruździł, dlatego wynoście się, zanim zmienię zdanie!

–Nie prościej byłoby mnie po prostu zabić? – Gryszczy uśmiechnął się krzywo. – Rano miecz zdejmie nam głowy z karku i po kłopocie. A wszystko zgodnie z prawem.

Hrehory cofnął się pół kroku, zmęczonym gestem oparł ramieniem o uchylone skrzydło drzwi.

–Prościej na pewno. Ale nasze prawo mówi także: „Nie marnuj dobrej krwi, byś kiedyś nie musiał jej żałować”. A ty masz dobrą krew, szczeniaku. Obaj macie. Dobrą krew i czarne podniebienie prawdziwego, zajadłego wojownika. Powinienem was zabić, tak. Ale nie chcę tego kiedyś żałować. Za stary jestem, zbyt rychło mi pisane stanąć przed przodkami, nie chcę patrzeć na wyrzut w ich oczach.

–Okazujesz słabość? – spytał drwiąco Kirył. – Powiedz prawdę, boisz się tego, co możemy jutro powiedzieć w ostatnim słowie! Nie dałeś nam dojść do głosu podczas rady, ale nie zabronisz przemówić skazańcom, bo dałbyś dowód, że prawo masz za nic.

–Wynoście się! – warknął Hrehory. – Jeśli zostanieie, krew wasza spadnie na wasze tylko głowy! Dla mnie byłoby nawet lepiej. A co o tym wszystkim myślicie, teraz nie jest ważne. Co powiecie jutro, też nie ma znaczenia, nikt was wielce słuchał nie będzie. Decydujcie się, nie zamierzam spędzić tutaj całej nocy! Zresztą niebawem zaczniesz się w siczy północny ruch!

Marika rzucała się na posłaniu. Już trzecią noc nie mogła zasnąć. Przywykła do cuchnącego legowiska w komórce na opał, jakie przygotowała dla niej stara jędza, matka Kiryła, na którą wołali Zirasza. Dziewczyna nie miała pojęcia, skąd to przezwisko, ale też nie zaprzętało jej to myśli. Przebywała w wilczej siczy od przeszło dwóch tygodni, przestała się już obawiać, że zostanie rozszarpana przez nienawistny motłoch albo skrytobójczo pchnięta nożem. Wilkozacy z żelazną konsekwencją przestrzegali poleceń atamana, a ten zakazał ruszać żonę chorążego. Właściwie nikt się nią nie zajmował. Przypuszczała, że gdyby znalazła w sobie dość sił, mogłaby nawet z powodzeniem spróbować ucieczki. Zaraz drugiej nocy, przekonawszy się, że nie wystawiono przy niej straży, wstała, wyszła z szopy i przekradła się pod sam częstokół. Strażnicy stali na swoich miejscach, ale uwagę skierowaną mieli raczej na

to, co działo się na zewnątrz umocnień niż w środku. Marika bez większych przeszkód szła wzdłuż solidnej palisady, nikt jej nie niepokoił, nikt nie okrzyknął. Weszła wreszcie w wąskie przejście między pochyloną ze starości szopą a ogrodzeniem. Dorosły Wilk na pewno by się tam nie wcisnął, ale drobna kobieta nie miała z tym kłopotów. Nie wiedziała, co ją przyciągnęło, ale kiedy znalazła się w wąskiej kiszce, poczuła lekki powiew na bosych stopach. Z trudem pochyliła się i tuż nad ziemią namacała szparę. Niewielką, szeroką może na dłoń. Drewno musiało tutaj przegnić, być może nieuważny budowniczy włożył pal w ziemię odwrotną niż trzeba stroną. Kiedy dziewczyna dotknęła zmurszałego pnia, posypało się próchno, zaśniło sinym światłem. Nie przestraszyła się. Od chwili kiedy oddała córeczkę mężowi, zupełnie przestała się bać. W jej sercu było miejsce jedynie na żal i rozpychającą pierś tęsknotę.

Gorączkowo pracując, poszerzyła otwór na tyle, że mogłaby się przezeń precyzyjnie. Ale w momencie gdy o tym pomyślała, cofnęła się. Nie miała ochoty uciekać. Nie widziała przed sobą przyszłości. Stało się z nią coś dziwnego, zupełnie jakby doszła do przekonania, że jej miejsce jest tutaj, w siczy, między krwiożerczymi bestiami. Na myśl o Serhiju czuła gorzką kulę w gardle, zupełnie jak nienawiść. Podobnie działo się, gdy wspominała ojca. Tylko przypomnienie o Halszce nie wiązało się z takimi nieprzyjemnymi doznaniem.

Zasypała otwór próchnem, ale nie chciało się trzymać. Zaczęła więc drapać ziemię paznokciami, aby zamaskować szczelinę. Gdyby ktoś zwrócił na nią uwagę, wzięliby się za naprawę, a tego dziewczyna nie chciała. Kto wie, może wróci jeszcze do niej życie? Zechce się uwolnić? Nie wierzyła w to, ale pracowała wytrwale. A potem poszła na posłanie, czekać na następny dzień. Wróciła w samą porę. Ciszę w siczy zakłócił bowiem gwar. Wilkozacy powychodzili z chałup, zaczęło się nocne życie. Marika uświadomiła sobie, że wilki zazwyczaj polują w nocy, to drapieżniki mroku. Widać Wilkozacy także hołdowali takim obyczajom. Po kilku dniach zauważyła, że mieszkańcy siczy przesypiają część dnia i początek nocy, a poza tym prowadzą zwyczajne życie. Najwyraźniej tylko podczas wypraw, kiedy rozkładali się obozem i nie byli w stanie przemiany, spędzali noc jak ludzie, na posłaniu. A może czynili tak podczas drogi tylko ze względu na nią?...

Więcej nie chodziła w stronę walącej się szopy, zupełnie jakby coś ją odpychało. W dodatku od kilku dni czuła się coraz gorzej, każdej nocy dręczyły ją mdłości i narastający tępy ból, pełznący od palców stóp, ku górze. Co noc sięgał wyżej, obejmował ją już w pasie, zachodził na żebra. Miała wrażenie, że ciało oddziela się od kości, a raczej oddziera, że lada chwila tłukące się w piersi serce albo pęknie, albo rozsadzi dziewczynę od środka, rozpryskując się na tysiące kawałeczków. Najpierw myślała, że jest w ciąży, przez te mdłości i łamanie w stawach. Przeklinała obmierzłego Karę, który napełnił ją palącym nasieniem, przeklinała męża, który zadął z Wilkozakami, jakby bez tego mało miał wrogów, przeklinała nawet ojca, który nie uczynił nic, aby nie dopuścić do jej związku z chorążym. Chorążym... Mężem...

Próbowała sobie przypomnieć jego twarz, jego imię, ale cierpienie tłumilo wspomnienia.

Gryzła najpierw zwinięty skraj sukni, potem, w miarę narastania bólu, kawałek drewna. Do tej pory udawało jej się nie krzyczeć, miotała się tylko na legowisku, mokra od potu, tłumiąc jęki. Lecz dzisiaj cierpienie przekroczyło wszelkie granice. To, co działo się z jej ciałem, trudno było nazwać w ludzkiej mowie. Zupełnie jakby setki rozpalonych igieł wpełzły pod skórę, parząc i wbijając się w najczulsze miejsca. Kości zdawały się puchnąć, a potworny ból sięgnął już serca i pełzył coraz wyżej. Ponoć w ostatniej chwili przed śmiercią człowiek widzi swoje życie, a właściwie przeżywa je jeszcze raz. Ponoć... Marika czuła, że umiera, ale była w stanie przypomnieć sobie tylko jedno: ramiona mateczki, ciepłe i dobre, jej obfite piersi, w które małe dziecko zapadało się niczym w najmiększe poduszki, mogło poczuć się bezpieczne, ukryte przed złym światem. I łagodny, melodyjny głos, śpiewający smutną piosenkę o nieszczęśliwej dziewczynie:

Oj, Olenko, diwko biła

Oj, Olenko, diwko biła

Trebe powertaty kudy

Zahidni witer wije,

Żertwuje soboju wrażliwa Olenka

Żertwuje soboju Ukrainka młoda*

Nic więcej. Nic... I tylko żal, że sama nie będzie mogła dać tego swojemu dziecku.

A ból podążał coraz wyżej, coraz bardziej rozdzierający, niewyobrażalny. Gdy dotarł do gardła, Marika nie wytrzymała, mimo woli otworzyła usta i krzyknęła. Ów krzyk był tak potężny i ogłuszający, że dziewczyna zaczęła się pogrążyć w nieświadomości. Nie słyszała samej siebie, czuła tylko wysilone drżenie w gardle... Ostatkiem sił popęzła ku drzwiom szopy. Przez szpary w deskach przesączało się łagodne światło księżyca. Wystawiła rękę, aby złapać jeden promień. Marice wydawało się, że w miejscu, w którym padła na skórę poświata, palące doznanie osłabło. Może On ją wyleczy? Babka, to znaczy matka ojca, mówiła kiedyś, że w blasku księżyca odbija się blask chwały pańskiej. A może diabelskiej?... Co za różnica?

Podczołgała się do samych drzwi. Nie miała siły dźwignąć się, aby złapać za przybity do nich klocek, ułatwiający otwieranie, wbiła więc paznokcie w suche deski i szarpnęła. Zalało ją światło księżyca, niebędącego jeszcze w pełni, ale już ku niej zmierzającego. Wbrew nadziei i oczekiwaniu ból nie odszedł. Mroczył za to coraz mocniej, otaczał nieszczęsną czarnym woalem. Otworzyła usta, aby wyrzucić choć

trochę cierpienia w krzyku, ale nie słyszała samej siebie.

W ostatnim momencie, zanim stoczyła się w ciemność, doleciało Marikę potężne wycie, przy którym wilczy zew mógłby się zdać niewinną, łagodną kołysanką.

Rozdział 6

Serhij zaczął się już podnosić. Pierwszy raz zdołał usiąść na łóżku bez pomocy troskliwych kompanów po prawie czterech tygodniach. Stara wróżycha kręciła głową w zadziwieniu. „Twardy ma żywot”, mówiła, „twardy i niepokorny”.

Kto inny na jego miejscu gryzłby już ziemię, a chorąży kozacki każdego dnia odzyskiwał więcej sił. Zupełnie jakby gdzieś z zewnątrz moc spływała w jego wycieńczone ciało. Patrzył na Halszkę, próbował dostrzec w malutkiej twarzyczce ślady rysów matki. Wracające siły przypisywał temu, że tak samo jak po ujrzeniu pogorzeliśka chciał umrzeć i zapomnieć o wszystkim, tak samo mocno pragnął teraz żyć.

Dla tej dziewczuszki.

Dla tych, którzy mu jeszcze zostali – otaczających go przyjaciół.

Ze ściśniętym sercem wspominał mrukliwego, skorego do zwady Seję, Pawkę Hurbacza o niemiłosiernie popsutych zębach i cuchnącym oddechu. Przedtem o tym nie myślał, ale teraz, w godzinach bóleści, czuł, że byli dla niego jak bracia. Bracia, których powiódł na zatracenie. Którzy z własnej woli poszli za nim, gotowi zginąć. Dla których przyjaźń i wierność ważniejsze były niż wszystko inne. Zawiódł ich, poprowadził bezmyślnie w sam środek krwawego zamętu, nie myśląc o ostrożności, za nic mając zasadzkę. To cud, że Wilcy nie wybili ich wszystkich. Cud?

Spojrzał na Ilję, opartego o ścianę, podrzemującego. Pęk ziół zwieszający się tuż nad jego głową zdawał się przedłużeniem włosów mołojca, co stanowiło zabawny widok – jakby złośliwy chochlik przybił jego osełdec do ściany. Ale Serhijowi nie było teraz do śmiechu. W kącie siedział na niskim zydlu Liwka Pastuch, delikatnie przebierając palcami po strunach lutni, którą znalazł gdzieś wśród drew, przeznaczoną najwyraźniej na opał. Oczyszczył instrument jak potrafił i jął się zabawiać w śpiewaka. Niesporo mu szło, bo cięcie przez policzek znacznie utrudniało mówienie, a co dopiero śpiewanie, ale Liwka nie przejmował się trudnościami – mruczał po prostu do wtóru. W lutni brakowało dwóch strun, ale i to nie zrażało Kozaka. Kostenko musiał przyznać, że Pastuch miał dar do grania – potrafił wydobyć ze zrujnowanego drewnianego pudła piękne dźwięki.

Semen wyprawiał się na polowanie. Dziś była jego kolej. Stara, dla której z początku obecność Kozaków wydawała się nieznośną uciążliwością, teraz wydawała się całkiem zadowolona. Nie musiała zabiegać o jedzenie, zbierać w lesie korzonków, zastawiać sideł na małe zwierzęta. Mężczyźni dbali, aby mięsiwa było pod dostatkiem, zbierali jagody, od czasu do czasu któryś jechał do chutoru na drugim końcu lasu po ziarno i miód.

–Ilja – odezwał się cicho Serhij.

Zagadnięty otworzył oczy, spojrział pytająco na dowódcę.

–Ilja, byłeś chyba bliżej, a na pewno widziałeś lepiej, bo mnie za bardzo zaprzętało dziecko i Marika. Jak to się stało, żeśmy przeszli? Jeszcze przez zwykłe wojsko bym zrozumiał, ale nie przez Wilków.

Zając westchnął ciężko, rozłożył ręce.

–Bo ja ci wiem? Dziwne to było, nikt nie zaprzeczy. Zupełnie jakby nie spodziewali się, że na nich runiemy. Odkoczyli niby jakieś nowe wojsko, co mu brak doświadczenia i łatwo daje się podejść. Wówczas o tym nie myślałem, potem nie było czasu, a wreszcie wyleciało mi ze łba. Ale teraz, kiedy spytałeś, aż mi ciary po plecach przeszły. Powinniśmy zginąć, atamanie. Wszyscy, co do jednego!

–Powinniśmy – wybełkotał półgębkiem Liwka, który przestał grać, gdy usłyszał rozmowę. – Co znaczy czterech przeciwko sotni? A przecież żyjemy.

–Może ty co widziałeś? – spytał z nadzieją Serhij.

–A co mogłem widzieć? – Pastuch wzruszył ramionami. – Krew mi gębę zalała i oczy. Tyle jeno, com pysk przetarł rękawem, by widzieć, gdzie biję, i swojego nie razić. A potem tośmy już gnali cwałem, a tamci prażyli z muszkietów. Tyle wiem, co i wy.

–Może Semen powie coś więcej? – spytał z nadzieją Kostenko.

–Nie miej nadziei – skrzywił się Ilja. – Kto tam by się przyglądał jednemu czy drugiemu wrogowi, kiedy napierali jak wściekli? Szczęście mielim i tyle.

Serhij pokręcił głową i syknął. Prawą łopatkę przeszły rozpalona igła.

–To coś więcej niż szczęście – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Nie wiem tylko co. Nie słyszałem jeszcze, żeby Wilkozacy zeszli komu z drogi, nie drąc zębami i pazurami.

Zając znowu rozłożył ręce.

–Teraz tego nie rozbierzesz, atamanie. Po co łamać głowę? Mnie bardziej ciekawi, że jeden z nich przemienił się w wilka, choć do pełni było daleko.

Serhij na wspomnienie wyszczerzonych kłów i spienionego wściekłością pyska wzdrygnął się.

–Rąbnąłem go tak, że łeb mu powinien spaść – powiedział z wahaniem. – A ten tylko

się zwinął i... sam zresztą widziałeś.

–Ponoć przed śmiercią każdy z nich musi zmienić się w wilkołaka – wymamrotał Liwka. – Oprócz bab, dzieciaków i tych, co utracili całkiem wilczą moc.

–A ty skąd wiesz? – Ilja podniósł czujnie głowę.

–Tak powiadał jeden dziad w moim chutorze. Powiadali, że pomyłony był staruch i plóć byle co, ale dzieciakom potrafił piękne bajędy prawić.

–To i pewnie jedna z takich bajęd – wzruszył ramionami Zajęc.

–Pewnie i tak – zgodził się Pastuch.

Serhij położył się ostrożnie, zamknął oczy. Leżąca w kołysce obok łóżka Halszka posapywała przez sen. Kostenko pogrążył się w myślach. Może to bajka z tym wilczym umieraniem, a może i nie. Trudno było przeniknąć tajemnice Wilków. Dopiero w ostatnich latach, gdy wszczął się wielki rozruch i zamęt, kiedy zaczęła się na Ukrainie wojna z Polską i jej stronnikami, zwykli Kozacy mieli więcej do czynienia z Wilkami. Wchodzili na ich ziemie, idąc na Rzeczpospolitą, przeprawiając się ku Litwie, Rusi, ku Wołoszczyźnie. Rosła niechęć, a nawet nienawiść, umiejętnie podsycana przez kozackich prowodyrów, niechętnie patrzących na stojących na uboczu Wilkozaków. Wilkozaków, których Korona Polska zostawiała od zawsze w spokoju. Nie tak, jak ludzi... Stefan Batory, owszem, starał się pozyskać Kozaków, a ich przywódców nawet zrównać ze szlachtą. Lecz potem przyszli królowie, dla których Kozacy zdawali się tylko zbędnym ciężarem, władcy przypominali sobie o ich istnieniu jedynie w czas wojen, poza tym pozwalając na samowolę książętom i wojewodom. Ale Wilcy zawsze mogli liczyć na lepsze traktowanie. Bano się ich, a strach zawsze łączy się wprawdzie z niechęcią, lecz i szacunkiem. Byli tajemniczy, bardziej zagadkowi niżli leśne duchy czy bagienne upiory. Zresztą o istnieniu zjaw można było wątpić, a Wilkozacy żyli naprawdę, namacalni aż do bólu. Dziad Serhija walczył pod Pskowem, wówczas ramię w ramię z Wilkami. Chociaż powiedzenie „ramię w ramię” nie oddawało rzeczywistości. Wilków nie używano do szturmów, chyba że nocą, ale i wtedy szli zawsze oddzielnie, zawsze w zupełnych ciemnościach, bez pochodni, nawet bez latarenek, jedynie przy świetle księżyca. Raz tylko dziad chorążego widział przemykającą watahę – kudłate basiory uzbrojone w muszkiety i szable, umocowane na uprzężach. Podążali na patrol, aby wybić maruderów, grasantów, różnych zbójów nękających okolicę, a przede wszystkim szarpać oddziały cara przysłane, aby utrudniać życie oblegającym. Nikt też nigdy nie widział zabitego Wilkozaka. Strzegli swych tajemnic skrzętnie, za wszelką cenę. Chodziły tylko słuchy. Zaś jeśli ktoś z niepowołanych zdołał przejrzeć jakieś sekrety przemieńców, lepiej, aby o nich milczał, gdyż Wilki potrafiły uczynić wszystko, aby zamknąć śmiałkowi usta. Zaś jeżeli któryś z ludzi został dobrowolnie dopuszczony do tajemnic, to albo pozostawał na zawsze sprzymierzeńcem Wilkozaków, albo stawał

się dla nich zwierzyzną łowną.

Serhij zaczął zapadać w sen. Pod jego powiekami znów zapłonął ogień, rozległy się krzyki i potępieńcze wycie... Żelazne Chutory... Zdrada...

Halszka zapłakała nagle, wrywając go z objęć nadciągającego koszmaru.

–Trzeba przewinąć małą. – Ilja podniósł się leniwie. – Liwka, idź wydoić kozinę, bo dziewczucha pewnie też głodna jest, dlatego się tak wścieka. Kawał baby z niej wyrośnie, jak będzie tyle jadła. Już wygląda niby dorodna rzepa.

Hryńka Szpak z niepokojem nasłuchiwał głosów czerni zgromadzonej w Czehryniu. Chmielnicki układał się z Rosją wbrew sercu, to wiedzieli wszyscy. Układał się jednakowoż. Moskiewscy panowie przystawili mu nóż do gardła, a hetman miotał się, rozdarty między pragnieniem stworzenia wolnej Ukrainy a strachem przed popadnięciem w podległość względem Rosji. Jednak wszyscy mający oczy, uszy i odrobinę rozumu wiedzieli, że nie ma już odwrotu. I nie to nawet martwiło Hryńkę. Co tam ustalą możni ponad głowami zwykłych Kozaków, nie zależało od niego i nie miał ochoty się nad tym zanadto głowić. Gorzej, że rozeszły się słuchy, jakoby sławny chorąży Serhij Kostenko przystać miał do wojsk królewskich, miał wypełniać zadania poruczone mu przez hetmana.

Człowiekowi, który stał się ulubieńcem żołnierzy i wyższych oficerów, a nawet samego Chmiela, wrogów nie brakowało. Zawiść zawsze skłania ludzi do rzucania oszczerstw, osobliwie wówczas, gdy spotwarzony bronić się nie może. Fakt faktem, że Serhij nie dawał znaku życia. Podobno jeden z podjazdów wysłanych w stronę Stanicy Hrywne, znajdującej się niedaleko siczy Wilkozaków z Hylewszczyzny, znalazł ślady walki i szczątki dwóch ludzi, ale nikt nie potrafił powiedzieć, czy byli to żołnierze Kostenki czy jacyś przypadkowi nieszczęśnicy, którzy natknęli się na wilczą watahę.

Z początku Hryńka próbował prostować sprawę, przekonywał rozmówców, że chorąży nie zdradził Chmielnickiego, lecz ruszył ratować żonę z dzieckiem, jednak był sam, a potwarców bez liku. Po raz kolejny z goryczą skonstatował, że mężczyźni dłuższe miewają jęzory od przekupnych bab i chętniej od nich nadstawiają uszu plotkom. Wreszcie zubożniał na te pomówienia. Jeśli Kostenko żył, sam zdoła rozprawić się z oszczercami, a jeśli nie, i tak wszystko mu jedno.

Ale było jeszcze coś, co sprawiało, że twarda skóra Szpaka cierpła, a po plecach pod baranicą chodziły mu ciarki. Do Czehrynia wraz z wysłannikami bojarów przybyli dziwni ludzie – odziani w szare, wełniane płaszcze narzucone na białe riasy, wszyscy długowłosi, brodaci, wyglądający bardziej na mnichów z zapomnianych górskich

monastyrów niż doradców. Lecz od mnichów odróżniało ich na pewno jedno – oczy. Hryńka jeździł jako przyboczny posłów do cara, widział prawdziwych świętych mężów, kiedy raz i drugi korzystali z gościny monastyrów. Żaden z zakonników nie patrzył tak twardo, wyzywająco, żadnemu na dnie źrenic nie czaiła się śmierć. Ci tutaj byli kimś więcej niż gorliwymi wyznawcami Świętego Spasa czy Świętej Przemysławej. Kozak postanowił dowiedzieć się, kim są przybysze. Musiał się tego dowiedzieć. Zaczął więc znów odwiedzać karczmy, którego to procederu zaniechał, nie chcąc słyszeć obraźliwych słów kierowanych przeciw jego ukochanemu chorążemu, nabrał za to zwyczaju codziennego upijania się we własnej kwaterze. Tego wieczora jednakowoż przypasał miecz ze srebrem i miedziakami, udał się do najbliższej tawerny. Jak wszystkie inne przybytki, nabita była po brzegi Kozakami, którym już się porządnie ze łbów kurzyło. Odór podłego wińska, przetrawionej gorzałki i niemytych ciał mieszał się z wonią świeżo uwarzonego piwa, aromatem syconego korzeniami miodu i jakimś wschodnim pachnidłem.

–Powitać sławnego mołojca! – rozległ się tubalny głos, zanim Hryńka zdążył się rozejrzeć za wolnym miejscem. – Do nas prosimy, Szpaku, do nas!

Kozak skrzywił się w duchu na widok nalanej, wiecznie czerwonej twarzy, która od gorąca i od nadmiaru trunków stała się już wręcz purpurowa. Piotr Melech, jeden z największych gadułów i plotkarzy na całej Ukrainie. Zaraz jednak Hryńka przywołał na twarz pogodny uśmiech. Przecież tego właśnie szukał – źródła wiadomości, a któż mógłby mieć nowsze od Melecha? Dawny przeciwnik Chmielnickiego, konkurent do władzy na samym początku buntu, teraz nie liczył się w wielkiej polityce, znał za to wielu ludzi i potrafił wydobyć od nich wiadomości. Koniecznie trzeba zasięgnąć u niego języka. Siedział z czterema kompanami, z których dwóch miało wyraźnie dość, bo dopadł ich sen.

–Karczmarzu, miodu! – wrzasnął Piotr na krzątającego się Żyda. – Jeno bystro, bo czekać nie lubimy!

Potem jednym ruchem potężnego ramienia zrzucił z ławy po drugiej stronie stołu podrzemujących mołojców.

–Do domu idźcie spać albo do chlewa zgoła! Pić nie umiecie, nic mi po was!

Spostponowani podnosili się z trudem, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego ich przeganiają, ale też nie protestując, bo Melech słynął z wielkiej siły, lecz na pewno nie z cierpliwości.

Hryńka przysiadł obok brodatego, spoconego, ziejącego niczym pies Kozaka w chabrowym mundurze z naderwanym rękawem bluzy. Sądząc z barwy, był to dawniej żołnierz Jeremiego Wiśniowieckiego. Szpak nie lubił ludzi księcia. Bywali tak samo okrutni jak ich patron, zarówno służąc najpierw księciu, jak potem wstępując w

szeregi wojsk Chmielnickiego. Sam Hryńkanie miał nic przeciwko okrucieństwu, ale jeśli do czegoś prowadziło. Zwyczajne krzywdzenie słabszych dla zabawy nie sprawiało mu radości.

–Dawno cię nie widziałem, Hryńka! – zawołał Melech. – Do szynków nie zaglądasz, zaszyłeś się w jakiejś norze jak ten ciećwierz! Myślałby kto, że jaką żałobę nosisz!

–Żałobę jak żałobę – odparł Szpak. – Kozak, jakby chciał opłakiwać poległych kompanów, życie by na tym przetracił. Ale nie do towarzystwa mi jakoś, to prawda.

–A bo kiedy ponury robak żre człeka od środka, trza się przemóc, ku ludziom pójść, zalać złe, co się zebrało w duszy. Nic tak jak miód nie potrafi jej oczyścić. Napij się! – Piotr podsunął Szpakowi dzban z trunkiem.

Hryńka nalał do glinianego kubka prawie po brzegi, wypił zawartość jednym haustem.

–To rozumiem! – wykrzyknął radośnie Melech. – Tak przystoi Kozakowi! Jeszcze pij, druhu!

–Za chwilę. – Szpak nalał sobie znowu, ale tym razem upił niewielki łyk. Czuł słodkie ciepło rozchodzące się od żołądka po całym ciele. – Wypić w zacnym gronie miło, ale i pogadać dobrze.

–Pogadać, a jakże. – Piotr ucieszył się, jakby ktoś podarował mu konia z rzędem. – Słyszałem, co powiadają o twoim chorążym. Prawda to?

–Gdzie tam prawda. – Hryńka aż zgrzytnął zębami. – Poścignęło go nieszczęście, Wilkozaki porwały mu żonę i córę, wieś całą wyrznęły, to i pojechał szukać pomsty.

–Inaczej o tym powiadają – odezwał się siedzący obok Melecha chudy Kozak z blizną przez pół twarzy. – Słyszałem, że ludzi na wyprawie porzucił i odjechał biesy wiedzą gdzie, może nawet sprzągnął się z Wilkami!

–Słyszałeś czy sam to rozpowiadasz? – Szpak podniósł się groźnie.

–Ludzie gadają, z ust do ust przechodzą takowe wieści – uśmiechnął się krzywo kompan, łyskając nierównymi zębami.

–Kto gębę ma krzywą, sam i krzywo gada – rzekł Hryńka, oparty rękami o stół. – I uważać powinien, by mu kto wąsa szablą nie wygolił, a pysk jeszcze mocniej wykrzywił.

Chudy Kozak zerwał się z miejsca, kładąc dłoń na rękojeści szabli.

–A ty mu brat czy swat, że za nim obstajesz? – warknął.

W karczmie uczyniło się cicho, wszystkie oczy wbiły się w stojących naprzeciw siebie, gotowych do walki mężczyzn.

–Siadaj, Szpaku – powiedział cicho, ale dobitnie Melech. – Chmiel zakazał pojedynków pod karą gardła. W każdym razie tutaj, w Czehryniu, bo w Siczy można się zabawiać po dawnemu.

–Możemy spotkać się w stepie – warknął chudy Kozak.

–Możecie – zgodził się Piotr. – Ale musisz wiedzieć, Madeju, że ten tutaj jest podoficerem u chorążego Kostenki. To Hryńka Szpak.

–Szpak czy inny gawron, mnie zajędo, jakiemu ptaszкови dzioba przytnę. A że od tego zdrajcy Kostenki, to i lepiej...

Nie skończył mówić, bo Hryńka już przesadził ławę i stał z obnażoną szablą, gotów rzucić się na przeciwnika. Nagle otoczyły go mocarne ramiona Piotra.

–Uchodź, głupcze – wydyszał Melech do Madeja, z trudem utrzymując w miejscu Szpaka. – Znam jego i znam ciebie! Zanim się obejrzysz, flaki z ciebie wypuści!

Kozak z blizną wyszczerzył zęby, nie zamierzając odstąpić, a Hryńka mocnym szarpnięciem uwolnił się z objęć Piotra.

–Jak sobie chcecie. – Melech się cofnął.

Madej wydobył szablę, ciął zniecka, na odlew. Szpak bez trudu uniknął uderzenia, zaśmiał się, a potem nagle rzucił szablę i zanim przeciwnik zdołał wyprowadzić kolejny cios, kopnął go w dłoń trzymającą ostrze, w sam nadgarstek. Broń podskoczyła w górę wraz z ręką, a Hryńka już stał za plecami chudego Kozaka, wykręcając mu ramię.

–Puść – zaskrzeczał Madej.

Szpak wyłuskał mu szablę z dłoni, a potem zniecka rąbnął głowicą w kark. Madej osunął się na kolana, potem opadł na czworaki, oszołomiony, kręcąc głową.

–Pawle, wyprowadź naszego przyjaciela – powiedział Melech do spoconego mężczyzny, przy którym usiadł przedtem Hryńka. Dopiero teraz w zarośniętym Kozaku Szpak rozpoznał brata Piotra. Ten podniósł się leniwie, podszedł do Madeja, bez wysiłku zarzucił go sobie na ramię.

–Niech odpocznie za murem – rzucił jeszcze Melech. – Padało całe popołudnie,

trawy mokre, może biedaczek trochę ochłonie. Możesz go też w wodzie cokolwiek wypławić, przyda mu się, bo cuchnie niby stary cap.

Dwaj Kozacy usiedli znowu naprzeciwko siebie, a reszta towarzystwa wróciła do przerwanych rozmów, śpiewów i kłótni.

–Dlaczego twój brat nosi szmaty wojska Wiśniowieckiego?

–Jego zapytaj. – Piotr wzruszył ramionami. – Wiesz, jaki jest mowny. Wszystko, cośmy mieli w życiu we dwóch powiedzieć, na mnie widać przeszło. – Zaśmiał się. – Pewnego dnia przyszedł na kwaterę w tym mundurze. Gdym się zaciekawił, mruknął jeno, że nie moja rzecz, i poszedł spać. Tak sobie myślę, że albo wygrał toto od jakiego przygodnego kompana albo i z niego zwyczajnie zdarł, bo mu się spodobało.

Milczeli przez chwilę. Hryńka zastanawiał się, jak naprowadzić rozmówcę na ciekawiącą go kwestię, ale okazało się, że na próżno wysilał umysł. Piotr bowiem sam zagaił:

–Widziałem ci ja dzisiaj tych niby-mnichów, co przybyli z bojarami – rzekł. – Nie sądzisz, Szpaku, że dziwni są?

–Mnisi jak mnisi – wzruszył ramieniem Hryńka i szybko podniósł do ust kubek, żeby Melech nie widział, jak zadrgały mu mięśnie twarzy i błysnęły oczy.

–Mnisi jak mnisi, powiadasz? – oburzył się zażywny Kozak. – Toż to przysłani przez cerkiew ci... jak im tam... egzorcyci...

–Egzorcyci? – zdumiał się Hryńka. – Ci, co z diabłem się zmagają niby?

–A tak, oni właśnie.

–A czego chcą tutaj? Kogoś opętały złe duchy?

Piotr pokręcił głową, ściszył głos do szeptu.

–Nie powtarzaj nikomu, bo to wielka tajemnica. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale ponoć car zażądał, aby Chmielnicki rozprawił się z Wilkozakami. Strasznie na to nastaje. Do dziś nie może zapomnieć, jak za czasów Batorego i wojen moskiewskich zagony wilkołackie pustoszyły majątki, a i partyzantom krwi upuszczają. Boi się ich gorzej niż diabła samego.

–I przysłał mnichów, żeby się rozprawili z bestiami? – spytał z powątpiewaniem Hryńka. – A co tacy mnisi mogą, skoro nawet bezbożne Tatary nie mogą sobie z Wilkami po swojej stronie poradzić? U nas popi i kule święcą, jak kto ma w pobliże wilczej siczy zajść, i ostrza, jenom nie słyszał, by kto tak Wilkozaka ubił.

–Mnie to mówisz? – zaśmiał się krótko Melech. – Sam kiedyś trafiłem taką poświęconą kulą jednego przemienca w skórze wilka. Warknął tylko i rzucił się na mnie. Dobrze, że konia miałem dobrego, a w dodatku bydlę ze strachu poniosło, więc wyszedłem z tego cało. Ale ci, co przybyli, inni mają być. Ponoć nie z nauk samej cerkwi wiedzę czerpią, ale też z tego, co pozostawili dawni wołchowie.

–A to dobre – mruknął Szpak. – Najpierw sami wytłukli kapłanów dawnej wiary, a teraz przywołują ich upiora, by się rozprawić z potworami.

–I co w tym dziwnego? – Piotr wzruszył ramionami. – Bo to raz człowiek leczy się trucizną? Napchaj kałdun piołunem, to żywot rozsadzi i rozum zmaci, aż ci kapelanek *requiescat in pace* odczyta, ale jeśli nalewki z ziela odrobinę spożyjesz, na zdrowie tylko pójdzie.

–Może i racja – zgodził się Hryńka. – A wiesz coś więcej o tych mnichach?

–Co mam nie wiedzieć? Niewiele, ale coś tam wiem. To tajemnica wielka, ale dla mnie im większy sekret, tym silniejsza pokusa, by go poznać. Popytałem, powęszyłem, nawet złotem rzuciłem temu i owemu. Z monastynu kostrzeńskiego pochodzą, tego samego, o którym powiadają ludzie, jakoby cuda się w nim dawniej działy, a i dziś dziwy można po zmroku ujrzyć. Trzech ich przysłano, jako pewnie już wiesz, wychodzi na to, że niebawem hetman nasz zechce zrobić koniec z przemiencami. A na początek pewnikiem wyrznie Sicz Hylewską, jako że największa i najgroźniejsza.

–Serhij poradził sobie z Wilkozakami bez pomocy takich cudaków – wydał wargi Hryńka.

–Poradził sobie, powiadasz? A pewnie! Jeno nie zapominaj, z kim miał do czynienia: ze szczeniakami, waderami i starymi, na wpół niedołącznymi basiorami, co się w Żelaznych Chutorach ukryli. A wilkozacka sicz to nie byle wioska, co ją można ogniem spalić, osobliwie łatwo, gdy nie ma w środku prawdziwych żołnierzy.

W pierwszej chwili Hryńka miał ochotę zrugać rozmówcę. Był przecie w Żelaznych Chutorach, widział, co potrafią rozwścieczone wadery, podrośnięte wilczki i nie do końca wcale zniedołączniali Wilkozacy. To była krwawa jatka, ale krew lała się po obydwu stronach. Szczupły oddział chorążego nie spodziewał się tak wielkiego oporu. Z drugiej jednak strony, Melech miał trochę racji – na dobrą sprawę nie było się czym chwalić. Szpakowi nawet powieka nie drgnęła, gdy dobijał wyjące z bólu Wilki, upił się potem i zapomniał, ale Serhij zawsze się krzywił, gdy ktoś wspominał tamtą wyprawę. Mieli tam niby zaskoczyć atamana Siczy Hylewskiej, Micheja Makczego z kilkoma zaledwie przybocznymi, ale nic z tego nie wyszło. Michej poprowadził wtedy liczną watahę na multańską stronę, jak się potem okazało.

–Mów dalej, Piotrze, co jeszcze o nich wiesz.

–A ty co tak się tym ciekawisz, Szpaku?

–Mam powody, Piotrze.

–A może chcesz się dowiedzieć jeszcze ciekawszych rzeczy?

Hryńka spojrzał czujnie na rozmówcę.

–A ty dokąd chcesz mnie zawieść? A może raczej zwieść?

Melech zaśmiał się krótko, bez widocznej radości.

–Wiem, że do mnie zaufania nie masz. Powiadają wśród braci kozackiej, że mam pleciuch, a może i oszust nawet. Ale jest ktoś, kto pewnie chętnie by z tobą pogadał, a kogo podejrzewał o nieczne zamiary nie będziesz.

Tamtej strasznej nocy stała się Wilczyca. Waderą, jak o nich mówili Wilkozacy i wszyscy inni. Zrozumiała to dopiero rano, gdy ocknęła się z amoku, czując mdłości oraz słodko-słony smak w ustach. Krew. Kobieta z początku myślała, że przygryzła sobie język, ale ten nie bolał i nie opuchł. Nic nie bolało, zupełnie jakby straciła czucie w całym ciele. Spróbowała poruszyć ręką, ostrożnie, bojąc się, że znów poczuje przeszywającą na wskroś igłę cierpienia, lecz płonna to była obawa. Marika uniosła dłoń nad głowę, przez palce spojrzała na stojące już wysoko słońce. Zwarła palce. Drobne promyki, przenikające przez maleńkie szparki między ściśniętymi paliczkami, zatańczyły na twarzy, wpadły w źrenice. Różowe, jakby rozświetlone od środka szczelne złączenia u nasady palców przypominały barwą... co? Co właściwie? Nie potrafiła sobie przypomnieć.

Za to wróciło wspomnienie nocy. Ten potworny krzyk... Wycie... To była ona. Straciła na chwilę przytomność, ale niebawem własny głos przywołał ją do życia. Zaraz zbiegły się Wilki, szorstkie ręce porwały dziewczynę, zaniósł gdzieś... Tak, na majdan, pod dach. Dookoła budowli rozpalono ogniska. Patrzyła na to niby przez wodną kurtynę, obraz rozpływał się, zdawał to oddalać, to przybliżać, głosy docierały przytłumione, niewyraźne, jakby rozmazane przez tę samą mgłę, która spadła na oczy.

Leżała zwinięta w kłębek pośrodku miejsca zgromadzeń, a wokół niej tłoczyło się więcej Wilkozaków. Przemienionych. Widziała wyszczerzone zęby, płonące oczy, czuła odór sierści i cuchnące oddechy drapieżników. Pierwszą trzeźwiejszą myślą było, że oto zaraz rozerwą ją na strzępy w jakimś dzikim obrzędzie. Wraz z tą myślą do serca zawitała nadzieja, że to już koniec. Nareszcie...

Lecz zamiast śmierci spadł na kobietę jeszcze większy ból. Nie widziała już Wilków, nie widziała ognisk, ujrzała tylko tuż nad sobą tęgą postać. Z trudem rozpoznała matkę Kiryła. Stara wadera nie uległa przemianie. Pochyliła się nad cierpiącą z nożem w ręku. Może teraz, przemknęło przez głowę Marice. Może spadnie litościwy cios... Jednak kobieta nie zamierzała zabijać branki. Nóż przeciął skórę i żyły, owszem, ale wcale nie na szyi nieszczęsnej dziewczyny. Krew pociekła z przedramienia starej, gorącym strumieniem wlała się w usta leżącej. Marika zakrztusiła się, chciała wypluć wstrętą posokę, lecz czyjeś twarde palce zacisnęły się na jej nozdrzach i ustach, zmuszając do przełknięcia.

I wtedy ból nagle odszedł. Dziewczyna wpadła w drgawki, zdawało jej się, że wytrzęsie z siebie duszę, lecz zamiast tego poczuła, jak jej serce wypełnia niespodziewanie poczucie mocy. Zupełnie jakby w tej chwili była w stanie ruszyć w posadach ten obrzydły świat. Poczucie owo okazało się nie mniej przerażające od poprzedzającego go bólu. Przerażające, a zarazem sprawiające niesamowitą rozkosz. Przypominało nieco obcowanie z Karą Kałmukiem, choć wtedy Marika miała świadomość, iż jest gwałcona, czuła ćmiący umysł lęk. Tym razem jej myśli stały się czyste niczym woda w górskim strumieniu. Nie wiedziała, co się dzieje, ale chłonęła otaczające obrazy całą sobą. A poza tym odczuwała jedność z Wilkami, zaskakującą więź z istotami, które zabiły jej ojca, odebrały ukochanego i córkę, pozbawiły szczęścia. Czuła się jedną z nich...

I nagle kryształ myśli uległ zmęczeniu, świat zawirował, a dziewczyną targnęła ostatnia już, za to najsilniejsza konwulsja. Znienacka ciemna szarość nocy, rozpraszana odbłaskami ognisk, zamieniła się w dzień. Nie tak jasny, jakby słońce stanęło w zenicie na czystym niebie – raczej pochmurny, lecz nie mroczny. Marika zmrużyła oczy, zaskoczona zarówno światłem, jak i tym, co zaczęło się dziać w jej duszy. Odzyskała władzę nad ciałem, lecz w głowie zapanował chaos. Rozejrzała się. Stała na własnych nogach, tego była pewna, ale stała na czworakach, czując, jakby tak właśnie robiła całe życie. Dookoła widziała kosmate pyski wilków, ale nie odczuwała strachu. Spojrzała w dół. Zamiast rąk ujrzała pokryte sierścią smukłe łapy. Ostrożnie podniosła prawą, potem lewą. Serce tłukło się w piersi, krew szumiała w uszach... Zaraz – krew? Nie, to lawina odgłosów spadła na dziewczynę tak, jak przed chwilą niespodziewana jasność – odległe kroki cichych łap, bliskie oddechy bestii, jakieś chrobotanie, którego nie potrafiła rozpoznać, i mnóstwo innych dźwięków. Z pyska kapiała krew, a Marika łowiła węchem każdą spadającą kroplę. Wtedy zrozumiała, że oto zyskała wilcze zmysły. Stała się jednym z potworów... Ledwie to do niej dotarło, a pojawił się głód, jakby nie jadła przynajmniej od tygodnia. Uniosła głowę i zawyła. Odpowiedział jej chór głosów. Nie myślała trzeźwo, po ludzku, zupełnie jakby obleczenie się w wilczą postać zmieniło jej serce. Wszystko, co działo się dookoła, docierało do Mariki bardzo wyraźnie, przesączone jednak niczym przez mglistą zasłonę. Z jednej strony dziewczyna doskonale wiedziała, czego w tej chwili pragnie, a z drugiej wydawało się to obce. Tak, przemiana w zwierzę na pewno

zabrała jej część człowieczeństwa... Tę najważniejszą część, dzięki której potrafiła kochać i nienawidzić. W skórze wilka pragnienia były proste: najeść się, napić i zaszyć w jakimś kącie, aby odespać wcześniejszy ból i strach.

Szarpała ostrymi kłami przyniesioną przez któregoś z wojowników sarnę, z rozkoszą zanurzała nos w ciepłej jeszcze posoce, czuła, jak kurczący się z głodu żołądek wypełnia świeże mięso. Inne wilki patrzyły na posilającą się Marikę w milczeniu. Aż wreszcie w pewnej chwili zbliżył się do niej ogromny basior, w którym poznała Hrehorego, i warknął. Nie miało to nic wspólnego z ludzką mową, a jednak zrozumiała go natychmiast. Wystarczy, nie jest sama, inni też chcą się posilić. Odstąpiła posłusznie i teraz sama patrzyła, jak przemienicy drą sarnę na sztuki. Każdy spożył po niewielkim kąsku, niemożliwe, aby taka ilość mięsa zaspokoila apetyt watahy. Wyglądało to bardziej na coś w rodzaju obrzędu niż zwyczajnej uczyty.

Potem podeszła do Mariki, lekko kulejąc nawet pod postacią wilka, matka Kiryła. Dziewczyna poszła za starą waderą do tej samej szopy, w której spała poprzednio. Teraz jednak pomieszczenie nie wydawało się tak obskurne i nieprzyjemne jak przedtem, a cuchnące wilczą sierścią legowisko kusilo miękką wygodą, swojskim zapachem.

Rano zaś, ledwie kobieta się zbudziła, wezwał ją Hrehory. W ludzkiej postaci jasność myśli wróciła. Ponury Wilkozak, posłaniec od atamana, nie pozwolił jej nawet obmyć twarzy czy napić się wody Zawłókl nieszczęsną przed oblicze przywódcy.

–Jesteś suką Kiryła – oznajmił stary Wilk. – Zaś Kirył został skazany na śmierć. Zdołał wprawdzie zbiec, ale to niewiele zmienia, albo zgoła nic. Dopóki żyje Zirasza, zostaniesz przy niej. Uparła się stara, że nie wyda jasyru synowskiego, a ja nie zamierzam się z nią kłócić o jedną marną samicę. Gdy umrze, a niewiele jej życia zostało, o twoim losie zdecyduje rada. Wadera nie może chodzić luzem jak zwykły, wolny Wilk. Musi rodzić. Jak najczęściej. Żal, że jak prawdziwe wilczyce nie nosicie w brzuchu sześciu szczeniąt, ale cóż począć, tak zechciał Stwórca.

Odchodząc, Marika czuła na plecach palące spojrzenie atamana.

A dziś obudziła się z twardego głębokiego snu o samym świcie. Pierwsza noc bez przemiany. Czas Okołopelni skończył się, Wilkozacy stracili możliwość zamiany w bestie. A jednak dziewczyna nie poczuła się ani trochę bardziej człowiekiem niż przedtem. Tak jakby nosiła w sobie dwie dusze, a ta obca brała górę nad ludzką. W drzwi załomotała pięść, rozległ się swarliwy głos Ziraszy.

–Ano, wstawaj, Marika! Wody trza nanosić, przy chałupie to i tamto zrobić! Odpląć się za łaskawy chleb!

Serhij nie był w stanie utrzymać się w siodle. O ile przy pomocy kompanów dawał jeszcze radę wdrapać się na koński grzbiet i trzymać prosto, o tyle przy każdym stąpieniu wierzchowca przeszywał go przejmujący ból, odbierając dech i przytomność. Ilja drapał się po głowie, aż wreszcie postanowił, że każą babom z niedalekiej wsi upleść z trzciny i wiklinowych gałązek kosz dla chorążego, który rzemieniami umocują między końmi.

–Wolniej będziem jechać – rzekł – ale zawsze do przodu. Tylko gdzie nam się udać? Wypadaloby do Chmiela, pokazać mu się na oczy, wytłumaczyć.

–Wy się sprawiać nie musicie – odparł chmurnie Kostenko. – Poszliście za komendą, ot co.

–Poszliśmy, bośmy chcieli – sprzeciwił się Liwka. Mówił już o wiele lepiej, starannie opatrzona rana zabiżniała się szybko.

–Dobrze gada – poparł Pastucha Semen. – Mogliśmy odmówić i tyła.

–Ty, Porohu, nie opowiadaj byle czego – ofuknął go chorąży. – Ty, Liwka, tak samo. Poszliście, bo wydałem rozkaz, i tego się macie trzymać. Diabli wiedzą co o tym mówią siczowi, jaki jad wsączyli w ucho Chmielnickiemu moi wrogowie. Nie dla mnie na razie doła mołojca. Wydobrzeć muszę, ogarnąć się z nieszczęściem, a i nie w ostatku temu tłumoczkowi byt jaki godziwy zapewnić. Potem będę się naczelnikom tłumaczył.

–To gdzie chcesz jechać? – spytał Ilja. – Dinny Chutor zniszczony, do twojego rodzinnego opętany kawał świata. Myślałem, że jednak z nami do Czehrynia, a potem na Niż się udasz.

–Z dzieckiem między czerń kozacką? – zachnął się Kostenko. – Toż gdyby mnie kto ubił, a łącno by się to mogło zdarzyć, bo wrogów mi nie brak, kto się zajmie Halszką? Nie mam baby, co by ją przyhołubiła. Marika między Wilkami, nie wiadomo, co z nią...

Zamilkł, bo czuł, że jeszcze słowo, a głos mu się załamie.

–Mało to bab, co po umarłych albo ubitych dzieciskach lutają? – odezwał się Liwka. – Dałbyś której córę na odchowanie, sypnął złotem, zajmie się jak swoim, a ty wolnym będziesz...

–Zawrzyj mordę, durniu – warknął Semen, uprzedzając ostrą odpowiedź chorążego. – Dałbym ci ja, ale nie złota, lecz w głupi pysk, gdyby nie to, że mogłaby ci się rana otworzyć. Nie masz swego dzieciaka, serca przy nikim utrzymać nie potrafisz, baby częściej niż rubachę zmieniasz, to nie mędrkuj!

–A ty za to obabiłeś się i stadko całe za sobą prowadzasz – odszczeknął się

Pastuch. – Myślałby kto, wielce znający z ciebie!

–Oj, bo zapomnę wreszcie, żeś przez gębę cięty! – poderwał się Poroh.

–Obaj milczeć! – syknął Iłja. – Ataman wie, co mówi i co robi. Może i lepiej, by się teraz hetmanowi na oczy nie pokazywał. Przewinę mu Chmiel odpuści albo i nie, z nim nigdy nie wiadomo. A tak Serhij do sił dojdzie, w polu się znów wykaże, jak wtedy, gdy odmówił pójścia na Lachów.

–Gdzie go więc wieziemy? – spytał Semen.

–Nigdzie – odezwała się nagle znachorka, krojąca przy małym stoliczku pod ścianą świeże zioła. – U mnie niech zostanie.

Poroh zapatrzył się na nią, zaskoczony.

–Co też mówisz, stara? – mruknął. – Nie wiada, ile będzie do sił wracał, a jak mu złota zbraknie, znikąd nie zdobędzie, by dać ci wynagrodzenie.

–Nie dla pieniędzy chcę ich przygarnąć – poderwała głowę babka. – Człkiem jestem i współczuć umiem. Co inszego wyciągnąć durnemu Kozakowi z kiesy parę dukatów, omamić go i jeszcze durniejszym potem ostawić, inna zaś rzecz potrzebującemu pomóc, a jeszcze takiej kruszynie... – Z rozrzewnieniem spojrzała na dziecko. – Nim za wiedźmę się zostałam, i ja byłam młoda, sokole. – Westchnęła. – I ja nosiłam pod sercem dziecko, a potem i na sercu, gdy przyszło rozwiązanie. Jenó umarł mój synaczek, ledwie usteczka składać zaczął, by mamuszką mnie nazwać. Przed Tatarami uciekalim całą wsią i w drodze się zmarnił... – Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała głośno, prawie krzyżąc: – Dlatego nie dam na zatracenie tej dziewczuszki, rozumiesz, Kozacze?

–Co mam nie rozumieć? – Semen cofnął się w obawie, że stara jeszcze gotowa klątwę nań w nagłości rzucić.

–Dziękuję, babko... – powiedział cicho Serhij. – Zastanówcie się jednak, czy warto za mnie karku nadstawiać. Diabli wiedzą czy hetman Chmielnicki nie wystawił listów za moją głowę.

–Dla ciebie? – parsknęła stara. – Bredzisz, sokole. Taki mójec sam sobie winien, gdy mu kula lubo ostrze przecina nić żywota. Ale dzieciątko czemu ma cierpieć za grzechy rodzica, jakie by tam one nie były?

–Umiecie wy rzec dobre słowo – burknął chorąży.

–A umiem, umiem – zaśmiała się zgrzytliwie znachorka. – Dlatego ludzie zwą mnie nie inaczej, jeno Sekutnicą. Jeden szlachciura, co przyszedł kiedyś po miłosny

dekokt, by uwieść żonę sąsiada, tak mnie zamianował i zostało.

–Ciekaw jestem, dlaczego właśnie tak? Czyżbyś dała mu fałszywy napar? – zaciekał się Ilja.

Stara fuknęła z oburzeniem.

–Co zaś powiadasz, młodzieńcze? A czy ja jestem Żydek-karczmarz, co miast uczciwej okowity jad podły ludziom wciska? Dałam mu co trzeba. Jeno zapomniałam rzec, iż nie sam ma nieborak dekokt zażyć, ale wybrance go zadać. Paskudny był na gębie jak rzadko się zdarza: dziobaty, pobliznowacony, z czerwonym nochalem i kaprawymi ślepiami. Żmija ślepa nie chciałaby na niego spojrzeć, a co dopiero piękna niewiasta.

–Rozumiem już – roześmiał się Zając. – Nasłuchał się biedaczyna o cudownym napoju, którego skórę wygładza i z ostatniego potwora zdoła uczynić gładysza nad gładysze.

–Ja tam nie wiem, czego się nasłuchał. Wiem jeno, że takiego napoju nie ma...

–Podobnie jak żywej wody i piór żar-ptaków – wpadł jej w słowo Ilja.

Paraskiewia podrzuciła ramieniem.

–Co mi tu będziesz wypominał, sokole? Nie ma to nie ma, a jak kto głupi, niech wierzy, w co chce. Byle płacił.

–Mówcie dalej – poprosił Serhij. – Co z tym szlachcicem?

Stara wstała, podeszła do kołyski, w której Halszka zaczęła się kręcić i postękiwać. Wzięła małą na rękę, a ta zaraz uspokoiła się, oparła na podstawionej dłoni główkę i zaczęła się rozglądać.

–Co z nim? – Wiedźma pozwoliła dziecku ciągnąć się za niesforny pukiel włosów, wysuwający się spod przewiązanej pod brodą chustki. – Ano zażył owego dekoktu, ledwie za płot wyszedł. Na koń wskoczył i pognał, pewnie wpierw do siebie przybrać się godnie i nową gębę w zwierciadle obaczyć. Co działo się dalej, wiem jeno z opowieści. Dość powiedzieć, że nie minęły dwa pacierze, jak dekokt mu rozpałił krew i lędźwie. A chciał los, że wdowa po kowalu Wasylu, Galina, kobieta mocno posunięta w leciech, krowę na pole zganiała. Trza wam zaś wiedzieć, iż urodą mogłaby iść w konkury z owym szlachetką.

Stara zamilkła, uśmiechając się do własnych myśli.

–I co dalej było? – popędził ją zciekawiony Liwka.

–A co miało być? Rozповідаła potem Galina, jakie też cuda z nią wyprawiał szlachcic, i to prosto na drodze, nawet w krzaki nie ciągnąc. Zadowolona była, jakby ją kto na sto koni wsadził.

–Odwrotnie zapewne niż ten nieborak – zaśmiał się Ilja. – Nie mścił się zaś na tobie?

–Był tu potem – odparła babka. – Chciał, bym mu pieniądze oddała, nahajem groził i szablą nawet. Ale ze mną nie tak łatwo. Młodsza byłem, więcej siły miałam, bał się więc, że mu urok jaki zadam, przy którym wstyd, jaki przeżył, niczym będzie.

–Głupich nie sieją – parsknął Semen.

–Nie sieją, Porohu – rzekła znachorka ze śmiertelną powagą. – Ale też wiedz, iż są na świecie rzeczy, których rozumem nie przenikniesz.

–Dość gadania. – Ilja podniósł się. – Czas spać, bo do dnia musimy być na nogach. Skoczę jeszcze tylko do chutoru powiedzieć, by kobiety kolebki nie robiły.

Zanim Serhij zdążył odpowiedzieć, Paraskiewia zamachała rękami w proteście.

–A niech robią, sokole, niech robią, jeno się tak bardzo nie spieszą. Nigdy nie wiadomo, co i kiedy może się przydać. Jeno gdy będziecie odjeżdżać, udaj się do wioski, zapłać kobietom i każ dostawić kolebę do mnie.

–A zatem mamy już chyba jasność, komu Kałmuk oddał siłę – powiedział Hrehory stłumionym z gniewu głosem.

Stary Koszko trząsł głową, jakby nie chciał uwierzyć w to, co słyszy. Milczał.

–Tego jeszcze nie bywało, żeby młójec przekazał duszę babie – rzekł ataman. – Na dobitkę obcej. Jakże mógł zresztą tego dokonać, jeśli ona nie była jeszcze nawet Wilczycą?

–No właśnie – zgodził się Koszko. – Jak?

–Ty mi powiedz – warknął basior. – Do rady cię wezwałem, a nie żebyś zadawał pytania, na które sam szukam odpowiedzi.

–Nie sierzście się, atamanie – odparł staruszek. – Łatwiej mi myśleć, kiedy głośno sam siebie zapytam.

–To myśl i pytaj, ale chcę znać też odpowiedzi.

Koszko przestał trząść głową, spojrział w zakopcone belki powały, jakby w nich

szukał wyjaśnienia kwestii dręczącej atamana i jego od kilku dni.

–Zbadałem dokładnie sprawę – rzekł stary Wilkozak po chwili. – Obejrzałem waderę i pod postacią Wilka, i w ludzkiej powłoce. Nie wiecie nawet, atamanie, jak ciężko było ją okiełznać. Silna samica.

–Co mi tu opowiadasz! Silna, to i dobrze, bo będzie rodziła mocne szczenięta. Do rzeczy mów!

–Pewność mamy, iż dostała duszę Kary, skoro moc zyskała pierwszej Okołopelni, bez uprzednich obrzędów. Potrwa trochę, zanim stanie się w pełni nasza, ale waderą już jest.

–Przedtem zadawałeś pytania, które sam sobie zadaję, teraz opowiadasz o rzeczach doskonale mi znanych. Czyżbyś już był tak stary, że rozum zaczyna ci się mącić?

Koszko oderwał wzrok od powały, spojrzął na Hrehorego. Ataman mógłby przysiąc, że dostrzegł złośliwy uśmieszek na suchych, pomarszczonych wargach rozmówcy.

–Powiem jeszcze coś, co wiesz doskonale, atamanie, a przynajmniej tak ci się wydaje. Jak do tej pory nigdy nie zdarzyło się, aby wojownik odszedł na tamten świat, przekazując wilczą siłę niewieście.

–Zaczynasz mnie drażnić, stary – warknął. – To wiem równie dobrze jak ty. Jak wszyscy!

–Ale to niezupełnie prawda. – Koszko nie krył już uśmiechu. – Są rzeczy, o których się nie mówi. Plemię Wilka potrafi strzec tajemnic nie tylko przed ludźmi, ale nawet przed swoimi.

–Mów! – rozkazał Hrehory.

–Nie zdarzyło się nic podobnego za mojego życia, a w każdym razie nie wiem o tym. Wykluczyć niczego nie można, albowiem...

–Wiem, stary – wpadł mu w słowo ataman. – Potrafimy strzec tajemnic. Mówże do rzeczy!

Koszko wrzucił lekko ramionami. Niecierpliwy wódz, zupełnie jak wtedy, gdy obejmował władzę nad siczą. Ale też i myśleć potrafi szybciej niż inni, więc stąd owa niecierpliwość może wynikać. Stary przekonał się już dawno, że leciwy Hrehory nawet w wilczej skórze zachowuje sporo zdrowego rozsądku, potrafi lepiej od pozostałych opanowywać zwierzęce żądze, które wówczas ćmią rozum.

–Jako już rzekłem, nie słyszałem w życiu o podobnej rzeczy – podjął. – A żyję długo,

przeszło dwieście lat, niebawem pewnie Bóg na niebiesiach powoła mnie do siebie i odeśle w ciche miejsce, gdzie wraz z przodkami zaznam odpoczynku... – przerwał, widząc gniewny grymas na twarzy przywódcy. – Już mówię, już, nie ma co się tak wełnować, atamanie. Otóż babka moja opowiadała o pewnym szaleńcu, co wbrew naturze Wilków obdarzył waderę ludzkim uczuciem, tym, które zwą miłowaniem. Dziwak to był wielki, jedną ino samicę trzymał i z nią tylko miał szczenięta. Słupnikiem go przewali ziomkowie, bo tak jak Szymon trzymał się swojego słupa i nie chciał go opuścić, tak ten niewiastę miał jedną i o innej nie chciał słyszeć.

–Co zaś znowu bredzisz? – warknął Hrehory, na dobre już rozeźlony. – Dyrzymały babskie zostaw dla bab. Ja chcę wiedzieć...

–Już mówię! – Koszko zamachał rękami. – Ale pozwól dojść do sedna. Cierpieli w siczy jego dziwactwa, bo był najprzedniejszym wojownikiem. Nie używano jeszcze wonczas samopałów, szablę nawet miał jeno co poniektóry, mieczami się posługiwali, a wiesz, jak trudny to oręż. Gdyby był jak inni, pewnie by rządził siczą, może niejedną, bo wonczas wszak bywało, że ten i ów ataman stał nad kilkoma, posiadając coś jakby własne księstwo. Zaś sicze nie leżały oddalone od siebie o wiele dni drogi, ale w niektórych stronach gęsto się od nich robiło. Wybijaliśmy się nawzajem w ustawicznych wojnach, lecz samice nadażały rodzić nowych żołnierzy – rozmarzył się stary, ale zaraz wrócił do opowieści. – Otóż, jak powiedziałem, trzymał on ową waderę jedną i nie chciał słyszeć, że prawy woj winien mieć pokaźniejsze stado. Pogodzili się z tym wszyscy, lecz pewnego dnia przybył do siczy obcy Wilk, o którego sile bajki opowiadano. Sławy pozazdrościć by mu mogli najwięksi bohaterowie. Prawdziwe imię jego ukryte było przed ciekawskimi, zaś zwano go Hektorem. Musiałeś i ty o nim słyszeć, atamanie.

–Pewnie, że słyszałem. – Zdawało się, że jeszcze chwila, a Hrehory skoczy na równe nogi, wydobędzie szablę i tnie kalekiego gadułę przez czerep. – Położył trupem więcej wrogów, niż cała wataha przez lat dziesięć by zdołała. Jednak słuch o nim zaginął.

–Właśnie – rzekł ucieszony nie wiadomo dlaczego Koszko. – Przybył ci on do siczy i los chciał, że oczy jego spoczęły na waderze Słupnika. Nieszczęście chciało, że zaczął się właśnie czas rui, kiedy to Wilcy powołują na świat nowe pokolenie. Nadobna też musiała być Wilczyca, skoro taką żądzą zapalał do niej Hektor...

Gdzieś na zewnątrz rozległ się tęskny głos liry korbowej. Stary zamilkł, zasłuchał się w smutną melodię, do której po chwili dołączył dźwięczny głos śpiewaka.

–Lirnik do nas zawitał – zauważył. – Ślepy Witia. On by może ułożył piękną pieśń o walce Hektora ze Słupnikiem.

–Gdybyśmy mu mogli o niej opowiedzieć – dokończył Hrehory. – I rozniósłby ją na

całą Ukrainę, i wszyscy na Dzikich Polach mogliby poznać nasze tajemnice.

–Kiedyś i tak ludzie się dowiedzą tego i owego.

–Im później, tym lepiej. Mów dalej. Jak to się stało, że Słupnik ofiarował waderze swoją moc?

Koszko uśmiechnął się krzywo.

–Domyśliłeś się już zatem, że przegrany w walce wlał w nią część dwuduszy?

–Inaczej po co byś plótł o szalonym Wilku?

–Słusznie. Otóż stanęli do walki Hektor i Słupnik. Opowiadali mi nasi, jak dzielnie sobie poczynał Kirył z Karą, ale ich pojedynek niczym by się wydał w porównaniu ze zmaganiem tych dwóch. Miecze ponoć waliły jak gromy, sypiąc skry. Tędy to byli wojacy, ćwiczeni i doświadczeni. Może nie zabił Słupnik tylu wrogów co Hektor, ale moc miał wielką. Skruszyli w pierw jedno miecze, potem drugie. Gdy zaś im trzecie podano, rzekł przybysz do męża wadery, iż oto nadchodzi ostatnia jego godzina. Albowiem, jako wiesz, gdy trzecią parę broni wojownicy zniszczą, musi przyjść do wilczych kłów i pazurów, choćby walkę trzeba było przerwać i czekać na Okołopelnę, by jej dokończyć. Tutaj zaś Słupnik nie miałby najmniejszych szans z przeciwnikiem, albowiem Hektor przemieniał się w wyjątkowo wielkiego basiora i – uczciwie rzecz przedstawiając – w wilczej postaci nazabijał tych wszystkich ludzi i innych Wilków, nie z bronią w ręku. Wiedział o tym Słupnik, ale cóż miał poradzić? Stanął do pojedynku i znów zadźwięczała stal.

Ponownie przerwał, wsłuchując się w śpiew lirnika.

–Pięknie by on to przedstawił – mruknął do siebie i zaraz ciągnął dalej, nie chcąc więcej rozdrażniać atamana. – Jak to się stało, nie wiadomo. Czy Hektor krzywo stąpnął, czy kolano się pod nim ugięło, czy wreszcie cios Słupnika był piekielnie mocny, dość, że wielki wojownik musiał przyklęknąć, a wtedy rozpędzona głównia rozplątała go od barku do biodra. Spojrzał na zwycięzcę. Albo jemu wszak powinien oddać moc, albo swemu atamanowi, albo najbliższej watasze. Ponieważ nikogo nad sobą nie uznawał, a wataha była mu całkiem obca, pozostał tylko Słupnik. Lecz Hektor zaśmiał się gromko, obrócił się w Wilka i napełnił wilczą połową dwuduszy waderę. Koszko zamilkł, a Hrehory rozważał to, co usłyszał.

–Jeśli to prawda, wyjaśnia, dlaczego słuch o bohaterze zaginał – rzekł po chwili. – Jeno w jaki sposób Hektor przekazał siłę suce? Między wojownikami zawsze jest więź, odwieczna, wynikająca ze wspólnej mocy otrzymanej od Stwórcy. Ale żeby dać siłę waderze, trzeba by i z nią mieć co wspólnego. A co może mieć obcy Wilk... – mówił coraz wolniej, a potem zapytał: – Czegoś mi jeszcze nie powiedziałaś?

–A nie powiedziałem – odparł poważnie Koszko. – Noc przed pojedynkiem Hektor zniewolił waderę Słupnika.

–Niech to biesy porwą! – zawołał ataman. – Uważasz, że wystarczy nasienie krążące w samicy? Wszak obrzęd...

–Obrzędy to do siebie mają – przerwał mu starzec – że miesza się w nich to, co konieczne, z tym, co zbędne, ale za to podoba się uczestnikom. Aby przyjąć niewiastę do stada, trzeba jej dać do picia krwi własnej lub jakiejś swojej wadery. W ostateczności kogokolwiek z Wilków. Bo to we krwi kryje się wilcza część dwuduszy. A może skoro we krwi, to też i w nasieniu? Kto wie czy w nasieniu nie mocniej?

–Ale dlaczego? – Hrehory nie zamierzał dać spokoju nurtującemu go pytaniu. – Dlaczego Hektor w opowieści i Kara w naszej przytomności przekazali moc babom? Bo chcieli?

Koszko wzruszył ramionami.

–Na to z całkowitą pewnością odpowiedzieć nie mogę. Nie wiem i koniec. Może chcieli? Za co miał Hektor obdarzyć siłą zwycięzcę? A Kara, dlaczego przekazać ją tobie, skoroś go poniechał i wystawił na pojedynek? Ale możliwe, że to właśnie nasienie, obecne wciąż jeszcze w lędźwiach zgwałconych kobiet przyzywało dusze umierających.

Ataman skinął głową. To pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi, przynajmniej na razie.

–Przyjmijmy, że tak jest – mruknął. – Chociaż wadera Słupnika była już Wilczycą w chwili, gdy otrzymała Nienazwaną, a nasza branka dopiero się nią stała po przyjęciu mocy Kary. Niech będzie.

–Jest jeszcze coś – powiedział Koszko. – Samica należąca do Słupnika zyskała odtąd...

Przerwał, bo drzwi otworzyły się gwałtownie, w progu stanął Romka, daleki kuzyn Hrehorego, pełniący dziś straż przed domostwem atamana.

–Ślepy Witia przyniósł ważne wieści! – oznajmił. Mówił pospiesznie, widząc zmarszczone gniewnie brwi atamana.

–Tak ważne, że trzeba było mi przeszkodzić?

–Obawiam się, że tak.

Rozdział 7

Czehryń przywitał Kozaków potwornym smrodem. Nawet w zwyczajnym czasie miasto nie mogło się poszczycić przenikającymi je zapachami wschodnich aromatów, zawsze było tu pełno żołnierzy, a co za tym idzie – w uliczkach między domami panował niepodzielnie odór przetrawionej gorzałki, fekaliów i wymiocin, lecz tym razem nad Czehryniem unosił się wyjątkowo drażniący zmysły słodko-mdlący swąd. Wysmagani wiatrem, nawykli do zapachu suchej stepowej trawy, Liwka, Ilja i Semen zatykali nosy i zasłaniali usta rękawami. Bramę wjazdową ozdobiono wieńcem rozkładających się trupów, niedaleko za nią straszyl pal z wbitym nań nieszczęślikiem. Krew wypływająca spomiędzy nóg, zasychając, utworzyła splot na wzór potwornego kilimu, który otulił słup. Widać było, że pierwsza, obfita fala spłynęła aż do stóp narzędzia kaźni, a następne, coraz słabsze, zamierały wyżej, sięgając podłoża tylko pojedynczymi soplami. Stada much obsiadły twarz i odsłonięte ciało skazańca, tworząc nań ruchliwy, obrzydliwy pancerz. Ofiara wydawała się już martwa, obojętna na to, co się dzieje. Kozacy przystanęli przed narzędziem kaźni. Liwka odwrócił wzrok, z trudem powstrzymując wymioty. Nie robiły na nim większego wrażenia wszelakie rany, odcięte członki, nawet rozpruwane w amoku brzuchy ciężarnych kobiet czy roztrzaskane o próg domu głowy niemowląt. Od zawsze jednak źle znosił trupi odór i widok powolnej śmierci. Jego towarzysze nie mieli takich uprzedzeń. Zarówno Ilja, jak i Semen z ciekawością przyglądali się wbitemu na pal.

–Ciekawe, za co go nawlekli – rzekł Poroh.

–A wiele to trzeba? – wzruszył ramionami Zając. Z wysokości siodła mógł spojrzeć prosto w twarz skazańca. – Jak się Chmiel rozsierzdzi, nie zna umiaru. Równie dobrze mógł się ten biedaczysko dopuścić zbrodni, jak i powiedzieć coś nie w porę. Mogliby go już jednakowoż zdjąć, bo lada godzina cuchnąć zacznie zupełnie jak ci przy bramie. Tam jednakowoż wiatry przynajmniej hulają ze wschodu na zachód, odsuwając nieco smród od miasta, a tutaj, między murami, zostaje. Już zdrowo zalatuje zepsutą krwią. Jak tak dalej pójdzie...

Przerwał nagle, bo nieoczekiwanie rzekomy trup poruszył głową. Część much odleciała, a na Kozaków spojrzały przepełnione bólem i szaleństwem oczy. Usta poruszyły się. Ilja podjechał bliżej, nie zważając na mruczenie Poroha i odgłos torsji. Pastuchowi było tego stanowczo za wiele. Zając próbował dosłyszeć, co mówi umierający. Spłoszone owady fruwały dookoła z donośnym brzęczeniem. W rozcięciu na obojczyku, wypełnionym ropą, wiły się bladożółte czerwie.

–Strzeżcie się – wychrypiał skazaniec. – Źle się dzieje...

–Rany boskie! – doleciało zza pleców Ilji. – To Hryńka!

Zając drgnął, odsunął się od mamroczącego nieszczęśnika. Rzeczywiście, dopiero teraz, kiedy muchy całkiem odleciały z zakrwawionego oblicza, rozpoznał zniekształcone cierpieniem rysy przyjaciela.

–Matko jedyna – wyszeptał. – Co się stało?

Hryńka przymknął oczy, wypuścił gwałtownie powietrze. Widocznie pał wdarł się wyżej, bo spomiędzy nóg pociekł strumyczek świeżej krwi.

–Umieram – wyrzęził. Na Iliję znów spojrzwały przepelnione bólem oczy. – Umieram...

–Powiedz, co się stało?

–Znajdź Melecha... Piotra... On powie...

Głowa Hryńki zwisała, oddech stał się płytki, urywany. Nieszczęsny Kozak stracił przytomność.

Ilja zacisnął zęby, sięgnął za cholewę buta, wyjął długi nóż. Zamierzył się, aby przeciągnąć po gardle umierającego. Lecz jego ręka zniecka uwięzła w żelaznym uścisku.

–Oszalałeś? – warknął Poroh. – Jemu skrócisz męki o godzinę, a na nas sprowadzisz nieszczęście. I bez tego będziemy się gęsto tłumaczyć hetmanowi.

Zając wypuścił przez wciąż zacięte zęby powietrze, szturchnął konia piętami.

–Masz słuszność – rzekł zduszonym głosem. – Nie wiadomo, zali biedny Hryńka jeszcze coś czuje. Odnajdźmy lepiej Melecha, on nam ma wszystko powiedzieć.

Semen odetchnął z ulgą. Choć zazwyczaj najbardziej z ich trójki rozsądny, Ilja potrafił się czasami poddać szaleństwu, uczynić coś wbrew rozsądkowi. Na szczęście nie tym razem.

–Tak, tak – przyświadczył gorliwie potężny Kozak. – Hryńka na pewno nic nie czuje...

Lecz w tej chwili, gdy mieli odjechać, skazaniec podniósł jeszcze głowę, płosząc znowu stada much.

–Żegnajcie – wyjęczał. – I nie wspominajcie źle...

Przerwał, a umęczone rysy wykrzywił grymas bólu.

Tym razem Poroh nie zdążył ubiec Zająca. Długi nóż wykonał szerokie półkole, szybko niczym uderzenie pioruna. Z rozerzniętej szyi wyciekła struga krwi, leniwie

jednak, nie bryzgając purpurową fontanną.

–Oczadziałeś – mruknął Semen. – Mogą nas samych za to palem nagrodzić.

–Raz maty rodyła – odparł twardo Ilja. – Dałbyś mi tak zdychać? Otóż to. A pamiętasz, ile razy Hryńka pleców nam pilnował w największym zamęcie? To jeden z nas, choć gdy człeka wbiją na koł, zawsze wydaje się kimś obcym. Pobratymstwo sobie przyrzekaliśmy lata temu na pobjowisku. Zapomniałeś?

–Dobrze już – powiedział pojednawczo Poroh. – Jedźmy lepiej, bo się zbiegowisko robi. A Melecha znaleźć nie będzie łatwo. Skoro smród się uczynił, spryciarz wlał do lisiej nory, by przeczekać.

Wszystkie cierpienia przeszły jak ręką odjął. Odkąd stała się Wilczycą, nie czuła bólu, właściwie się nie męczyła, widziała świat zupełnie innym niż przedtem. Zachłysnęła się przemianą, zrozumiała, dlaczego te wszystkie kobiety, które zostały przez Wilków porwane, nie próbowały się uwolnić, nie uciekały, choć przecież nikt ich zanadto nie pilnował. Któż zresztą zdołałby upilnować kilkaset niewiast?

Spała po dawnemu w szopie na opał. Nie skarżyła się. Stara Zirasza burczała na brankę i nie wpuszczała za próg domostwa. Z początku Marika miała o to żal – w końcu syn gospodyni przyjął porwaną jako swoją waderę, a zatem kobieta, nawet własna matka, nie powinna mu się sprzeciwić. Takie zwyczaje panowały w rodach kozackich, nie inne musiały być i tutaj, może nawet surowsze. Jednakże po kilku dniach od przemiany dziewczyna zrozumiała, dlaczego Zirasza postępuje tak, a nie inaczej. Wiedziona ciekawością, zajrzała do domu przez uchylone drzwi. Przestronna izba mogła pomieścić liczną rodzinę. A ta była naprawdę liczna. W środku krzątało się kilka kobiet. Ostre, a zarazem płynne ruchy w każdej zdradzały Wilczycę. Marice przeleciała przez głowę myśl, że zapewne ona też tak się porusza. Wadery miały w sobie grację, która wydawała się nie z tego świata. A może tylko ona miała takie wrażenie? Może to na skutek przemiany widziała w nich piękno? Kilkoro maleńkich dzieci pełzało po podłodze, baraszkowało na skórach, którymi zarzucone były zbite z desek wyrka.

Wadera stojąca przy rozpalonym kominie odwróciła się nagle, spojrzała prosto w oczy zaglądalej do wnętrza brance. A potem wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Wilczyca odwróciła się na pięcie, wzięła krótki zamach i rzuciła czymś prosto w pierś Mariki. Dziewczyna odskoczyła w ostatniej chwili, a ciężki nóż wbił się w ziemię tuż obok jej stopy. Zamarła na chwilę, zaskoczona, wpatrzona w połyskujące niebieskawo ostrze, a wtedy zwałił się na nią jakiś ciężar, na policzkach poczuła drące skórę paznokcie. Potem nastąpiło kopnięcie w plecy, na głowę, ramiona, piersi spadł grad ciosów. Krzyknęła bardziej ze strachu niż bólu, bo ten

jeszcze nie nadciągnął. A Wilczyce okładały ją bez litości, w ciszy i zapamiętaniu. Jedna próbowała zatkać ofierze usta. Marika poczuła wstępującą w nią wściekłość. Powietrze zdawało się wypełnione nienawiścią, słońce świeciło inaczej niż zwykle. Dziewczyna otworzyła usta najszerzej jak mogła, aby złapać oddech. Niespodziewanie zasłaniająca je ręka okazała się zbyt szczupła, aby przykryć wargi, znalazła się między zębami. Marika zacisnęła szczęki. Rozległ się chrzęst miażdżonych kości i wycie. Bita wstrząsnęła się, napastniczki opadły z niej w jednej chwili, rzuciły się do ucieczki, schroniły w domu. Dziewczyna miała ochotę pognać za nimi, ale wtedy wyrosła przed nią postać w szerokiej, wełnianej spódnicy i chuście na głowie. Zirasza. Marika natychmiast się uspokoiła, nienawiść przepelniająca serce odeszła, a jej miejsce zajęła obawa. Poraniła jedną z synowych gospodyni. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale na pewno uszkodziła Wilczycy rękę. Kara z pewnością jej nie minie. Ale Zirasza nie wyglądała na zagniewaną, raczej na zdziwioną.

–Mówiłam, żebyś nie podchodziła pod dom – rzekła niespodziewanie łagodnie. – Żony Wilków nie cierpią ich nałożnic.

–Nie jestem nałożnicą – odparła Marika oburzona.

–Ja to wiem i ty to wiesz, ale tym głupim babom nie wytłumaczysz, że syn mój wziął cię pod swój dach tylko dlatego, że było to do czegoś potrzebne jego najbliższemu towarzyszowi. Nie wiem do czego i nie chcę wiedzieć. Kirył pewnie też nie bardzo zdaje sobie sprawę z zamiarów Micheja. Ale skoro się sprzęgli, wybrali jeden los, nie mnie się w to mieszać. Poczekaj tu, zaraz przyjdę.

Stara weszła do domu. Po chwili w środku rozległy się krzyki Wilczyc, lecz zaraz zapanował nad nimi gniewny głos Ziraszy.

–Nic jej nie będzie – rzekła, kiedy wróciła i znów stanęła przed Mariką. – Kości ma tylko połamane, głupia. Od tego się nie umiera. Inne złe, bo będą ją musiały wyręczać. Ale ty już im w drogę nie wchodź. Ataman nie lubi, jak się męt czyni w siczy.

–To mnie wygnajcie albo lepiej zabijcie! – zawołała z goryczą dziewczyna. – Ulga to będzie.

–Gadasz byle co. Wilczycą już jesteś, ani cię zgładzić bez wyroku rady, ani wygonić nie wolno.

–Ale tamta chciała... Nożem cisnęła.

–Bo głupia jest. Ani godziny by nie przeżyła. Ty zresztą też, gdybyś ją pozbawiła życia. Prawo Wilków surowe jest. Dla wszystkich.

–Nie jestem Wilczycą, nie należę do was! – Marika zacisnęła dłonie w pięści w nagłym, nieoczekiwanym dla niej samej proteście, w jej oczach zapłonął ogień.

Zirasza potrząsnęła głową.

–Będziesz się ciskać, będziesz przeczyć. Przemieniłaś się raz, przemienisz i następny. Napiałś się mojej krwi, przyjęliśmy cię do watahy.

Marika uciekła ze łzami w oczach, schroniła się w swojej szopie. Nie chciała być Wilczycą, nie chciała ze wszystkich sił, choć przecież wiedziała już, że stało się najgorsze.

Najgorsze?

Może... Gdzieś tam zostało dawne życie, zniknął ukochany mężczyzna, odjechał wraz z dzieckiem... On... Jak mu było na imię? Boże, jak mu było na imię?!

Po zejściu z waderą Marika unikała podchodzenia pod samo domostwo. Zirasza przynosiła jej posiłki, stawiała glinianą misę i dzban pod drzwiami i odchodziła. A dziewczyna czekała z obawą na kolejny czas przemiany. W sercu jej rosła dziwna, nieopisana tęsknota. Nie wiedziała właściwie, za czym tęskni. Przecież stała się Wilczycą, a wszyscy wiedzą, że Wilkozacy serca mają z kamienia, nie żywią uczuć, nie mają ich nawet dla własnych szczeniąt, kierując się jedynie prawem.

Lecz tęsknota narastała, stawała się coraz większa i trudna do wytrzymania. Wreszcie nadeszła kolejna Okołopelnia, a przemiana okazała się nie tak bolesna jak poprzednio. Widać ciało pogodziło się już z tym, że przekształca się w coś innego, obcego... Nie, już nie obcego. Gdy nadeszła noc, Marika w wilczym ciele poczuła się lepiej niż w ludzkim. Poczuła wielką ulgę. Wpierw nie wiedziała dlaczego, dopiero później dotarło do niej, że to za sprawą zamknięcia się w ciasnym, zwierzęcym umyśle. Nie było tam miejsca na nic innego niż proste myśli, proste pragnienia. Czują głód, czują też wspólnotę ze stadem, a wspólny zew skierowany do księżyca dawał radość. Potem, rano, ból istnienia i dziwna tęsknota powróciły, Marika czekała więc na wieczór, by uciec od nich, pogrążyć się w zwierzęcej nieświadomej niewinności.

Wędrowcy szli ramię w ramię pylistą drogą, jednym z nielicznych traktów rozrzuconych pośród ukraińskich ziem, bliskich Dzikim Polom. Unikali ludzkich siedzib, zadowalając się noclegami pod gołym niebem, podłą wodą znajdowaną w na wpół wyschniętych studniach przy porzuconych domostwach lub lepszą, bijącą ze skąpych źródeł. Z polowaniem nie mieli trudności, wszak całe życie nic innego nie robili, a wśród zarośli i traw roiło się od różnorodnych stworzeń.

Jednak tego dnia obaj mieli już dość otwartych przestrzeni. Deszcz siąpił od rana,

około południa zerwał się ostry wiatr, a potem spadła dokuczliwa ulewa. Przemoczone kaftany zeszywniały, brudne rubachy lepiły się do ciała. Trzeba było znaleźć jakieś osiedle. Na szczęście weszli w gęściej zaludnione okolice.

–Błąkamy się niby głupi Wańka z ruskich opowieści – odezwał się Michej. – Albo i gorzej.

–Albo i gorzej – przyświadczył Kirył – bo taki Wańka wie chociaż, dokąd zmierza, a my...

–A my musimy się tego dowiedzieć. – Michej odwrócił głowę, chroniąc oczy przed bardzo mocnym podmuchem wiatru, siekącym kroplami lodowatej wilgoci.

–Co masz na myśli?

–Pogadamy w cieplejszym i bardziej suchym miejscu, bo tutaj cisną mi się na usta same plugawe słowa. Klniemy od rana bez przerwy i tego też mam już dosyć!

Przyszło im iść jeszcze ze dwie wiorsty, zanim Kirył, obdarzony lepszym węchem, poderwał głowę i oznajmił:

–Dym czuję. Najpewniej jakiś chutor jest niedaleko.

Do Micheja zapach dymu dotarł dopiero po dłuższej chwili. Na szczęście nawet w ludzkich skórach Wilcy mieli zmysły bardziej wyostrzone niż zwyczajni ludzie. Inaczej w deszczu i zawierusze nie wyczuliby woni osady. Zaraz też natknęli się na ledwie widoczną ścieżkę biegnącą w bok, którą łatwo mogliby przeoczyć, gdyby nie spodziewali się, że w pobliżu może się znajdować osiedle.

–Chutor – ocenił Michej. – Ledwie wydeptana trawa, widać nieczęsto tędy chodzą ludzie, ale jednak.

Osada ukryła się za pokrytym rzadkim lasem pagórkiem. Kiedy podróżni weszli między drzewa, zapach dymu stał się wyraźniejszy, snuł się między niskimi pniami rachitycznych sosen i świerczków, przyciskany do ziemi ciężką dłonią wszechobecnej wilgoci. Michej był trochę zdziwiony, gdyż biorąc pod uwagę mocny wiatr, dym powinien się rozproszyć, zanim dotarł do lasu. Chyba że chutor znajdował się między drzewami, a nie na otwartej przestrzeni. Prawda okazała się jednak inna – osada została założona w dolince między wzgórzami. Dolinka ta wyglądała, jakby ludzie sami ją wykopali w tym miejscu, aby osłonić się przed kapryсами natury. Inna rzecz, że w taki dzień przytłoczony deszczem dym snuł się nisko, gryząc w oczy. Lepsze to było chyba jednak od wystawiania się na przykre podmuchy.

Psy poczuły obcych i rozjazgotały się, budząc czujność miejscowych. Otoczony

niską, ale solidną palisadą chutor ożył, z chat wyskoczyli mężczyźni uzbrojeni w rusznice, przy szablach.

–Patrz, jacy czujni – mruknął Kirył.

–A ty byś nie był czujny? – prychnął Michej. – Czasy niepewne, nie wiadomo, kto i z czym przychodzi. Głupi by się nie pilnował.

–Na Kozaczyźnie czasy zawsze są niepewne.

Z uniesionymi rękami zeszli po niewielkiej pochyłości pod małą bramę. Michej skonstatował, że łatwo by było razić mieszkańców chutoru, stojąc pośród drzew, bo palisada zasłaniała rozrzucone rzadko budynki oraz majdan dopiero, kiedy podeszło się bliżej, podczas gdy z góry wszystko było widać jak na dłoni. Wydawało się to dziwne.

–Czego chcecie, dobrzy ludzie? – rozległo się zza ogrodzenia.

–Schronienia i kubka wody dla strudzonych chrześcijan.

–Dwóch was ino?

–Dwóch, nie obawiajcie się.

Psy zamilkły uciszone ostrym rozkazem. Brama skrzypnęła, ukazał się w niej krępy Kozak o karku tak grubym, że nasadzona nań głowa wydawała się śmiesznie nieduża.

–Wejdźcie więc, strudzeni chrześcijanie – rzekł, odsuwając się na bok tak, aby musieli przeciskać się obok niego pojedynczo. Zaś on lustrował ich uważnie, jakby potrafił dostrzec, czy nie chowają aby pod ubraniem jakiejś niespodzianki. Na przerzucone przez plecy guldynki i szable nawet nie zerknął. Doświadczony wojak, ocenił Michej. Nie to jest groźne, co widać, ale co ukryte. Każdy Wilk był uczony tej prawdy od wczesnego dzieciństwa, wysysał ją z mlekiem matki, ale sami ludzie – twórcy i hołdownicy zdrady oraz podstępu – nader często o niej zapominali. – Znajdzie się miejsce dla czestnych ludzi pod naszym dachem.

–Jesteście naczelnikiem tego chutoru?

Krępy roześmiał się.

–Nie uznajemy tutaj naczelników ni atamanów. My wolni Kozacy.

Michej nie odpowiedział, choć korciło go, aby zapytać, kto w takim razie dowodzi zbrojnymi, kiedy na chutor przypuszczą atak Tatarzy, zawistni sąsiedzi czy

choćby jacyś maruderzy, ale zmilczał. Ludzie bywali nader skorzy do gniewu, jeśli się podawało w wątpliwość ich słowa. Młody Wilk przekonał się o tym kilkanaście lat wcześniej, gdy został wysłany z poselstwem i darami do wojewody Kisiela. Wystarczyło, że zaprzeczył pewnemu szlachcicowi, który błędnie utrzymywał, jakoby tatarskie zagony spaliły kilka miesięcy przedtem Hretycz, podczas gdy chodziło o Hartycz. Byłoby się skończyło pojedynkiem, gdyby nie interwencja samego Kisiela. Co więcej, szlachcic koniec końców wiedział, że nie ma racji, a mimo to nie dość, że upierał się przy swoim, to jeszcze traktował Wilka, jakby ten był czemuś winien, choć poszło przecież o zupełny drobiazg.

Za bramą czekał drugi Kozak, młody, dość szczupły, ale o rysach twarzy na tyle podobnych do tego, który przywitał Micheja i Kiryła, że nie mogło być wątpliwości, iż to jego młodszy brat. Skinął na przybyłych, poprowadził ich między dwoma niskimi domami z desek, prosto na niewielki majdan. Michej rozglądał się z ciekawością. Chutor był niewielki, lecz przebywało w nim zadziwiająco dużo ludzi. W dodatku samych uzbrojonych mężczyzn. Michej nie dostrzegł nigdzie dzieci, które powinny zerkać ciekawie na niespodziewanych gości, nie mignęła ani jedna kobieca zapaska. Czyżby Kozacy kazali się tak dokładnie ukryć rodzinom?

–Uważaj – mruknął do Kiryła. – Nie podoba mi się tutaj.

Kirył nie odpowiedział, nie dał najmniejszego znaku, że usłyszał, ale Gryszczy był pewien, że jego słowa dotarły do towarzysza. W tej chwili z chaty naprzeciwko wyszła kobieta. Michej odetchnął z ulgą, ale zaraz znów spiął się w sobie. Niewiasta miał skopka mleka dzierżyła w dłoniach spory garłacz. Nie celowała w przybyłych, szerokie zakończenie lufy oparła o zagięte przedramię, widać jednak było, że w każdej chwili jest gotowa skierować ją w stronę Wilkozaków. O jej nie do końca przyjaznych zamiarach świadczył także zapobiegliwie odwiedziony kurek broni.

–Witajcie – powiedziała nieoczekiwanie niskim, ale melodyjnym głosem. – Bądźcie sobie radzi pod naszym dachem, Wilcy.

Michej dostrzegł kątem oka, jak Kirył sięga powoli do rękojeści zatkniętego za pas pistoletu.

–Stój – syknął. – Zasypią nas kulami, zanim zdążysz wyjąć samopał!

–Bardzo rozważnie – skinęła głową kobieta. – Może i trudno was zabić, ale moi towarzysze na pewno dadzą radę. To nie noc czasu przemiany, nie jesteście nieśmiertelni... – Roześmiała się głośno. – Zaskoczonyś, że wiem, iż tylko wtedy nie można zgładzić Wilkozaka?

Michej nie odpowiedział. Z ulgą skonstatował, jak jednakowoż ludzie mało wiedzą... na szczęście. A ci tutaj? Wolni Kozacy... Do młodego Wilka dopiero w tej chwili

dotarło znaczenie słów wypowiedzianych przy bramie przez osiłka. Zwykli to byli rozbójnicy w istocie rzeczy. Nie uznawali naczelników i atamanów. Prawdę rzekł krępy. Nie dodał tylko, że mają po prostu herszta. Albo...

–Wy tu rządzicie, pani? – spytał.

–Ja albo nie ja. Dla was to wszystko jedno. Czego szuka dwóch samotnych Wilków tak daleko od najbliższej wilczej siczy?

–Paraskiewio, Paraskiewio! – rozległ się na zewnątrz piskliwy głos.

Halszka otworzyła oczy, odwróciła główkę, popatrzyła na twarz śpiącego obok ojca. Sapnęła, zmarszczyła nosek, po czym wyciągnęła rączkę, żeby dotknąć szorstkiej brody ojca. Serhij golił się rzadko, raz na kilka dni, bo nie potrafił jeszcze dźwignąć wyżej prawej ręki, lewą szło mu niesporo, a od pomocy znachorki odżegnywał się, od kiedy stara o mały włos byłaby poderżnęła mu gardło. „Nie te już ręce”, zaskrzeczała, gdy trysnęła krew. Zaraz opatrzyła ranę, rano i wieczór przez parę dni obmywała ją ostro pachnącym wywarem tak, że niebawem o niefortunnym zdarzeniu przypominała tylko świeża blizna, ale Kozak wołał więcej nie ryzykować. Nie te ręce, to się zgadzało jak najbardziej. Wiek robił swoje. Być może kiedyś babka mogłaby muszkom zszywać skrzydełka, ale teraz nie dałby jej do zacerowania nawet żagla czajki.

–Paraskiewio! – zawołał znowu piskliwy głosik.

Serhij pogłaskał córeczkę po główce, zwlekł się z łóżka, jęcząc. Ledwie wstało słońce i nie miał ochoty zrywać się tak wcześnie. Niestety, stara przed świtem udała się do lasu po jakieś zioła, które należało zrywać właśnie o takiej porze. Uchylił okiennicę.

–A czego tam chcecie? – spytał opryskliwie. Miał nadzieję, że zdoła zniechęcić kobietę.

–Ja do Paraszki...

–Nie ma jej.

–A kiedy będzie?

–Jak przyjdzie, to będzie – odparł niecierpliwie. – Nie spowiada mi się.

Na podwórzu przez chwilę panowało milczenie.

–Powiedzcie jej, że była Miłonkowa. Do mojej córki trzeba przyjść, bo zlegnąć ma niebawem, a cosik się jej z plecami porobiło i krew się z niej co i raz puszcza. Nijak jej tu przywieźć. Wóz jaki tam mamy, ale zanadto trzęsie – w głosie kobiety zabrzmiały płaczliwe tony.

Serhij poczuł nagle wstyd, że chciał odprawić chłopkę jak jakiegoś natręta. W końcu nie był u siebie, ludzie przychodzili wszak do wróżychy, nie do niego.

–Wejdz – powiedział. – Nie wiem, kiedy babka wróci, ale może coś razem wymyślimy.

–Co tam chłop przy rodzącej wymyśli – wymamrotała pod nosem kobieta, ale weszła do chaty.

Halszka na widok obcej twarzy wygięła usta w podkówkę, lecz zanim zdążyła się rozplakać, Serhij wziął ją na rękę, nieporadnie wspierając się chorym ramieniem. Przybyła pomogła mu podtrzymać dziecko.

–Śliczna dziewczuszka – powiedziała. – Zdrowa?

–Chwalić Boga, zdrowa. Powiedzcie lepiej, co z córką.

–A co ma być? Mówiłam już. Rodzić jej pora nie dziś to jutro, a jakże ma biedaczka czy to przec, czy choćby lec na plecach, gdy jej straszliwy ból przeszkadza. No i ta krew... Parasza mało dziesięć setków porodów przyjęła, wiedziałaby co i jak, a może i coś na owo rwanie i broczenie by zaradziła. Bo tak jak jest, gotowa nam miła doczka uświerknąć...

Kobieta rozplakała się, a po chwili zawtórował jej żaloszny płacz Halszki.

–Może gdybyście ją tu przywieźli, byłoby lepiej – powiedział z zastanowieniem Kostenko. – Bo jeśli sprawa pilna, to zanim babka wróci, zanim do was się doczłapie... Ranek będzie.

–A jakże przywieźć cierpiącą, dobrodzieju? Mówiła przecie. Ani na koń jej wsiadać, ani nawet na wozie nie ułożyć. Próbowalim, ale wertep tu jeden przez las, darła się tak, że nie szło strzymać...

Serhij przygryzł wargi, namyślając się.

–Kolebę wiklinową miały dla mnie w waszej wsi baby zgotować.

–Ano miały – przyświadczyła kobieta. – Stoi już u sołtysowej w sieni.

–Weźcie ją zatem, między konie przywiążcie i ułóżcie ciężarną.

–Dalibyście to swoją kolebę?

–A co mam nie dać, gdy potrzebna? – rzucił opryskliwie Kostenko. – Umiesz konno jeździć?

–A widziałeś to, jasny panie, kiedy chutornika, co by nie umiał?

–To bierz mojego wierzchowca ze stajni. Siodła nawet nie zakładaj, bo czasu szkoda, pędź do wsi.

–A bo to sołtysowa da mi kolebę, gdy jeszcze nie zapłacona? Babsko nieużyte, z własnego chłopca skórę by zdarła. Jedno, co ma dobrego, to palce zręczne.

Serhij pokręcił głową, wydobył z chudego mieszka srebrny grosz.

–Daj jej to. Z naddatkiem należność wyrówna. A gdyby się wzdragała, spytaj, czy chce, żebym ja do niej przyjechał. Prawicą nie ruszę, ale lewą też obić potrafię jak należy.

–Dzięki wam, jasny panie! – wykrzyknęła kobieta, chwytając srebrnik. – Święta Przeczysta niechaj nad tobą czuwa!

Serhij patrzył przez okno, jak chutorniczka, w którą zdało się wstąpił nowy duch, wyprowadza jego karego wałacha ze stajenki, wdrapuje się na wysoki grzbiet, bezlitośnie targając w pośpiechu grzywę wierzchowca, a potem znika między drzewami.

–Mam nadzieję, że Parasza przyjdzie niebawem – mruknął do siebie Kostenko. – A tobie trzeba dać coś jeść, córuś. – Spojrzał na zmarszczone czołko Halszki. – Dobrze, że przed wyjściem babka udoiła kozę. Myśli o nas. A taka się zdawała z początku nieużyta.

Dziewczynka wychyliła się do malwy rosnącej tuż za oknem, próbując ją chwycić w maleńką dłoń. Kwiat był jednak stanowczo zbyt daleko, więc mała sapnęła tylko gniewnie, a potem oparła główkę na ramieniu ojca.

Rozdział 8

Piotr Melech wyglądał na przestraszonego widokiem Ili. Zając znalazł go po dwóch dniach poszukiwań, i to wcale nie w jakiejś zakazanej karczmie, jak można by się spodziewać, ale na kwaterze, gdzie raczył się podłym miodem, syconym przez Szmula, szynkarza. Ili tylko raz w życiu spróbował tego napitku, po czym przysiągł uroczyście wszem i wobec, że prędzej wypije mocz chorego wołu niż taką berbeluchę. Szmul zaś przyplącił oszukańczy proceder utratą sporej części brody, solidnie wytarganej przez rozgniewanego Kozaka, oraz dwoma zębami. Niemniej miód, czy raczej to, co nazywał miodem, sycił w dalszym ciągu, nie zważając na wyzwiska i razy. Gdy mołojcom zaczynało brakować grosza, i tak przychodzili do niego po tani trunek, który pić było trzeba, zasłaniając nos, ale uderzał do głowy tak samo jak porządna okowita. Niektórzy zaś nawet lubowali się we wstrętnej cieczy, właśnie jak Melech, którego wszak zawsze stać było na najlepsze trunki.

– Witaj, Piotrze – powiedział Zając, zamykając za sobą drzwi. Posługacz, który nie chciał dopuścić intruza do kwatery gościa, co płacił dobrze, ale w zamian żądał spokoju, zbierał się teraz na dole schodów, klnąc zapalczywego Kozaka ile wlezie. – Coś niegościnnie się zrobiłeś ostatnimi czasy.

– To czasy się zrobiły niegościnnie – odparł Melech, krzywiąc się z niechęcią. – Czego chcesz, panie Zając?

– Dobrze wiesz czego. – Ili wyszczerzył zęby w uśmiechu, który sprawił, że jego twarz bardziej przypominała trupa niż oblicze żywego człowieka.

– Nawet gdybym wiedział, grzecznie by było zapytać.

Uśmiech spelzł z twarzy Zająca, Kozak zmrużył oczy, a potem zniemacka przyskoczył do biesiadującego Melecha. Chwycił go za kołnierz kurty, wywlókł z za stołu.

– Na dole czekają moi druhowie – wydyszał prosto w nos opierającemu się niemrawo Piotrowi. – Jeśli się nie dogadamy, zostawię cię tutaj związanego i pójdziemy na podwale. Rozniesiemy tamtejszą oberżę przy wałach, zanim się obejrzysz. Tak, panie Melech, nie myśl, że nie wiem, iż tak naprawdę to twoja własność, a Żydek jest jako kurek na wieży – wystawiony na widok. Chcesz się cieszyć dochodem, to rozmawiaj ze mną jak z człkiem, a nie jakowymś przybłądą!

Melech zupełnie oklapł. Mimo iż z pewnością był silniejszy od Zająca, wolał nie próbować sprzeciwiać się teraz zapalczywemu wojakowi. Moc ramion to nie wszystko w walce, a miał kilka razy okazję zobaczyć, co Ili potrafi, kiedy wpadnie we wściekłość.

–Po co to zaraz grozić przyjacielowi? – wymamrotał. – Mów, czego chcesz, i rozejdźmy się w pokoju.

–Czego chcę? – Ilja równie nagle puścił Piotra, jak przedtem go złapał, przez co ten stracił równowagę i musiał oprzeć się o stół.

A przynajmniej tak to wyglądało, bo czujnemu oku Zająca nie uszedł nieznaczny gest, jakim napadnięty sięgnął po kindżał leżący przy rozkrojonym bochnie chleba. Melech mógł sprawiać wrażenie gadatliwego, jowialnego niezgrabiasza, ale przecież ktoś, kto miał rozległe stosunki i majątek w takich miejscach jak Czehryń czy Białocerkiew, nie mógł być byle kim, musiał umieć posługiwać się bronią. Ostrze świsnęło o włos od policzka Ilji, ale ten już przechwycił rękę Piotra, wyrznął nią o krawędź zbitego z desek blatu. Kindżał brzęknął o podłogę.

–Nieładnie, panie Melech – powiedział Zajac spokojnie, jakby nic się nie stało. – O przyjaźni mówisz, a żelazem przed oczami machasz.

–Nie ja ciebie napadłem, jeno ty mnie – warknął gospodarz, krzywiąc się i rozcierając obolałą dłoń.

–Co racja, to racja – zaśmiał się Ilja. – Tyle że ja chciałem pogadać jedynie, nie bić się.

–Toś źle zaczął. Boga trza było pozdrowić, jak chrześcijaninowi przystało, o zdrowie się wywiedzieć, a nie obrażać od progu.

–I tu masz słuszość – kiwnął głową Zajac. – Lecz czasu nie mam w nadmiarze, a potrzebuję od ciebie wieści. Gdyśmy wjeżdżali, zobaczyłem...

–Wiem, coś zobaczył – przerwał mu Melech. – A raczej kogo. Chcesz wiedzieć, dlaczego skończył na palu?

–Nie inaczej.

–Usiądź zatem i słuchaj. – Piotr zaczekał, aż niechciany gość zajmie miejsce przy ławie, nalał do swojego kubka, podsunął mu naczynie. Zajac odmówił stanowczym gestem. – To nie jest takie złe, jak ci się wydaje – rzekł Melech, sam pociągając trunku. – Nieważne. Hryńkę nawleczono na kołek z rozkazu Chmielnickiego...

–Tego nie musisz mówić, nikt inny poza hetmanem nie może poza polem bitwy Kozaka karać na gardle.

–W tym przypadku raczej na rzyci – bąknął pod nosem Melech, ale widząc zagniewaną twarz rozmówcy, szybko podjął: – Macie szczęście, że hetman wyjechał do Białocerkwi, bo jak go znam, gnilibyście teraz w lochu, czekając na wyrok. Ale już

mówię o Hryńce, nie musisz się od razu sierdzić. Nazywało się to, że Szpak pobił żołnierzy spośród przybocznych Chmielnickiego, na dobitkę w czasie, kiedy ten całkiem walk zakazał. Nawet tańców na majdanie zabronił, żeby się w bijatyki nie przemieniały. Jeden z tych pobitych to niejaki Madej, łotr był jakich mało. Zadarł wpierrw ze Szpakiem w karczmie, aleśmy go bez krwie odprawili, wstydu się jeno najadł. Znasz jednakowoż takich, nigdy nie zapominają krzywdy, nawet jeśli z własnej winy jej doznali. Łaził więc głupiec za Hryńką, łaził, aż go dopadł z czterema kompanami w jakimś zaułku i rozsiec chciał. Co tam będę dużo gadał, znałście Szpaka lepiej ode mnie, jak się rzecz skończyła, szkoda wspominać. Madeja i drugiego zucha odwieźli na bożą rolę, trzeci stracił rękę, a dwaj pozostali uciekli poszczerbieni, a to z odciętym uchem, a to z mordą na pół rozplataną. Szpaka Chmiel kazał pochwycić i sąd nad nim odprawił...

Ilja słuchał opowieści, zagryzając wąsa. Kiedy Piotr skończył, rzekł z namysłem:

–A naprawdę o co poszło? Hetman szalony bywa, ale nie kazałby zgładzić takiego mołojca, którego pięciu da radę, choćby i zakazy połamał. Wiadomo, że jak Kozacy Kozakami, nie zwykliśmy uchodzić przed wrogiem.

–Bystryś. – Melech kiwnął z uznaniem głową. – Naraził się Szpak Chmielnickiemu, oj naraził... Węszył za dużo, chciał wiedzieć, dlaczego hetman porozumiał się z bojarzynami, sprowadził wołchwów.

–Wołchwów? – zdumiał się Zając. – A cóż to za koncept?

–Tak na nich mówimy, ale kim są, diabeł jeden wie.

–I dlatego Hryńka zginął, że pytał?

–Za bardzo się koło nich kręcił. Za dużo chciał się dowiadywać. A zresztą, może poszło i o coś zupełnie innego? Chmiel gniewny był, że wasz chorąży miast na Wołochów, za swoimi sprawami się udał. – Piotr spojrział bystro na Ilję. – A tak właściwie, dlaczegoś się tutaj zjawił? Odszedłeś z Kostenką, na ciebie hetman może być bardziej jeszcze cięty niżli na Hryńkę! Bywszy na twoim miejscu...

–Na moim miejscu posrałbyś się w gacie ze strachu – rzucił pogardliwie Zając. – I mordy byś nie pokazał na pięćdziesiąt mil od Czehrynia. Wiem to doskonale.

–Bo mądry jestem – odparł wyzywająco Melech. – Nie sztuka dać się zarznąć. Sztuką jest przeżyć.

–I w tym jesteś mistrzem – uśmiechnął się Ilja. – Także dlatego do ciebie przyszedłem. Po radę.

Piotr zmrużył oczy.

–Chcesz wiedzieć, jak samemu się od kary wykpić i swojego atamana uratować? To nie będzie łatwe. Najpierw mi wszystko opowiedz. Wszystko!

–Tośmy trafili. – Kirył podrapał się w głowę, patrząc na czterech zbrojnych pilnujących drzwi. Pod oknami na zewnątrz stało ich po dwóch, na majdanie zgromadziła się reszta.– Tylko dlaczego od razu nas nie zarżnęli?

Nie zabrano im szabli i samopałów. Zbóje czuli się pewnie, najwidoczniej mieli do czynienia z Wilkami nie po raz pierwszy, wiedzieli więc doskonale, że najsilniejszą bronią przemieńców nie jest żelazny oręż, lecz szybkość i wytrzymałość, gotowi więc byli ich zasypać ołowiem w każdej chwili.

–Ta baba, co nimi rządzi, wygląda na taką, co patrzy jeno, jak tu gdzie pieniądz zagarnąć – odparł Michej. – Za żywych Wilków zapłacą więcej. Naszej krwi ich czarownicy używają do dekoktów, musi być jednakowoż świeża, prosto z żył. Kiedyś słyszałem o Wilku, co go pochycili. Jeden wróż powiesił go za nogi pod powałą i upuszczał mu posoki, gdy jej potrzebował. Ponoć mordował tak nieszczęśnika przez miesiąc z górą, zanim tamten szczeł.

–Nie wyzwolił się w Okołopełni? – zdumiał się Kirył.

–Za słaby był już, krwi w nim zabrakło.

Kirył chciał odpowiedzieć, ale w tej chwili otworzyły się drzwi. Weszła kobieta z garłaczem, a za nią niski mężczyzna z wygoloną wysoko czupryną. Przy rostej towarzysze zdawał się wręcz karłem.

–Oto są – powiedziała kobieta, odsunęła się, by stanąć przy strażnikach.

–Witajcie – powiedział niski człowiek. – Zwą mnie Szkaplerz, a jak na was wołają?

–Michej.

–Kirył.

Wilkozacy odpowiedzieli niechętnie, patrząc czujnie to na przybyłego, to na zbrojnych. Gotowi byli drogo sprzedać życie.

–Czego szukacie tak daleko do swojej siczy i tak blisko Czehrynia? – spytał Szkaplerz. – Wiecie, ile w ostatnich czasach starostowie płacą za głowę Wilka? Chmielnicki wojnę wam wypowiedział, to już nie te czasy, gdyście byli jeno przemieńcami budzącymi grozę. Jak wroga was Kozacy mają traktować. Przyszedliście wodzić na pokuszenie uczciwych chrześcijan?

Czekał przez chwilę na odpowiedź, a ponieważ nie nastąpiła, ciągnął dalej:

–Pewnie, że wiecie, ile za was płacą. Coś was zatem tutaj przygnało i bardzo jestem ciekaw co.

Michej nadal milczał. Nie wiedział, co powiedzieć. Prawda oznaczać mogła śmierć. Z kolei podobne do prawdy kłamstwo trudno wymyślić na poczekaniu. Klął się w duchu, że przez całą drogę, zamiast przygotować się na taką sytuację, snuł tylko plany, jak pozbyć się Hrehorego. Stary miał słuszość – Michej za młody jest jeszcze, by rządzić siczą, skoro nie potrafi zadbać o siebie i najbliższego towarzysza.

–Będziemy tak siedzieć i milczeć czy usłyszę od was coś ciekawego?

Szkaplerz podszedł, przysiadł na zydlu u szczytu ławy tak, by widzieć obu. Michejowi przez chwilę zaświtała myśl, że mógłby teraz skoczyć na przywódcę zbójów, przyłożyć mu kindżał do szyi i pod taką osłoną opuścić chutor. Lecz natychmiast odrzucił ten zamiar. Nie wiadomo przecież, czy to prawdziwy herszt. Najpierw zdawało się, że jest nim ta kobieta, teraz ten... Ludzie naprawdę bywają podstępni. A poza tym nigdzie nie zostało powiedziane, że zbójom bardzo zależy na życiu własnego wodza. Może jakiś pretendent do władzy czeka już na swoją kolej?

–Czyżbyście przyszli na przeszpiegi między ludzi? Szykujecie coś? – naciskał niski.

Michej chwycił się jego słów.

–Za nami podąża cała wataha – powiedział z udawanym ociąganiem. – My jesteśmy przednią strażą.

–A dokąd idziecie? I po co?

–Chcemy dołączyć do wojsk króla polskiego. Powiadają, jakoby Chmielnicki szykował nową wyprawę przeciw Rzeczypospolitej.

–Powiadają – zgodził się ochoczo Szkaplerz. – Ale mówią także i co innego. Że zanim wyruszy na Polskę, nim wzniesi ruchawki w Koronie i na Litwie, moskiewscy bojarowie nakazali mu zgnieść co większe siedliska wilkozackie. Nie wiem, jak chcą, by to zrobił, i nawet wiedzieć nie chcę, nie moja rzecz. Nie wiedzieliście o tym? Wszyscy wiedzą, bo to ponoć wielka tajemnica.

Michej nie potrafił ukryć zaskoczenia.

–Nie wiedzieliście – podsumował przywódca zbójów. – A zatem gówno to prawda, żeście przednią strażą większej watahy. Z tego, co mi wiadomo, wieści o zamiarach hetmana kozackiego dotarły już do waszych ukraińskich siedlisk. A to by znaczyło, żeście albo z daleka, z tureckiej, albo i zgoła kaukaskiej strony, na co mi nie patrzy,

boście odziani zwyczajnie i broń macie naszą, albo dawno nie byliście we własnej siczy. No i mam uwierzyć, żeście nagle postanowili opowiedzieć się przy Rzeczpospolitej, skoro od lat nie chcecie się mieszać po żadnej stronie?

Zamilkł, mierząc drwiącym spojrzeniem twarze Wilków.

–Wygnańcy czy zbiedzy?

–I jedno, i drugie – tym razem wahanie w głosie Micheja nie było udawane.

–Tak myślałem. A ten drugi czemu nic nie gada? Niemowa czy przygłupi?

Odsunął się nieco, przestraszony, bo Kirył aż kłapnął z wściekłości zębami.

–Wilcze plemię – mruknął pod nosem Szkaplerz.

–Ani niemowa, ani półgłów – odparł spokojnie Michej. – Zwyczajny Wilk. Nie lubimy gadać z ludźmi.

–Z nami jednakowoż musicie – sapnął z zadowoleniem niski.

–Po co? I tak nas zabijecie.

–Albo weźmiemy żywcem, żeby uzyskać większą cenę – rzuciła kobieta spod drzwi.

Michej nawet na nią nie spojrział. Wymownym gestem położył dłoń na rękojeści szabli.

–Niełatwo jest schwytać Wilka – powiedział, powoli cedząc słowa. – A jeszcze trudniej zmusić go, by żywcem w niewolę się oddał.

–Wiem, wiem – machnął ręką Szkaplerz. – A ty, Krucha, milcz, jak cię nie pytają – ofuknął kobietę. – Wiecie, jak to mówią, długie włosy, a rozum krótki. Dobra jest baba w bitce i w łożu, więc ją trzymam, ale do rady nie dopuszczam.

Spod drzwi odpowiedziało mu pełne wściekłości syknięcie.

–Jeśli zaś chcecie nas zabić – podjął Michej – wiedzcie, że i trzecia część z was nie zostanie.

–Może i tak – zgodził się przywódca zbójów. – Tuszę jednakowoż, że tym, co przeżyją, nagroda osłodzi stratę kompanionów.

Odczekał dłuższą chwilę, a potem zaśmiał się nieoczekiwanie, szczerze, na cały głos, odchylając głowę.

–Kto jednak powiedział, że musimy się tutaj zaraz bić? – rzekł, kiedy się uspokoił. – Mam dla was, Wilcy, pewną propozycję. Chcecie posłuchać czy zaczynamy jatkę?

Michej wypuścił szablę, usiadł wygodniej, ledwie dostrzegalnym gestem dał znać Kiryłowi, aby zachował spokój.

Kobiecina klęczała w pyłe podwórza, a Serhij patrzył na nią bezradnie, nie wiedząc, co robić. Różnie już w jego życiu bywało: klękali przed nim ludzie, ale zawsze prosząc o litość, którą nie zawsze był łaskaw okazywać, ale nigdy z wdzięczności.

–Dzięki wam, jasny panie, gdyby nie wy, zmarniałaby moja córa i maleństwo!

**–Daj spokój, niewiasto – burknął Kostenko, opryskliwością pokrywając zmieszanie.
– Nie ja jej ziół zadałem, nie ja poród przyjąłem. Babce Paraszy dziękuj.**

–Jej to i do końca dni moich się nie wyplacę – rozplynęła się we łzach kobieta.

–Starczyłoby, gdybyś teraz jakiego miedziaka dała – doleciał do uszu Kozaka cichy śmiech znachorki.

Klęcząca nie usłyszała albo udała, że nie słyszy.

–Do końca moich dni się nie wyplacę, wdzięczność po grób winnam. Ale gdyby nie wy, jasny panie, jakbyście koleby nie dali, nie rzucili grosza chciwej babie sołtysowej, nie doczekałaby się moja biedaczka pomocy... Dlatego modlić się za was będę i rano, i w południe, i wieczór...

–Wstań już! – rzuciła ostro babka. – Wystarczy tego klęczenia. Nie do cerkwi przyszedł, a do ludzi! Jak do człowieka mów, nie do popa!

Zaskoczona kobieta zamilkła z na wpół otwartymi ustami.

–I czego się tak wytrzeszczasz? – szydziła dalej znachorka. – Wyglądasz, jakby obraz święty do ciebie przemówił.

–A bo dobrzy tacy dla mnie jesteście... Dla mnie i córy mojej nieboraczki...

–Idź już – powiedziała niecierpliwie Parasza. – Zadbaj lepiej o niemowlaka i położnicę. Po takim porodzie dziewczyna nie wstanie wcześniej niżli za dwie niedziele. Krwi z niej uszło co niemiara, trza jej koziego mięsa dawać, czerniny z jakiego kacзора ugotować, zdałoby się i czerwone wino, jeno nie ma skąd go w naszej głuszy wziąć.

–A może byście, babko, dali wody żywej? – poprosiła kobieta. – Zawsze mówiliście,

że nie ma nic lepszego na upływ krwi...

Znachorka popatrzyła niepewnie na Serhija, obawiając się, że szczerzy Kozak gotów coś powiedzieć. Ale na jego twarzy nie drgnął nawet mięsień, choć znająca dałaby głowę, że dostrzegła wesołe ogniki w oczach.

–Nie ma żywej wody – warknęła. – Nie ma i nie będzie!

–Ale... – próbowała protestować kobieta.

–Idź już do córki, powiadam! – wybuchła w końcu Parasza. – Jej potrzebniejsza twoja opieka niż nam pochlebstwa. No, wynoś się, zanim stracę cierpliwość!

Kobiecina wstała z ociąganiem, pokłoniła się nisko przed chorążym i zaczęła cofać ku furtce, nie tracąc z widoku wróżychy. Ponoć dopóki patrzy się takiej w oczy, nie jest skora rzucić klątwy, ale obróć no się plecami, gdy gniewna, a wnet razi zaklęciem niby piorunem i ani się człowiek obejrzy, jak mu włosy wyjdą albo wda się jakie wstydlive choróbsko...

Parasza popatrzyła za odchodzącą, a potem machnęła ręką i odwróciła się. Kobieta natychmiast skorzystała z okazji, potężnym susem, zaskakująco długim jak na jej mikrą posturę i wiek, przesadziła furtę i czmychnęła między zarośla.

–Głupie babsko – mruknęła Parasza. – Sama dziewczynę ukrzywdziła. Przez nią to wszystko, co się stało i omal nie skończyło nieszczęściem.

–Przez nią? – zdziwił się Serhij. – Zdało mi się, że bardzo kocha córkę.

–Głupia to miłość, co najpierw pcha własne dziecko w kałabanię, a potem próbuje wyciągnąć ją z matni. I nie wiem, co głupiej czyni.

–Opowiedzcie – poprosił chorąży. Zajrzał przez okienko do izby. Halszka nie spała. Leżała w kołysce i próbowała sięgnąć rączką do kłębuszka czerwonej wełny, zawieszzonego nad jej twarzą. Od czasu do czasu udawało się jej trącić kuszącą zabawkę, a wtedy wydawała z siebie pełne zadowolenia gruchanie.

–Dużo to tam nie ma do opowiadania. – Babka przysiadła na niskiej ławeczce pod ścianą. – Chciała, widzisz, sokole, baba głupia wydać doczkę nie za lada kogo, nie za chłopca robotnego, nie za parobasa byle jakiego, ale szlachcic jej się zamarzył. Zjeżdżał tutaj niedaleko do dworu pan pewien. Zjeżdżał, jasna rzecz, jeszcze zanim Chmiel Ukrainę ruszył i dworek spłonął, a służba bądź to przeszła do powstania, bądź poszła pod topór. Łakomy był kąsek ze szlachcica, więc mu matka dziewczkę podsuwać jęła. A to z mlekiem córkę tam słała, a to z jakimi wypiekami czy wreszcie miodem. I ten szlachcic był nie od tego. Nie myśl sobie, że jakiś piękny zeń męczyzna, wojownik wielki czy choćby myśliwy zawołany. Takie tam nic. Ale herb

niał. Niewiele czasu minęło, wziął ci dziewczuchę i spaskudził. A potem wyjechał. Nie wiem, czego się spodziewała durna matka. Że się zakocha w prostej dziewczce, co ni czytały, ni pisały, co nawet i gobelinu tkać nie umie? Wy, chłopcy, tacy już jesteście, jak kocury jakieś. Swoje uczynicie i szukaj wiatru w polu. No, sokole, nie krzyw się, może ty inny, lecz który z twoich kompanów dba o tę, co przed nim kieckę zadarła? Właśnie. Zbrzuchacił więc ów szlachciura dziewczuchę i pojechał. Gdy wrócił, i spojrzeć na nią nie chciał, a hajdukom kazał gnać precz ode bramy, na podworec nawet nie wpuścił. Mać jej, wiele nie myśląc, kazała nieboraczce płód spędzić. Ja przegnałam ją na cztery wiatry, ale znalazła się we wsi taka, co duże już dziecisko z łona dziewczce po kawałku wyjęła. Jak to czyniła, nawet nie pytaj.

Babka przerwała na chwilę, zamyśliła się, a Serhij poczuł, jak dreszcz pełnie mu po plecach, kiedy wyobraził sobie to wyciąganie nienarodzonego dziecka. Zabijał, krzywdził, gwałcił podczas wypraw, krew była dlań tak samo zwyczajna jak woda. Ale coś podobnego nie mieściło się w głowie, nie potrafiłby tak własnemu dziecku... Własnemu tak, ale... Potrząsnął głową, odganiając wspomnienia.

–Uczciwiej by było dać się maleństwu urodzić i je od razu utopić albo pępowiny nie wiązać – podjęła babka – a nie jatkę urządzać, że pół chałupy we krwi było. Wołali mnie też zaraz, co mogłam, zrobiłam, a dziewczyna bardziej patrzyła na księżą obórkę niż na życie. Wylizala się jednak wreszcie. Ale ludzie jej żyć nie dali. Chłopaki we wsi i owszem, chętnie się z dziewczką zadawali, na siano ciągnęli, a i ona była nie od tego, bo się w rozpaczycy zatraciła całkiem, zapomnieć chciała. Baby zaś szczyły ją jak ogary szaraka, a nikt się za nieszczęsną nie wstawiał, nawet jej kochankowie. A może zwłaszcza oni. Ladacznicą przewali i tak zostało. Wiesz, jak jest na naszej Ukrainie. Dziewczyny chłopakom nie żałują tego, co mają pod podołkiem, osobliwie gdy mężczyźni na wojnę mają iść i nie wiada, zali wrócą. Nikt im za złe tego nie ma. I jej by nie miał, gdyby się z panem nie zadała, nie chciała wywyższyć nad innych. Ludzi też trzeba zrozumieć. Ale nic nie trwa wiecznie, nawet nieszczęście. Złitował się nad dziewczuchą stary gospodarz, pojął ją za żonę. O dzieciach nie myślał, bo miał swoje z poprzednich dwóch żon, może nawet rad był, że ta jałowa jest po tamtym, co się zdarzyło.

–Porządny człek – zauważył Serhij.

–Porządny, bo porządny – przytaknęła Paraszka. – Ale i on głupi. Jałowa czy nie jałowa, powinien do mnie po dekockt należyty przyjść, tak od wypadku. Powiadają, że człowiek strzela, a Bóg nosi kule, nie inaczej jest i z tymi rzeczami. No i zaszła nieboraczka w ciążę, widać nie taki dziad z jej małżonka, jak się wszystkim zdawało, matki nie wyłączając. Jeno po tamtym niewzdanym spędzeniu, dziewczucha łono ma pokancerowane nie mniej chyba niż ty plecy. Od początku było wiadomo, że nie urodzi bez mojej pomocy. Więcej, ostatnimi czasy powinnam ją oglądać choć raz na niedzielę, lecz durnej babie szkoda każdego grosza, skąpa jest jak rzadko... Ale to sam chyba mogłeś już odgadnąć. Nawet się nie zająknęła, żeby dać co za pomoc.

Gadała tylko bez wytchnienia, jęzorem kręciła niby dziad wędrowny korbą liry.

Serhij zamyślił się, spojrzął jeszcze raz do wnętrza chaty, gdzie Halszka z radosnym uporem próbowała schwytać niepokorny kłębuszek.

–Trudne jest życie ludzkie – mruknął.

–Trudne jest, bo człowiek sam je sobie zazwyczaj marnuje.

–Nie zawsze sam...

Serhij odwrócił się, wszedł do domu. Kiedy zmierzał ku kołysce, przed oczami przelatywały mu przegnane przedtem obrazy rzezi i okrucieństw, których był zarówno świadkiem, jak i uczestnikiem. Spalone sióła i chutory... Płoty ozdobione głowami gospodarzy, co nie przyłączyli się do buntu... Rozżarta tłuszcza znęcająca się nad bezbronnymi jeńcami... Kozacy wpierywający krew z Żydziat, a potem z szyderczym śmiechem oferujący ich mięso jako koszerne... I to, co bodaj najgorsze: upieczone małe dzieci, które na oczach matek spożywano po zdobyciu Baru i zmuszano kobiety do ich jedzenia. Nie, nie to... Najgorsze było rozpruwanie matkom brzuchów i wyciąganie nienarodzonych dzieci, aby zaszyć w ich miejsce koty. Niektórzy mołojcy odrąbywali nawet nieszczęsnym białkom ręce, żeby nie mogły wierzgających i drapiących zwierząt wydobyć. Sam brał udział w tych potwornościach. Wówczas nie widział w nich nic nadzwyczajnego, nie rozumiał rozpaczki oszalałych z bólu kobiet, nie zdobył się nawet na tyle litości, żeby jedną czy drugą przebić szablą, by skrócić męki.

Ale wówczas nie miał swojej Halszki. Nie wiedział, jak można niesamowicie mocno przylgnąć sercem do takiego płacznego gałganka...

Znachorka patrzyła za nim. Nie miała pojęcia, o czym może myśleć ranny mołojec, ale czuła, że są to myśli niewesołe, że pragnie zostać sam przy córeczce. Westchnęła, odwróciła się na pięcie i ruszyła do zagrody wydoić kozę i przyrzucić siana koniowi.

Marika cierpiała. Miała wrażenie, że cierpi od zawsze. Mimo iż niedawno dopiero znalazła się w opłakanym położeniu, czuła, jakby nigdy nie była szczęśliwa. A przecież była... Nawet wtedy, gdy leżała bez sił po porodzie, obolała, oddychając ciężko, czując ostre drapanie w gardle, następstwo krzyku. Z pewnym przerażeniem zauważyła, że zaczyna tęsknić do przemiany, do tych chwil, kiedy w zwierzęcym umyśle było zbyt mało miejsca, aby odczuwać wszystko, co staje się udziałem człowieczej duszy. Marika była wtedy uboższa, a zarazem pełniejsza. Uboższa, bo zniknęły gdzieś znane tęsknoty, nie zawsze przecież przykre, a pełniejsza, gdyż czuła zjednoczenie z innymi Wilkami. Bała się tej wspólnoty i pragnęła jej zarazem, chciała

uciec od tego, zerwać oplatające ją sieci zjednoczenia z watahą, a jednocześnie wiedziała, iż tylko wraz z innymi Wilkami może przetrwać, że tylko przy nich istnieje dla niej przyszłość. Wiedziała, ale czy to znaczyło, że tego naprawdę potrzebowała?

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Dręczyło ją, przerywało sen, tkwiło w głowie niczym ostry, przykry zadziór. Może dlatego właśnie chciała, aby jak najszybciej nadeszła kolejna Okołopelnia.

Siedziała na niskim pieńku przed swoją szopą, kiedy nadszedł młody żołnierz o ponurym obliczu i ostrych nawet jak na Wilka ruchach.

–Chodź ze mną – warknął, najwyraźniej wściekły, że musi przemawiać do samotnej, niczyjej w istocie rzeczy samicy.

–Dokąd? – spytała, nie podnosząc się.

–Dowiesz się na miejscu – znów wściekłe warknięcie. – Wstawaj!

Było jej wszystko jedno. Nie miała ochoty wysłuchiwać jakiejś nowej połajanki i odbierać kary. Wystarczyło to, co ją spotkało po zdarzeniu z kobietami Kiryła. Hrehory był wściekły, że Zirasza nie doniosła o wszystkim natychmiast. Starej się nie oberwało, ale Marikę pozbawiono jedzenia przez cztery dni. Wtedy zrozumiała, co to znaczy wilczy głód. Nigdy przedtem takiego nie odczuwała. Z początku wydawało jej się, że te kilka dni bez pożywienia to nic, nieraz bywało we wsi głodno na przednówku albo kiedy Tatarzy spustoszyli okolice, zniszczyli pola. I od czasu wybuchu buntu różnie bywało ze spyżą, bo zbrojne watahy Kozaków czyniły nie mniej zła od obcych najeźdźców, a bywały i groźniejsze w czasach, kiedy często nie wiadomo nawet, kto swój, a kto wróg. Ale głód Wilka okazał się o wiele bardziej dotkliwy niż ludzki. Marice wydawało się, że pulsujący żołądek rozszarpie ją od środka, czuła nieustanne ssanie i mdłości, oddałaby wszystko za kęs cuchnącego nawet mięsa albo łyżkę suchej kaszy. Niestety, pilnowano jej sumiennie. Te cztery dni spędziła zamknięta w szopie, pod którą wartowało ciągle dwóch Wilkozaków. Dziewczyną wstrząsały spazmy głodu już pod koniec drugiego dnia. Następnego ranka błagała strażników o jakikolwiek ochłap, obiecywała im oddać potem w dwójnasób, lecz wszystko na nic. Czwarty dzień spędziła wtulona w najciemniejszy kąt, osłabiona, pogrążona w beznadziei, pewna, że niebawem czeka ją śmierć. Prócz głodu dziewczyna doświadczała dławiącego w gardle uczucia. Nie potrafiła zdać sobie sprawy, czym ono było. A raczej jeszcze niedawno wiedziała, jednak zatarło się to w pamięci. Była tym zrozpaczona, jakby umykało jej coś ważnego, może nawet najważniejszego na świecie.

–Wstawaj! – powtórzył coraz bardziej rozsierdzony Wilk. Gdyby to od niego zależało, już dawno za włosy zawłókłby tę waderę przed oblicze atamana siczowego, ale samica w obliczu prawa należała do Kiryła, nie wolno mu było jej dotykać bez

rozkazu Hrehorego, pod nieobecność basiorów zastępującego głowy rodów.

Marika podniosła się z ociąganiem, ruszyła za młodzieńcem. Wyglądał na dwadzieścia lat najwyżej, ale ile miał w istocie? Wiadomo powszechnie, że u Wilkozaków czas życia inaczej się liczy, a młody wygląd zachowują bardzo długo. Poprzedzający ją chłopak mógł mieć równie dobrze dwadzieścia, jak i czterdzieści lat. Może nawet więcej. Nie, więcej chyba nie, starszego, bardziej zasłużonego Wilka ataman nie posłałby jako zwykłego strażnika dla sprowadzenia byle wadery.

Hrehory czekał na nią pod zadaszeniem, pod którym zbierała się rada. Był sam. Niedbałym gestem odesłał towarzyszącego dziewczynie Wilkozaka, co utwierdziło ją w przekonaniu, że istotnie miała do czynienia z młodym, niewiele znaczącym samcem.

Uważnie przyjrzała się atamanowi. Wyglądał, jakby od ich ostatniego spotkania znacznie się postarzał. Spojrzenie miał przygasłe, wokół ust głębokie bruzdy. Popatrzył na nią przelotnie, a potem utkwiał wzrok gdzieś za jej plecami.

–Przygotuj się, samko – powiedział opryskliwie.

–Na co? – spytała zaskoczona.

–Podczas najbliższej pełni siedmiu basiorów wchodzi w czas rui. Oddasz się jednemu z nich, albo i wszystkim po kolei, jeśli tak wypadnie.

Marika już myślała, że nic nie jest w stanie jej poruszyć, że najgorszym doznaniem, jakie może się stać jej udziałem, jest zwykły głód i to niezrozumiałe, dręczące uczucie zapomnienia o czymś ważnym. Przez głowę zaczęły jej przemykać chaotyczne myśli. Stary Wilkozak oznajmił to tak spokojnie, jakby chodziło o coś zwyczajnego... Zaraz... Dla niego to mogła być zwykła rzecz. Tym bardziej, że nie on miał się oddać rozpalonym rują Wilkom. Na wspomnienie tego, co przeżyła, gdy Kałmuk posiadł ją gwałtem, dziewczyna jęknęła cicho. Nagle przyszło jej na myśl coś, co mogło ją uratować.

–Jestem kobie... – przerwała i poprawiła się – jestem waderą Kiryła, sam tak zdecydowałeś, atamanie.

Dopiero teraz spojrział na nią z uwagą, mrużąc oczy.

–Niegłupia jesteś – powiedział powoli. – Ale waderą nazywasz się na wyrost. Jeszcześmy nie przyjęli cię całkiem do stada. Stanie się to dopiero z chwilą, gdy zakiełkuje w tobie wilcze nasienie.

–A prawo? Wasze wilcze prawo...

–Nasze wilcze prawo, dziewczko! – warknął Hrehory, a w jego oczach przez chwilę zapłonął ogień. – Dla ciebie nie ma odwrotu. Zostałaś przemieniona, choć jeszcze niewtajemniczona!

–Nasze wilcze prawo – powtórzyła posłusznie. Nie bała się gniewu przywódcy, lecz nie chciała go w tej chwili rozdrażniać. – Czyż wadera nie jest własnością swojego basiora?

–Jest – zgodził się Hrehory. – Ale jest także własnością watahy, jak każdy Wilk. Mówię do ciebie w imieniu rady. Starsi rodów zgodnie uznali, że w obecnym położeniu nie wolno nam zaniechać wszelkich sposobów, aby zapewnić siczy przetrwanie.

–W jakim położeniu?

Hrehory wstał. Przez chwilę Marika myślała, że stary basior uderzy ją. Lecz on tylko sapnął groźnie i odpowiedział:

–Rozmawiam z tobą, choć mógłbym nic nie mówić, dać tylko rozkaz. Ale rozmawiam, żebyś zrozumiała co i dlaczego, bo w nocy rui nie masz się opierać samcom. Dobro siczy stoi nad dobrem rodu. Zbliża się podły czas dla Wilków. Wadery muszą porodzić jak najwięcej szczeniąt. Już niebawem nadejdzie straszna nawałnica, jeśli wierzyć temu, co do nas dolatuje ze świata. Nawałnica, która może nas zmieść zupełnie z tego świata. Kiedyś Wilków było tutaj więcej niż teraz ludzi. Prowadziliśmy krwawe wojny, wycinaliśmy się nawzajem, walczyli z każdym, kto próbował leźć w nasze ziemie. Scytami nazywali nas ludzie i bali się gorzej zarazy. Ale wreszcie stało się tak, że robiło się nas coraz mniej. Nie mnożymy się jak brudni człowieczkowie, nie poddajemy żądzy na co dzień. Ale to już chyba wiesz.

Wiedziała. Części domyśliła się, resztę wytłumaczyła jej Zirasza, widać chcąc ją przygotować do spełniania powinności. Każdy basior wchodził w ruję raz, najwyżej dwa razy do roku. Obrzydły Kara był w tym względzie wyjątkiem. Wadery rodziły tylko jedno młode. To za mało, żeby odbudować w rozsądnym czasie to, co Wilcy zmarnowali głupimi waśniami, nie licząc się z tym, że tam, gdzie uczyni się miejsce, zaraz napłyną ludzie.

–Nie stać nas na marnotrawstwo – ciągnął stary ataman. – Dlatego ty, tak samo jak wszystkie samice Micheja i Kiryła zdatne do rozrodu, oddasz się Wilkom.

Dziewczyna chciała jeszcze o coś zapytać, ale Hrehory nie miał zamiaru tracić dla niej więcej czasu.

–Mirzaj odprowadzi cię do zagrody Kiryła. Zirasza już wie wszystko, pouczy cię, jak masz postępować, gdy zbliży się do ciebie Wilk.

Marika zacisnęła zęby, powlokła się za wojownikiem. Kiedy przechodzili obok okazałego domostwa, zobaczyła młodą Wilczycę z dzieckiem na ręku. Pewnie całkiem niedawno rodziła... Zwierzy miot, jak mówią Wilkozacy. Coś uderzyło dziewczynę w tym widoku. Przez chwilę zastanawiała się co, aż nagle jakby strzelił w nią piorun. Wadera dzierżyła dziecko jak przedmiot, niby skopek, z którym idzie się do krów. Widać było, że dla niej to tylko kolejny miot właśnie. Nie ukochane dziecię, lecz szczeniak do odchowania.

I w tej samej chwili spadła mętna zasłona z serca. Może nie spadła – odchyliła się na krótką chwilę, ale dość mocno, by do Mariki dotarło, co ją dręczy. Tęsknota! Tęsknota za własnym dzieckiem, za słodką buzią śpiącej Halszki, za jej drobnymi usteczkami ssącymi matczyną pierś. Boże na niebiesiech! Jak mogła zapomnieć tak szybko o tej tęsknocie? Jak mogła ukryć ją tak głęboko? Od czasu gdy skazano ją na głodówkę, dziewczyna nawet raz nie pomyślała o małej. Zupełnie jakby potworny wilczy głód potrafił zabić ludzkie uczucia.

–Rusz się! – zawołał na nią Mirzaj, bo przystanęła mimo woli, obserwując waderę.

Popatrzyła na niego nieprzytomnie, a potem zaczęła sztywno iść. Wykręcała tylko głowę, patrząc na szczenię, które matka zawinęła w chustę i umieściła sobie na brzuchu, aby mieć wolne obie ręce.

A potem Marika wbiła wzrok w plecy Wilkozaka. Oblizwała spierzchnięte nagle wargi, poczuła uderzenie gorąca płynące od serca aż do głowy.

I postanowiła.

Rozdział 9

Krucha wypaliła z garłacza, dając znak do rozpoczęcia walki. Ładunek uczyniony z pociętych na kawałki gwoździ poszatkował żołnierza, który szedł w jej stronę, zmierzając za obóz, najpewniej za potrzebą. Przedtem Kirył z Michejem nożami uciszyli strażników. Obóz przed nimi nie był może zupełnie bezbronny, ale na pewno najzupełniej zaskoczony. Z wrzaskiem runęli między legowiska niczego niespodziewających się ludzi. Zbóje rabują zbójów, przebiegło przez myśl Michejowi. Dziwne obyczaje. Jeśli watahy Wilków mają sobie coś do wyjaśnienia i powstaje ostry spór, spotykają się w otwartym polu. Nie zawsze kończy się to nawet walką, bo szkoda krwi. No tak, ale tutaj nie było nic do wyjaśniania. Jedni rabusie postanowili zabrać to, co zgromadzili inni. Kosztowności, złoto, cenne tkaniny... Wilk nie rozumiał chęci posiadania takich rzeczy. A jeszcze bardziej żądzy zabijania własnych ziomeków bez litości i wyboru, jak to czynili ich nowi towarzysze. Szkoda krwi... Nie, ludziom jej nie szkoda. Wszak rodzić się mogą zawsze, okrągły rok są zdolni zapładniać samice, nie muszą więc lękać się, że jeśli poniosą ogromne straty w wojnie lub podczas zarazy, wyginą. Nie muszą dbać o przeżycie swoich szczeniąt tak pieczołowicie jak Wilcy. A poza tym rodzą się im nie tylko chłopcy, podczas gdy wśród przemieńców sporadycznie przychodzące na świat dziewczynki zawsze były bezpłodne. W trudniejszych czasach zabijano je, w pomyślniejszych odchowywano i najczęściej sprzedawano do tureckich domów uciech. Wilcy gardzili wprawdzie pieniędzmi, ale żyjąc w pobliżu ludzi, musieli je posiadać, chociażby po to, by kupować broń.

Michej dopadł pierwszego z wrogów. Był to potężny chłop, uzbrojony w okuty metalem i nabity ostrymi ćwiekami cep. Wywijał nim lekko jak trzcinką, odstraszał skutecznie innych napastników od pierwszej chwili, kiedy to u jego stóp legł z rozłupaną czaszką Wozak, jeden z tęższych rozbójników. Strzelali do desperata, ale w tłumie i ciemnościach niełatwo było trafić. Poza tym kula mogła razić swoich.

Michej skoczył ku olbrzymowi. Nie zatrzymał się nawet na chwilę, gdy ciężki cep podążył mu na spotkanie. W mroku widział o wiele ostrzej od ofiary, a poza tym dla jego wilczych zmysłów człowiek nie poruszał się wcale piorunująco szybko. Bez wysiłku przeskoczył potężnym susem nad tnącym powietrze morderczym bijakiem. Przetoczył się przez prawy bark, lewą ręką wyszarpując zza pasa pistolet. Gdy powstał, znajdował się krok za plecami przeciwnika. A tamten już się obracał, by prowadzonym na skos od dołu uderzeniem rozbić głowę śmiałka. Takich skaczących pcheł widział w rozbójniczym życiu aż nadto. Zdawało się im, że przewyższają szybkością zwalistego Kozaka, ale bądź przeceniali siebie, bądź nie doceniali jego. W każdym razie nie znalazł się nikt, kto by, znajdując się w pobliżu cepa, uszedł cało.

Aż do dziś...

Michej wystrzelił, zanim okute drewno przebyło połowę drogi. Trafił prosto w skroń. A potem padł płasko, przepuszczając nad sobą wiedziony jeszcze siłą rozpędu bijak. Poderwał się i popędził w stronę największego hałasu, tam gdzie srożył się Kirył, sycąc widokiem bryzgającej krwi. Po raz kolejny Michej widział, jak w przyjacielu nawet w ludzkiej postaci nad rozsądkiem bierze górę nieprawdopodobne wręcz okrucieństwo. Sam Gryszczy zabijał bez większej przyjemności, kiedy zachodziła taka potrzeba. Kirył zaś szukał okazji do walki. Pasował do tych rozbójników, był do nich podobny. Okrutny tak, jak tylko potrafi być człowiek... Ale też żaden znany Michejowi Wilk nie okazywał równie wielkiej troski o własne wadery i szczenięta. Widać było, że Kirył nie tylko dba o nie zgodnie z prawem, ale czuje coś więcej, coś, czego Gryszczy nie rozumiał. Za to zdawały się to rozumieć wadery okrutnego Wilkozaka, okazując mu niesłychane przywiązanie. Jednak Michej nie wyobrażał sobie czegoś podobnego. Jego Wilczyce miały rodzić dzieci, walczyć w razie potrzeby o ich życie, ale nic więcej. Utrzymywał je i zapładniał, to w zupełności wystarczyło. Wszystko zgodnie z wilczym prawem. Prawem przeżycia...

To, co teraz robili, też z niego wynikało. Powinni przetrwać, a z rozbójnikami było prościej. Przynajmniej na razie.

Walka skończyła się szybko. Wśród prowizorycznych namiotów leżały trupy. Straty rozbójników były małe – zginął tylko Wozak, dwóch odniosło niezbyt ciężkie obrażenia. Za to spośród napadniętych przeżył tylko jeden. Szkaplerz kazał go wziąć do niewoli, bo stawał wyjątkowo dzielnie, opędzając się napastnikom nawet wtedy, gdy wszyscy inni już legli. A poza tym miał na sobie błękitny uniform.

–Książę Wiśniowiecki sporo da za buntownika ze swoich szeregów – powiedział, patrząc zimno na jeńca. – Będziesz długo umierał, a nam sporo czasu zajmie liczenie pieniędzy, które za ciebie weźmiemy.

–Nie jestem od Jaremy! – syknął pojmany.

–Od niego czy nie – uśmiechnął się Szkaplerz, oświetlając jego twarz pochodnią – aleś z pańskiego wojska uszedł, dumam, że Jego Książęca Mość wielce nad tym deliberował nie będzie. Płaci za buntowników i to nam wystarczy.

–Od Chmiela jestem! – zaprotestował jeńiec. – Kurtę i portki w kości wygrałem!

–Zawsze powiadam, że gra w kości doprowadza ludzi do zguby – oznajmił wódz zbójów. – Jeśliś od Chmielnickiego, czego szukałeś między grasantami? W siczy powinieneś siedzieć, na wyprawę przeciw Lachom się gotować. Albo przeciw Wołochom, bo różnie powiadają o zamiarach tego chciwca.

Pojmany szarpnął się ku Szkaplerzowi, powstrzymały go silne ręce.

–Nie rzucałbyś potwarzy na hetmana, gdybym miał żelazo w ręku! Paweł Melech nie

zwykł puszczać płazem takich obelg!

Przywódca popatrzył na więźnia z zastanowieniem.

–Kto wie? Możeś i od Chmiela? W istocie niektórzy z was zwykli chodzić na zbój, gdy trochę ciszy macie. A możeś i nie od niego? Coś mi twoje miano znajomo dźwięczy. Trza będzie się zastanowić, co z tobą. Jeno nie tutaj. Wracamy! – podniósł głos. – Wilcy przodem!

Michej z Kiryłem natychmiast zniknęli w ciemnościach.

–Dość mam pokrzykiwać tego pokurcza – powiedział cicho, ale dobitnie Kirył, gdy się oddalili. – Wilkami jesteście, a wysługuje się nami, jakby pachółków najął. Ciśnijmy ich w diabły, chodźmy znaleźć lepsze miejsce na przeczekanie.

Michej pokręcił głową.

–Nie teraz. I mnie mierzi ten cały Szkaplerz, co ciężkiej szabli w ręku nie utrzyma, a rządzi się jakby olbrzymem był jakowymś. Na razie między rabusiami bezpieczni jesteście, kryć się z naszą naturą nie musimy. Poczekamy, aż w siczy trochę przycichnie, zapanuje spokój, a potem wrócimy rozpatrzyć się co i jak, może uda się nakłonić radę, by zezwoliła mi pojedynkować się z Hrehorym.

Kirył nie odpowiedział. Wysunął się, uważnie nasłuchując. Michej wzruszył tylko lekko ramionami, poprawił oseledec opadający mu na prawe oko. Po przyjeździe do siedziby zbójów trzeba go będzie trochę podciąć.

Kozacy stali przed Chmielnickim, który przechadzał się po komnacie w tę i z powrotem, najwyraźniej wzburzony.

–Okłamał was Paweł Melech – powiedział, zatrzymując się przed Zającem. – Nie ja kazałem wbić na pal Hryńkę Szpaka. Powinniście wiedzieć, że w chwili, gdy to się stało, przebywałem już tutaj, w Białocerkwi!

–Kto więc, hetmanie, miał na tyle władzy, aby rozkazać nawlec zasłużonego żołnierza? – spytał Ilja.

–Właśnie, kto? – podchwycił Liwka i syknął, bo Poroh ścisnął go ostrzegawczo za ramię.

Chmielnicki zmarszczył brwi, przez co jego groźne, choć nalane oblicze przybrało wyraz zwierzęcej srogości.

–Okłamał was Melech – powtórzył. – Tylko nie wiem po co. Wiadomo, że pleciuch z niego, jednakowoż tak bardzo nigdy nie łąga!

–Lecz kto w takim razie...

–Nie wiem jeszcze na pewno – przerwał Chmielnicki – ale się domyślam. Kara go nie minie, to wam mogę przyobiecać. A teraz znajdźcie sobie jakie miejsce do spania i pozostańcie w gotowości. Niebawem wyruszamy na wilkozaczą sicz, tę, która po wyrznięciu Żelaznych Chutorów przeniosła się na Hylewszczyznę.

Ilja drgnął, rzucił spojrzenie Porohowi. Nie uszło to uwagi hetmana.

–Co, właśnie tamtejsze Wilkozactwo porwało żonę waszego chorążego? Żeby wam do głowy nie przyszło jechać teraz do Kostenki i ostrzec go. Co miałby zresztą uczynić? Jego baba już albo nie żyje, albo trafiła do haremu któregoś z tych pochutliwych paskudników. To diabły wcielone, przemieniecy obrzydli!

–Nawet mi przez myśl nie przeszło jechać do Serhija – mruknął Ilja. – Bez tego nieborak ma dość zmartwień.

–A właściwie gdzie on jest? – spytał nagle Chmielnicki, zatrzymując się przed Pastuchem.

Kozak nie odpowiedział, patrząc prosto w oczy hetmanowi.

–W bezpiecznym miejscu – odpowiedział za kompana Semen.

–I, jak przypuszczam, nawet na mękach od was nie wydobędę gdzie?

–Zamierzasz wydać nas na męki, hetmanie? – odpowiedział pytaniem na pytanie Ilja.

–Gdzieżby – zaśmiał się nieszczerze Chmielnicki. – Tumult by się wszczął, gdybym dzielnych mołojców tuż przed wyprawą torturować kazał, by dowiedzieć się, gdzie przebywa jakiś podchorążyna. Idźcie już, sokoły. Czeka mnie dzisiaj jeszcze wiele ważnych rozmów.

Kiedy znaleźli się na dworze, Semen splunął.

–Któryś z nich kłamie – rzekł. – Albo hetman, albo Melech.

–Albo obaj – powiedział zamyślony Ilja.

–Jak to? – spytał Liwka.

–Daj się zastanowić – ofuknął go Zajac. Ruszył powoli w stronę najbliższej karczmy, z której dochodziły dźwięki teorbanu i ochrypy głos śpiewaka.

Usiedli przy ławie – Ilja u szczytu, Poroh po jego prawej ręce, Pastuch po lewej. Pochylili ku sobie głowy.

–I co wydumałeś? – spytał Liwka.

–Coś mi się układa w głowie. Powiem, ale najpierw coś wypijemy i zjemy.

Skinął na brodatego Żyda krzątającego się między gośćmi. O tej porze nie było zbyt tłumnie, więc podszedł natychmiast.

–Miodu i piwa daj, tylko najprzedniejszych. – Ilja potrząsnął pękatą sakiewką.

Żyd zgiął się w ukłonie, a potem skinął na pomocnika.

–Leć do piwnicy, Szloma – polecił. – Utocz panom miodu z tej beczki, co stoi na końcu, i piwa. Z tej, co wiesz.

–Tylko dużo! – dorzucił Semen.

–Słyszałeś? – spytał karczmarz.

Chłopak popędził, jakby się paliło. Tych trzech wąsatych Kozaków nie wyglądało na takich, co chlubią się cnotą cierpliwości.

–A ciebie, parchu – rzekł Zając, chwytając Żyda za kołnierz i przyginając ku sobie – przestrzegam, byś nie podawał gorszego trunku, gdy uznasz, że dymi się nam ze łbów i smaku nie czujemy. Bo ci tę norę z dymem puszczę.

–Ależ, panie Kozak – zawołał przestraszony karczmarz – ja nigdy nie oszukuję takich możnych panów. Po co to by mi było na gniew się wystawiać, kiedy i żona moja Rywka, i drobne dzieciątka, i ten przybłąda Szloma musimy z tawerny wyżyć! Toż głupi całkiem bym musiał być, żeby gniewać sławnych mołojców... Bidę klepię, wasza miłość, ale uczciwie ją klepię...

–Odejdź już. – Ilja odepchnął Żyda. – Czosnkem śmierdzisz, jakbyś nic innego nie jadał. A o biedzie opowiadaj innym. Żarcie jakieś przynieś.

–Nędza w mieście jako i wszędy – zajęczał karczmarz. – Teterę wam, panowie Kozacy, podać mogę... I kęs mięsa lada jaki...

Ilja podniósł się groźnie.

–Słuchaj no, nadużywasz mojej cierpliwości. – Wysupłał z kiesy złoty denar, położył na ławie. – W stepie lepiej zjeść można, bo starczy strzałę wypuścić, żeby jakiego bobaka upolować! Wybór masz, Żydzie. Albo przyniesiesz nie teterę żadną czy inne podłe jadlo, lecz smaczną uchę trzy razy warzoną jak dla kupców, do tego mięsiwo i

chleb, a płacę uczciwie, jak widzisz, albo urządzimy tu taką pohulankę, że nic z karczmy nie zostanie!

–Co tylko panowie sobie życzą.

Chłopak służebny niebawem przypędził z dzbanem miodu, a potem dostarczył migiem każdemu z Kozaków pękate konewki z piwem i kubki. Ilja w milczeniu nalał towarzyszom i sobie po pół kubka pianistego piwa, dopełnił gęstym miodem.

–Za spokój duszy nieszczęsnego Hryńki Szpaka – powiedział. – Nie wiem, czy trafił między anioły, czy też diabły go na rusztach przypiekają, ale wiem, że dzielny był chłop i poradzi sobie wszędy.

Wypili do dna.

–Mów – ponaglił przyjaciela Poroh. – Na pewno coś już wymyśliłeś.

–Ano wymyśliłem – odparł Ilja. – Jeno nic w tym pocieszającego nie ma. Chmiel jaki jest, wiecie. Gwałtownik, okrutnik i wichrzyciel, choć i wódz zawołany. Swój ród nad inne zapragnął wynieść, zapomina, komu zawdzięcza wszelkie godności i majątek. Ale nie jest głupi. Przeciwnie, rozum u niego większy niżli u innych. Wie doskonale, że siebie na stolec książęcy Ukrainy, który mu się marzy, raczej nie wyniesie.

–Synów ma – zauważył Liwka.

–Właśnie. Synów ma – przyświadczył Zajac. – A osobiwie fawor daje Tymofiejowi.

Zamilkł, bo Żyd przyniósł misę z mięsiwem, drugą z suto omaszczoną kaszą i wielki bochen chleba. Odszedł na chwilę, aby wrócić z parującym sagankiem wonnego rybnego rosółu.

–Jedzcie – zachęcił towarzyszy Ilja, odłamując glon pieczywa i nabijając na nóż kawał parującej, ociekającej tłuszczem wołowiny. – Ciekawość, skąd w głodnym kraju oberżyci zdobywają takie dobra?

–A bo warto wpierw sprawdzić, czy to mięso przedtem aby nie szczekało albo i gorzej, nie mówiło ludzkim głosem.

–Nie tutaj – pokręcił głową Zajac. – Nie w Białocerkwi. Ale tuszę, iż gdybyśmy przydusili tego Żydka, moglibyśmy się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

–Nie czas na to – przerwał mu Poroh.

–Nie czas – zgodził się Ilja. – A zatem, jako już słusznie zauważył Pastuch, ma nasz hetman synów. Nicpotem to jego potomstwo, ale jego, i świata za nim nie widzi.

Umyślił sobie, że weźmie Tymoszko rękę córę hospodara Wołoszczyzny. Wprawdzie do Lupula w posły w tej sprawie jeździli od dawna już inni, w tym Radziwiłłowie czy Koniecpolscy, ale nikt z nich jeszcze wojną gospodarowi nie groził, by go zmiękczyć.

–Myślisz, że się Lupul ugnie? – spytał Semen.

–Uważasz, że mnie to obchodzi? – wzruszył ramionami Ilja. – Służę Chmielnickiemu, bo nie masz odeń lepszego, co by naszej udręczonej ziemi wolność dał...

–Na razie wpycha nas w pęta a to moskiewskie, a to tureckie, a to nawet z jakowymiś Branderburczykami knuje – mruknął Poroh.

–Wierzę, że koniec końców jedno ma na względzie – odpowiedział ostro Zając. – Wolną Ukrainę, w której nie będą się srożyć ani ruscy, ani polscy, ani inni panowie. Jeno nie widzę, by mu do tego potrzebny był stolec wołoski. Ale to już nie nasza rzecz. Kazał iść szarpać Wołochów na tamtą stronę, tośmy poszli i chorąży nasz też nosem nie kręcił. Wyszło, jak wyszło, trudno. Nie wiem tylko, co myśleć o słowach Piotra Melecha po dzisiejszej naszej rozmowie z Chmielnickim.

–Wierzysz, że to nie Chmielnicki kazał nawlec na koł Hryńkę? – spytał Poroh.

–Wierzę.

–To kto go skazał?

–Chmielnicki.

Poroh z Pastuchem zamilkli, wpatrując się w Ilję, jakby go pierwszy raz ujrzeli na oczy.

–Oszalałeś? – wykrztusił wreszcie Liwka.

–Nie oszalałem. Chmielnicki kazał zabić Szpaka. Tyle że nie Bohdan, a Tymoszko!

Semen i Liwka odetchnęli z ulgą.

–Ale wyraźnie powiedział ci Melech, że to hetman.

–Powiedział i nie powiedział – odparł Ilja. – Najpierw mówił tak i siak, potem kręcił w drugą stronę. Wyraźnie nic nie wyjawiał. Wysłuchał mojej opowieści, sam wyluszczył, co miał na sercu czy co tam u niego mieszka w piersi. Ale nie wierzę mu jak psu wściekłemu. Toż odkąd pamiętam, w opozycji do Chmiela stał. Niby przyłączył się do buntu, niby setnię całą w broń wyposażył, ale zawsze próbował podgryzać hetmana. Na początku, rzecz jasna, kiedy Chmielnicki nie osiągnął jeszcze dzisiejszej potęgi. Potem przycichł i postarał się, by o nim w radzie hetmańskiej zapomniano. Jeno, jak

widać, nie zabył dawnych ambicji. Ponoć Melechowie pochodzą od starej tureckiej szlachty, gdzieś w dalekich pustyniach Arabii szukają przodków, a może i z rodu sławnego Saladyna. Kiedyś wiele znaczyli, a teraz pewnie Piotr chce odrodzić potęgę rodu, korzystając z ruchawek.

–Jeśli dobrze się domyślasz, to dlaczego Chmiel nie kazał go do tej pory zgładzić? – spytał Liwka z powątpiewaniem. – Wierzyć mi się nie chce, żeby tego nie dostrzegali.

–Zamordować Melecha to nie to samo, co zarżnąć jakiegoś tam setnika kozackiego. A i Hryńkę hetman kazał zabić nie sam, lecz rękami, czy raczej gębą swojego syna. Tymoszce nic już na reputację nie zaszkodzi. Obiecał nam ukarać sprawcę i pewnie to uczyni. Znaczy, pogrozi palcem synaczkowi, każe złota na jaką cerkiew sypnąć.

Do karczmy weszli ludzie w zielonych mundurach z czerwonymi wyłogami, zawołali karczmarza, więc Zajac przyciszył głos.

–Patrzcie, jak wszędy tutaj węższą. Żydka przepytują, czy czego nie widział albo słyszał, co mogłoby zaszkodzić ich sprawie. Przybyli z Moskwy wraz z tymi dziwnymi wołchwami, o których opowiedział Melech. Mocno się Chmiel szykuje na rozprawę z Wilkozakami, jeśli to prawda, że chce się ich pozbyć raz na zawsze.

–Ale po co było zabijać dobrego żołnierza? – Poroh także zniżył głos do szeptu.

–To kara za nieposłuszeństwo. Nie jego, lecz Serhija. Pokazali Chmiele, iż mają długie ręce.

–To i my nie jesteśmy bezpieczni...

Zajac zaśmiał się nagle na całe gardło, zwracając na siebie uwagę przybyłych. Skinął im ręką, aby dać znak, że nie ich owa wesołość dotyczy. Żołnierze wrócili do rozmowy z karczmarzem.

–Co ci tak wesoło? – zapytał z rozdrażnieniem Liwka.

–Bezpieczni... Też rzekłeś. Widziałeś to kiedy, żeby uczciwy Kozak mógł się czuć bezpieczny? Nie darmo mawiamy „raz maty rodyła”. Ale nie musimy się lękać. Jesteśmy hetmanowi potrzebni. Na razie...

–Do czego?

–Walczyliśmy z Wilkozakami.

–A zabiliśmy to chociaż więcej niż jednego?

–To nie ma nic do rzeczy. Jak się idzie na takiego wroga, warto mieć w szeregach

kogoś, o kim da się powiedzieć, iż miał do czynienia z niebezpieczeństwem, a jednak uszedł cało. Coś mi się zdaje, że niebawem Chmielnickiemu przyda się każdy mołojec, który nie ucieknie na sam głos tych przeklętych bestii.

–Ale na pewno nie wyruszamy przez następne dwie niedziele – zauważył Semen. – Pełnia się zbliża, a żeby napadać Wilki, kiedy są przemienione, trzeba być głupszym od własnego konia.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz – mruknął Ilja. – Z Chmielem nigdy nic nie wiadomo.

To samo, co tak niefrasobliwie wygłosił Poroh, w bardziej oględnych słowach sformułował ataman koszowy:

–Czy rozsądnie jest porywać się na Wilkozactwo w chwili, kiedy księżyc osiągnie pełnię? Przynajmniej dwa tygodnie należałoby odczekać, inaczej dotrzemy do ich siczy, kiedy będą w pełni przemiany.

–A ty, Janie, jak zwykle udajesz, że nic nie rozumiesz! – Chmielnicki poderwał się zza stołu. – Mamy tych ruskich mnichów, a oni potrafią sprawić, by Wilcy nie byli zdolni do obracania się w silne bestie! To największa z naszych tajemnic.

–Kiedy równie dobrze możemy pójść na nich około nowiu, a wołchwowie niechaj ich wówczas jeszcze osłabiają.

–Tak się nie da. – Hetman pokręcił głową. – Mnisi nie osłabiają przyrodzonej mocy Wilków, a tylko zapobiegają ich przemianie. Dlatego musimy iść jak najszybciej. Zaskoczmy potwory, kiedy najmniej będą się spodziewać ataku.

–Naprawdę uważasz, Bohdanie, że Wilkozacy nic nie wiedzą o tych wołchwach? – Ataman koszowy, kiedy zostawali sami, mówił do starego przyjaciela tak, jak w czasach, gdy obaj byli prostymi Kozakami, pełnymi nadziei i ambicji, ale jeszcze nie wybijającymi się nad głowy pobratymców.

–Mnichach, Janie, mnichach – rzekł z naciskiem hetman. – Nie waż się używać w ich obecności miana dawnych pogańskich kapłanów. Chociaż – dodał ciszej – wydaje mi się, że bardziej by im przystawało. Wprawdzie zakonników przybyłych z silną eskortą ukryć się nie dało, ale czym są, wie ledwie kilku ludzi. Jeno pojmujesz, jako z tym bywa – prawdziwa tajemnica jest wtedy, gdy wie jeden i nie gada o tym nawet ze sobą samym. Dlatego musimy się pospieszyć. Że wyprawa się przeciw Wilkozakom szykuje, to z pewnością już do ich siczy doniesiono, o to zadbałem. Pewni są swego przemienicy, będą się bronić, na dodatek wszystkie watahy z wypraw pościągają. I dobrze, bo lepiej ich w jednym miejscu w kupie dopaść, niżli potem po stepach

doławiać.

–Lecz po co nam to? – Ataman koszowy zmarszczył brwi. – Dlaczego tak bardzo chcesz zgładzić Wilków? Nie po drodze nam bywało, ale zauważ, iż rzadko nas szarpali w spokojniejszym czasie. Mniej na pewno od Tatarów, z którymi weszliśmy w przymierze.

–Wilkozacy niewiele mnie obchodzą – wydał wargi hetman. – Słusznie gadasz, mniej to uciążliwe sąsiedztwo od Tatarów. Pamiętaj jednakowoż, że nie opowiedzieli się po naszej stronie, może nie poparli Lachów, ale niepewni są zawsze. Wreszcie, co najważniejsze, sam car żąda, byśmy zgnetli wszystkie sicze na Ukrainie. Od tego uzależnia dalszą pomoc, rozumiesz?

–Czemu zaś tak naciska?

–Nie udawaj, że wiesz mniej niż w istocie – odparł opryskliwie Chmielnicki. – Przy mnie nie musisz. Ma u siebie Jego Wysokość Aleksy Michajłowicz dość siczy i luźnych watah przemieńców. Rozplenili mu się i nad Donem, i ponoć nawet na północy grasują. Nie chce roztaczać protektoratu nad dziedziną, w której jeszcze mu ich przybędzie.

Tetera prychnął pogardliwie.

–Co za głupie tłumaczenie – rzekł. – A co mu o te trzy czy cztery większe skupiska Wilków u nas?

–Może uznał, że skoro rozlazło mu się z naszej Kozaczyzny Wilkozactwo po kraju mimo granic, to gdy z nami w sojusz wejdzie, tym łacniej ogarnie Rosję zaraza?

–Sojusz? – Ataman koszowy nie krył oburzenia. – Mówiłeś przed chwilą o protektoracie. Bohdanie, co właściwie zamierzasz uczynić? Nie wystarczy tej samowoli bojarzynów, jaką już musimy cierpieć? Nie wiesz to, co dzieje się u nich z takimi, co nie lubią słuchać, a razy tępych knutów bardziej ich bolą niż krwawe rany?

Chmielnicki poczerwieniał, w jego zimnych oczach pojawił się groźny blask, taki sam jak wtedy, gdy w pijanym widzie porywał za szablę, by rąbać bez wyboru każdego, kto mu stanął na drodze. Ostatnimi czasy nie pił, a w każdym razie nie upijał się jak dawniej, ale dzika porywczność nie odeszła za siódmą górę.

–Nie waż mi się tylko na radzie gadać takich rzeczy – wycharczał. – Dość mam mędrków, co wiedzą lepiej ode mnie, jak postępować i jakich dobierać sobie sprzymierzeńców! Car mnie naciska z jednej strony, a sułtan z drugiej, bo i on rad by pozbyć się Wilkozactwa! A ja muszę z tym wszystkim sobie radzić. Pierwsza rzecz to oderwać się raz na zawsze od Polski, a do tego muszę mieć i siłę, i potężnych przyjaciół. Na razie zaś trzeba wszystko czynić ostrożnie. Nie po to mydlę królowi

polskiemu i senatowi oczy, udając to lwa, to baranka, żeby ktoś jednym słowem zaprzepaścił całą moją politykę!

–Nie obawiaj się. – Jan aż się cofnął, porażony szaleństwem bijącym z oczu przyjaciela. – Jeśli ktoś ci stanie na zawadzie, na pewno nie będę to ja!

Chmielnicki uspokajał się powoli. Klapnął ciężko na zydę, podsunął go do okrągłego stolika, na którym stał dzban i kielichy, nalał sobie wina.

–Wiem, Janie. Doskonale to wiem. Możesz się ze mną spierać, możesz nawet czynić wbrew mojej woli, ale zawsze wiesz, kiedy się zatrzymać. Wiem też jednak doskonale, jak wielu jest takich, którzy myślą inaczej. I ich należy się pozbyć.

–Albo kupić – podrzucił ataman.

–Nie wszystkich warto kupować.

–Wiem. – Przez chwilę Tetera milczał, a potem zapytał, zmieniając ton: – A co zamierzasz względem tych trzech żołnierzy Kostenki?

–Niech idą z nami. – Hetman wlał wina także rozmówcy, podał mu kielich. – Mogą się przydać, dodadzą ducha innym, bo to prawdziwi straceńcy, kwiat młójców. A potem, kiedy będzie po wszystkim... – zawiesił głos. – Cóż, chętnie dowiem się, gdzie można znaleźć chorążego i podziękować mu za wierną służbę.

Ataman koszowy kiwnął głową. Bywały takie chwile, w których obawiał się Chmielnickiego nie mniej niż Jeremiego Wiśniowieckiego. Ale właśnie taki przywódca był Ukrainie teraz potrzebny. Z przerażeniem jednak myślał, że po śmierci Bohdana zarządzać krajem miałby jego syn. I z tym trzeba będzie z czasem coś zrobić.

Kiedy ataman koszowy wyszedł, Chmielnicki zasiadł przy dębowym, bogato rzeźbionym biurku, ujął pióro i zaczął kreślić na papierze staranne znaki, spoglądając co chwila na kartę leżącą obok lewej ręki. Kiedy skończył, zawołał:

–Horba!

Stary służący wszedł po chwili.

–Weźmiesz to pismo i pchniesz gońca do Czehrynia. Tymoszko powinien tam jeszcze siedzieć.

–Gorąco się robi na traktach – rzekł Horba. – Coraz więcej sfornych kup zbójów i różnych grasantów. A jak list wpadnie w niepowołane ręce?

–Toteż nie napisałem ani po rosyjsku, ani po polsku, ale tak, jak się umówiliśmy z

Tymoszką. Bez tego – stuknął palcem w kartę pod lewą ręką – sam diabeł się nie połapie, co znaczą te wszystkie rysunekczki.

–Ale że też wykoncypowaliście coś podobnego – powiedział z podziwem sługa. – Macie wielki rozum, hetmanie.

–Nie najgorszy. – Chmielnicki kiwnął głową. – Ale tego sposobu wyuczyłem się od Tatarów. Ten pies, Tuhaj, do Islama Gereja tylko tak pisywał. Wiele trudu mnie kosztowało, aby klucz, jakiego używał, zdobyć. Zaś tego – znów stuknął w kartę – nie zna nikt krom mnie i syna.

Nie czekała do Okołopelni. Zapewne łatwiej byłoby poradzić sobie w stepie pod postacią Wilczycy, mogłaby sprawnie polować, bo – jak się przekonała już podczas pierwszej przemiany – natura drapieżnika okazywała się zadziwiająco silna, ale dziewczyna nie miała siły wyczekiwać. Obawiała się też, że będą jej wtedy pilnować jeszcze bardziej niż do tej pory. I tak musiała poradzić sobie z młodym Wilkiem, którego postawiono na straży przy szopie. Na szczęście podczas poprzedniej przemiany zapobiegliwie wykopała jamę pod tylną ścianą, zarzuciła ją sianem, licząc, że nikt nie będzie sprawdzał. Teraz wystarczyło trochę pokopać za pomocą kawałka deski, aby przebić się na drugą stronę. Strażnika uderzyła z całej siły w głowę ciężkim kołkiem znalezionym za szopą. A potem wszystko było już proste. Doskonale знаła drogę do miejsca, gdzie częstokół był spróchniały tuż przy ziemi. Marika miała tylko nadzieję, że nie załatano dziury do tej pory. Widać jednak Wilkozacy nie bardzo dbali o umocnienia, bo choć uszkodzenie musiało być widoczne z zewnątrz, nikt się nim nie zajął, a niemożliwe, by bystry wzrok drapieżników przeoczył coś tak oczywistego.

Kiedy wymykała się z obejścia Kiryła, zdawało jej się, że dostrzegła w oknie ruch, jasny owal twarzy. Ale może to było rzeczywiście tylko złudzenie, bo nikt nie podniósł larum, nie przeszkadzał kobiecie dojść aż do miejsca, gdzie w wąskiej przestrzeni między zabudowaniami a częstokołem ział zbawczy otwór.

Biegła ile sił do samego świtu. Łapała chciwie powietrze, czuła ból w całym ciele, nogi i ręce paliły żywym ogniem, ale nie rezygnowała, pędziła przed siebie, prawie na oślep, byle znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, w którym zaznała tyle krzywdy. Gnała ją też tęsknota za córką, to uczucie, które wróciło tak nagle, gdy Marika ujrzała Wilczycę z młodym. Zawsze wyobrażała sobie, że wilkozackie samice rodzą potomstwo na podobieństwo prawdziwych wader, szybko, bez bólu, a w miocie jest nawet sześć szceniąt. Tymczasem mogła się przekonać, że w tym akurat przemieńcy podobniejsi są do ludzi niż zwierząt. I właśnie wtedy, kiedy to do niej dotarło, dopiero poczuła nieprawdopodobną wręcz odrazę do wilczego plemienia. O własne dziecko powinno się dbać, martwić o nie, a rodzenia nie traktować jako

obowiązku względem stada. Przekłęte to prawo, zgodnie z którym można odebrać Wilkowi kobiety i oddać je do rozplodu. Jak Marice powiedziano, nie tylko ona miała wziąć udział w zwierzęcej orgii, ale także wszystkie samice uciekinierów. Może te nieszczęsnice potrafiły się z tym pogodzić, ale ona na pewno nie! Musiała odszukać córeczkę, musiała spojrzeć chociaż jeszcze raz w ukochaną twarzyczkę. Ostatni raz, a potem niech się dzieje, co chce. Najlepiej niechaj Marikę zabiją... Niech ją nawet zabije ten, który ją pojął... A którego imienia nie potrafiła sobie przypomnieć.

Zastanawiała się, czy wyruszył pościg. Nawet jeśli zauważyli już jej zniknięcie, to dosłownie przed chwilą. Strażnika uderzyła bardzo mocno, gdyby był człowiekiem, miałyby pewność, iż nie żyje. Napadła go, ledwie objął wartę, więc nawet jeśli zmiennik przyszedł na czas, zyskała jakąś przewagę. Chwalić Boga, Wilkozacy konno nie jeździli. Zwierzęta płoszyły się w ich obecności, nawet jeśli zbliżali się do nich w ludzkiej postaci. Takie w każdym razie chodziły słuchy. I były chyba prawdziwe, bo w siczy Marika nie widziała ani jednego wierzchowca. Że psów nie trzymali, to oczywiste – toż to najgorszy po człowieku wróg wilków. Czasem dziewczyna widziała jakiegoś kota, gdakały kury tu i ówdzie, w błocie taplały się kaczki. W nocy przemian Wilkozacy zamykali chudobę w szopach i kurnikach, by ich nie kusiła, a koty znikwały, szukając schronienia w stepie.

Tak jak ona teraz...

Stanęła zziębnięta, ociekając potem mimo chłodnego poranka. Mgła, snująca się nad trawą, zaczęła się unosić w promieniach słońca. Ojciec powiadał, że jeśli mgła idzie w górę, będzie deszcz, a przynajmniej chmury. Jednak Marika wiele razy miała możliwość przekonać się, że różnie z tym bywa. Sama nie wiedziała, czy wolałaby iść dalej w słońcu, czy chłodzić ciało strugami deszczu.

Dziwnie szybko wypoczęła. Powinna się z tego cieszyć, lecz uldze, że nie opadła z sił i może już ruszać dalej, towarzyszyła świadomość, iż wytrzymałość oznacza coś więcej niż wzmocnienie ciała.

– Jesteś już prawą Wilczycą – mruknęła dziewczyna z goryczą. – Patrzeć tylko, a zupełnie zapomnisz, że byłaś kiedyś człowiekiem, tak samo jak te nieszczęsne wadery, porwane od swoich, wprawdzie rozpaczające, a teraz takie obojętne.

Różne zdarzały się kobiety w siczy: zwykle chłopki z ukraińskich wsi, żony i córki ormiańskich kupców, smagłolice, piękne Wołoszki, branki z multańskiej strony, a także urodzive ostronose niewiasty z dalekich gór na wschodzie, poza tym Żydówki oraz Tatarki, często o skośnych oczach. A jednak wszyscy Wilkozacy-basiory wyglądali, jakby pochodzili z jednego rodu, wielkiego, ale niemającego nic wspólnego chociażby z krwią najbliższych południowych sąsiadów. Jedynie Kara wyglądał na potomka mieszkańców Krymu, ale był przecież w siczy obcy, Michej nie darmo nazwał go przybłądą, gdy zabierał pochutnikowi zhańbioną i zropaczoną

dziewczyne. Na wspomnienie tamtych chwil zacisnęła pięści, zapominając z miejsca o rozmyślaniach nad dziwami, które ujrzała w siczy.

Nie pozwoli więcej tak się skrzywdzić i upokorzyć! Nie pozwoli, dopóki choć trochę jeszcze jest człowiekiem. A jak bardzo nim jest? Na ile stała się już Wilczycą? Tego jeszcze nie wiedziała i na razie nawet nie chciała wiedzieć. Będzie czas rozmyślać, gdy już zobaczy... kogo?... córeczkę... Hal... Halszkę! Z trudem wydobyła z pamięci imię.

Chyba zaczynała rozumieć obojętność Wilczyc. One po prostu zapomniały o dawnym życiu. Być może z czasem zaczynało im się wydawać, że od zawsze należały do stada, watahy i siczy? A może to jeszcze coś innego? Zaraz, przecież oprócz dziecka jest ktoś jeszcze, ktoś chyba ważny... Ten, który je spłodził. Czy powinna go nienawidzić tak samo jak Kałmuka? Czy kiedy napełniał ją nasieniem, czuła tak samo wielki ból, zmieszany z rozkoszą, która nie mogła zadośćuczynić cierpieniu? Ów mężczyzna musiał być gdzieś tam, przy dziecku. Boże, dlaczego Marika nie potrafi sobie przypomnieć, jaki jest? Pamiętała jego zapach, ale nic poza tym. A i to, co pamiętała, związane było z córeczką. Bo przecież, żeby odnaleźć ją, musi też znaleźć jego.

Obejrzała się z obawą w stronę, z której przybiegła. Niepotrzebnie – przecież na pościg było za wcześnie. Czuła jednak napływającą stamtąd falę niepokoju, rosnącą, przybierającą na sile, przeradzającą się w paraliżujący strach. Gdyby Wilcy schwytali Marikę... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Wzięła głęboki oddech, po czym ruszyła przed siebie. Szło jej się nieoczekiwanie ciężko, zupełnie jakby rozmyślania o siczy przykuwały ją do ziemi. Z trudem przesuwiała nogi, czuła, jak rozdziera się w niej serce, jak przemożny głos wzywa, aby wróciła między Wilki. Mimo woli odwróciła się i zaczęła iść z powrotem, a wtedy kroki uczyniły się lekkie, zdawało się, że bez wysiłku sunie w powietrzu.

Spojrzała w pokrywane się chmurami niebo.

–Nie! – krzyknęła. – Nie chcę!

Niebo milczało, szare i obojętne.

–Nie! – tym razem jej głos załamał się i zaskrzeczał.

Popatrzyła na trawę, na rzadkie zarośla, na łagodne pagórki.

–Nie! Nie!! Nie!!!

Teraz nie krzyczała już, lecz wyła, zupełnie jak wtedy, gdy ulegała przemianie. Poczowała też przeszywający ból w całym ciele, świat rozmazał się, a potem nabrał

niezwykłej ostrości.

I nagle niewidzialne pęta trzasnęły, a Marika pognąła, nie bacząc na nic, na dziwne doznania i ból. Najważniejsze, że znów oddalała się od przeklętej siczy, że serce przestała rwać chęć powrotu wbrew sobie, a w głowie pozostało jedynie pragnienie odnalezienia córeczki.

Paweł przy wtórze piszczalki, teorbanu i bębenka tańczył bojowego hopaka. Wilkozacy patrzyli na jego popisy z mimowolnym, niechętnym podziwem. Biegły był wyjątkowo. W siczach Wilków nie hołowano tej odmianie ćwiczenia ciała, drapieźniki polegały na przyrodzonej zwinności i sile. Ponoć niektóre ze sposobów walki Kozacy przejęli od pradawnych ludów, jakichś Sarmatów, Awarów i ich przodków. Ile w tym było prawdy, Michej nie miał pojęcia, zresztą niewiele go to obchodziło. Ale sprawność żołnierza robiła wielkie wrażenie. Niby tylko taniec, dla kogoś mało obznajomionego z walką piękny i trudny wprawdzie, ale tylko taniec. W istocie rzeczy zawierał w sobie bodaj wszystko, co prawdziwy wojownik powinien umieć. A najważniejsze było to, co stanowiło o potędze sławnej kozackiej piechoty – żywiołowość, wielka moc i dyscyplina, dzięki której niepokorni mołojcy potrafili podporządkować się ciężkim rygorom. W pojedynkach zaś częściej niż inni, właśnie mieszkańcy Niży walczyli w przysiadzie. To zaskakiwało nie tylko zupełnie obcych, niedoświadczonych przeciwników, ale nawet znających się na rzeczy.

W siedzibie rozbójników można było znaleźć bodaj każdy rodzaj oręża używanego przez Kozaków, może poza kosami osadzonymi na sztorc i sierpami, bo po nic były rabusiom. Ale nie brakowało szabel, pałyci, spis, czekanów, buzdyganów, a nawet starych, lecz doskonałych mieczy. Zaś jeniec, tańcząc, idąc w prysiudy, wywijając nogami i rękami, brał po kolei każdą broń i pokazywał, że żadna nie jest mu obca.

Zbóje stali w kręgu, z samopałami gotowymi do strzału na wypadek, gdyby Melechowi przyszło do głowy rzucić się na któregoś, próbować szczęścia w ucieczce. Kozak zaś najwyraźniej zapamiętał się w tańcu, bo choć pot ciekł mu po twarzy strumieniami, a hajdawery zaczęły lepić się do ud, wywijał niestrudzenie. Wreszcie nie wytrzymał Guz, przysadzisty rozbójnik, który powitał w bramie Wilkozaków. Skoczył w środek koliska i także zaczął hopakowe wywijasy. Pozostali też zdawali się zapominać o czujności. I tak po jakimś czasie na majdanie zakłębiło się od ludzi. Z boku pozostali tylko dwaj grający – na piszczale i teorbanie, bo Mały Isz, dzierżący bębenek, przyłączył się do pohulanki – obaj Wilkozacy oraz Krucha. Kobietom nie wolno było próbować hopaka. Nawet Szkaplerz skoczył do kręgu, aczkolwiek trzymał się z boku, wyraźnie gorzej sobie radząc niż pozostali.

Michej śledził uważnie ruchy tancerzy, zastanawiając się, kiedy wspólna zabawa przerodzi się w pierw w poszturchiwania, a potem w bójkę, jak to się najczęściej

zdarzało. Na razie jednak Kozacy ograniczali się do wspólnych płasów i pokazów sprawności.

–I co? – spytał Kirył, zbliżając usta do ucha towarzysza. Dźwięki piszczałki były tak przenikliwe, że musiał podnieść głos. – Będziemy tutaj z nimi siedzieć czy coś zrobimy?

–A co chcesz robić? Mówiłem, że musimy trochę przeczekać.

–A potem? Naprawdę chcesz tak po prostu wrócić do siczy i wyzwąć Hrehorego? Pamiętaj, że jego ustami cała rada wydała na nas wyrok. Powinniśmy coś mieć w zanadrzu. Coś, co zatka gęby niechętnym.

Michej spojrzał bystro na Kiryła. Odkąd opuścili sicz, milkliwy i podporządkowujący się rozkazom Wilk zaczął samodzielnie myśleć.

–Chcesz odnaleźć szczenię chorążego? Jak? Nie wiemy, gdzie jest, nie wiemy nawet, czy żyje. Ludzkie szczeniaki słabsze są od naszych.

–Słusznie. – Michej zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Tak, inaczej będą na nas patrzeć, jeśli przybędziemy z pomiotem Kostenki.

W chwili, kiedy wypowiadał ostatnie słowa, muzyka urwała się nagle, a nazwisko chorążego zabrzmiało w nagłej ciszy niczym wystrzał.

–Kostenko? – Zdyszany Szkaplerz wlepił w Wilkozaków zimne spojrzenie. – Dobrze słyszałem? Macie coś do Serhija Kostenki?

Michej nie stracił rezonu.

–A co, znasz go? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

–Powiedzmy, że o nim słyszałem – odparł wymijająco przywódca zbójów.

–Tylko słyszałeś?

Szkaplerz podszedł do Wilka na pół kroku, spojrzał w górę, prosto w oczy Micheja.

–Powiedzmy, że nie tylko słyszałem.

–Służyłeś pod nim? – domyślił się Gryszczy. – I nie bardzo go kochasz?

–Powiedzmy, że niekoniecznie – potwierdził Szkaplerz. – A wy co do niego macie?

–Też go nie kochamy.

Pozostali z ciekawością przysłuchiwali się rozmowie. Paweł Melech podszedł nawet bliżej, nadstawiając ucha. Szkaplerz łypnął na niego i natychmiast zakończył rozmowę z Wilkami.

–A ty, żołnierzu? – Popatrzył na jeńca. – Pozbyłeś się obrzydliwego munduru, wyglądasz jak na mołojca przystało, może chcesz się do nas przyłączyć? Poszczerbiłeś paru naszych, trzeba by to odkupić.

Paweł odpowiedział hersztowi długim, twardym spojrzeniem.

–Schwytałicie mnie wprawdzie z rabusiami, ale nie należałem do nich. Przyłączyłem się, bo szli w stronę, w którą i ja miałem się udać.

Szkaplerz wykrzywił twarz w uśmiechu.

–Jak powiedziałeś, że się nazywasz, kiedyśmy cię brali do niewoli? Melech? Dobrze pamiętam? Paweł Melech? Brat Piotra, tego samego, który swego czasu chciał odsunąć Chmiela od urzędu?

Jeniec nie odpowiedział, a Szkaplerz ciągnął dalej:

–Bardzo pięknie udał oburzenie, gdym hetmana spostonował. Jeno jakoś nie bardzo chce mi się wierzyć, że tak pana Bohdana miłujesz. Pomnę, co wołał brat twój do czerni, gdyśmy stali w Czehryniu. „Taki sam Chmielnicki dobry Kozak, jako i inni. Pod herbową szlachtę się podszywa, Habdanka w herbie by chciał nosić, a zda się zapominać, iż z chłopów pochodzi, niczym się od zwykłego rejestrowego nie różni”. Tak powiadał pan Piotr, co sam by chętnie i hetmanem, i książątkiem został. Dobrze gadam?

Paweł milczał uparcie.

–Pewnie, że dobrze – odpowiedział herszt sam sobie. – Może i Chmiel o nim zapomniał albo go zgoła lekceważy, ale nie wydaje mi się, by Piotr Melech zapomniał o dawnych nadziejach.

Teraz jeniec nie zdzierzył.

–Lekceważy? – prychnął. – Wszędy za nim swoich postrzegaczy wypuszcza, pilnuje, z kim rozmawia, wiedzieć chce o czym.

Zamilkł, nie chcąc powiedzieć zbyt dużo.

–Taaak – powiedział przeciągle Szkaplerz. – A zatem patrzeć tylko, jak Chmielnicki pozbędzie się go przy lada sposobności. To dlatego gdzieś jechałeś? Chcecie pokrzyżować jakieś plany hetmanowi?

–Być może – odparł zuchwale Melech. – Nie wasza rzecz.

Przywódca zbójów uśmiechnął się. W jego głosie nie było złości.

–Zapewne nie. Lecz dobrze wiedzieć, co zamyślają ludzie mogący zamieszać w tym tyglu, który się uczynił z udręczonej naszej ziemi. Widzę jednakowoż, że próżno z tobą się targować. Zechcesz, powiesz, nie zechcesz, będziesz milczał. Do nas nie przystaniesz, to pewne. Wiem już przynajmniej, co z tobą uczynić. Może brat zapłaci za cię więcej niż Wiśniowiecki z Chmielem do spółki. Jak myślisz? Jutro Mały Isz pojedzie do... Gdzie znaleźć pana Piotra?

–Ostatnio siedział w Czehryniu – odpowiedział ponuro Melech. – Ale nie liczcie na wielki okup. Brat nie jest bogaczem.

–Pojedzie zatem do Czehrynia i nawet na Sicz, jeśli zajdzie potrzeba. A ty nie opowiadaj byle czego, panie Pawle. Wiemy doskonale, iż Melechowie z głodu nie umierają.

–Jeśli mnie puścicie, przysięgam, że dostaniecie grosz nie tylko od Piotra, ale i ode mnie!

Szkaplerz wzruszył ramionami.

–Wiesz, co stoję o przysięgi? Sam niejedną zламаłem, czemu miałbym wierzyć, że inni swoich dotrzymują?

Odwrócił się do swoich.

–Zamknąć naszego drogiego gościa w loszku. Warty przy nim wyznaczycy Krucha. I bez gadania! – uciął rodzące się protesty. – Nie mam ochoty wysłuchiwać waszych jęków. Kto wartuje w nocy, może wyspać się w dzień. Tu nie wojskowa kazerna. Ale Melecha pilnować trza dniem i nocą. To szczywana sztuka, a ja nie cierpię siurpryz!

Rozdział 10

Serhij stał pośrodku podwórza z szablą w lewej ręce. Pot ściekał mu po twarzy i po plecach, łaskocząc, lepiąc koszulę, a jednocześnie jątrząc podgojoną ranę. Ledwo przyschnięta, wciąż jeszcze była bardzo wrażliwa na dotyk. Chorąży z niepokojem myślał o prawicy. Z całą pewnością nie zdoła nią machać jak dawniej, dobrze, jeśli zdoła z pistoletu wycelować, a i to nie w najbliższym czasie. Parasza przestrzegala, by nawet nie próbował forsować ręki. Wprawdzie samo ramię niewiele ucierpiało, ale zmiądzona kość łopatki i pozrywane mięśnie dokuczały mocno. Poza tym od czasu do czasu dopadała Serhija jeszcze gorączka.

–Goi się, goi – mruzczała wtedy stara, podając mu napar z lipy zaprawiony miodem.
– Cierpliwości trzeba. A wy, sokoły, tylko byście po stepie fruwali, na nic nie zważając. Dopiero jak się któremu skrzydło zawinie, jak je złamie, widzi, że ludzka dola to nie jeno machanie szablą, smakowanie wiatru, słońca i deszczu.

–I krwi – dodawał nieodmiennie.

–I krwi – powtarzała, krzywiąc się z niechęcią, a jej pomarszczona twarz zdawała się wtedy jeszcze starsza niż zazwyczaj. – Ale ledwie wam się to skrzydło podleczy, zaraz byście z powrotem w pola ruszali, sławy szukać.

Miała słuszność. Choć Serhij był jeszcze słaby i męczył się śmiertelnie, zaledwie parę razy machnąwszy szablą, choć rana doskwierała, już zaczynał tęsknić za swobodą, przestrzeniami stepów, zapachem ogniska i przypalonego podczas pieczenia mięsa, zaprawionego z braku soli prochem strzelniczym i ziołami. Za widokiem szerokiego Dniepru, wonią świeżo złowionych ryb, szumem wody załamującej się i spadającej z wysokich porohów, za zgiełkiem bitwy i hałasem karczem, popisami wojackimi na majdanie. Za towarzyszami, o których nie wiedział, czy jeszcze ujrzy ich między żywymi, za skrzypieniem wozów taboru, gdy Kozacy wybierają się na wojnę, okrzykami dowódców i wyrzekaniem prostych żołnierzy.

I nawet wtedy, gdy patrzył na córeczkę, nie opuszczała go tęsknota za dawnym życiem. Jednocześnie kochał całym sercem Halszkę i pragnął wolności. Wiedział, że dopóki nie wydobrzeje i nie znajdzie dla małej należytej opieki, nie wolno mu jej opuścić.

Z drugiej strony żal ścisnął go za serce, gdy myślał o Marice. Wiedział, że tak silne pragnienie powrotu do dawnego życia wiąże się nierozzerwalnie ze smutkiem po utracie żony. Już jej nigdy nie zobaczy, a jeśli nawet, może się okazać, że wcale by tego nie chciał. Różnie mówiono o porwanych przez Wilkozaków kobietach. Ponoć stawały się zupełnie inne niż przedtem, ale jakie, nikt dokładnie nie wiedział. Zważywszy jednak, iż walczyły zajadle w obronie stada, nie mogły pozostawać

istotami ludzkimi. Czy Marikę spotkał podobny los? Czy też wybrała śmierć, bo i tak się mogło zdarzyć.

Budził się w nocy z jękiem, nawet na jawie widząc jej obce oczy i oddalającą się postać. Dopiero kiedy powoli rozpływała się w ciemnościach, wiedział, że to był tylko następny koszmar sen.

A Halszka zdawała się rosnać w oczach. Na pożywnym kozim mleku i przecieranych przez gęste sito zupkach przygotowywanych przez Paraszę nabrała rumieńców, żywe oczka błyszcząły ciekawością świata, zaczynała już wyciągać rączki po chleb, kiedy znachorka jadła, trzymając małą na kolanach. Dostawała też za każdym razem kawałeczek, wkładała go z namaszczeniem do buzi i ssała z przymkniętymi powiekami, poznając nowy smak. A stara rozpływała się, jakby na jej oczach właśnie stawał się cud.

Od czasu do czasu przychodzili pod chatę ludzie, a to po dekockt na uśmierzenie bólu, a to po zioła na inne dolegliwości, albo zgoła po radę. Parasza każdego wysłuchiwała cierpliwie, każdemu pomagała, ale też zdierała z chłopów, ile się tylko dało, czy w groszu, czy płodach ziemi i zwierzętach.

–Niech płacą. – Wzruszyła ramionami, kiedy Serhij spytał, czy nie ma litości dla ludzi. – Wojna jakoś omija te strony, głód nie panuje taki, jak gdzie indziej, a my też musimy z czegoś żyć.

–Niebawem będę mógł polować – rzekł chorąży. – Zostawił Semen lekką gwintówkę, taką, co ją można dzwignąć jedną ręką i oprzeć o byle gałązkę, by dobrze wycelować.

–I dobrze, sokole – odpowiedziała zadowolona. – Lepiej mieć więcej niż mniej.

Nie było o czym rozprawać z upartą babką.

Słońce prażyło niemiłosiernie, wydawało się, że wcale nie osłabło, mimo iż dawno zeszło z południa. Kostenko wbił czubek szabli w ziemię, oparł się na niej ciężko. Zanim lewa ręka stanie się tak sprawna, jak niegdyś prawa, upłynie sporo czasu. Na szczęście stary Prohyry w dzieciństwie przyuczał Serhija do walki oburącz, starał się wyćwiczyć jak najlepiej lewicę ulubieńca. Potem chorąży przez pewien czas pamiętał, aby nie wychodzić z wprawy, ale wreszcie zaniedbał się w tym względzie, bardziej przydatne niż fechtunek lewą ręką okazało się trzymanie w niej samopału i strzelanie, gdy idąc do ataku, w prawej dłoni ścisnął ukochaną damascenkę – na pozór zwyczajną czarną szablę, w istocie rzeczy broń wprawdzie nie najlżejszą, ale poręczną jak rzadko. Była wspaniale wyważona i posiadała bardzo trwałe ostrze. Niejeden szłom nią rozłupał, niejedno serce przebił i niejedno ucho obciął w pojedynkach. Oprawę miała prostą, nie wykonano jej na modłę wschodnią. Solidny

pałąk zabezpieczał dłoń, podobnie jak dość długie jelce, a wypuszczone w stronę główki stalowe wąsy potrafiły uwięzić i złamać klingę przeciwnika.

Parasza wyszła z domu, trzymając na rękach Halszkę. Mała, sztywno wyprostowana, rozglądała się na wszystkie strony. Na widok ojca wyciągnęła rączki i zagruchała słodko.

–Nie, kochaniutka – powiedziała znachorka. – Ojcuś mokry jest jak worek owsa na dżdżu.

Halszka wygięła usta w podkówkę, widząc, że nie dają jej się zbliżyć do rodzica, ale zaraz rozjaśniła się, kiedy babka wyjęła spod zapaski dzwoneczek i rozległ się srebrzysty dźwięk. Dziecko natychmiast chwyciło czerwony sznureczek i zaczęło z upodobaniem potrząsać zabawką.

–Nalałam wody do cebra za domem. Już się pewnie nagrzała, bo słońce dzisiaj pali. Idź się obmyć. Garniczek, żebyś się mógł połać, też tam znajdziesz.

–Nagrzała? – Serhij skrzywił się. – Wolałbym łeb zmoczyć w zimnej...

–Zimna woda nie najlepsza by była na twoje rany. Skóra spierzchnie, zdrętwieje, może cię sudoroga chwycić za ramię, wszystko się napręży i nieszczęście gotowe. Toż dwa miesiące dopiero przeszły, odkąd do mnie zawitałeś. Krótki czas, choć tobie pewnie wydaje się, jakby dziesiątek lat przeminęło. Ale ciała nie oszukasz... – Chwyciła za rączkę małą, która próbowała wpakować sobie do buzi dzwonek razem ze sznureczkiem. – Tak, ciała nie oszukasz! Idź już, wypłucz się, zanim pot zaczniesz żreć ranę!

Serhij zaśmiał się.

–Dbasz o mnie jak matka najlepsza – rzekł, idąc ku domowi. Oparł szablę o ścianę, odwrócił się jeszcze do znachorki. – Co tam matka, jak żona tuż po ślubie. Wiesz, gdybyście byli młodszą, Paraszo, chybabym się z wami ożenił!

–Nie powiadaj byle czego – fuknęła stara, ale aż pokraśniała z zadowolenia. – Nie dla ciebie to wszystko czynię, latawcu, ale dla tego dzieciątka.

–Tak – mówił dalej chorąży – ożeniłbym się z tobą chociażby dlatego, że potrafisz zadbać o dzieci! Szorstka jesteś i kolczasta, że podejść trudno, ale serce masz dobre jak mało kto. A pewnie i teraz ognia by z ciebie silny chłop nakrzesał!

–A pójdiesz! – Porwała suszącą się na ganku ścierkę i cisnęła nią w Kozaka.

Ruszył za dom, śmiejąc się głośno. Ale gdy zniknął za rogiem, twarz ściągnął mu przykry grymas. Nawet gdyby Parasza była i zdatna do ożenku, a on naprawdę

chętny, nie mógłby nic uczynić. Nie wiedział przecież nawet, czy jego żona żyje... Trza będzie jakiegoś popa spytać, co dzieje się wtedy, gdy Wilkozacy porwą komu małżonkę. Do końca swoich dni ma taki nieszczęśnik sam jak palec siedzieć, kochanicami się jeno kontentując?

Zaraz zawstydził się tych myśli. Nie wiadomo, co tam z Mariką, jeszcze jej ślady w stepie dobrze trawą nie porosły, a Serhij już rozmyślał, co z sobą począć. Ona by pewnie po nim dłużej rozpaczała.

I w tej chwili cały żal i tęsknota, skrzętnie tłumione, wróciły do niego, uchodząc ze ściśniętego serca dwoma słonymi strumykami. Natychmiast wylał sobie na głowę kubek wody, a następnym chlapnął prosto w twarz, aby ukryć łzy przed sobą samym.

Patrzyła na walające się dookoła zakrwawione trupy i zbierała powoli myśli. Wszystko stało się tak szybko, że nie była w stanie przypomnieć sobie dokładnie kolejności zdarzeń.

Marika natknęła się na tych ludzi zupełnie nagle, kiedy obmywała się przy leniwie ciekącym strumyku, wypływającym spomiędzy kamieni w dużym wykrocie i niknącym gdzieś w trawie. Była równie zaskoczona, jak grupka mężczyzn, ale oni, doświadczeni wojacy, opamiętali się pierwsi. Zanim się spostrzegła, została otoczona przez rechoczących Kozaków. Było ich sześciu. Pozeskakiwali z koni, utworzyli krąg wokół zaskoczonej kobiety.

–Patrzajcie, co też nam wpadło w ręce! – zawołał jeden, o twarzy zeszpeconej paskudną, źle zrosniętą blizną, biegnącą od lewego oka przez policzek aż do szyi. – Myśleliście, chłopcy, że spadnie na nas takie szczęście, by pośrodku pustaci zabawić z dziewczką?

Odpowiedział mu głośny, obleśny śmiech kompanów.

–Dawajcie no ją tutaj – krzyknął wojak stojący za jej plecami.

I od razu wprowadził myśl w czyn, chwycił Marikę za ramiona, przycisnął do siebie tak mocno, że poczuła na pośladku jego pęczniejącą w luźnych szarawarach męskość. Dziewczyną wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

–Podoba jej się, chłopcy! – zawołał napastnik, owiewając głowę ofiary oddechem cuchnącym cebulą i zepsutymi zębami. Objął Marikę ciasno i do smrodu oddechu dołączył się odór niemytego ciała. – Dawajcie, robimy swoje czy chcecie się przyglądać, jak sam to czynię?

Ten z blizną szczyrzył zęby, zbliżając się niespiesznie.

–Co, dziewczko? – powiedział głosem ochryplym z podniecenia. – Chcesz spróbować, jak to robią prawdziwe chłopcy?

Marika drżała w duszącym uścisku tego z tyłu. Bliznowaty skoczył nagle, przypadł do niej, szarpnął koszulę, która rozdarła się z trzaskiem i chwycił brudną, szorstką łapą białą pierś. Usłyszała, jak pozostali przełykają ślinę na ten widok.

–Pospiesz się, Garłuk – usłyszała głos z boku. – Inni też chcą.

–Zamknij pysk, Łomka! – burknął lubieżnik. – Dla wszystkich wystarczy. Ty i tak spróbujesz na końcu, idź się teraz odlać, a może i wybrandzłuj się gdzie w krzakach, żeby ci się nie cniło, bo to trochę potrwa.

Garłuk pokazał trzymającemu Marikę Kozakowi, żeby cisnął ją na ziemię, a sam rozwiązał sznurek przy szarawarach i opuścił je do kolan. Oczom dziewczyny ukazała się stercząca męskość.

Tego już było za wiele. Szarpnęła się w tył, a w tej samej chwili trzymający ją napastnik postanowił wykonać polecenie kompana. Marika potoczyła się, z impetem przeokoziłkowała przez ramię. Kiedy wstała, świat znów się wyostrzył, jak wtedy, gdy wyrwała się spod wezwania płynącego od siczy. Nie czuła już strachu, tylko gniew i nienawiść. Mężczyźni patrzyli zaskoczeni, jak zamiast próbować uciec, branka zbliża się do nich najpierw powoli, a potem coraz szybciej. Pierwszy stanął jej na drodze ten z blizną, wciąż z opuszczonymi hajdawerami, ale i z wydobytą szablą. Skoczyła na niego. Trysnęła krew. Następnie świat spowiła krwawa mgła, do uszu Mariki docierały tylko wrzaski, najpierw gniewu, a zaraz potem przerażenia.

A teraz patrzyła na rozerwane szyje, na wybałuszone, szkliste oczy, w których tuż przed śmiercią wyraz zaskoczenia walczył o lepsze ze strachem. Skuliła się z lękiem, z niedowierzaniem patrząc na obnażony tors najmłodszego z Kozaków – młodzieniec miał wyjedzony cały bok. To niemożliwe, żeby ona... Była cała pokryta krwią, a do tego nie czuła ssania głodu w żołądku, za to zagościł tam mdlący ciężar.

Odwróciła się od okropnego widoku, szarpnęły nią torsje. Zamknęła oczy, aby nie widzieć, co się z niej wrywa. Wychodziło na to, że stała się Wilczycą. Ale nie widziała przecież, żeby poza czasem Okołopełni Wilkozacy posilali się jak zwierzęta, świeżym mięsem, w dodatku ludzkim. Co się z nią stało?

Chwiejąc się, poszła do strumyka. Stała nad ciekącą leniwie wodą, starając się dostrzec własne odbicie. Na próżno – zbyt wąty był, a w dodatku szara stepowa ziemia zdawała się wsysać w głąb wszelkie obrazy, jakby nie na dłoń głęboko pod wodą się znajdowała, ale dobre cztery sążnie.

Marika potrząsnęła głową, zanurzyła w strumyku skrwawione dłonie i zaczęła je gorączkowo obmywać. Zaczerpnęła piachu z dna i zaczęła szorować palce, nie zważając, że kaleczy skórę ostrymi, drobnymi kamyczkami. Woda zmaciła się, więc dziewczyna przeszła wyżej, podstawiła ręce pod spadające z niewielkiej wysokości krople.

Boże, jak trudno jest zmyć krew... A tak łatwo jej utoczyć... Pomyślała o córeczce – Boże, jak trudno uchronić małe istnienie... A tak łatwo je zniszczyć... I o tym, który kiedyś był jej mężem – Boże, jak trudno jest zachować miłość... A tak łatwo zdaje się przychodzić...

Wzdrygnęła się. Wciąż nie potrafiła przypomnieć sobie jego twarzy ani imienia. Jakże więc ich odnajdzie? Trudno. Będzie chodzić od wioski do wioski, obserwować ludzi. Małą pozna na pewno... Jeśli jeszcze żyje...

Usłyszała jęk, odwróciła się, gotowa do walki lub ucieczki. Ale to tylko jeden z Kozaków otworzył usta i oddychał chrapliwie. Jakimś cudem żył jeszcze, mimo rozerwanych żył w szyi i rozprutego brzucha.

Marika podniosła się powoli, podeszła do konającego. To był Garłuk. Patrzył na nią oczami pełnymi cierpienia i niemej prośby.

–Chcesz, żebym cię dobiła? – odgadła.

–Tchakchchch – wycharczał. Z ust puściła mu się krew. Zakrztusił się i zajęczał przeraźliwie, targany bólem płynącym z trzewi.

Dziwne, ale myśl o wbiciu szabli w pierś tego mężczyzny nie budziła w kobiecie żadnych uczuć. Rozejrzała się, poszła do samego środka wykrotu i wyrwała wbite tam w ziemię ostrze. Wróciła do Kozaka, oparła sztych szabli o jego pierś. Przymknął oczy, gotów z ulgą przyjąć śmierć.

–Nie! – powiedziała nagle, odrzucając broń daleko od siebie. Poczwała palącą serce nienawiść. – Zdychaj, łajdaku! Zasłużyłeś na to! Ile dziewcząt niewinnych, ile kobiet płakało za twoją sprawą?

Otworzył oczy. W jego źrenicach ujrzała nienawiść podobną do swojej.

–Tak, zdychaj – powtórzyła. – Ile czasu byś nie umierał w męczarniach, za krótko będzie za twoje łotrostwa.

–Prze... – wycharczał, nie zważając na krew płynącą z ust – przeklinam cię!

–Za późno! – zaśmiała się. – Zostałam już przeklęta tak bardzo, że twoje marne chęci nic mi nie mogą uczynić.

–Kim jesteś? – wyszeptał.

Zastanowiła się.

–Nie wiem – odparła cicho. – I może nie chcę wiedzieć. A teraz zdychaj.

Odwróciła się i poszła do strumyka dalej się obmywać. Za jej plecami Kozak charczał i złorzeczył jej w myślach. Czuła jego złą wolę, ale była jej obojętna.

–Niech zdycha – powiedziała do siebie, zanurzając palce w wodzie.

A potem nagle wyprostowała się, obróciła na pięcie i wróciła do umierającego. Po drodze podniosła szablę. Zanim Kozak zdążył pojąć, co się dzieje, spadła na niego ciemność, a odrąbana potężnym cięciem głowa odtoczyła się na bok.

Loszek, w którym zamknięto Pawła Melecha, był dziurą wykopaną w ziemi, wyłożoną porozcinanymi wzdłuż na pół belkami i zabezpieczoną solidnymi drewnianymi drzwiami, okutymi żelazem, położonymi na płask i stanowiącymi zarazem powałę celi. Nie była to lita płaszczyzna, miała wycięte szpary, aby powietrze docierało do ciasnej nory. Zamykano je na potężną sztabę, sięgającą daleko w bok, ku skoblowi umiejscowionemu w takiej odległości, aby więzień żadnym sposobem nie mógł doń sięgnąć, nawet gdyby jakimś cudem wystawił rękę przez którąś szczelinę. Dawniej zabezpieczano całość wielką kłódą, która jednak przerdzewiała, więc teraz w skobel wkładano albo dębowy klin, albo jakiś kawał żelaza. Nad tym wszystkim postawiono daszek, aby w czasie deszczu woda nie lała się do środka, a wartownicy nie musieli przemakać do suchej nitki. W środku podczas upałów było nieznośnie gorąco, w chłodniejsze dni zimno, gdy zaś przyszedł większy deszcz, także mokro, bo woda podciekała z boków, a zawsze powietrze w środku mdliło dusznością.

–Ej, ty! – z loszku po raz kolejny dobiegł świszczący szept.

Michej udawał, że nie słyszy. Głos zamilkł na chwilę, ale nie dał za wygraną.

–Ej, ty! Zbliź się trochę! Jeśli jesteś Wilkiem, dogadamy się.

Michej wydał wargi z pogardą, nie odzywając się.

–Dobra – powiedział Paweł ze złością. – Wiem coś, co mogłoby cię zaciekawić, i to mocno. Wiem coś o twoich pobratymcach z Siczy Hylewskiej, ale jeśli nie chcesz słuchać...

Tym razem Wilkozak nie pozostał obojętny. Przypadł do drzwi.

–Mów!

–Naprawdę jesteś Wilkiem?

–Jestem. Chcesz się o tym przekonać, czekając do Okołopelni, czy uwierzysz mi na słowo?

–Wierzę, wierzę – mruknął Melech. – Kto przy zdrowych zmysłach przyznawałby się między ludźmi do bycia Wilkozakiem?...

–Gadaj więc, co masz do powiedzenia.

–A uwolnisz mnie?

–Nie!

–Nawet jeśli to, co mógłbyś usłyszeć, stanowi o losie twoich ziomków?

Michej zawahał się.

–Dałem słowo Szkaplerzowi, że będę cię strzegł jak oka w głowie. Żądał tego, bo mi nie ufa.

–Co znaczy dla Wilka obietnica złożona człowiekowi? – spytał szyderczo Paweł.

Michej warknął wściekle. Było w tym tyle złości i groźby, że Melech odsunął się od drzwi.

–Nasze prawo jest jedno – w gardle Micheja wciąż bulgotało.

–A czy najważniejsze nie jest dobro siczy?

–Jest – odparł twardo Wilkozak. – Jeno łamiąc dane słowo, stawalibyśmy się nikim. Nie jesteśmy jak ludzie. Nie umiemy.

Melech zamilkł. Nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Przecież ten przemieniec nic nie był winien rozbójnikom.

–I co, broniłbyś życia Szkalperza z takim samym poświęceniem jak kogoś z własnego stada?

–Nic mnie ten pokurcz nie obchodzi – prychnął Michej. – A jeśli wejdzie mi zbyt w drogę, wypuszczę z niego flaki.

–Nie rozumiem więc...

–Dalem słowo – przerwał Melechowi Wilkozak. – Zażądał tego. On wie, że nie łamiemy przysięg.

–Nawet jeśli od tego zależy dobro watahy i całej siczy?

–Nie drażnij mnie, człowieku! Powiedziałem ci już, że nie łamiemy przysięg!

–Coś mi się jednakowoż zdaje – rzekł drwiąco Kozak – że będziecie się musieli tego nauczyć, inaczej nie przetrwacie.

Michej czuł wzbierającą złość. Miał ochotę wybić klin, otworzyć loszek i gołymi rękami rozerwać tego przecherę. Opanował się jednak. Jeśli kiedyś ma przejąć przywództwo w siczy, musi nauczyć się radzić sobie z przyrodzoną Wilkom porywcznością i gwałtownością. Tak jak Hrehory. Do takich rzeczy jak ta rozmowa trzeba podchodzić chłodno, posługiwać się rozumem, poskromić okrutne myśli i pragnienia.

–Posłuchaj uważnie, panie Kozak – powiedział powoli, cedząc każde słowo. – Może uważasz, że my, Wilcy, jesteśmy jako te leśne i stepowe bestie, co im jeno o krew idzie, co stadem polują, a potem walczą o każdy ochłap. Nie, panie Kozak. Różni jesteśmy od ludzi, nie rozumiemy się. Ale myśleć potrafimy nie gorzej od was. Rozumiesz? – Odpowiedziało mu milczenie, więc po chwili ciągnął dalej: – Skoro zacząłeś mówić o zagrożeniu dla Siczy Hylewskiej, to znaczy, że z jakiegoś powodu zależy ci na tym, bym ja, a zatem i inni Wilcy także się o nim dowiedzieli. Ponieważ jechałeś z tamtymi zbójami w stronę Hylewszczyzny właśnie, domyślać się mogę, żeś podążał właśnie do siedziby Wilków. Kto cię wysłał i po co, albo czy może z własnej woli to czyniłeś, nie wiem i nie obchodzi mnie to. Nie liczyłeś też z pewnością na znaczny zysk, bo Wilcy o złoto i kosztowności nie dbają, a wszystko, co nam podczas wypraw w ręce wpadnie, zaraz wymieniamy na broń i inne potrzebne rzeczy. Może też dlatego do tej pory trwaliśmy z wami w jakim takim pokoju, że ludzka chciwość się ku nam nie zwracała. Mam słuszność?

Tym razem odpowiedziało mu nieokreślone mruknięcie.

–A zatem, panie Kozak, z jakiejś przyczyny chcesz nas ostrzec. Ostrzegaj zatem.

–Oszalałeś – prychnął Paweł. – Tak za nic, za bezdurno chciałbyś? Jeśli mnie wypuścisz, powiem, jeśli nie...

–Milcz już! – syknął Michej, z trudem się opanowując. – Nie wypuszczę cię, to pewne. Natomiast mogę zaraz wywlec cię z loszku, gębę zatkać i w pierwszym pustym domu, a trochę ich tu jest, pomęczyć jak należy. Warto to tracić palce, oczy i wszystkie członki po kolei, żeby utrzymać w tajemnicy to, co chciało się ujawnić? Głupio by było. Nawet jak na człowieka.

–Nie zrobisz tego – uśmiechnął się Melech. – Dałeś Szkaplerzowi słowo...

–Dałem słowo, że będę cię pilnował – rzucił ostro Michej. – Ale nie obiecałem, że rano znajdzie cię w jednym kawałku albo i zgoła żywego. Wybieraj.

–Jeśli mnie zechcesz stąd wydobyć, zacznę krzyczeć.

–Wtedy zginiesz natychmiast. A tego chyba nie chcesz? Wybieraj, mówię, albo kończymy rozmowę i zabieram się do rzeczy.

Paweł westchnął ciężko.

–Dobrze – powiedział po chwili namysłu. – Posłuchaj w takim razie, co polecił przekazać twoim Wilkom brat mój, Piotr Melech. Masz słusność, że jechałem do was jako posłaniec. I liczyłem, że jako posła mnie potraktujecie.

Podążali długą kolumną – na czele spory oddział jazdy, która miała za zadanie rozpoznawać drogę i rozsyłać patrole. Potem szli Kozacy z taborami przy dźwięku bębnów, piszczałek i szałamaj. Pośród mas doborowej piechoty widać było pociągowe konie i ciężkie woły ciągnące armaty.

Otoczony skwadronem żołnierzy ubranych w dziwne jak na dragonów, jasnozielone mundury, jechał wielki wóz na pełnych, drewnianych kołach, osłonięty czerwoną materią w złote wzory, rozpiętą na umocowanych do burt wysokich pałkach. W środku przebywali mnisi, modlący się bez ustanku. Nawet w nocy, na popasach, docierało stamtąd ciche mamrotanie, cichsze niż w dzień, bo głos należał do jednego człowieka – widocznie zakonnicy czuwali na zmianę.

Za dnia głosy modlących się najczęściej zagłuszał wszechobecny harmider. W pochodzie rozlegały się przekleństwa oficerów i podoficerów, tu i ówdzie wybuchały pieśni, niekiedy obejmując całą kolumnę, podobnie jak ta tęskna melodia, która przyszła gdzieś z głębi Rosji i zadomowiła się wśród kozackiej braci:

Wyjdę z koniem w pole, gdy noc,

Gwiazd wśród czerni zobaczyć moc,

Tylko ja i koń,

Tam, gdzie nocy toń,

Tylko ja, nocka i wierny koń.

Bóg na niebo wysypał skry,

Czy aniołów może to łyzy?

Tylko ja i koń,

Poprzez nocy toń

Płynąć chcę, gdy pode mną mój koń.

Pieśń niosła się wzdłuż szeregów, u jednych budząc miłe wspomnienia ciepłych, letnich nocy spędzonych w siodle, innym zapadając w duszę ciężkim kamieniem, gdy wspomnieli rodzinne wioski i zapuszczone w czasie krwawego buntu pola. Miała w sobie moc, która bodaj nikogo nie pozostawiała obojętnym. Wprawione w śpiewach przy ognisku głosy sprawiły, że płachta wielkiego wozu odchyliła się nieco, jakby podróżujący mnisi chcieli wsłuchać się w słowa. A śpiew wzniósł się ton wyżej, wyrывая się z serc wzruszeniem:

Pojedziemy na pola skraj,

Koń i ja, wędrowcy my dwaj,

W morze płodnych zbóż,

Gdzie słoneczny kurz

Z promienistych podnosi się zórz.

Chcę popatrzeć choć jeden raz,

Jak na polu rodzi się brzask,

Poziomkowy świt,

Zimnej wody łyk,

Póki we wsi nie zbudził się nikt*

Lecz kozacka dusza nie lubi się smucić. Ledwie przebrzmiały strofy pieśni, jakiś zapiewajło od razu zaczął, a najbliżsi żołnierze podchwycili:

Lejmy miody, bracia, w kryształowe czasie,

By kule mijały, szable oszczędzały

Głowy oraz serca nasze.

Żeby Ukraina po nas nie płakała,

Żeby nasza sława, mołojcka sława

Po wiek wieków rozkwitała.*

I po kolei rozochoczone pułki podejmowały znaną melodię, ruszały szybciej, popędzane przez żywy rytm pieśni.

Płachta na wozie opadła, a monotonne mamrotanie przybrało na sile.

Semen z Liwką jechali na końcu konnego oddziału.

–Hałas robimy, jakby hufce piekielne na świat wylazły spod ziemi – skrzywił się Pastuch.

–Co chcesz? Chłopy muszą dodać sobie odwagi. Na Wilków idziemy, to nie jakaś tam husaria, dragonia czy niemiecka piechota pod panem Koniecpolskim lubo innym regimentarzem. Wilkozacy to wróg prawdziwie groźny. Nie wiedzą, co to litość, nie znają strachu.

–Nie są okrutniejsi od ruskich panów – odparł Liwka.

–Ale bardziej żołnierze się lękają przemieńców niżli Jaremy. Dziwisz im się?

Pastuch wstrząsnął się.

–Nie, nie dziwię. – Milczał przez chwilę, zanim powiedział: – Myślałem, że Chmiel z nami pójdzie. Powinien wojsku ducha własną osobą dodawać.

–A bo on głupi? – Poroh splunął gęsto. – Wyznaczył na dowódcę pułkownika Koromana, którego nie cierpi. Ponoć ataman w radzie mu się zwykł sprzeciwiać. Uda się wyprawa, sobie hetman zasługi przypisze, nie uda się, z Koromana ofiarę zrobi. Tak czy inaczej, na swoje wyjdzie. A poza tym pewnie ma ważniejsze sprawy w Białocerkwi. Ponoć mieli doń przybyć posłowie brandenburscy. Stary lis zamiata kitą na wszystkie strony.

–A zamiata – zgodził się Pastuch. – Jak się to wszystko zaczynało, rozumiałem, o co się bijemy i dlaczego poszliśmy na polskich i ruskich panów. Lecz teraz nie mogę się wyznać na tym wszystkim.

–Ja też nie – mruknął Semen. – Może jeden Ilja coś z tego rozumie, bo łeb ma z nas najtęższy. Ale zamilcz już. Lepiej trzymać twarz zamkniętą. Dawniej wiedziałeś, co i do kogo mówisz. Teraz uczyniło się ciasno od wszy, gotowych ssać krew tych, na których mogą donieść. Skąd tego tyle?

–Zawsze tacy byli pośród nas – odparł cicho Liwka. – Jeno gdy spokój, gdy nie ma

kto im ucha dawać, muszą się przytajać. Wiesz, jako jest: na czystym ciele wszy się nie uchowają, ale złap jeno nieco brudu, zaraz cię obleżą.

Poroh westchnął. Nie lubił takich myśli, które opadały go ostatnimi czasy coraz częściej. Czyżby zaczynał się starzeć? Dawniej nie myślał, kto, co i dlaczego czyni. Jeśli jeden z drugim wlaź mu w drogę, wydobywał szablę i wygalał z uszu, albo i nawet z życia. Także teraz nie zastanawiałby się ani chwili, czy śmiałka ciąć czy pchnąć, ale gdy przychodził spokojniejszy czas, zaczynał myśleć. Może nadchodzi śmierć i powinien jakoś się do niej przygotować? Powiadają, że niektórzy przeczuwają własny zgon. Czyżby właśnie jego to dotyczyło? Potrząsnął głową, sięgnął po bukłak przytroczonego do łąku siodła. Mocne, greckie wino zdawało się splukiwać gorycz zalegającą na języku i w gardle. Co tam dla Kozaka śmierć! Lepsza ona niżli długie życie w ciągłym strachu.

–Szkoda jednakowoż by było Koromana, jakby się nam noga powinęła – powiedział, żeby zahaczyć myśli na czymś innym. – Dobry z niego wódz.

–I człek dobry z kośćcami – dodał Pastuch. – Dbą o wojsko jak rzadko który. Głód w kraju, a my mamy co do gęby włożyć, chociaż rabunków pułkownik zabrania. Jak zabieraliśmy spyżę, to jeno po bogaczach, nie biednych chutorach, jak to bywało pod Doroszenką.

–Za to też go starszyzna nie kocha – zauważył Semen. – Bo, jak ninie, w ich ziemiach woli kontyngenta brać. Pod takim aż radość wojować by była, gdyby nie to, że na Wilkozaków idziemy.

–Ano, słusznie powiadasz. Chwała niewielka, a łeb stracić łatwo.

Jechali dalej strzemię przy strzemieniu, pogrążeni w myślach.

Rozdział 11

Hrehory, leżąc na twardej pryczy, nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. Zbliżał się czas Okołopelni, w dodatku czas godów dla siedmiu Wilków, więc sicz przygotowywała się do ważnych obrzędów. W takich chwilach stary ataman zazdrościł ludziom ich zdolności do rozrodu. U nich zdrowa samica mogła w każdej właściwie chwili zająć w ciążę ze zdrowym samcem. Pewnie dlatego też ludzie tak bardzo o siebie nawzajem nie dbali, nie wahali się zabijać przy najdrobniejszych zatargach, dokonywać zemsty nie tylko na sprawcy nieszczęścia, ale na całym jego rodzie. Gdyby Wilcy tak postępowali, nie uchowałyby się ani jedna sicz. I bez tego wzajemne waśnie zmniejszyły ich liczebność w sposób zastraszający.

–Wrócił Gurda – oznajmił wartownik.

–Dawaj go. I niech przyjdzie do mnie Koszko.

Hrehory wstał, przeciągnął się. Czuł już sztywnienie stawów, wyrko z desek, dawniej wygodne, zaczynało uwierać stare kości. Pora chyba pogodzić się z wiekiem i myślą, że niedługo zjawi się pretendent, który go pokona i przejmie władzę. Ze zdziwieniem stwierdził, iż myśli o tym bez żalu. Zmęczyło go życie. Urodził się jeszcze w czasach, kiedy na ziemi zamieszkałe przez Wilków zaczęli docierać pierwsi osadnicy, uciekinierzy spod jarzma panów polskich i ruskich, tatarscy uchodźcy z chanatu. Może nie pierwsi, bo już przedtem przesiąkali ludzie, ale osiedlali się z dala od wilczych siczy. Nic wówczas nie zapowiadało, że staną się zagrożeniem dla przemieńców. Sami ludzie wymyślili później bajeczki o tym, jak to Wilkozacy wtargnęli w dziedziny dawno temu zajęte przez nich. A przecież nawet samą nazwę „sicz” przejęli od tych, których tutaj zastali. Kiedy stało się jasne, iż napływ osadników może się okazać groźny, Wilkozacy przez pewien czas popierali dążenia królów polskich, licząc, że dzięki ich protekcji wyrwą dla siebie na stałe jakiś kawałek kraju, a może nawet władcy zabronią osiedlać się tutaj swoim poddanym. Na darmo. Wprawdzie sam wielki wojownik Stefan Batory zobowiązał się za pomoc udzieloną w wojnach z Moskwą do uregulowania tutejszych spraw, zgasł jednak, zanim zdołał wprowadzić zamiar w czyn. A potem przyszedł Zygmunt, zagorzały katolik, mający Wilków za pomiot szatana, mimo pomocy udzielonej mu w wojnach moskiewskich, niezważający, że przemieńcy także wyznają jednego, tego samego Boga, choć chwałą go na swój sposób. To wtedy pierwszy raz nazwano ich Wilkozakami. Do powstania Chmielnickiego nie mieszały się, podobnie jak i do poprzednich ruchawek. Nie ich to były sprawy. Niech ludzie mordują ludzi, niech się osłabiają, a siedziby przemieńców powinny trwać na przekór wszystkim burzom. Mieli kiedyś wiele siczy, do tego luźne watahy, niezwiązane z większymi stadami, hulały po ogromnych przestrzeniach ziem Ukrainy. To też jeszcze pamiętał doskonale.

Wilcy żyli długo. To także, podobnie jak ich tajemniczość i niechęć do spoufalania

się, rozdrażniało ludzi. Hrehory od jakiegoś czasu zastanawiał się, czy owo długie życie, błogosławieństwo pomagające w przetrwaniu, nie stało się aby przekleństwem. Pamięć dawnych czasów przeszkadzała w pogodzeniu się z tym, co nadchodziło. Świat dookoła zmieniał się coraz szybciej, wymagał coraz to nowego spojrzenia na ważne sprawy. Ludzie umierali w wieku, w którym Wilk wchodził dopiero w najsprawniejsze lata, ich egzystencja wydawała się marna i krótka, lecz dzięki temu łatwiej przechodzili przez przemiany – stare, skostniałe poglądy w naturalny sposób ustępowały nowym, kiedy pokolenia przyzwyczajone do dawnego wymierały, a wpięrow traciły na znaczeniu, ustępując miejsca młodym. Wilcy musieli radzić sobie inaczej, na pewno było im trudniej...

Rozmyślania przerwało mu wejście Gurdy. Wilk skinął atamanowi głową, zaproszony gestem usiadł przy ławie, odetchnął. Widać było po nim zmęczenie.

–Co z nią? – spytał Hrehory.

Gurda milczał przez chwilę, zanim odpowiedział.

–Jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. Dognać jej nie dognaliśmy, zresztą nie nasze to zadanie, bo kazaliście ją jeno obserwować. Zołko i Riumen podążają wciąż za nią, ale ciężko jest. Gna dziewczka chyżo jak przemieniony Wilk. Po śladach ją wpięrow tylko mogliśmy znaleźć, zanim doszliśmy bliżej, lecz sporo to kosztowało. Dobrze, że Riumen nos ma dobry, bo trop łapał tam, gdzie trawa już zdążyła się podnieść.

–Mów już, co z nią.

–Jedno mogę rzec z całą pewnością: nie chciałbym chyba napotkać jej w walce. Znaleźliśmy trupy sześciu ludzi, tęgich Kozaków. Wyglądali, jakby ich dopadło stado wygłodniałych wilków.

–To ona?

–Nikt inny. Przy wodopoju to było. Pewnie ją zdybali i chcieli się zabawić. I zabawili się ostatni raz w życiu... Co się z nią dzieje, atamanie?

–Zaraz się dowiesz. – Hrehory spojrział na drzwi. – Koszko przyjdzie, jego zapytamy, bo miał poczytać stare zwoje, przypomnieć sobie dawne opowieści. Na razie napij się.

Postawił przed Gurdą dzban piwa i kubek. Wilkozak przyssał się prosto do dzbana, nie przerwał picia nawet wtedy, gdy do izby wszedł Koszko. Dopiero kiedy osuszył naczynie, spojrział na starego.

–Opowiadaj – rozkazał Hrehory.

Gurda powtórzył to, co przed chwilą powiedział atamanowi, a Koszko słuchał z nieporuszoną twarzą.

–I co ty na to? – spytał Hrehory, gdy Gurda skończył.

–Przecież już wam mówiłem. – Koszko wzruszył ramionami. – Wilk, przekazując jej duszę, dał samicy moc nie mniejszą, niż przekazałby innemu Wilkowi. Nie dziwota, że silna się stała jak basior.

–Ale czy może być od basiora jeszcze silniejsza?

–A mnie skąd to wiedzieć?

–Do rady cię mam! – rzucił rozdrażniony ataman.

–Kazałeś przeczytać zwoje, obudzić pamięć, lecz nic pewnego ani nie znalazłem, ani nie przypomniałem sobie. Jedno, co wiem, to tyle, że tak być nie powinno. Dla basiora przekazanie duszy to tylko wzmocnienie sił, ale nie wiąże się ze wzrostem potęgi. Ilu Wilków oddało ci Nienazwaną? Dziesięciu? Dwudziestu? A nie jesteś aż o tyle silniejszy od młodego samca. Zaś jak jest z nią... Nie wiadomo...

–Straszliwie ich poszatkowała – wtrącił Gurda. – Gdyby nie brak śladów wilczych łap i to, że do Okołopełni jeszcze sporo dni zostało, myślałbym, że to przemieniony basior, a nie zwyczajna Wilczyca.

–Bo to nie jest zwyczajna Wilczyca – mruknął ataman.

–Źle się stało, żeśmy ją wypuścili – rzekł Koszko. – Nie wiada, co z tego może wyniknąć. Lepiej by było zabić takiego odmienca, a ty, atamanie, chciałeś, aby porodziła szczenięta. Lepiej się może stało, że uciekła.

–Że pozwoliłem jej uciec – poprawił go Hrehory.

–Pozwoliłeś... Dziwnie czynisz. Najpierw uwolniłeś Kiryła z Michejem, a teraz nie zastawiłeś drogi jej. Dlaczego?

–Dlaczego tamtych wypuściłem, wiesz doskonale. Nie mamy dobrej krwi na zmarnowanie. Wystarczy, że zginął Kara w pojedynku i Kobaj w czasie walki z ludźmi Kostenki. Poza tym, gdybym doprowadził do śmierci Gryszczego i jego druha, miałbym przeciwko sobie Madeja z całym rodem i wszystkich sprzymierzeńców Micheja. A ona? Nie domyślasz się? Siedziała tutaj, niezdatna do niczego, zbyt ponura nawet jak na świeżą brankę. Ani przez chwilę nie myślałem podstawić jej samcom, bo nie wiada, co się z takiej potem urodzi. Nie czas ninie iść na podobny hazard. I pewnie zostawiłbym ją całkiem w spokoju, gdyby nie Kostenko. Musiałem sukę jakoś ruszyć, zmusić do ucieczki. Zgodnie z prawem mamy święty obowiązek

zabić chorążego. Zaś teraz tylko ona może nas do niego doprowadzić.

–Teraz? Nie pora o tym myśleć – zaprotestował Koszko. – Mamy na karku większe zagrożenie!

–Bez dwóch lub trzech Wilków poradzimy sobie z ludzką tłuszczą. – Ataman wydał pogardliwie wargi. – Już kilka razy Tatarzy próbowali nas zgryźć i zawsze odchodzili z niczym. Ci nie są od nich lepsi. A zemsty trzeba dokonać. Nie chcę, żeby wisiało nade mną coś, czego można użyć przeciwko mnie, gdy nadejdzie spokojniejszy czas.

–A ja myślałem, żeś sobie z tego Kostenki zrobił narzędzie dla utrzymania władzy – uśmiechnął się stary. – I że zależy ci, aby go zbyt szybko nie zgładzić.

Hrehory zamyślił się.

–Tak było jeszcze niedawno. Lecz teraz chcę go wreszcie dopaść. Niewiele mi zostało przewodzenia naszym watahom, czuję to. Gdy stanę przed sądem bożym, a potem przed szeregiem przodków, nie mam ochoty tłumaczyć się z zaniechania.

–Młodszy jesteś ode mnie – rzekł Koszko, pocierając powiekę przy ślepym oku. Bywały dni, że stara rana dokuczała nieznośnym swędzeniem. – Wiele jeszcze życia przed tobą...

–Młodszy jestem, tak. Tyle że na twoje życie nie dybie następcą. A mnie niebawem wyzwie ktoś na śmiertelną walkę.

–Na razie zmierza ku nam kozacka armia, rada za nic nie zgodzi się na pojedynek.

–Ale ta armia kiedyś odejdzie. I wtedy nie będzie tłumaczenia. A poza tym... – Hrehory zawiesił głos, zamyślił się. – Poza tym nigdy nie wiadomo, jaki skutek będą miały nasze działania, stary. Jak z tą samicą – wrócił myślą do zbiegłej wadery. – Zdarzyło się coś niezwykłego. Mam swoje lata, wiele widziałem i coś mi się wydaje, że ta niezwykłość może się koniec końców okazać zbawienna.

–Albo zabójcza – dorzucił Koszko.

–Albo zabójcza – zgodził się ataman. – Nigdy przecież nie wiesz, czy szczenię wyrośnie na wspaniałego wojaka, czy trzeba je będzie zabić, by darmo nie karmić.

–Wypuściłeś ją. A jeśli pójdzie między ludzi? Wyzdradzi nasze tajemnice.

–Jakie tajemnice? – zaśmiał się z przymusem Hrehory. – Czegóż dowiedziała się przez czas pobytu w siczy? Że mamy obrzędy przyjmowania samic? Jak mieszkamy? Przecież ona tak naprawdę nie wie nic. Nawet tego, czy ugryzienie przemienionego może zatruć krew człowieka i zmienić go w Wilka. Gdzie miała się niby tego

dowiedzieć? W tej drewni, w której ją trzymała Zirasza? Powiadam ci, Koszko, nie wiadomo, co czas przyniesie, a mnie się widzi, że nie wolno zbyt pochopnie niszczyć czegoś, co Bóg na niebiesiach zesłał nam ku poratowaniu lub zniszczeniu. Jego wola.

Gurda słuchał rozmowy starszych Wilków z niedowierzaniem. Przywykł widzieć w Hrehorym zdecydowanego, okrutnego przywódcę, a nie starca dręczonego wątpliwościami. Widać istotnie nadchodził jego czas.

–Co mam czynić? – spytał, zniecierpliwiony.

–Wracaj za tamtymi i śledźcie waderę. Nic się nie zmieniło. Kiedy znajdzie dzieciaka z mężem, jeżeli w ogóle Kostenko żyje, wiecie, co robić.

–Wolałbym zostać tutaj, skoro mamy walczyć – rzekł Wilk.

W pierwszej chwili Hrehory zachnął się na taką zuchwałość, ale zaraz wypuścił powietrze.

–Może i masz słusność. Zołko i Riumen poradzą sobie bez twojej pomocy. Wracaj więc do swoich i szykuj się do walki.

Kiedy Gurda wyszedł, Koszko spojrział prosto w zmęczone oczy przywódcy.

–Źle zrobiłeś, ulegając jego prośbie. Poczyta to za słabość. Słowo atamana siczowego jest święte. To, że ten Wilczek w ogóle poprosił o zmianę rozkazu, jest niepojęte.

–Niech siedzi tutaj. – Hrehory machnął ręką. – Niewiele z niego mieliby pożytku tamci dwaj. To prawdziwi tropiciele. Jak myślisz, dlaczego właśnie jego wysłali z powrotem? Bo ich opóźniał, był zupełnie nieprzydatny. Wiedzą, co robić, lepiej od niego.

–Dlaczego więc chciałeś go wysłać?

–Bo nie przyszło mi do głowy zostawiać go tutaj! – Hrehory zaczął tracić cierpliwość. – Nie każda myśl jest celna, nie każde rozwiązanie przychodzi do głowy od razu! O co ci chodzi?

–Słabniesz, Hrehory – powiedział Koszko półgłosem. – Masz rację, że niebawem pojawi się pretendent. Duch w tobie zaczyna umierać. Łagodniejesz, a to bardzo źle. Nie pamiętam, żebyś aż tak bardzo przejmował się stratą wilczej krwi.

–Idą złe czasy.

–Odkąd ludzie zaczęli budować tutaj swoje osiedla, a potem miasta, zawsze są dla nas złe czasy. Może powinniśmy wzorem Kozaków utworzyć jedną wielką sicz zamiast czterech mniejszych? Byłoby nas trudniej zgnieść.

–Może, Koszko. Może... – Hrehory mówił powoli, z namysłem. – Nie wiem tylko, czy ludzie tym bardziej by na nas nie nastawali. Rozrzuceni po rubieżach mniej rzucamy się w oczy.

–Mniej się rzucamy w oczy? – zaśmiał się gorzko starzec. – A to, co uczynili nam w Żelaznych Chutorach, to dlatego, by pokazać, jak im jesteście obojętni?

–To była zemsta Chmielnickiego za to, żeśmy się nie przyłączyli do buntu, przecież wiesz. On mierzy wysoko, chce wszystkich sobie podporządkować.

–O tym też mówię, atamanie. Może trzeba było iść ramię w ramię z Kozakami?

–Postanowienie rady atamanów siczowych jest nieodwołalne. Nie powinniśmy się mieszać w sprawy ludzi, wystarczy tego, że przeszło pół wieku temu i później daliśmy się namówić na udział w wyprawach polskich królów. Byłeś tam, pamiętasz, jak trudno było ustrzec przed ludźmi nasze tajemnice, choć wyznaczono nam osobny obóz i używano w boju tak, aby niepowołani nie mogli nas podpatrzeć. Sam zadusiłem jednego regimentarza, co przyszedł nas szpiegować i zobaczył, jak umiera Liwa Maruszczy. Ludzie mają nas za prawie nieśmiertelnych i tak niechaj zostanie.

–Chyba już nie mają, skoro próbują nas pozabijać.

–Myślę, że chcą nas raczej przegnać. – Hrehory oparł łokieć o stół, brodę położył na otwartej dłoni. – Udało im się z siczami na wschodzie i południu.

–Tamci Wilcy przenieśli się gdzieś daleko, powiadają, jakoby aż za góry zwane Kaukazem. Też mamy tam uciec?

–Nigdy! – odparł z mocą ataman. – Zostaniemy! Co nam mogą uczynić gorszego niż do tej pory?

–Chyba nie znasz ludzi – mruknął Koszko. – W okrucieństwie nie mają sobie równych.

–Nam też nic nie brakuje.

–A nie sądzisz, że mogli coś wymyślić, skoro tak ochoczo na nas idą?

–Wiem tyle, ile powiedział lirnik. – Hrehory poderwał się od stołu, podszedł do okna i wyrztał na dwór, gdzie zapadał zmrok. – Chmielnicki kazał wołać ludzi pod broń przeciwko nam. W Siczy Zaporoskiej miał zostawić połowę wojska, a z resztą ruszyć

nas zniszczyć. Posłaniec z Siczy Budziackiej też tyle jeno potrafił rzec, ile mu ludzie chana Gereja przekazali, a co wiedziałem już i tak od lirnika. Najpierw chcą zgryźć Hylewsczyznę, jako że Chmielnicki uważa nas za największe zagrożenie i pragnie pokazać carowi gotowość do wytępienia Wilków. Potem zamierzają skierować się na Sicz Perczawską, Koźlecką i wreszcie Kamieniecką. A jeśli uda się mariaż Tymoszki z Lupulówną i Chmiele rozsiądą się na stolcu hospodarskim, wezmą się za sicze położone przy Wołoszczyźnie.

Zapadła cisza, przerywana jedynie odgłosami dochodzącymi z zewnątrz. Skrzypiały żurawie przy studniach, gdzieś daleko tęskny głos zawodził smutną melodię. Hrehory kochał czas Okołopełni, szczególnie jeśli łączył się z godami. Jeśli było na świecie coś, co sprawiało, że żywiej biło twarde wilcze serce i wlewało się w nie ciepło, to myśl, iż niebawem dzielni mołojcy zasieją nowe życie w zdrowych waderach.

–Ale najpierw musieliby nas zgryźć – powiedział ataman bardziej do siebie niż gościa. – A na to nie pozwolimy. – Poderwał głowę, spojrzał gorejącymi oczami na Koszkę. – Nie pozwolimy, stary, prawda?

–Nie pozwolimy – zgodził się starzec. – Nie da nam dobry Bóg szesznać.

–Chcą nas wygnać, zniszczyć i wymazać z pamięci – mówił dalej Hrehory – choć jesteśmy prawowitymi panami tej ziemi. Uważają nas za bolesny wrzód. Ale przekonają się, że nie każdy wrzód da się usunąć. A jeśli nawet się da – dodał ciszej – zostanie po nim paskudna, bolesna blizna.

Znów zapanowało milczenie. Tym razem przerwał je Koszko.

–Nie wiem jeno – rzekł do pleców Hrehorego – dlaczego chan nas ostrzegł ustami braci z Besarabii. Przecież Tatarzy z Turkami też nas nienawidzą gorzej czarnej śmierci.

–Ale bardziej jeszcze boją się, że jeśli hetman zaporoski podporządkuje się Moskwie, stracą na znaczeniu, nie mogąc już grać Kozaczyzną.

Stary wstał, przeciągnął się, aż zatrzeszczały stawy. Hrehory wiedział, że mimo pozorów zgrzybiałości Koszko wciąż jeszcze jest krzepki. Może nie dorównałby siłą dojrzałemu Wilkowi, ale już kilku nieopierzonych młokosów miało możliwość przekonać się, że pozory mylą, gdy chciało uprowadzić młodsze samice z jego obejścia, powołując się na prawo stanowiące, iż niedołążny Wilk powinien oddać sprawnym basiorom wadery zdolne do rozrodu.

–Pójdę już. Może zdołam się zdrzemnąć, zanim zacznie się ruch po północy. Bo potem oka nie zmrużę, a w moim wieku sen jest jedynym pocieszycielem dla mdłego ciała.

Hrehory zaśmiał się krótko.

–Gdybym dożył twoich lat, chciałbym się cieszyć tak mdłym ciałem.

–Nie wiesz, co mówisz, atamanie. Nie wiesz, co mówisz, zapewniam. Ale i tobie radzę się położyć. Czekają nas ciężkie dni.

Hrehory został sam z myślami. Znów spojrzął w okno. Rogal księżycyca wylaniał się znad dachów zabudowań. Zbliżała się Okołopełnia. Jeśli wierzyć doniesieniom, właśnie wraz z jej początkiem w pobliżu siczy powinny się pojawić wojska kozackie. Nie chciało mu się w to wierzyć. Ludzie z pewnością zatrzymają się gdzieś na dłuższy postój, może ściągną posiłki. Kto przy zdrowych zmysłach wojowałby z Wilkami, kiedy nadchodzi czas przemiany? A potem... Potem będą walczyć. Gdyby można liczyć na pomoc watah z Perczawy i Koźła. Ale na pewno nie przyjdą... Wszak od zarania dziejów nie żyli ze sobą w przyjaźni. Zjednoczyła ich tylko ludzka nienawiść. Od dawna sicze wilkozackie ze sobą nie wojowały, wiele dziesiątków lat temu znikły luźne watahy złożone z wygnańców i takich, którzy nie lubili podporządkowywać się rządcom atamanów, ale dawne niechęci i urazy pozostały. Gdyby nie to, łatwiej byłoby stawić opór. Właśnie to było przekleństwem długiego życia – zawsze świeża pamięć przeszłych krzywd. Dobrze choć, że zbierali się na wspólnych radach, aby ustalić najważniejsze sprawy, ostrzegali się nawzajem przed niebezpieczeństwem. Kiedyś Hrehory sam był przeciwny jednoczeniu się siczy. Ale to były inne czasy. Wielka szkoda, że inni atamani nie dostrzegali konieczności zmian.

Ale teraz nie pora o tym myśleć. Trzeba przygotować się na gody, a jednocześnie na walkę. I to już, zaraz, zupełnie jakby nawałnica miała przyjść za chwilę. A nuż stary Koszko ma słuszość i ludzie szykują jakąś kolejną podłość? Jutro przybędą patrole wysłane naprzeciw pochodowi wroga i będzie wiadomo, czy kolumny stanęły obozem, czy wciąż zbliżają się do siczy.

Wbrew temu, co podejrzewali Kozacy, Chmielnicki zrezygnował z udziału w wyprawie nie tylko z czystego wyrachowania czy niepewności wyniku. Tego był akurat pewien jak nigdy dotąd. Na własnej skórze odczuł moc wołchwów – jak ich w myślach nazywał za przykładem Jana. Dreszcz go przechodził na wspomnienie ich modłów. Mamrotali te swoje monotonne formułki, przesuając w palcach paciorki różańców. Dziwne jednakowoż to były różańce – ani chrześcijańskie o pięćdziesięciu dziewięciu paciorkach, ani tym bardziej muzułmańskie liczące dziewięćdziesiąt dziewięć kamieni, ani nawet bardzo długie prawosławne czotki domowe. Te, które trzymali dziwaczni mnisi, były o wiele dłuższe. Hetman nie próbował nawet dokładniej szacować liczby kryształowych koralików, ale na pewno przy każdym sznurze było ich po tysiąc lub więcej. Wołchwowie ponoć mieli nabierać mocy, klepiąc bezustanne modlitwy. I coś w tym być musiało. Co tam „być musiało”! Było z całą pewnością!

Widział przecież na własne oczy, jak przesuwane przez palce paciorki rozkwiły ciepłym, rubinowym blaskiem. Nie mógł w to uwierzyć. Najpierw zrzucił wszystko na karb odblasków z ogniska, wokół którego siedzieli duchowni. Jednak ono przygasało, a rozbłyski stawały się coraz jaśniejsze. Oczy wołchwów też zaczynały płonąć, zupełnie jak kotom w ciemnościach, tyle że nie zielono czy białe, ale także rubinowo, zupełnie jak kryształy różańców.

Chmielnicki nie wiedział, czy mrówki chodzące mu po plecach to tylko strach, czy zostały wywołane przez moc mnichów. Miał ochotę zerwać się i wyjść, lecz jakaś siła trzymała go na miejscu, nie pozwalała się poruszyć. Do namiotu wołchwów, rozbitego poza murami miasta, w szczerym stepie, wszedł tuż przed wieczorem, gdy szarzało, a opuścił go o takiej samej szarówce, ale – jak się okazało – dnia następnego. Nie miał pojęcia, kiedy upłynęła noc i cały dzień. Wiedział tylko jedno: nie chciałby tam wrócić za żadne skarby. Wizje, które na niego spadły, gdy ogień zgasł, a w zupełnych ciemnościach rozbłyskały tylko paciorki różańców i jarzyły się oczy mnichów, były bardziej przerażające niż szarża husarii, zamierzającej zmiażdżyć wszystko na swej drodze. Straszniejsze były niżli ta noc, kiedy wrócił do domu, zastając tam pobitego do krwi małego Tymoszkę i zhańbione niewiasty, a zaraz potem dowiedział się, że starosta Czapliński porwał i zniewolił jego młodą żonę. Na wspomnienie tamtego upokorzenia hetmanowi włosy podniosły się na głowie. Czapliński naśmiewał się, że nie zgwałcił Chmielnickiej, ale zwyczajnie uwiódł ją, ujął swoim czarem.

Gdyby nie tamte wydarzenia, gdyby nie krzywda, przecież by Bohdan nie podnosił głowy, nie nawoływał do powstania...

Czy aby na pewno?

Bolała go krzywda własna i krzywda ludu. Rzeczpospolita wciąż ograniczała liczbę Kozaków rejestrowych, wydała tutejszych ludzi na żer ruskim książątkom, tym wszystkim Wiśniowieckim i Koniecpolskim, którym zdawało się, że cały świat do nich należy. Kiedy się nad tym głębiej zastanowił, po raz kolejny Chmielnicki doszedł do przekonania, że tak czy inaczej stanąby na czele Kozaków i siczowej czerni.

Horba wszedł bez pukania. Jego pomarszczoną, suchą twarz ożywił lekki rumieniec podniecenia.

–Są już – powiedział szybko, widząc zmarszczone gniewnie brwi Chmielnickiego. – Dlatego ośmielam się przeszkadzać.

–Już? – zdumiał się hetman. – Wszak wyruszyli wczoraj za ledwie. Nie mogli dotrzeć do Czehrynia i z powrotem!

–Powiadają, że spotkali go w drodze.

–Tym lepiej. – Chmielnicki zatarł ręce. – Niech go wprowadzą.

Po chwili weszło dwóch wysokich, barczystych Kozaków. Jeden miał bardzo długi osełdec, skręcony w fantazyjny lok, drugi był zupełnie łysy, za to posiadał długie wąsy, nawoskowane i ułożone tak, że przypominały napięty łuk tatarski. Przybysze prowadzili pod związane na plecach ręce mężczyznę w czerwonym, zdobionym srebrną nicią żupanie, z głową owiniętą poplamionym, brązowym workiem.

–To krew? – Hetman podszedł bliżej, dotknął jednej z plam. Była sucha, materiał w tym miejscu uczynił się sztywniejszy. – Krew – odpowiedział sam sobie dostojnik. – Kazałem go przywieźć w miechu, ale i w dobrym zdrowiu!

–Ojczulku – rzekł wyraźnie przestraszony wąsacz. – Wierzgał jak opętany, jak tylko czuł, że nie patrzymy, próbował a to z konia zlecieć, a to wyrwać się, mimo iż łapy miał wykręcone, a to gryzł niby osaczona wiewióra. To mu Huma parę razy w łeb dał, żeby spokój był. Nos ma jeno złamany, ze dwa zęby wybite i oko trochę zsiniałe. Nic mu nie będzie.

–Posadźcie go tam – Chmielnicki wskazał rzeźbione wysokie krzesło przy kominku.

Mimo letniej jeszcze pory kazał Horbie rozpalić, bo coś mu mróz łąził dzisiaj po kościach. Ogień wygasł, pozostawiając tylko żar. Teraz dorzucił suchych drzazg, poczekał, aż zajmą się płomieniem, położył na wierzchu większe polano.

–Przywiążcie jak trzeba, nogi do nóg, ręce do poręczy. Mocno, żeby ruszyć nie mógł, skoro taki z niego gardzina.

Kozacy bez słowa pociągnęli więźnia. Ten zaczął się zapierać, spod szmaty rozległo się oburzone bulgotanie. Żołnierz z fantazyjnym czubem wyciął ofiarę w żołądek. Uderzony skulił się i zamilkł. Drugi Kozak zamierzył się, żeby trzasnąć nieszczęśnika w kark, ale powstrzymało go wściekłe warknięcie hetmana.

–Dość! Przywiązać i wynocha!

Kozacy błyskawicznie wykonali polecenie. Już po chwili pojmany siedział w pętach na ciężkim krześle. Chmielnicki widział kiedyś podobny widok, jako poseł u króla Władysława. To była egzekucja wykonywana długim mieczem katowskim. Na pomoście skazańca w bardzo podobny sposób przywiązano do krzesła. Tyle że tamto miało niższe oparcie, nie sięgające ponad głowę, ale kończące się tuż pod ramionami.

–Won!

Żołnierze wyskoczyli za drzwi. Ostatnie, czego chcieli, to rozgniewać hetmana. Nie spieszyło się im spełniać roli ozdób na miejskich obwarowaniach.

Chmielnicki stał przez chwilę w milczeniu, patrząc na więźnia, zanim podszedł do niego i brutalnie zerwał pokrwawiony worek z głowy. Mężczyzna zmrużył, mrużąc oczy... to znaczy jedno oko, drugie zaś, które miało być wedle eskortujących go Kozaków ledwie sine, spłynęło na policzek już jakiś czas temu, bo krew zdążyła przyschnąć.

–Dostaną oni za swoje – mruknął hetman, ale bez wielkiej złości, a głośno powiedział: – Witam, wielce szanowny panie Piotrze! Witam w moich gościnnych progach, bądź mi rad, jako i ja tobie jestem!

–Bodajś zdechł – wymamrotał niewyraźnie Melech.

–Oj, nieładnie, panie Piotrze, bardzo nieładnie. Ja tu do ciebie z sercem, a ty mi odpłacasz paskudnym przekleństwem?

–Nie błażnij – sposób mówienia jeńca wskazywał, że opowiadanie o dwóch wybitych zębach też nie było zupełnie prawdziwe. Chmielnicki ocenił, że rozmówcy dwa zęby może pozostały. – Czego chcesz? Za co ten gwałt?

Gospodarz zaśmiał się tak głośno, że do pokoju zajrzał zaniepokojony Horba, ale natychmiast zniknął, kiedy hetman machnął niecierpliwie ręką.

–Za co, pytasz? Za twoje knowania, bydlę! – Uśmiech Chmielnickiego zgasł, wargi zacisnęły się w wąską kreskę.

–Jakie knowania? O czym mówisz? Bohdanie, już dawno przestałem z tobą konkurować...

Dalsze słowa utonęły w skowycie bólu, kiedy Chmielnicki wyciął przywiązanego w twarz. Z pustego oczodołu pociekła krew, spłynęła na wyszywany kołnierz.

–Ubrałeś się jak polski pan – zauważył zgryźliwie przywódca Kozaków.

–Połowa twojej starszyny tak się nosi. – Melech przewyciężył ból. – Wszystkich za to każesz tak traktować?

–Połowa starszyny, powiadasz? Może i tak. I prędzej czy później pożałują wszyscy, którzy stają mi okoniem. Jak ty.

–Nie wiem, o czym mówisz.

Chmielnicki popatrzył w ogień.

–Mógłbym cię teraz wziąć na tortury – powiedział tak spokojnie, że Melecha przeszły ciarki. Hetman kozacki był stanowczo mniej groźny, kiedy się wściekał. – Ale

nie muszę. Tu nie twoja wytęskniona Rzeczpospolita, nie trzeba przed sądem dowodzić winy czy niewinności. Ja teraz stanowią prawo i ja nim jestem.

–Musisz się jednakowoż liczyć ze zdaniem rady, starszyny, czerni nawet...

–Muszę – przytaknął gospodarz. – Ale nie wtedy, gdy karzę na gardle zdrajców.

–Nie jestem byle czerńcem – zaprotestował więzień. – O mnie się upomną...

–Tak? – Chmielnicki uśmiechnął się złośliwie. – A kto się upomni o twojego brata?

Piotr szarpnął się, ale mocno zawiązane sznury sprawiły, że nawet nie zdołał przesunąć krzesła.

–Co z nim zrobiłeś?

–Ja nic – wzruszył ramionami hetman. – Powiedz lepiej, z jaką misją go wysłałeś.

–Z żadną. Paweł to wolny duch. Zawsze robił, co chciał...

–I czego zażądał od niego ukochany braciszek – dokończył wódz zaporoski. – Pora skończyć udawanie, panie Melech. Knujesz przeciwko mnie od samego początku. Nie przeczę, przytałeś się, sprawiłeś, że prawie o tobie zapomniałem, ale czekałeś na sposobność. Po co wysłałeś brata na północ? Gdzież indziej jechał, jeśli nie na Hylewszczyznę?

–Breszesz, Bohdanie – te słowa Piotr wypowiedział nieoczekiwanie wyraźnie. – Breszesz i w piętkę gonisz. Szukasz już wrogów wszędzie, nawet tam, gdzie ich być nie może. Nie wiesz to, że skończyłem z ubieganiem się o urzędy? Wolę robić pieniądze i używać ich dla własnej radości.

–Że robisz pieniądze i na czym, wiem doskonale. Jenó doszły mnie też słuchy, jakobyś część przeznaczal na co innego niż własne radości. Stronników kupujesz, szpiegunów opłacasz, korumpujesz oficerów. Od kogo kupiłeś wiadomość, kim są przysłani przez cara mnisi?

–Oczadziłeś całkiem – prychnął pogardliwie Melech. Kropelki krwi wyleciały mu z ust i osiadły na żupanie. – Po co by mi to było?

–Po co? Najpierw tylko po to, żeby wiedzieć. Na wszelki wypadek. Ale potem... Pytam raz jeszcze, po co wysłałeś brata na Hylewszczyznę?

Piotr pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Na pewno oczadziłeś – oznajmił. – Paweł gdzieś wyjechał, nie tłumaczył się gdzie. Gonić za nim, to jak wiatr łowić. A jeśli ci się uda złapać, sam go zapytasz.

–A zapytam, zapytam – rzekł Chmielnicki z zadowoleniem. – Właśnie układam się z takim jednym rozbójnikiem o wykup pana Pawła Melecha.

Piotr zeszywniał, łypnął czujnie zdrowym okiem, a hetman ciągnął dalej:

–Tak, tak. Każdemu się kiedyś noga powinie. Nawet takiemu mołojcowi jak twój brat. Gdyby samopas się wypuścił w drogę, może bym nawet nie wiedział. Ale przyłączył się do Kozaków podróżujących w tamtą stronę. Zaś tych Kozaków wycięli zbóje. Jak Paweł zdołał ocaleć, nie wiem i nie obchodzi mnie to. Dość, że owym podłym rabusiom rzekł, iż jest bratem Piotra Melecha. Liczył, że chciwością powodowani, poślą do ciebie, byś go wykupił. Ale herszt tych rzezimieszków okazał się mądrzejszy, niż pan Paweł myślał. Do mnie przysłał umyślnego, by wybadać, czy nie zapłacę więcej od ciebie. A do ciebie pewnikiem innego, by wiedzieć, jak się targować. To dlatego tak się szybko ruszyłeś ze swojej gawry, wyliniały niedźwiedziu! Jeno ja swojego zbója obwiesić kazałem. Trzymają twojego brata, to i dobrze. Nic mi do tego.

Zbliżył się do jeńca, pochylił nad nim, zajrzał w przerażone oko.

–Najważniejsze, że Wilkozakom nie doniesie tego, coś mu donieść rozkazał... Milcz! – wrzasnął, widząc, że Piotr zbiera się do odpowiedzi. – Nie mam ochoty wysłuchiwać kłamstw! Że skaptowałeś Hryńkę Szpaka, aby węszył, darowałem. Nic nieborak na mękach nie powiedział, bo i nie bardzo miał co. Udawałeś, że ciebie rzecz nie dotyczy, a i ja czekałem, nie wiedząc, na czym cię przychwycić. Teraz już wiem. Nie chodzi o to, czego się dowiedziałeś, bo to bez znaczenia, ani z czym wysłałeś brata, bo tego się domyśliłem bez trudu. Rzecz w tym, od kogo się tego dowiedziałeś. Kto ci wyjawiał, jaką rolę mają odegrać mnisi? I na te pytania mi odpowiesz, wielce szanowny panie Melech.

Piotr zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał zerwać twarde sznury.

–Zdechniesz, Bohdanie – wyrzeźił. – Zdechniesz prędzej, niż ze mnie słowo wydobędziesz!

–A to jeszcze zobaczymy. – Chmielnicki uchylił drzwi. – Horba! Niech nikt nie waży się teraz przeszkadzać! Służbie daj wolne, niech chłopcy idą do karczmy, a baby na bazar. I sam mi tu nie leż nieproszony! A tym dwóm wypłać co trzeba, wedle zasługi i tego, cośmy przedtem ustalili.

Wrócił do więźnia, znów się nad nim pochylił.

–Jeszcze zobaczymy, czy jęzor masz zawiązany na sławetny węzeł gordyjski, czy jeno na zwykłą kokardkę, z którą poradzi sobie i dziecko.

Włożył do ognia pogrzebacz, obok umieścił długi nóż.

–Zobaczmy – powtórzył. – Mamy czas. Jak będzie trzeba, to resztę dnia i noc całą. Drzazgi drewniane do wbijania pod paznokcie też się znajdują. I nie myśl, że dam ci zdechnąć przed czasem.

–Rzeźnik! – Melech splunął krwistą śliną pod nogi hetmana.

–Lepiej być rzeźnikiem niż zdrajcą, panie Piotrze. Ciebie tak czy inaczej czeka śmierć, możesz tylko wybrać, czy zginiesz szybko, czy będziesz zdychał tygodniami albo i miesiącami w bólu, pokryty wrzodami i ropą. Psom wygłodniałym cię wydam na żer, szcurów do celi każę napuścić. Będziesz patrzył, jak żrą twoje ciało, jak upuszczają resztek krwi. Ale nie skonasz pierwej, niż zobaczysz, jak zamęcę twojego ukochanego brata!

–Przecześ zabił posłańca rozbójników. Tak mówiłeś!

–Tak powiedziałem? Może i faktycznie go zabiłem. A może i nie. Nie twoja rzecz. Chcesz patrzeć na śmierć brata, wykupię go w każdej chwili i każę przywieźć tutaj. Albo wykupię i puszczę wolno, jeśli dasz mi tego, kto ci opowiedział o mnichach. Kogo zdołałeś kupić?

Piotr milczał dłuższą chwilę, zanim zapytał:

–A skąd mogę wiedzieć, że nie kłamiesz? Że wypuścisz Pawła wolnego?

–Nie potrzebuję go. – Chmielnicki wyjął pogrzebacz z paleniska, spojrzał na jarzącą się malinowo końcówkę. – Niebawem przestanie być tajemnicą, kim są mnisi i co mają uczynić, a wtedy to, co ma do powiedzenia, straci znaczenie. Po tym, co zrobimy z Siczą Hylewską, inne watahy Wilkozaków albo się poddadzą i pozwolą przesiedlić daleko stąd, albo same uciekną. Wtedy wypuszczę Pawła. Jeśli teraz powiesz wszystko.

–Kłamiesz jak zawsze – odparł Piotr, nie zważając na piorunujące spojrzenie hetmana. – Zabijesz go tak czy inaczej. Chociażby po to, by mnie nie pomścił.

–A skąd będzie wiedział, że cię zabiłem? Kto mu powie? Ci dwaj, którzy cię przywiedli? Oni już nie żyją. Horba? To najwierniejszy z moich towarzyszy, ale nawet on nie wie, kogo przywiedli. Jak myślisz, dlaczego kazałem ci wór na łeb założyć podczas drogi? Zniknąłeś, bracie. Nie ma cię. Na Dzikich Polach czas niespokojny, kup zbójceckich mnogość, nie takim gardzinom jak ty zdarza się zaginać bez śladu. Ale skoro mi nie wierzysz, przysięgnę na obraz Świętej Przepczystej.

–Na obraz Świętej Przepczystej i głowę twego ukochanego Tymoszki. Jeśli mnie oszukasz, niechaj na niego kara boska spadnie.

Hetman skrzywił się, jakby zgryzł świeżą laskę chrzanu, ale kiwnął głową.

–Niech ci będzie, niedowiarku – rzekł głucho. – Przysięgnę.

Podszedł do komody, na której stał święty obraz, położył palce na ikonie.

–Przysięgam na ten wizerunek Świętej Przczystej, Matki Bożej i Rodzicielki oraz na głowę ukochanego mego syna i dziedzica, Tymoszki Chmielnickiego, że jeśli odpowiesz na moje pytania prawdę, włos z głowy twemu bratu nie spadnie.

–Wykupisz go od zbójów i puścisz wolno? – uściślił Piotr.

–Tak uczynię.

–I nie będziesz go ścigał ani jawnie, ani skrycie?

–Nie będę, jeśli nie zacznie knuć przeciw mnie.

–Nie zacznie, to uczciwy Kozak. Przysięgnij jeszcze w imieniu syna, że i z jego strony Pawła nie czeka niebezpieczeństwo.

–Przysięgam – powiedział ze złością Chmielnicki. – Z taką chytrą jurystą powinienes zostać. Nie siedziałbyś teraz pokiereszowany, czekając na śmierć.

Melech nie odpowiedział. Spojrzał tęsknie w stronę dzbana stojącego na ławie. Chmielnicki kiwnął głową, nalał do kubka wina i przystawił do ust jeńcowi.

W loszku pod domem czekał posłaniec zbójów, niepewny swego losu. W tej chwili, gdyby wiedział, co dzieje się w umyśle Chmielnickiego, popatrzyłby w przyszłość z nadzieją. Hetman kozacki zamierzał bowiem tym razem dotrzymać przysięgi. Głowa ukochanego Tymoszki była mu milsza nad wszystko i choć dostrzegał w potomku niebezpieczne okrucieństwo oraz dziką żądzę władzy, to jego chciał widzieć kiedyś na czele państwa ukraińskiego, a nie któregośkolwiek z pozostałych synów.

Krucha uderzyła pięścią w stół. Naczynia podskoczyły, a okrągły bochen chleba, leżący na samej krawędzi, spadł i potoczył się pod okno, przez które sączył się popołudniowy blask.

–Mówiłam, że nie wolno ufać Wilkozakom!

–Mówiłaś – przyznał Szkaplerz.

–A ty twierdziłeś, że oni nie łamią przysięg.

–Bo nie łamią. Michej z Kiryłem obiecali, że będą strzec więźnia. I strzegli. Pewnie gdybym zażądał przysięgi, że nie odejdą bez pozwolenia, wywiązałyby się i z niej. Ale

nie zażądałem.

–Nie pomyślałeś? – spytał złośliwie Guz. Jego mała głowa zachwiała się drwiąco na boki.

–Właśnie dlatego, że pomyślałem, nie zmusiłem ich do takich obietnic.

–Nie rozumiem. – Krucha wstała, poszła pod okno po chleb. Kiedy wróciła i usiadła, spojrzała prosto w oczy przywódcy. – Powinieneś.

–A chciałabyś się obudzić z przegryzionym gardłem? Co ja gadam! Jakie obudzić?!

–No co ty, przecież byli u nas już jedną pełnią księżyca i nawet nie zamieniali się w wilki. To znaczy, nie przy nas, bo polować chodzili – zaprotestował Guz.

Szkaplerz westchnął ciężko.

–Wszystko trzeba wam tłumaczyć. Przecież to bardzo proste. Oczywiście, że nie odeszliby bez pozwolenia. Tyle że gdybym im zabronił, zaszlachtowaliby nas przy pierwszej okazji. Właśnie po to, żeby odejść, nie łamiąc słowa. Rozumiesz już, kołku? Po co zmuszać kogoś do przysięg, jeśli mogą one przysporzyć więcej kłopotów niż korzyści?

Krucha oderwała spory kawałek z bochna, wgrzyła się w pachnącą zakwasem ośródkę.

–No tak – powiedziała po chwili z pełnymi ustami. – A może i dobrze, że odeszli. Trochę się ich bałam. Nie rozumiem tylko, dlaczego uciekli.

–A co tu jest do rozumienia? Może zatęsknili za wolnym życiem? Może postanowili znaleźć inną sicz, kiedy własna ich wyгнаła? Kto tam za nimi trafi, przemieńcami? Nie powinniście narzekać. Zostawili swoją dolę z łupów, zabrali jeno dwa mieszki ze złotem. Myślałem, że to głupie gadki, jakoby Wilkozacy gardzili zyskiem, ale widzę teraz, że to prawda.

–Ale coś jednakowoż wzięli – zauważył nieodmiennie zgryźliwie Guz.

–A ty byś nie wziął na ich miejscu? – Krucha wyręczyła herszta. – Może w swoich norach nie potrzebują złota, ale między ludźmi zawsze się przyda.

–Właśnie – rzekł Szkaplerz. Wskazał na wyjedzoną skórę chleba. – Będziesz jadła?

Kobieta pokręciła głową. Przywódca rozbójników z zadowoleniem urwał kawałek i włożył do ust.

–Szkoda Melecha – powiedziała Krucha. – Zmarnieje w tej dziurze. Coś Kudeł nie

wraca.

–Diabli go wiedzą. Może okup wziął i poszedł gdzie oczy poniosą – rzucił Guz.

–A kto by był taki głupi, żeby na niewidzianego pieniądze dawać? Pewnie Chmiel się namyśla, języka zasięga, chce wiedzieć, czy Paweł Melech zapłaci za brata i ile. Albo zabił Kudła jak psa, bo ponoć równie bywa porywczy, jak potrafi być rozważny.

–A jeśli ubił nieboraka, to co zrobimy? – zaniepokoiła się Krucha.

–A nic. Poczekamy.

–Chłopa nie pomścimy?

Szkaplerz zaśmiał się.

–A tobie co? Kudła nagle żal? Sama go chciałaś niedawno zastrzelić, że się do ciebie dobrał, gdyś popiła do nieprzytomności.

–To co inszego – mruknęła. – Wieprz z niego lubieżny i padalec śliski, ale zawsze to nasz.

–Melech nie nasz, a też go żałujesz. Udał ci się, co? Przyznaj, widziałem, jak na niego patrzyłaś, gdy hulał z szablą po majdanie. Myśmy ci się już znudzili. Ech, baby, tylko byście goniły za świecidełkami i nowościami. Jak kolejne portki się pojawiają, dotychczasowe zaczynają wam śmierdzieć.

–Głupiś – fuknęła. – Idzie mi o to, że dobry byłby zeń kompan. Na pewno lepszy niż ci Wilcy, których trza było ubić, jak radziłam.

–Samaś głupia, Krucha – odparł spokojnie Szkaplerz. – I co nam się złego stało, że przyszli i odeszli? Mnie bardziej ciekawi, dlaczego zbiegli po pierwszej warcie przy Melechu. Zdaje mi się, że coś musiał rzec ważnego.

–Tylko co? – podrapał się w głowę Guz. – Zdałoby się wiedzieć.

Krucha rzuciła niedojedzony glon chleba na środek stołu. Spojrzała na herszta.

–Chcesz go przepytać? A może wziąć na męki?

–Guz! – Przywódca wychylił się, trzasnął podwładnego w potylicę. – Ty głupszy od niej jesteś! Nie nasza rzecz, dlaczego Wilkozacy uciekli i co im powiedział więzień! Kto mniej wie, lepiej sypia. Jak chcesz się wdawać w sprawy między Lachami, Chmielem a Wilkami, to nie u mnie. Droga wolna!

–Ale co ty, Szkaplerz – wymamrotał skonfundowany Guz. – Mnie nic do tego.

Myślałem ino...

–To nie myśl, bo nie umiesz – przerwał mu herszt. – A ty, Krucha, nie myśl już o Pawle. Nie dla ciebie on. Na pewno nie zechce się do nas przyłączyć, bo dla takiego mołojca rejestrowego to nie honor. My zwykle chłopcy i bandziory, dla niego mierzwa i gnój. I żeby ci nawet nie zaświtało, by go uwolnić – rzekł groźnie. – Bo znajdę cię na końcu świata i zabiję. A zanim zabiję, zerwę z głupiego łba włosy razem ze skórą.

–Nie bój się, nie bój – mruknęła. – Aż tak mi się nie podoba.

–I tego się trzymaj, Krucha. Twój los tylko przy nas.

Serhij znów obudził się spocony, z ustami otwartymi do krzyku. Tym razem jednak nie śniła mu się rzeź w Żelaznych Chutorach ani inne podłości, jakich się dopuścił. Dziś widział we śnie potwora. Nie zwyczajnego jakiegoś stwora, który się czasem człowiekowi przyśni. Nie miał dziesięciu pazurzastych łap, pełnego śliny obrzydliwego, spienionego pyska czy węzowego ogona. Nie był podobny do lewiatana, o jakim opowiadał niegdyś Serhijowi pewien pop. W ogóle nie miał w sobie nic z bestii. Przynajmniej zewnątrz. Bo był to człowiek. Ciemno odziany, w wysokim kapeluszu na głowie, wyższym nawet od baraniej zimowej czapy. Ponoć w takich nakryciach głowy wojowała niegdyś husaria, gdy była jeszcze lekką jazdą węgierskiego autoramentu. Tak w każdym razie opowiadał stary Prohyry.

Twarz miał ów człowiek zwyczajną, tak zwyczajną, że Serhij jej nie zapamiętał. Tylko te oczy... I głos... Chorąży był pewien, że we śnie obcuje z czystym złem, z samym władcą najgłębszych czeluści piekieł. Z pozoru nic wielkiego, nic nadzwyczajnego. Zły człowiek, jakich spotyka się wielu w życiu, takich o świdrowatych oczach i ociekającej jadem mowie – jakich chciałoby się wyciąć szablą, ale nie by zabić, lecz obciąć ucho na pamiątkę spotkania. W dodatku Kozak zdawał sobie cały czas sprawę, że śpi, ale też że nie może się w żaden sposób ze snu obudzić. Wreszcie wszystko to – świadomość śnienia oraz koszmarnej jawy – zlało się w jeden szary strumień myśli i doznań. Ludzka postać stawała się coraz wyraźniejsza, a zarazem coraz groźniejsza. Mówiła coś, lecz Serhij nie rozumiał słów, docierał do niego tylko łagodny, a zarazem kołący jak rozżarzona igła głos. Sączył zło. Czyste, parzące zło. Potem człowiek niespodziewanie zmienił się w czarną karocę, a raczej w część tej karocy – płaskorzeźbę na drzwiach. I owa płaskorzeźba wciąż mówiła. Kusiała. Chorąży nie wiedział do czego, ale czuł, że nie może ulec. Nie chce ulec. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niego, że zło nie kusi jego, lecz przemawia do kogoś stojącego z tyłu. Lecz nie potrafi odwrócić głowy, rzucić okiem za plecy. W tymże śnie zdawał sobie nawet sprawę, kim jest tajemnicza osoba, ale teraz zapomniał. A może nie chciał sobie przypomnieć? W każdym razie zło kusiło, a on czuł, jak okrutne słowa i paskudne myśli przepływają przez jego serce, zostawiając na nim

brudny osad, i docierają do tego, kto za nim stał.

Koszmar. Prawdziwy koszmar. To, co dotąd złego mu się kiedykolwiek śniło, wydawało się niczym w obliczu tego straszliwego obrazu. Twarz na drzwiach czarnej karocy przemawiała bez przerwy, wciąż w tym niezrozumiałym języku, a Serhij wiedział, że oto właśnie czyste zło odczytuje słowa z księgi jego losu, wyjawia plan Boga, czyniąc go równie plugawym, jak jezior obracający się w potwornej gębie.

Z całych sił chorąży starał się obudzić, lecz nadaremnie. Zło trzymało go pazurami. Kiedyś Prohyry powiedział, że moce ciemności mają najłatwiejszy dostęp do duszy człowieczej nocą, tuż po północy, gdy słońce znajduje się najdalej za horyzontem i jego ożywcze promienie giną w czeluściach pustki. I pewnie tak jest, bo czy śni się podłe koszmary, drzemiąc w dzień?

To poczucie obcowania z czystym złem stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Niezrozumiałe słowa niosące groźną treść ogłuszały, sprawiały, że serce stawało przerażone, oddech urywał się, a głowę wypełniała brudna pustka. Wbrew sobie wpatrywał się w drewniane usta, starał się unikać wzroku płaskorzeźby, mając pewność, iż jeśli raz spojrzy w szatańskie źrenice, nie zdoła się wyrwać, porwą jego duszę i nie wypuszczą. Zaś one przyciągały, przekonywały, aby przemóc strach, zmierzyć się z sobą samym i zwyciężyć w starciu. Każdy prawdziwy Kozak bierze się za bary z zagrożeniem, zdawały się mówić. Cóż warta jest mołojcka sława, jeśli wojak nie potrafi nawet spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu?

I już-już dzielny chorąży zaczął wznosić oczy, by zetrzeć się z wrogiem, gdy nagle szarpnął się w tył, słysząc płacz dziecka. Jego dziecka! Skąd tutaj Halszka? Czyżby szatan chciał kupić jego duszę w zamian za małą? Tak! Niechaj bierze grzesznika, a zostawi w spokoju niewinne, czyste dzieciątko! Serhij poderwał głowę, wbił wzrok prosto w oczy drewnianej maski. Błysk i ból w środku czaszki!

Właśnie wtedy sen się skończył. Lecz płacz dziecka trwał nadal.

Kozak zwlókł się z łóżka. Na swoim wyrku chrapała Parasza, w nieśmiałym blasku młodego księżycyca widać było jej pomarszczoną twarz z rozchyłonymi ustami.

Halszka zanosila się płaczem. Serhij stanął nad kołyską. Dziewczynka zamilkła na chwilę, popatrzyła na ojca wielkimi, okrągłymi oczami, a potem znów zaczęła krzyczeć.

–Cichaj, malutka – powiedział, głaszcząc lewą dłonią mokrą od łez buzię. Prawej nie mógł dźwignąć, jakby straszny sen całkowicie odebrał w niej władzę. – Tobie też coś się przyśniło?

Ogarnęły go złe przeczucia. Nie potrafiłby tego nazwać. Lęk, obawa przez nieznanym. Zupełnie jakby w każdej chwili mogło się wydarzyć coś niedobrego.

Dziecko uspokajało się powoli, płacz zamienił się w ciche łkanie, wreszcie ustał zupełnie.

–Niedobrze jest – rozległ się niespodziewanie zgrzytliwy głos znachorki.

Serhij drgnął, odwrócił się ku starej.

–O czym mówisz, babko?

–Niedobrze jest – powtórzyła. – Śniło mi się bardzo źle.

–Mnie też – powiedział coraz bardziej zaniepokojony. – I małej, coś mi się zdaje.

–Diabeł mi się śnił – mówiła dalej Parasza. – Taki, co przed nim się nie ukryjesz nawet za ołtarzem w cerkwi. Prawdziwy diabeł, którego Boga samego się nie ulęknie.

Chorąży poczuł przeszywające zimno.

–To tak jak mnie – szepnął.

–Wiem – odpowiedziała spokojnie.

–Jak to? Babko, jak to wiecie? Toż to tylko sen.

Usiadła na wyrku, odetchnęła głęboko.

–Tylko sen i aż sen, synku. Taki czart nie śni się na darmo. Zawsze zapowiada coś niedobrego.

–Co?

–Nie wiem, sokole. Gdybym wiedziała takie rzeczy, nie byłabym zwyczajną znachorką i wiejską wróżywą, ale nadworną przepowiadaczką, chociażby chana samego albo i sułtana. Bogata bym zaś była na pewno... Musimy czuwać.

–Ty śpij – machnął ręką Serhij. – Ja już dzisiaj nie zmrużę oka.

–Nie rozumiesz. – Babka wstała, podeszła do kołyski, spojrzała na śpiącą znowu Halszkę. – Musimy czuwać każdej nocy. Na zmianę.

–Babko, będzie lepiej, jeśli odejdę. Gdyby co złego miało się zdarzyć, to za moją przyczyną.

–Nie gadaj byle czego – ofuknęła go. – Skoro obojgu nam śniło się to samo, jeden nam los i lepiej go przyjąć we dwoje, niż się rozdzielać.

–Ty wiesz lepiej – powiedział cicho.

**–Wiem, sokole, wiem. Przeznaczenie ku nam idzie, a iście diabelskie ma oblicze...
Pomódlmy się teraz...**

Zaczęła mamrotać „Ojcze nasz”, a potem „Uratuj nas, Panie”. Zdjęła ze ściany długą czotkę, zaczęła przesuwając koraliki. Serhij po chwili przyłączył się do modlitwy. Nie przyniosła ukojenia, uspokoiła go tylko trochę. Nie potrafił się poddać znajomym formułkom.

–Teraz odmówimy modlitwę Jezusową – szepnęła znachorka. – Umiesz tak się modlić?

Serhij pokręcił głową. Wychował się w unickiej wsi, a babka proponowała coś, o czym słyszał, ale tylko u prawosławnych.

–To proste, sokole. Rób to co ja, powtarzaj za mną dokładnie tak, jak ja to czynię. Najpierw wdychając powietrze, mów „Panie Jezu Chryste, Synu Boży”, potem zatrzymaj imię Zbawiciela przy sercu, po czym wypuść powietrze, mówiąc „zmiłuj się nade mną grzesznym”.

Przez chwilę chorąży rozmyślał, czy taki dyzunicki obrządek nie obróci się przeciwko niemu, ale zaraz odgonił tę myśl. Toż przecież katolik czy unita mógł ślubować z dziewczką z prawosławnej rodziny w zwykłej cerkwi lub kościele. Bóg jest ten sam dla wszystkich, choć sobie tego ludzie nawzajem odmawiają.

–Panie Jezu Chryste, Synu Boży – wyszeptał, wciągając powietrze, tak jak babka kazała, a potem, wypuszczając je, dokończył: – zmiłuj się nade mną grzesznym. Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną grzesznym.

Wróżycha przesuwiała w dłoni czotkę, a Serhij po kilku powtórzeniach modlitwy zaczął się wreszcie uspokajać, poczuł napływającą do serca nadzieję. Halszka spała, oddychając spokojnie, z główką przechyloną na bok i uniesionymi rączkami.

Rozdział 12

Wciągnęła w nozdrza powietrze, wężąc czujnie. Przywykła już do wyostrzonych zmysłów. W siczy tak bardzo tego nie dostrzegała, bo tam wszystkie zapachy szybko stały się znajome, przestała na nie zważać. Ale na otwartych przestrzeniach docierały do dziewczyny zarówno odgłosy świata, jak i jego przebogate wonie. Od dwóch dni szła na zachód. Nie wiedziała, dlaczego obrała ten właśnie kierunek, nie zastanawiała się nad tym nawet. Czuła, że tam powinna się udać, był tak samo dobry, jak każdy inny, a skoro ją ciągnęło...

Dawno już zauważyła, że krok w krok podążają za nią dwaj mężczyźni. Nie zbliżali się zanadto, ale też nie spuszczała z nich wzroku. Dostrzegła ich po raz pierwszy po rzezi, którą urządziła sześciu Kozakom. W otwartym stepie, na którym prócz rzadkich zagajników i okazałych burzanów nie było się gdzie ukrywać, nie mogli się zupełnie przytacić. Zapewne gdyby nie stała się Wilczycą, mogłaby ich przeoczyć, ale ostre zmysły robiły swoje.

Tak... Z pewnością stała się Wilczycą. Po starciu z lubieżnikami nabrała całkowitego przekonania. Była przemiencom i, choć przemienców nienawidziła z całej duszy, bezustannie tęskniła za siczą. Od tego uczucia silniejsza okazywała się jak dotąd tylko tęsknota za dzieckiem. Za dzieckiem! Marika obawiała się, że między nią a małą stanie mężczyzna. Pamiętała, że kochała tego człowieka, że potrafiła w ogóle kochać, ale tamten czas zdawał się odległy, jakby dotyczył zupełnie innego życia, a może raczej kogoś zupełnie innego. Jakże miał na imię tamten mąż?... Pamiętała Micheja, Kiryła, Hrehorego, Stepana, pamiętała imiona Wilków napotkanych w siczy, ale nie potrafiła sobie w żaden sposób przypomnieć, jak nazywała tego, którego była żoną.

Jakże inna jest dusza Wilczycy niż ludzkiej kobiety! Marika słyszała od dzieciństwa opowieści o waderach w razie potrzeby stających do walki razem z mężczyznami. Wtedy nie budziło to jej zdziwienia, bo nie wiedziała, że samice Wilków to wyłącznie kobiety pojmane na wyprawach. A przecież były gotowe poświęcić życie dla siczy, to wiedziała na pewno. I teraz zdała sobie też sprawę, dlaczego tak się dzieje. Ta więc... Ona zastępowała wszystko, co miały w życiu: miłość do wybranka, do dzieci, do całej rodziny. Pozostawała sicz i wilcze prawo, surowe, jednak takie samo dla wszystkich. Na własne oczy dziewczyna widziała, że nie ma przed nim równych i równiejszych. Chociażby wtedy, gdy Kirył zaszlachtował w pojedynku Kałmuka, choć ten był mocno związany z Hrehorym, któremu śmierć sprzymierzeńca była nie na rękę. Marikę też traktowano jak każdą inną brankę, choć była kobietą znienawidzonego w Siczy Hylewskiej człowieka, tego... Jak brzmi jego imię?

Wysilała pamięć aż do bólu, lecz nie mogła sobie przypomnieć. Jedno, co zdawała się pamiętać, to zapach. Dymu z ogniska, wiatru, świeżej trawy. Z tym wszystkim mieszała się lekka woń końskiego potu. I właśnie ten człowiek uczynił wielkie

krzywdy siczy! W Żelaznych Chutorach urządził rzeź godną opowieści o biblijnych mordercach narodu wybranego. Ojczulek Broniszko, pop z Worszewki, kiedy przychodził do ich siola, zawsze prawił o Herodach, Hamanach i innych zbrodniarzach. Boże! To pamiętała, a imię męża uległo zatarciu! Czy powinna czuć rozpacz? Zdaje się, że tak – kiedyś by ją czuła. Ale nie teraz. Teraz pozostało tylko jedno pragnienie z poprzedniego życia. Szczenię... Jezu Chryste! Nie szczenię, tylko dziecko! Co się z nią dzieje?! Spojrzała w niebo, na sierp księżycy. Zbliżała się Okołopelnia. Za parę dni zacznie się i wtedy każdej nocy przez dwa tygodnie będzie można przybrać wilczą skórę. Może wtedy łatwiej przyjdzie poszukiwać córeczki?

Siedziała bez ruchu wśród wysokiej trawy, rozmyślając. Nagle tuż obok wyczuła ruch. Tak, wyczuła – nie usłyszała szmeru, nie dostrzegła nic kątem oka. Zupełnie jakby spłynął na Marikę dodatkowy zmysł. Wilczy zmysł.

Błyskawicznie sięgnęła w bok, ręka wystrzeliła niczym pocisk z guldynki. Prerażony bobak zapiszczał, zamachał rozpaczliwie łapkami, ale zanim w pełni zdołał pojąć, co się dzieje, już nie żył. Marika spojrzała na ciepłe ciało ze skrzyconym karkiem. Czy naprawdę ona to zrobiła? A może ktoś rzucił jej martwe zwierzątko na kolana? Wzniosła oczy ku niebu, w stronę kobierca utkanego z mroku i gwiazd. Powinna już przywyknąć, że dzieją się z nią takie rzeczy, ale jakoś nie mogła się z tym pogodzić. Tak bardzo chciałyby pozostać człowiekiem...

Od zajęczego truchelka dolatywała woń wiatru i strachu. Dziewczyna poczuła ślinę napływającą do ust. Chwyliła zdobycz za tylne łapy, pociągnęła mocno. Z przeraźliwym mlaskiem ciało rozdarło się na dwie części, na pokrytą starymi plamami krwi spódnice spłynęła świeża posoka. Zapach surowizny sprawił, że Marice zakręciło się w głowie. Oblizła strużkę ciekącą od dłoni ku łokciowi, a potem wgrzyła się w świeże mięso.

Czuła obecność tych, którzy ją śledzili. Byli na tyle daleko, by nie mogli Mariki zaskoczyć, ale na tyle blisko, aby myśl o nich nie dawała spokoju. Kiedy tylko nadarzy się sposobność, trzeba ich będzie wywieść w pole i umknąć.

Koroman chodził między rozłożonymi na nocleg oddziałami, lustrując je uważnie. Zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że wysyłając go na wyprawę, Chmielnicki posadził nielubianego dowódcę na beczce prochu. Pułkownik musiał zatem postępować bardzo rozważnie, aby nie doprowadzić do wybuchu. Zastanawiał się tylko przez cały czas, czy podstępny hetman nie umieścił w wojsku kogoś, kto miał pod ową beczkę podłożyć ogień. Najbardziej niepokoił go ci mnisi w wielkim wozie, który utrudniał i spowalniał marsz bezdrożami bardziej niż nieporęczne armaty. Mieli pomóc w pokonaniu Wilkozaków, ale jakoś nie mogło pułkownikowi trafić do przekonania, żeby kilku rozmodlonych muzyków zdołało powstrzymać bestie od

przemiany Bardziej by ufał srebrnym kulom i święconym ostrzom niż zwyczajnym modłom. Lecz na srebrne kule nie mógł liczyć. Chmiel nie zamierzał wpędzać się w koszta, i tak już ponoć stał na granicy ruiny, jak i cały kraj. Tyle w wojsku było srebra, co sami żołnierze zechcieli na tę wyprawę z posiadanych dóbr przetopić. Święcenie ostrzy z kolei nic nie kosztowało, ale Chmielnicki zabronił tego robić, aby nie osłabiać ducha w wojsku. Ogłosił, że bestie nie będą w stanie przeciwstawić się ludziom nawet bez użycia guseł. Kozacy siedzieli przy ogniskach, w powietrze wzbijały się pierwsze tej nocy pieśni. Jutro wojska staną już naprzeciw warowni wilkozackiej. Wtedy nie będzie czasu na śpiewy. Hetman instrukcje wydał jasne – mieli rozpocząć szturm po zapadnięciu ciemności. To wydawało się zwyczajnym szaleństwem, bo łatwiej jednak walczyć z Wilkami w ludzkiej postaci niż wtedy, gdy mogą zmieniać się w zwierzęta. Koroman wypytał dokładnie Ilję Zająca, jak to jest wojować z Wilkozakami. Po tej rozmowie nie wiedział wiele więcej niż przed nią. Że bestie mogą w czasie pełni zmieniać się to w człowieka, to w wilka, wiedział doskonale. Ale nie mógł mu Kozak udzielić odpowiedzi na najważniejsze pytanie – czy przemienionego Wilkozaka można w ogóle zabić. Jedni utrzymywali, że tak, drudzy, że nie, a Zając wzruszył tylko ramionami i oświadczył, iż nigdy w życiu nie widział martwego potwora, choć zdarzyło mu się raz i drugi zdzielić takiego szabłą. Jakby słomę ciął, tak powiedział. Krew na ostrzu, i owszem, ale Wilkozak hasa, jak hasał. Tylko raz zobaczył umierającego Wilkozaka, ale poza czasem przemiany. Oczywiście, jeśli nie liczyć zarżniętych w Żelaznych Chutorach niewiast i szczeniaków, lecz to się liczyć nie mogło, bo ani jednego w pełni sprawnego wojownika tam nie zastali. Semen zwany Porochem i Liwka Pastuch jedyne, co potrafili, to potwierdzić słowa kompana. Widać było po nich, że bez radości idą na tę wyprawę, ale też i bez wielkiego strachu. Lecz to nic nie znaczyło. Koroman wiele razy widział mołojców bez lęku spoglądających prosto w źrenice śmierci. Dla Kozaka wstyd byłby kłaniać się przed tą czarną panią, która prędzej czy później każdego otoczy całunem ciemności.

Coś w tym wszystkim było nie tak. Coś nie układało się w bystrym umyśle dowódcy. W dodatku drażniło go ciągle mamrotanie dobiegające z wozu mnichów. Ludzie popatrywali w tamtą stronę z niechęcią. Nie ufali Moskwie. Wielu wśród wojska było dyzunitów, ogromna większość nawet, powstanie wybuchło wszak także jako sprzeciw dla Kościoła unickiego, a mimo to prawosławni duchowni budzili niepokój.

Co właściwie zamierzał Chmielnicki? Kraj pogrążony był w nędzy, a hetman, zamiast postarać się o zawarcie korzystnego pokoju z Polską, wciąż czynił wszystko, aby udowodnić, że takie porozumienie jest niemożliwe. Rzeczpospolita zgodziła się już na czterdzieści tysięcy Kozaków rejestrowych, co było małą liczbą w porównaniu z potrzebami, ale zawsze coś znaczyło. Zgodziła się na większe swobody, nadała przywódcy buntu ziemie, zalegalizowała zaszczyty, zaś Chmiel żądał wciąż więcej i więcej. Tylko po to, żeby zrywać układy. Skończyło się tak, że po starciu pod Białocerkwią zawarto ugodę na dwadzieścia jedynie tysięcy rejestru. Wszystko

uczynił Chmiel, co mógł, byle tylko wykazać swoją rację. Zaś na całej Ukrainie, poza nielicznymi miastami i siołami, panował potworny głód. Ludzie płacili za korzec pszenicy czterdzieści pięć złotych polskich, za garść jagieł przeszło siedem... Marli na ulicach, puchli z głodu, zjadali trupy. Brakowało tylko jeszcze zarazy. A tymczasem hetman zaporoski upatrzył sobie dla synka tron na Wołoszczyźnie, zupełnie jakby mało mu było tego, co już zagarnął. Ze zwykłego chłopca kozackiego stał się wielkim panem, a chciałby jeszcze w króle pewnie iść.

Sam Koroman był synem tutejszej chłopki i przybysza z południa, uciekiniera z Bałkanów, jęczących pod tureckim jarzmem. Ojca pułkownik nie pamiętał, wiedział jedynie, że był znakomitym żołnierzem i miał na imię Zlatko. W rodzinnym siole cuda opowiadano o jego wyczynach i zasługach podczas wypraw i wojen, a mały Demen pragnął doścignąć sławę ojca i nawet go przewyższyć. Jak na razie, nie udało się. Był jednym z pułkowników kozackich, a zatem ważnym oficerem, ale nikim więcej.

–Patrole gotowe do rozesłania – rozmyślenia przerwał Koromanowi silny, lekko schrypnięty od wykrzykiwania komend głos.

–Ach, to ty, Ilja – rzekł pułkownik, zatrzymując się przy muszkietach ustawionych w koźle opodal płonącego już dobrze ogniska. – Właśnie miałem po ciebie słać. Tamte podjazdy wróciły?

–Wszystkie prócz jednego, tego, który wysłaliśmy w stronę Korzynia.

–Jak myślisz, co mogło się stać?

–Może chłopcy zajechały do miasteczka. Wiesz, panie pułkowniku, jak to jest.

–Wiem, wiem – westchnął Koroman. – Niekarne to nasze wojsko bywa.

–Niekarne – przyznał Zajac – ale zawsze waleczne. Pomnicie, jako się przebijaliśmy nad Płaszówką, gdy chan opuścił nas i salwował się ucieczką, porywając na dobitkę naszego hetmana?

–Z dziewięćdziesięciu tysięcy wraz z Iwanem Bohunem zdołaliśmy was wyprowadzić może połowę.

–Ale zdołaliście. Bo i wy, i Bohun umieliście przemówić do mołojców tak, by woleli się bić, niż poddać.

–A gdyby nie wasz oddział pod chorążym Kostenką, co nam osłaniał tyły, pewnie by nam się w zad Lachy wbiły i popłoch by się wszczął.

–Wszyscy dzielnie sobie wonczas poczynali. – Ilja pokiwał głową. – Bywałem wiele razy na wojnie, wiem, ile się człek naogląda skurwysyństwa wszelakiego, ale wtedy

szliśmy jak jeden mąż. Ci, co zginęli w bagnach i rzece, nie stracili życia na darmo. Mogliśmy wrócić do walki.

–Mogliśmy – powiedział cicho do siebie Demen. – Tylko po co?

–Co powiadacie? – spytał Zając.

–Nic ważnego – odparł Koroman, ruszając w dalszy obchód. – Dobrze, Iłja, roześlij patrole. A te, które wróciły, przywiozły jakieś ważne wieści?

–Nic. Wilkozacy siedzą w siczy, nie wystawiają pysków poza zwykłymi tropicielami, co nas mają śledzić.

–Dziwne to stworzenia – rzekł w zamyśleniu pułkownik. – Gdybyśmy szli na ludzi, już by nas szarpały jakieś podjazdy, napotkalibyśmy zatrute studnie, spalone chałupy.

–Oni wojują inaczej. Pewni są swojej przewagi, gdy mają za sobą siczy, tak samo, jak my pewni jej jesteśmy, walcząc w sztykach taborowych. A skoro kazano nam ich jeszcze szturmować w czasie, gdy mogą ulec przemianie... – Wskazał na jasną płachtę ogromnego wozu. – Mam nadzieję, że ci tutaj na coś się przydadzą.

–Tylko masz nadzieję? – uśmiechnął się Koroman. – A nie powinieneś wierzyć, że co obiecał sam hetman zaporoski, prawdą być musi?

Iłja zaśmiał się cicho.

–Aleście też powiedzieli, pułkowniku – odparł. – A czyż to Bohdan Chmielnicki jest Panem Bogiem, by się mienić nieomylnym?

–Kiedy takim się mieni...

–I niech mu idzie na zdrowie – kiwnął głową Zając. – Wodzem w polu jest przednim, a sprytniejszym od łasicy. Jeno nie zawsze czyni, co by rozsądek nakazywał.

Demen znów się zatrzymał.

–Nie boisz się tak prawić? – spytał. – Bohdan mściwy jest, a ręce ma długie.

Zając popatrzył dowódcy prosto w twarz.

–Zastanawiacie się teraz – powiedział powoli, dobitnie – czy hetman nie przysłał mnie i towarzyszy, abyśmy wam patrzyli na ręce, a potem donieśli mu wszystko, czego by mógł użyć przeciw wam.

Koroman nie odpowiedział od razu. Spojrzał na najbliższe ognisko, odwracając się

lekko w tamtą stronę. Nieznacznym gestem położył dłoń na kolbie pistoletu.

–A ty co byś myślał, bywszy na moim miejscu, Kozacze? Dostałem was jak prezent jakowyś...

–A podarunki wroga bywają groźniejsze niż niespodziewany cios szablą – wpadł Demenowi w słowo Zajęc. – Ale nie musicie się obawiać. Jeśli wyjdziemy cało z tej awantury, ani ja, ani moi towarzysze nie wrócimy do Białocerkwi.

Demen zmarszczył brwi, na jego czole pojawiła się głęboka pionowa zmarszczka, doskonale widoczna w ostatnich promieniach zachodzącego krwawo słońca.

–Nie rozumiem. Dlaczego niby nie chcecie wracać? Jeżeli nam się powiedzie, czeka was nagroda. A gdyby nie, prostych wojaków się nie karze.

–Co by się nie stało, dla nas tak czy inaczej wiążą już tam stryczek. Ninie jesteśmy hetmanowi potrzebni, bo znamy trochę Wilkozaków, a jemu najwidoczniej bardzo jest potrzebne zwycięstwo, by się wykazać przed Moskwą. Potem jednak stracimy wartość, za to zechce się Chmiel dowiedzieć, gdzie można znaleźć Serhija.

–A co mu wciąż jeszcze do tego nieboraka? Mało nieszczęścia go już spotkało? Już dawno na radzie Chmielnicki machnął nań ręką, przekonywał, że o nim zapomni.

–Mówicie, jakbyście nie znali hetmana. Zajadły jest i pamiętliwy, a chorążego naszego chciałby przykładnie ukarać za nieposłuszeństwo.

–Tak – westchnął Koroman. – Czasami zapominam, że Bohdan nie tylko wielkich tego świata i wrogów chciałby zjeść w kaszy, ale w każdym potrafi zobaczyć przeciwnika. Pewnie dlatego zaszedł tak wysoko.

Rozprostował ramiona, spojrzął w księżyc, widoczny między napływającymi od strony Morza Czarnego chmurami.

–Idź już do swoich ludzi, wyślij podjazdy. A kiedy wrócą ci z Korzynia, daj ich od razu do mnie. Przetrzepię im skórę.

Patrzył na oddalającego się Kozaka. Tak właśnie wszystko wyglądało. Słuszne, wynikające z krzywd i niesprawiedliwości powstanie zmieniło się w długoletnią wojnę domową, a najbardziej cierpieli na tym nie tylko prości ludzie, nękani najazdami to jednej, to drugiej strony, ale nawet zwykli, Bogu ducha winni żołnierze. Chmiel pewnie w końcu dopnie swego, ale umierając, będzie musiał zmagać się z własnymi demonami.

Jako młody chłopak Koroman wziął udział w powstaniu przeciwko Polsce pod hetmanem Tarasem Fedorowiczem. Musiał potem ze swoimi uciekać, chronić się aż

w Mołdawii. Kiedy wrócili, Taras natychmiast przyłączył się do wojsk moskiewskich idących na zniechęconą przez Rzecząpospolitą. Koroman nie chciał. Co innego zbuntować się przeciw uciskowi, a inna sprawa wraz z odwiecznym wrogiem gnębić wyrodną, bo wyrodną, ale zawsze matkę ojczyznę. Gdyby wtedy ktoś pułkownikowi powiedział, że ruszy po latach na tę samą ojczyznę wspierany wojskami ordy tatarskiej, chybaby mu bez słowa w łeb wypalił z pistoletu. Zmienia się człowiek... W każdym razie Taras Fedorowicz znów musiał uciekać. Tym razem poszukał schronienia u dawnego podkomendnego. Schorowany już był, zgnębiony, nękanym wyrzutami sumienia. Dement patrzył, jak był hetman umiera, dręczony przez złe duchy, jak odgania je, tłumaczy się tym, których skrzywdził i do śmierci przywiódł, aby własne osiągnąć korzyści. Wymieniał ich imiona, wykrzykiwał przekleństwa na przemian z modlitwami, a gdy przyszło oddać ostatnie tchnienie, wzywał zmiłowania. Słuchającemu tego Koromanowi włosy się podnosiły na głowie.

Wówczas przysiągł sobie, że nigdy nie pozwoli, aby spotkał go taki koniec. Ale wspomnienie z czasem zbladło, a on dał się porwać czarowi Chmielnickiego. Potem zaś poddał się także własnym ambicjom, opowiadając się wiele razy przeciw decyzjom hetmana. Lecz nie pisał nawet słowa, gdy okazało się, że mają się sprzymierzyć z bisurmanami. Owszem, korciło go w czas klęski beresteckiej, by pchnąć nożem chana, ale nie odważył się. Uznał, że przybyłby Kozakom nowy wróg, bezwzględny i straszliwy.

Teraz tego żałował. Sułtan pewnie byłby nawet rad ze śmierci uprzykrzonego Islama Gereja, pogroziłby palcem, zerwał na chwilę sojusz i tyle. A Chmielnicki straciłby wówczas może grunt pod nogami.

Pułkownik wzdrygnął się. Z całą mocą wróciło wspomnienie wytrzeszczonych w przerażeniu oczu Fedorowicza, uszy rozdarł ochryply krzyk.

Czy i on będzie tak umierał?

Przeżegnał się trzykrotnie, a potem podszedł szybko do najbliższego ogniska, przy którym zapiewało właśnie zaczynał kolejną pieśń.

–Można się do was przysiąc, orły stepowe?

Kozacy natychmiast uczynili dowódcy miejsce w kręgu. Koroman zatopił się w surowych, lecz pięknych głosach Zaporozców. Nie ma co myśleć o jutrze, a tym bardziej o pojutrze, kiedy dziś jest tak bardzo niepewne, że nie wiadomo, czy ciemności skończą się o poranku, czy zaraz po brzasku nie zapadnie następna noc. Z wdzięcznością przyjął pękaty dzban z miodem, potem kubek z gorzałką. Pułkownik pił chętnie, lecz rozważnie. Nie mógł się oddać pohulance, musiał być nazajutrz całkowicie trzeźwy. Zbyt wiele od niego zależało.

Bieg wilka jest cichy, spod łap nie wydobywa się odgłos mocniejszy niż leciutki świst skrzydeł polującej sowy.

Krok wilka jest nieodmiennie sprężysty i pełen groźnej, drapieżnej gracji.

Ludzie najbardziej boją się wycia, zarówno wielkiego samotnika, jak i chóru watahy. Gdy ciemności rozdziera krwawy zew, na plecach człowieka cierpnie skóra. A przecież ów największy wróg wilków bardziej powinien obawiać się nie głosu drapieżnika, ale ciszy.

Bo w ciszy poluje wilk. Stara się zaskoczyć ofiarę, gnając niczym wiatr, mknąc nad ziemią, prawie nie dotykając jej łapami.

Wilk to przedziwne stworzenie. Poluje w stadzie, ale też potrafi zadusić zdobyc sam. Wraz z pobratymcami osacza ofiarę, zagania ją w kozi róg, aby rozszarpać i spożyć w potwornej komunii wspólnego posiłku. Umie także jednak przyczać się niczym wąż, czekać w zasadzce na pojawienie się nieświadomego niebezpieczeństwa zwierzęcia... Albo człowieka. Wtedy wilk pojawia się zniecka, a przerażona ofiara ma czas tylko mrugnąć okiem, krzyknąć lub wydać przedśmiertny pisk.

Lubi też wilk tropić. Chwyta zapach i rusza na polowanie. Pędząc z watahą, potrafi zagonić jelenia na śmierć, ale i samotny basior nierzadko doprowadza rosłego, rogatego byka do rozpacz, sprawia, że nieszczęśnik koniec końców godzi się z losem i nie podejmuje walki, a jeśli nawet, czyni to bez wiary.

Bo to nie niedźwiedź ani waleczny łoś czy silny jelen, nie szalony dzik, lecz wytrwały, twardy wilk jest prawdziwym władcą lasów, bagien i stepów.

Mogli się o tym przekonać ludzie, leżący wśród burzanów opodal miasteczka. Na nic im się jednak ta wiedza nie miała już przydać. Nie spodziewali się napaści. A na pewno nie ze strony dwóch Kozaków zdążających pieszo na wschód. Szli szybko, prawie biegnąc, i nie zważali na okrzyki patrolu. Konni, najedzeni i napojeni, zadowoleni po wizycie w gospodarstwie leżącym o pół stajania od Korzyna, chcieli się tylko zabawić kosztem tych dwóch. Nic więcej. W uszach mieli jeszcze okrzyki branych gwałtem córek gospodarza, w głowach szumiała podła, ale mocna gorzałka, którą znaleźli schowaną w chlewie. W żołądkach ciążyła rozkosznie pieczona wieprzowina. Po powrocie do obozu mogli spodziewać się ostrej polajanki najpierw od Ili Zajęca, co bardzo ważny się zrobił, odkąd Koroman uczynił go dowódcą patroli, a potem od samego pułkownika. Nic to jednak, warto było. A tutaj jeszcze tych dwóch się napatoczyło.

–Bierzemy ich do obozu – powiedział Sidor, starszy już wojak, dziesiętnik dowodzący podjazdem.

–A po diabła, ojczulku? – spytał jadący obok niego Kitasz.

–A bo po co się będą Kozaczyska snuły po stepach, gdy przyda się każda szabla przy braniu wilkozackiej siczy?

–A jeśli nie zechcą iść?

–To ich siłą zmusimy. Przydadzą się – odpowiedział z uporem Sidor. – Poza tym noc zapada, niechaj się do nas przyłączą. Ale najpierw z nimi trochę pohulamy po naszymu.

Dopędzili dwóch pieszych, zaczęli jeździć wokół nich. Tamci stanęli plecami do siebie. Znać było po nich doświadczenie, bo nie obracali się za korowodem zbrojnych, ale śledzili uważnie każdy ich ruch, skręcając szybko głowy w tę i z powrotem. Kitasz zaniepokoił się. Coś dziwnego dostrzegł w osaczonych. Nie bali się, to było widać.

–Jedźmy! – zawołał do dowódcy. – Nic nam do nich i im do nas!

–Patrzaj, jaką ten wyższy ma gwintówkę. Z takiej to nawet misia by ustrzelił!

Sidor popił tęgo, a choć głowę miał mocną, szumiało w niej potężnie, zagłuszając głos rozsądku. Zresztą i Kitasz, galopując w kole, także zaczął odczuwać przyjemne oszołomienie. A co tam, włóczą się tacy, trzeba ich moresu nauczyć. A potem zaraz pojedą do swoich, zameldować, co na patrolu. A że meldować nie było o czym, to i popędzać nie warto. Jutro zacznie się bitwa z Wilkozactwem, do tego czasu zdążą. A może by tak wrócić do gospodarstwa? Dziewuchy po kozackich karesach pewnie już trochę odpoczęły, znowu piszczeć będą, gdy je pogonić po obejściu!

I coraz bardziej rozochocony Kitasz skierował wierzchowca do środka kręgu, aby mołojckim obyczajem zdjąć czapkę z głowy jednemu z mężczyzn. Rechotał przy tym na całe gardło.

Nie zdołał nawet dotknąć nakrycia głowy żadnego z osaczonych. Świsnęła szabla i ręka śmiałka upadła na ziemię. Kitasz nie od razu pojął, co się stało, tak szybki był ruch przeciwnika i tak ostra klinga. Śmiejąc się, minął pieszych i dołączył do kręgu. Dopiero kiedy chciał ująć wodze prawicą, spostrzegł strumień krwi buchającej z kikuta. Dłoń miał odrąbaną równo z nadgarstkiem, zupełnie jakby cięcie wykonał biegły cyrulik. Kozak krzyknął straszliwym głosem, po czym zwałił się z konia na ziemię i skulony przyciskał kikut do ciała, próbując zatamować upływ krwi. Żarty się skończyły. Na widok krzywdy przyjaciela, Sidor wrzasnął:

–Bij!

Zaczął się krwawy młyn. Tyle tylko, że krew buchała jedynie z Kozaków. W mgnieniu

oka z liczącego jedenastu żołnierzy oddziału, sześciu leżało na ziemi. Pozostałych pięciu odskoczyło, zatrzymało konie, patrząc spode łba na przeciwników. Widzieli na wojnie już chyba wszystko, ale z podobną szybkością i siłą wroga jeszcze się nie spotkali.

–To Wilkozacy – zaskowyczał Kitasz. Jakoś zdołał odwiązać ramię z rapci, na których wisiała szabla, zacisnął go powyżej rany, pomagając sobie zębami. Upływ krwi zdawał się przywracać mu rozsądek. Pojął, z kim sprawa i dlaczego obcy wydawali się tacy dziwni. Ich ruchy, miękkie i szybkie zarazem, przywodziły na myśl tylko jedno.

–Wilkozacy! – krzyknął głośnie.

Jeźdźcy sięgnęli po pistolety. Huknęły strzały, ale pociski wryły się w ziemię tam, gdzie jeszcze przed chwilą stali dwaj piechurzy. Teraz obaj znajdowali się zupełnie gdzie indziej, każdy odskoczył w swoją stronę, lecz nie w przeciwną, to by było zbyt oczywiste. Wyższy przetoczył się przez ramię w kierunku Kozaków, szarawary drugiego zafurkotały, kiedy robiąc gwiazdę, uciekł w bok. Obaj też zaraz padli na ziemię, przeturlali się jeszcze kawałek, a na sięgających już po przytroczone do sodeł janczarki jeźdźców spojrzały dwie pary gorejących wilczych oczu. Miejsce ubrań zajęła szaropopielata sierść, szable i samopały zawisły w uprzężach na grzbietach i wzdłuż boków. Wielkie, lśniące w zapadającym szybko mroku kły ociekały śliną. Sidor spojrzał na niebo i zaklął. Nie miał pojęcia, że wystarczy połowa księżycy, aby przemieniecy mogli się oblekać w wilcze skóry. Nikt mu o tym nie powiedział... diabli, a może nikt nie wiedział? Dla Kozaka żyjącego daleko od wilkozackich siedzib zwyczajnie bestii stanowiły tajemnicę. Dla tych mieszkających bliżej zresztą ponoć też.

Nie czas był jednak na rozważania. Dziesiątnik wytrzeźwiał w jednej chwili. Spojrzał na trupy podkomendnych, na przygarbionego, podtrzymującego zranioną rękę Kitasza, z trudem poskromił spłoszonego, przestraszonego widokiem i zapachem drapieżników konia i zawołał:

–Odwrót!

Nie musiał powtarzać rozkazu. Przerażeni Kozacy jak jeden mąż zawrócili, poganiając wierzchowce do galopu. A za ich plecami Wilcy znów przybrali ludzką postać. W jednej chwili, jak na komendę, zdjęli z pleców gwintówki, podrzucili je do oczu. Strzały huknęły krótko jeden po drugim. Dwóch Kozaków spadło z sodeł, jeden z rozkrzyżowanymi rękami do tyłu przez koński zad, drugi, waląc się na bok. Pozostali nawet się nie obejrzel na towarzyszy, przyłgnęli do rozwianych grzyw wierzchowców.

–Szkoda, żeśmy im dali odjechać – rzekł Kirył.

Michej ruszył w stronę krwawiącego Kitasza. Kozak rzucił się do ucieczki, ale potknął w mroku o jakiś wystający wśród traw kamień. Przedtem chciał dopaść swojego konia, ale gdy przemienicy stali się wilkami, podjezdek uciekł wraz z wierzchowcami zabitych żołnierzy.

Próbował jeszcze oddalić się na czworakach, podpierając się nieporadnie zdrową ręką, ale w tej chwili Wilk chwycił go za kołnierz i barczysty Kozak poczuł, jak nadludzka siła podrywa go z ziemi, stawia na nogi.

–Co zamierzasz z nim zrobić? – spytał Kirył. – Poderżnij mu gardło, musimy iść.

–Najpierw go wypytamy o to i owo – odparł głuchym, groźnym głosem Gryszczy.

Kitasz uczynił się sztywny ze strachu.

–Ja nic nie wiem – wybełkotał. – Ja prosty żołnierz, przy mnie komenda nic nie mówi... Nic nie wiem...

Michej wywlókł rannego na trakt.

–To, o co chcemy zapytać, wiesz na pewno – rzekł.

–Nic wam nie powiem! – wrzasnął nagle Kozak, czując przyływ odwagi i desperacji.
– Śmierć jest jedna i każdemu pisana.

–Jedna, powiadasz – rzekł spokojnie Michej. – Ale ty nie umrzesz. Podetniemy ci ścięgna pod kolanami i w łokciach, a potem on cię ugryzie. – Wskazał Kiryła, który na ten znak zamienił się w wilka i wyszczerzył zęby. – Staniesz się taki jak my. W żyłach będzie ci krążyć wilkozacka krew. Jeno żadna sicz cię nie przyjmie, bo kaleką się staniesz. Polować będziesz na stare i ślepe kuropatwy, może czasem kulawy zając się trafi, u gospodarza jakiego świniom czy krowom krwi podpijesz, aż cię wreszcie chłopci zatłuką i zakopią w ziemi, gębą do dołu. Ale ty żyć będziesz, bo my nie umieramy, jako pewnie wiesz. Żyć będziesz i po wiek wieków w ziemi leżeć, bo cię kalekie łapy słuchać nie będą, a raczej ta jedna, co ci została. Nie wydobędziesz się z mogiły.

Kitasz czuł, jak opuszcza go odwaga i desperacja. Od słów Wilkozaka uczyniło mu się zimno i mdło. Przeżegnał się kikutem trzy razy. Na bestiach nie uczyniło to widocznego wrażenia.

–Powiem, co chcecie – wyszeptał. – Tylko puśćcie mnie wolno, nie zapuszczajcie wilczych kłów w duszę...

A teraz leżał wraz z towarzyszami, martwy, patrząc szklanymi oczami w księżyc.

–Ale też żeś go nastraszył – rzekł z podziwem Kirył, który przez cały czas przesłuchiwania jeńca pozostawał w wilczej postaci, aby tamten nie zapominał, co go może spotkać.

–Ludzie wciąż wierzą w te wszystkie opowieści – odpowiedział Michej. – I dobrze.

–Pewnie, że dobrze – kiwnął głową Kirył. – Gorzej, jak kiedyś złączą poznawać prawdę.

–Musimy się zatem starać, żeby jak najpóźniej to było.

Rozdział 13

Tymoszko pędził ulicami Białocerkwi na czele oddziału wąsatych Kozaków w wysokich, baranich czapach, z przytroczonymi do strzemion pikami. W rękę dzierżył ciężką nahajkę, znak, że miał tego dnia łaskawy humor. Gdy bywał zły, miał batoga zazwyczaj miał się ulubionej szaszki, którą przywieziono mu w darze z jakiejś dalekiej wyprawy. Teraz grzmocił nahajką każdego, kto nie zszedł w porę z drogi.

W ślad za synem hetmana zaporoskiego leciały przekleństwa na przemian z błogosławieństwami. Jedni widzieli w nim bowiem zwykłego watażkę, którego jedyną zasługą było, że wydała go na świat małżonka Chmielnickiego, a drudzy upatrywali w młodym dziedzicu nadziei dla Ukrainy, a nawet przyszłego jej władcy.

–Dawaj – wrzeszczał ile sił w płucach, ze śmiechem oglądając się na swoich ludzi.

Wóz z sianem wytoczył się na ulicę nagle, wyjechał z bocznego zaułka. Gdy Tymoszko, znów zerkający w tył, zobaczył, co się święci, było już za późno, by się zatrzymać. Spiął więc konia, kopnął go w boki piętami i podał się całym ciężarem do przodu. Posłuszne zwierzę skoczyło i pewnie wszystko skończyłoby się na strachu, gdyby nie widły leżące na samym wierzchu kupy siana. Koń potrącił je przednimi kopytami tak, że podskoczyły i trzepnęły go w tylne nogi. Uderzenie nie było mocne, ale na tyle silne, by wytrącić zwierzę z równowagi. Opadając po drugiej stronie, potknęło się, poleciało w przód, przez łeb. Tymoszko zdołał jeszcze wyciągnąć stopy ze strzemion, odbił się mocno w bok tuż przed tym, zanim koń zdążył go przycisnąć.

–Boh moj! – zakrzyknął woźnica, a zaraz potem zacharczał, ściśnięty za gardło potężnym kułakiem jednego z przybocznych młodego Chmielnickiego.

–Puść go! – Tymoszko zbierał się z ziemi. Krwawił z rozciętej wargi, kulał na prawą nogę.

Żołnierz odstąpił, a chłop z wdzięcznością pochylił się nisko przed hetmańskim synem.

–Błogosławię waszą łaskawość, jasny panie – wymamrotał z trudem, wciąż jeszcze czując dławiący ból tam, gdzie przed chwilą zaciskały się żołdackie paluchy. – Dobry z was...

Chłop nie dokończył, runął na ziemię, powalony uderzeniem trzonka nahajki.

–A znaj moją łaskawość – zaśmiał się Tymoszko. Uderzył skulonego mężczyznę batogiem. – Jeszcze ci ją okażę. I jeszcze.

Bił nieszczęśnika, powtarzając to „jeszcze”, aż wreszcie zasapał się, spojrzął na towarzyszy.

–Wsadzić go na wóz i niech jedzie w swoją stronę. Jeśli da radę.

Z pełnym zadowolenia uśmiechem patrzył, jak żołnierze umieszczają na koźle zakrwawionego chłopca, wciskają mu do ręki bat i dają po karku na pożegnanie. Oszołomiony bólem i strachem muzyk próbował cmoknąć na konie, ale z ust poleciała mu tylko krew i wypłynął wybity ząb. Kozacy ze śmiechem mijali wóz, udzielając pobitemu porad, któredy ma jechać. A on kłaniał im się z wdzięcznością, próbując zawrócić wozem w ciasnej uliczce.

Tymoszko dopiero teraz spojrzął na żołnierza, który trzymał krótko przy pysku jego wierzchowca. Kopyto zwierzęcia było czerwone od krwi.

–Nic mu nie będzie – powiedział uspokajająco Kozak, głaszcząc po chrapach przestraszonego konia. – Tylko się rozciął na kamieniu. Zaraz ugnieciemy chleba z pajęczyną i opatrzymy ranę.

Twarz Tymoszki najpierw poczerwieniała, a potem pobladła z gniewu, oczy uczyniły się straszne.

–Mój Baltazar! – wychrypiał.

–Nic mu nie będzie – powtórzył żołnierz.

Tymoszko nie słuchał. Podskoczył do najbliższego zbrojnego, wyrwał z rzemiennej pętli przy siodle czekan. Zanim ktokolwiek zdążył się ruszyć, nieszczęsny chłop spadł z wozu z rozbitą głową. Zasłonił się jeszcze rozpaczliwym gestem, błagając o litość, ale młody Chmielnicki nie zważał na nic. Czekan opadł z całą siłą, rozległ się trzask kruszonej kości, krótki krzyk, a potem wszystko ucichło. Z rozłupanej czaszki woźnicy sączyła się na ugnojone kamienie krew pomieszana z mózgiem. Tymoszko machnięciem ręki kazał podążać ludziom za sobą. Szedł, kulejąc jeszcze lekko, ale z każdym krokiem coraz mniej. Minęli dwa domy, przy bramie trzeciej kamienicy, okazalszej od innych, Tymoszko zatrzymał się, załomotał kołatką.

–Prowadź! – warknął do odźwiernego. – Moim strawy uwarzyć, końmi się zająć.

Brama rozwarła się na oścież. Młody Chmielnicki wszedł do środka, skręcił do sieni, wszedł na piętro po skrzypiących schodach. Bez pukania otworzył drzwi.

–Witaj, synu – powiedział hetman, odchodząc od okna.

–Witaj, batko – zaśmiał się Tymoszko. Zwrócił się do atamana koszowego, siedzącego pod ścianą. – I was witam, Janie. Na skrzydłach tutaj leciałem.

–Na skrzydłach leciałeś, a pieszo doszedłeś – rzekł zgryźliwym tonem Bohdan Chmielnicki. – Siadaj. Już mi doniesiono, co uczyniłeś.

–Już? – zdumiał się młody, zajmując miejsce przy stole, w pobliżu dzbana i kielichów. – Prędkich masz donosicieli. Toż dopiero przed chwilą...

–Co zrobiłeś przed chwilą, nawet słuchać nie chcę! Jeszcze się zdążę dowiedzieć i świecić pewnie przyjdzie za ciebie oczami, jak zwykle. Idzie mi o tego nieszczęsnego Hryńkę Szpaka, którego kazałeś na pal wbić!

–Sam wszak mówiłeś, że się z Melechem sprzągnę.

–Mówiłem czy nie, nie twoja rzecz esaułów na gardle karać! Musiałem później udawać, że rozkaz mój był i nie mój zarazem. Ale dość o tym – uciął rodzący się już protest syna. – Stało się, niczego nie cofniemy. Mów najpierw, co z agą Karahudem uzgodniłeś.

–Oj, nie był rad temu, com rzekł. Coś to tatarskie nasienie za bardzo Wilkozaków kocha. Wszak przepuścili nawet z Besarabii emisariuszy do tutejszych siczy.

–Nie Wilków oni kochają, ale Moskwy się boją – odezwał się Jan. – Nie w smak im przymierze Kozaczyzny z Rosją.

–Ano nie w smak – przytaknął hetman.

–Odstąpić nas gotowi – stwierdził ataman koszowy.

Chmielnicki spojrzał pytająco na syna. Ten zaśmiał się i pokręcił głową.

–Zaś tam zaraz odstąpią. Szanować będą bardziej, jeśli im zawiesimy nad bisurmańskimi łbami groźbę paktów z carem.

–Będą albo nie będą – odparł Tetera. – Zrażać sobie chana nie wolno.

Tymoszko spojrzał pytająco na ojca, a ten lekko przymknął oczy na znak, by się syn nie wtrącał.

–Islam Gerej liczy na to, że mu Kamieniec i inne twierdze oddamy – oświadczył. – Krzywić się też może, że watahy wilcze chcemy wygnieść, ale nic więcej niż owo krzywienie nie uczyni. Zaś nam ninie car potrzebny i spokój od wschodniej strony.

–Byście tron wołoski objąć mogli – rzekł gorzko Jan.

Chmielnicki uśmiechnął się drapieźnie.

–Od przybytku głowa nie rozboli, przyjacielu.

–Ale od nagłego uderzenia może. A ty zanadto prowokujesz Tatara. Jeśli pójdziemy na układy z Moskwą, będziemy mieli przeciwko sobie i ordę, i Rzeczpospolitą.

–Słyszysz, synu? – Chmielnicki popatrzył na syna. – Tak brzmi głos rozsądku. Mój druh serdeczny, ataman koszowy, cnotę kardynalną, którą zwą *prudentia* nagle wyznawać zaczął. A przy tym i *temperantia* jest na rzeczy, albowiem wstrzeźliwość nam pan Jan Tetera zaleca. A co byś powiedział, miły atamanie koszowy, na sentencję łacińską, która brzmi *nemo malus felix, minime corruptor?*.

–Wiesz doskonale, Bohdanie, żem prosty Kozak i pojęcia nie mam o tych szlacheckich fanaberiach z obcymi mowami.

–A szkoda, wielka szkoda. Bo w łacinie wiele mądrości się mieści. To zaś, co powiedziałem, znaczy, że nie masz szczęśliwych złoczyńców, a w szczególności uwodzicieli. Powiedzeniu temu brakuje tylko jednego, mianowicie drugiej części, że i uwiedzeni zazwyczaj szczęścia nie mają.

Jan nastroszył się, popatrzył czujnie na przyjaciela.

–Po co mi mówisz to wszystko?

–I więcej powiem – zaśmiał się hetman zaporoski. – Jest też łacińska sentencja *id age, ut libenter tecum esse possis*, co znaczy „tak czyń, abys mógł sam ze sobą przestawać”. Jak dla mnie, tyczy się ona osobliwie zdrajców i wszelkiej maści przeniwierców.

Tetera zerwał się, lecz zaraz usiadł z powrotem, gdy przy szyi błysnął mu nóż. Tymoszko oparł ostrze na grdyce atamana, spojrział pytająco na ojca.

–Ciąć, batko?

–Czekaj! – warknął Chmielnicki. – Szczeniak jeszcze z ciebie, synku. Zarznąć gadzinę zawsze zdążysz.

–To gwałt! – zawołał Jan, wstając, nie zważając przy tym, że ostrze kaleczy mu skórę. – Żądam zwołania koła albo i rady całej!

–Milcz – rzekł hetman zimno i tak spokojnie, że ataman struchlał. – Miałem pozawczorajszej nocy przyjemność pogawędzić z pułkownikiem kozackim, panem Piotrem Melechem. Zaś on uprzejmie powiadomił mnie o twojej zdradzie.

Jan zacisnął pięści.

–Dostaw go zaraz, aby powtórzył mi to kłamstwo prosto w oczy!

–Powtórzy, powtórzy – pokiwał głową Chmielnicki. – Jeno nie teraz. Na tamtym świecie sobie pogwarzycie, kto kogo okłamał, oczernił i z jakiej przyczyny.

–Zabiłeś go, zbrodniarzu?

–Zbrodniarzu?! – Hetman zrzucił pozory spokoju. – Zbrodniarzu?! Mnie *crimen* chcesz zarzucić? Ty, za sprawą którego Wilkozacy o mało nie dowiedzieli się, co na nich szykujemy? Tak bardzo boli cię, żem osiągnął zaszczyty, o jakich możesz tylko marzyć?

Ataman oklapł. Usiadł, odsunął zdecydowanym ruchem grożący mu sztylet, otarł krew z grdyki.

–Nie ja chcę sprzedać Ukrainę – powiedział cicho. – Nie z mojej to protekcji bojarzynie więcej mają u nas ostatnio do gadania niżli wszelkie rady i sejmiki.

–Lękasz się, że na przymierzu z carem w siły zbyt urosną?

–Głupcze! Nie ty w siłę masz rosnać, lecz Moskale! Co za przymierze mocarza ze słabeuszem? Już chan rządził tutaj, jak chciał, a gdzie mu się równać z carem!

–Za chanem sułtan stoi – zauważył Tymoszko.

–Raz stoi, raz nie – wzruszył ramieniem Tetera. – Gadasz, jakbyś się wczoraj urodził. Chcecie wyrugować Wilkozaków? Dobrze, do tego nic nie mam, jeno to będzie ninie znak poddaństwa.

Chmielnicki podniósł się ciężko, oparł rękami o blat stołu.

–Serce dla tej ziemi z piersi wyrywam. Co tylko czynię, nieodmiennie dla jej jeno dobra. A ty mi będziesz mówił, co mam robić? Ty, który zdradziłeś najlepszego przyjaciela? Nie, panie Janie, nie zamierzam cię słuchać. Chcę tylko znać imiona twoich kompanionów w zdradzie.

–Nie mam nijakich kompanionów. Co robiłem, na własny mój rachunek szło.

–I nie żal ci nieszczęsnego Hryńki Szpaka, którego za twoją sprawą na palu skończył?

–Krew jego na ciebie i na twoje syny – mruknął ataman. – A o mnie już koło kozackie się upomni. Nie jesteś samowładnym książątkiem, musisz się liczyć z głosem rady.

Chmielnicki odchylił głowę do tyłu, zaczął się śmiać na całe gardło. I Jan, i Tymoszko patrzyli na niego zaskoczeni. Wreszcie hetman uspokoił się, otarł łzę z

kącika oka.

–Kto się niby upomni? O jakim głosie mówisz? – spytał, podchodząc bliżej do człowieka, którego jeszcze niedawno nazywał przyjacielem. – O ciemnych atamanach, o pułkownikach, o delegatach czerni? Ależ udzielę im głosu. Będą mogli zgodnym chórem potępić twoje zbrodnie, twoją wielką zdradę. I wszyscy, co po cichu ci sprzyjali, nie odważą się podnieść łbów, które im przygnę do ziemi. Może nawet wybaczę im przemieszanie, bom wspaniałomyślny. Ale uczynię tak, by do końca swoich dni sto razy szli po rozum do głowy, zanim odważą się myślał choćby samą wybiegnąć na przekór któremuś z Chmielnickich. Chmielnickich herbu Habdank z krzyżykiem!

–Herbu – prychnął Tetera. Widać po nim było, że zrobiło mu się wszystko jedno. – Chłop jesteś, Kozak prosty, jako i my wszyscy! Żeś liznął pisanie i czytania, żeś z łaciny co tam wydukał, w tym żeś może lepszy. Ale i to, pewien jestem, żeś pół nocy spędził, by te sentencje, co mnie nimi raczysz, gdzieś po księgach wyszperać i wbić sobie w głowę. Łacina szlachcica nie czyni, Bohdanie. Do herbu ci równie daleko jako do tego miesiąca na niebie!

–Może. – Hetman znów stał się spokojny, wrócił do stołu. Tymoszko, stojący z ostrzem w opuszczonej dłoni i gotów w każdej chwili przebić pierś Jana, wodził oczami od ojca do atamana koszowego. – Może i uzurpuję sobie prawo do znaku Awdańców bez większych podstaw. I mnie może jeszcze to taki gad jak ty wypomnieć, lecz memu Tymoszce, gdy go posadzę na tronie Lupula, nikt nie śmie słowa rzec. A kimże byli dawniej ci wszyscy polscy i ruscy szlachcice jak nie chłopami, kmieciami? Od Sarmatów chcą się wywodzić, od Rzymian co poniekąd. Jednakowoż kim byli owi Sarmaci? Nikim lepszym od cuchnących Tatarzynów. A skąd się wzięli patrycjusze rzymscy? W gnoju się paprali, nim ich do urzędów głosem ludu wyniesiono. Czescy króle na kamiennym tronie zasiadali pono, radło zwykłe w rękę brali przy koronacjach, nie złote berło, właśnie by o tym, skąd przyszli, pamiętać. I mnie pospółstwo wywyższyło, we mnie zobaczyło potęgę równą największym władcom tej ziemi. I nikomu nie pozwolę tego zmarnować, Janie. Nawet tobie.

Tymoszko poruszył się niespokojnie.

–Co z nim zrobimy, batko? Może zarznąć po cichu i rzucić ścierwo gdzie w stepie? Nawet jeśli go kto znajdzie, pomyśli, że zbójce napadli naszego atamana koszowego.

–Na razie jeszcze nie wiem, co uczynić ze zdrajcą. – Hetman uspokoił syna gestem. – Natomiast jakoś jestem dziwnie pewien, że nasz druh serdeczny może wiedzieć, gdzie też się ukrywa chorąży Serhij Kostenko. Mylę się?

–Oczywiście, że się mylisz! – odparł z mocą Jan.

Chmielnicki niespiesznie nalał wina do kubka, równie niespiesznie wychylił zawartość małymi łykami.

–Widzisz, nie mogłem wydobyć od Melecha niczego, co tyczy się chorążego. A to oznacza, że nie wiedział, bo zdradził mi niepomiernie większe tajemnice niż ta. Ale wiem też, żeś gadał długo z Hryńką Szpakiem. Gdyby nie nagłość tego otroka – wskazał palcem Tymoszkę – i setnika bym jeszcze wypytał co i jak. Pomsty ci się zachciało za przyjaciela, psie ściervo! – wrzasnął nagle na syna, a tamten wzdrygnął się. – Nieważne już. Mam za to ciebie – zwrócił się znowu do atamana. – A ty już opowiesz resztę.

–Co ci o jednego nieszczęsnego Kozaka? – spytał Jan.

–A zatem nie przeczysz, żeś o nim z Hryńką gadał?

–Gadać gadałem, alem o miejsce jego pobytu się nie dowiadywał. Zresztą on nawet nie mógł mieć o tym pojęcia.

–To jeszcze zobaczymy. A chcesz wiedzieć, co mi o niego? Pomsty chcę dokonać i tyła. Nie będzie byle chorążyna lekceważył rozkazów hetmana! I ludzie muszą zobaczyć, że nie ma przeniewierstwa bez kary!

Ataman pokręcił głową z niedowierzaniem.

–Zawsześ był mściwy i zawzięty – rzekł cicho. – Ale wraz z latami i dostojeństwami coraz większą w sobie budzisz bestię.

–Bestii mi nie wypominaj ty, który chciałeś prawdziwe potwory przestrzec, co im się święci!

–Nie żal ci Kostenki? – Tetera zdawał się nie zwracać uwagi na słowa hetmana. – Wilcy się na niego wpierv uwzięli za twoją przyczyną, bo rozkaz wbrew sercu wykonał, a teraz i ty?

–Jedną Kozak ma duszę – powiedział ze śmiechem Tymoszko – jeno wrogów na pęczki, co mu ją pragną wydrzeć. Taki już los mołojca.

Serhij obudził się późno, koło południa. Czuwali na zmianę kolejną noc, lecz nic się nie działo. Zajrzał do kołyski. Pusta. Pewnie babka wzięła małą do pracy w skromnym warzywniaku albo po krowę do lasu. Wbrew temu, co mówiła znachorka, matka uratowanej dziewczyny nie zapomniała o odwdzięce. Pewnego dnia przyprowadziła właśnie tę krowinę – niedużą i chuderławą, ale mleczną. To była przyjemna odmiana po monotonii koziego udoju.

Rzeczywiście, gdy chorąży stanął na progu, stara wyszła z obórki z Halszką zawiniętą w chustę i umocowaną między wyschłymi piersiami.

–Patrzaj, tatko twój.

Ale dziewczynka nie spojrzała w stronę domu. Jej uwagę przykuł kos, siedzący na niskim daszku i wygwizdujący trele. Parasza postawiła skopek z mlekiem na ławeczce przy studni, otarła pot z czoła. Cieszyła się z krasuli, ale nie okazywała tego.

–Pewnie nie mogli jej wykarmić na swoim – odburknęła, kiedy Serhij wychwalał hojność gospodyni.

–E tam, nie mogli wykarmić – zaoponował ze śmiechem, żeby podrażnić starą. – Co tam krowa potrzebuje, trawy trochę i tyle.

Machnęła na niego ręką. Przechera był, o tym się już przekonała. Cieszyła się w duchu, że gdy go tamci trzej przywiedli, nieprzytomny był, bo gdyby jego chciała omamić, pewnie by ją nahajem oćwiczył, a może i za koniem powłókł, a tego mogłaby nie przetrzymać. Przypominał jej też pewnego Kozaka, który zajeżdżał do niej lata temu. Liczyła wówczas lat przeszło czterdzieści, ale urodna wciąż była, niejeden chętnie by strach przed czarami przemógł, by się niewiastą nacieszyć. Jednak ona żadnego nie chciała. Zaś tamten zjawił się pewnego dnia. Rady chciał, jak dziewczkę usidlić. Na wprawne oko znachorki usidlać dekoktami żadnej nie musiał, bo jucha urodny był, a cerę miał jak krew z mlekiem. Prędko przekonała się, że z tą poradą tylko w oczy piasek suł. Nawet wieczora nie doczekał, by wziąć Paraszę w objęcia. Najpierw uległa, ale potem przestraszyła się. Groziła klątwą, wrywała się, lecz okazał się nieubłagany. A ona naprawdę nie chciała... Gwałtem ją posiadł, a potem odjechał. Siadła więcnocką przy ogniu, zioła przygotowała i sagan z wrzątkiem, by uroki na krzywdziciela odczyniać. I już wrzuciła do kociołka bagno, już zaprawiła wywar szałwią, już zaczęła mamrotać zaklęcie, kiedy nagle ogarnęła ją tęsknota do tych mocarnych ramion, do zapachu mężczyzny, do jego gorących warg. Wylała wodę na palenisko, a potem spędziła bezsenną noc, miotając się między tęsknotą a nienawiścią. Zasnęła dopiero nad ranem. Gdy się zbudziła, pierwszą myślą było, że go więcej nie zobaczy. Był od niej młodszy, pewnie nawet dziesiątek lat. Dla starzejącej się kobiety umykały ostatnie widoki na miłość, której niewiele w życiu zaznała.

Kiedy wyszła na ganek, zmartwiła. Stał na środku podwórza, tam gdzie potem kazała wykopać studnię, gdy stara, znajdująca się za domem wyszła. W dłoni trzymał pęk marnych o tej porze polnych kwiatów, na piękną twarz przywołał wyraz skruchy. Czekał bez ruchu, co zrobi Parasza. Był gotów odejść w każdej chwili, jeśli mu tak każe, czuła to całą sobą. I nie wiedziała zupełnie, co robić. W każdym razie następną noc spędzili razem i nie musiał już używać siły, aby ją osiąść. Potem

przychodził i odchodził. Czasem nie było go miesiąc, czasem i pół roku, ale w końcu zjawiał się, a już koniecznie zimą. Do czasu jednak. Minęło kilka lat, znachorka zdążyła przywiązać się do kochanka, lecz nadszedł czas, gdy znów została sama. Czekala cierpliwie od wiosny aż do pierwszych śniegów, a potem z drżącym sercem zapytała leśnego źródła, czy mężczyzna wróci. Odpowiedź była jasna i okrutna. Takiej się też spodziewała... Spodziewała się jej od chwili, kiedy studnia wyschła z niewiadomej przyczyny...

Otrząsnęła się ze wspomnień. Tak, chorąży przypominał Fedora. Ale teraz była już za stara, by to nawet wspominać, nie do miłości jej, a do modłów przy kominie.

Kos niestrudzenie śpiewał ku radości Halszki. Patrzyła na ptaszka i wyciągała ku niemu rączkę, którą zdołała uwolnić z chusty.

–Pomogę, babko. – Serhij nie wiadomo kiedy znalazł się przy znachorce, chwycił skopek.

–Zostaw, sokole – powiedziała, odbierając mu naczynie. – Nie ma co się przesilać.

Halszka dostrzegła wreszcie ojca, uśmiechnęła się promiennie.

–Myślisz, babko, że wciąż musimy czuwać? – spytał Serhij. – Jak powiadają, sen mara, Bóg wiara. Nie ma co się trapić nie wiadomo czym.

–Słońce świeci, sokole, a wtedy wszystko inaczej wygląda, zdaje się prostsze. Lecz kiedy przyjdzie noc, zaraz świat staje się wrogi, traci kolory, a pozostaje tylko szarość i czerń. Nie przypadkiem śniło nam się to samo.

–Nie to samo. – Pokręcił głową. – Mnie jakaś karetka czarna się przywidziała, a tobie pies o gorejących oczach.

–Zło nam się przyśniło, Serhiju. Czyste zło, nieskalane promieniem światłości. Obojgu w jednej chwili. Uwierz doświadczonej niewieście, takie rzeczy nie dzieją się bez przyczyny.

Chorąży nie odpowiedział. Wiedział w głębi ducha, że Parasza ma słuszość, ale nie chciał, aby tak było. Ujął rączkę córeczki, pocałował ją.

–Dobrze mieć się o kogo martwić – zauważyła znachorka.

–Dobrze – przytaknął i posmutniał. – A biedna Marika nie miała nawet tego.

–Już ją uśmierciłeś – mruknęła stara.

–A żyje? Między Wilkami, co chciały pomsty na mnie dokonać? Rozszarpały ją tam

pewnie, samotną i pogrążoną w rozpacz. Widziałem jej oczy, babko. Tak nie patrzy ktoś, kto chce żyć. Tak nie patrzy człowiek...

–Pewnie nawet lepiej, jeśli ją Wilcy zabili. Ale kto ich tam wie, sokole, kto zrozumie ich prawo?

–Wilcze prawo – szepnął.

–Tak, wilcze prawo.

Serhij westchnął ciężko, spojrzął w niebo zasnuwane chmurami. Było ciepło, ale duszno, jakby po południu miała nadciągnąć burza.

–Ech, babko, zamieszkałbym tu z tobą, może jaką babę ze wsi pojął, żeby mała miała opiekę. Dobrze by nam było.

Parasza pogładziła Halszkę po główce. Dziewczynka ziewnęła, szeroko otwierając usteczka.

–Czas podrzemać trochę, maleńka, prawda? – powiedziała miękko znachorka. – A ty, synku, możesz tu siedzieć, ile chcesz, zamieszkać nawet na zawsze. Ale baby nie bierz tylko po to, by się dzieckiem zajęła. Nie masz to jak własna matka. Z macochą nigdy nie wiadomo. A kto wie, może jeszcze kogoś pokochasz, wtedy inaczej się życie układa.

–Gdzie mi tam do kochania. – Wzruszył ramionami. – Wypaliło się we mnie wszystko. Tylko to dzieciątko mi zostało po dawnym życiu i tylko tyle serca w piersi, co dla niego.

–Tego nigdy nie wiesz na pewno – pokręciła głową wróżyca. – Możesz się kiedyś zadziwić samym sobą i tym, co urodzi się w sercu.

Serhij nie zamierzał dochodzić się z Paraszą. Wiedział doskonale, co czuł i jak go to bolało. Pustkę w piersi zastąpić mogła tylko kula albo ostrze szabli. Gdyby nie córka, może już by nawet skończył ze sobą. Ale niech stara myśli, że jest inaczej, skoro tak woli.

Oddział jazdy stał w gotowości, czekając na rozkazy. Koroman patrzył z przyjemnością na zwartą formację. Stali Kozacy strzemię w strzemię, w dwóch długich rzędach, między którymi można było swobodnie przejechać, czyniąc przegląd. Każdy z mołojców nosił bury, pikowany kaftan, ten i ów narzucił nań kolczugę, inni poprzypinali naramienniki i karwasze, co tam który miał. Gdyby to było koronne wojsko, taka rozmaitość pewnie by raziała, ale w pełnym fantazji oddziale

wydawała się najzupełniej naturalna. Co poniektórzy mieli przytroczone do siodeł kałkany, nierzadko pięknej roboty, wykańczane jedwabną nicią i złożonymi guzami. Szable, pistolety oraz lufy muszkietów, janczarek czy myśliwskich gwintówek lśniły, wbrew kozackim obyczajom. Mołojcy bardzo dbali o samopały, utrzymywali je w nienagannej czystości, ale podczas wypraw celowo czynili wszystko, by stał pokrywała się rdzą. Wtedy trudniej je było zauważyć. Tym razem jednak pułkownik kazał iść w bój jak na paradę. Mieli walczyć nie z ukrycia, lecz zupełnie jawnie, chciał, by podkomendni prezentowali się jak najlepiej. To powinno zrobić na Wilkozakach wrażenie.

Demen spojrzął na północ. Mieli do przebycia jeszcze tylko las, a za nim w szczerym stepie czekała sicz Wilkozaków, warownia wielkości dużej stancy, której daleko rozmiarami do sławnej Siczy Zaporoskiej, w której na umocnionych sztuką wojenną wyspach mogło przebywać wiele tysięcy Kozaków. Jednak, tak jak w przypadku siedziby Zaporozców, nikt jeszcze nie zdołał zdobyć takiego miejsca. Okrzyczane zwycięstwo Serhija Kostenki w Żelaznych Chutorach, z którego Chmielnicki starał się uczynić wiktoryę równą Korsuniowi lub Żółtym Wodom, niewiele przekonało, że Wilki można pokonać. Sam chorąży nie ukrywał, że stracił wielu ludzi w starciu z kobietami i wyrostkami. Nie było tam ani jednego przemienca w pełni sił, na dobitkę Kozacy zaskoczyli Żelazne Chutory w czasie, gdy bestie nie mogły się oblekać w wilczą skórę.

Tym razem miało być inaczej. Chmiel postanowił udowodnić, że da się pozarzynąć Wilkozaków nawet w czasie najbardziej niebezpiecznym. Koroman miał tylko nadzieję, że mamroczący bez przerwy mnisi na coś się przydadzą. Jeśli nie, całe wojsko czeka zagłada.

Do pułkownika podjechał Jacko Gorosz, setnik jazdy. Miał nachmurzone oblicze, spoglądał na dowódcę spod byka. Nic dziwnego. Tego ranka Koroman kazał powiesić druha Jacka, dziesiątnika Sidora. Za niesubordynację go skazał. Za to, że najpierw zamarudził z ludźmi pod Korzyniem, a potem doprowadził ich do zguby przez własną głupotę. W dodatku nie widział nic złego w tym, że zaczepił dwóch wędrowców. Więcej, poczytywał sobie za chlubę, że udało mu się dokonać ich demaskacji jako Wilkozaków. Zdawał się liczyć nie na połajankę i karę, ale wręcz na nagrodę. Dla Koromana jednak wiadomość o zaledwie dwóch przemiencach niewiele znaczyła. Może byli to zwiadowcy wysłani z Siczy Hylewskiej, a może w ogóle przypadkowi Wilkozacy. Niemniej na wszelki wypadek kazał strażę wystawić, a niekarnego dziesiątnika wziąć na powrót. W zwyczajnym czasie, w pochodzie, nie karałby z pewnością śmiercią za takie przewinienie, ale na krótki czas przed bitwą musiał zaprowadzić żelazną dyscyplinę. Większość Kozaków odniosła się obojętnie do śmierci Sidora. Piechocie było wszystko jedno, a wśród swoich nie był zbyt lubiany, tym bardziej że blisko przyjaźnił się z setnikiem, dostawał więc najłatwiejsze zadania, a jeśli już go Gorosz wysyłał w patrol, to najchętniej tam, gdzie można było się najeść i napić, nie ryzykując walki, tak jak ostatnio. Niemniej pewnie by i się

wszczął tumult, bo ten i ów, jak to u Kozaków, jęzora nie zamierzał pilnować, ale wtedy wkroczył Iłja Zajęc z dwoma kompanami. Najgłośniej pyszczący Zulek Moszczenko dostał w twarz od Zajęca tak, że spadł z konia i ze dwa kozły wywinął, a kiedy Semen z Liwką dobyli szabel, cisza zapadła jakby makiem siał. Po pierwsze, niewielu znalazłoby się takich, co by się ważyli stanąć do walki ze sławnymi mołojcami, na dobitkę jeśli z trzema naraz była sprawa. A po drugie, chętnych do wrzasków w kozackich wojskach zawsze znalazło się multum, jednakowoż wielu czyniło to tylko niejako dla towarzystwa, bez przekonania. Toteż zaraz rozeszli się niedoszli rokoszanie, a Sidor tym prędzej powędrował na gałąź. Zaś żeby nie krzyczał i do buntu nie nawoływał, Poroh wepchnął mu do gęby sporą szmatę zwiniętą w kulę.

Za szeregami jazdy stanęła rzesza piechoty. W tej pstrokacizna panowała jeszcze większa niż pośród jeźdźców. Przeszywanice, wzmocnione skórą i blachami, przeplatały się z białymi koszulami lub nawet nagimi torsami takich, co gardzili zasłanianiem ciała, żywiąc przekonanie, jakoby żołnierska biegłość najlepszą stanowiła ochronę. Złudne to było przekonanie, o czym doskonale wiedział Koroman, ale gorącym głowom próżno by tłumaczyć, że skoro udało się wyjść bez większego szwanku z jednej czy dwóch bitew, kolejna może się skończyć o wiele gorzej. Niemniej doskonale to było wojsko, straszne zarówno dla wrogiej piechoty, jak i kawalerii. Bodaj tylko pieszym Kozakom jak do tej pory udało się powstrzymać szarżę husarii i wybić ją prawie do nogi. Wielu tu było takich, którzy brali udział w pamiętnej bitwie.

–Zaraz wyruszymy na bój śmiertelny z odwiecznym wrogiem – powiedział pułkownik głosem donośnym, nawykłym do komend, zdolnym do przebijania się przez bitewny zgiełk. – Kogo strach oblatuje, kto nie chce walczyć z przemieńcami obrzydłymi, ten niechaj w tej minucie z szeregów wystąpi i idzie, gdzie go poniosą oczy. Lecz niech też nie myśli, jakoby tchórzostwo takie nagrodzone być miało. Osławą wieczną się taki żołnierz okryje i niechaj już nikt nie waży się go nazywać mołojcem. Ja ninie odstępców karać na gardle nie będę. Idźcie precz, bo potem za każde tchórzostwo, za każdy krok w tył nagroda jedna będzie: kula w łeb, gałąź lubo nawet pał!

W szeregach panowała głucha cisza, Koroman odwrócił się, by chętni do odejścia nie musieli kulić się pod jego spojrzeniem. Nikt się nie ruszył. Pułkownik znów spojrzał na wojsko.

–Jesteście zapewne zdumieni, że pułkownik kozacki daje taki wybór wojsku! Gdybyśmy szli na zwyczajnego wroga, choćby na sto tysięcy Koroniarzy i Litwinów, choćby na całe wojsko chana, nawet by mi przez myśl nie przeszło dawać wam wybór. Ale wszyscy wiecie, że jestem sprawiedliwy, choć surowy! Dlatego jeszcze raz powtarzam, kto chce odejść, droga wolna!

Demen powtórnie zwrócił się twarzą w stronę lasu. I znowu nikt nie ubył z szeregów. Byli tacy, którzy przestępowali z nogi na nogę, spoglądali niepewnie na

towarzyszy, ale nie odważyli się odejść, narazić na osławę. A Koroman przemówił:

–Po raz trzeci i ostatni mówię, komu nie w smak wspólny nasz los, może odejść. Potem odwrotu nie będzie!

Tym razem pojedynczy żołnierze zaczęli odpywać niczym marne krople wody z przepelnionego odrobinę wiadra. Szli, odprowadzani najpierw milczeniem, a potem pojedynczymi okrzykami, które po niedługim czasie zamieniły się w urągliwy gwar. Zaraz za oddziałami dezertery połączyli się we wspólny strumyk, ale widać było, że każdy idzie osobno, wstydząc się nie tylko tych, których porzucili w potrzebie, ale także siebie nawzajem.

–A zatem wszystko jasne! – zawołał Koroman. – Przyszedł czas, aby wyjawić tym, co pozostali, w jaki sposób pokonamy wilkozackie watahy! Z pomocą przyszli nam mnisi przysłani przez samego cara, Jego Wysokość Aleksego! Mają oni swoje sposoby, którymi zniszczyli wiele siczy, a całą plagę wygnali bądź gdzieś na daleką północ, bądź w bezkresne równiny za wielkimi rzekami! Dzięki ojcom, miast walczyć z krwiożerczymi bestiami o nadludzkiej sile, zetrzemy się z wojakami, zapewne biegłymi i silnymi, ale śmiertelnymi, jako i my!

Początkowe niedowierzanie przekształcało się w żywiołową radość. Kozacy podejrzewali, że rozmodleni duchowni podróżujący wraz z nimi mają coś do rzeczy, ale przypuszczali, że chodzi tylko o wsparcie duchowe, a właściwą pomocą jest otaczający mnichów oddział żołnierzy.

Koroman z zadowoleniem, ale i troską patrzył na rozradowanych żołnierzy. Wciąż żywił wątpliwości, czy mnisi rzeczywiście potrafią poradzić sobie z przemieńcami. Ale o tym miał się przekonać już niebawem. Kiedy zaczęła się walka, wszystkie obawy odejdą precz. Wyjął zza pasa piernacz i machnął nim, dając znak do wymarszu. Wojsko ruszyło, rozciągając się w długą kolumnę. Do przodu, w boki i na tyły pomknęły konne patrole, znacznie silniejsze niż do tej pory. Prawie cała jazda rozjechała się po okolicy, zostawiając w awangardzie zaledwie pięćdziesiąt koni.

–Będą tu przed wieczorem – zameldował Gurda. Od kiedy wrócił i Hrehory pozwolił mu zostać, trzymał się blisko atamana. – Nasi postrzegacze już ściągają ze wszystkich stron. – Zamilkł na chwilę, a potem dodał: – Zdałoby się parę pułapek w lesie na nich zastawić, może jakąś zasadzkę...

–Nie po wilczemu takie wojowanie – pokręcił głową Hrehory. – Wydamy im bitwę wedle naszych prawideł.

–Z ludźmi, takimi, jakimi są, powinniśmy zacząć walczyć ich sposobami.

Ataman popatrzył uważnie na Gurdę. Kto wie, może przyszłość leży właśnie w takich jak ten Wilk? W miąłkach, pozbawionych szaleńczej odwagi, za to podstępnych osobnikach, których wstyd nazwać basiorami? Hrehorego aż mdliło na widok młodego Wilka, ale pozwalał mu się przy sobie kręcić. Pochodził z rodu Worszczych, tradycyjnie stojącego w opozycji do Makczych i Baraszch, wchodzącego w związki z tymi tylko, którzy mogli osiągnąć władzę. Czasem zdarzało im się pomylić, jak ostatnim razem, kiedy Hrehory nieoczekiwanie pokonał Semena Baraszego. Ataman wolał więc teraz mieć na oku sprytnego Gurdę. Wiedział doskonale, że nagłe przywiązanie szczeniaka nie jest objawem prawdziwego podziwu dla doświadczonego basiora, ale kalkulacją wpływowego rodu. Jeśli Hrehory poradzi sobie z zagrożeniem, umocni swoją pozycję, nie zapomni na pewno o usługach oddanych przez młodego Wilka. Zaś gdyby coś poszło źle, szczeniak doniesie o każdym potknięciu, a jego ród będzie umiał to wykorzystać. Tak, chyba Gurda miał słuszność. Nadchodzą czasy, w których wilcze prawo będzie musiało nagiąć się do nowych okoliczności. Ale jeszcze nie teraz. Dopóki żyje on i tacy jak Koszko, nie wolno na to pozwolić. Nawet jeśli ludzka fałszywość i zgnilizna zaczynają zatruwać sicze. Dawniej nikomu nie przyszłoby do głowy posługiwać się szpiegiem, aby wpływać na przeciwnika z obcej watahy, a co dopiero rodem żyjącym w jednej siczy.

–Skoro mają dotrzeć przed nocą, samce nie zdołają zapłodnić wader – westchnął ciężko ataman. – Wczoraj było za wcześnie, potem może się okazać za późno... Szkoda to niepowetowana, bo ruja następnych samców przyjdzie dopiero o równonocy wiosennej, za pół roku.

–Pokonamy ludzką tłuszczę i zdążymy odbyć gody – rzekł dziarsko Gurda.

–Jeśli uda się tej nocy lub następnej, to tak. Ale jeżeli przyjdzie toczyć bój dłużej, najlepszy czas minie i gdyby nawet jurni Wilcy zapłodnili wadery, nie wszystkie staną się brzemiennie.

–Najważniejsze, byśmy przetrwali, atamanie.

–Wiem, Gurda. Ale czuję, że czeka nas wyjątkowo ciężka walka. Wszyscy zgromadzili się już na majdanie?

–Pewnie tak. Wyjdziecie do nich? Czekają.

–Prowadź.

Podążył za młodzieńcem. Patrzył na jego szerokie ramiona, potężne nogi mocno przybijające stopy do ziemi i myślał, jaka to szkoda, że tak dobra krew jak ród Worszczych wydała takiego nijakiego Wilka. Niby wszystko w nim było jak trzeba, ale jakiś miękki był, pasujący do ludzkiego określenia „ciastach”. Szli opustoszałymi uliczkami w stronę gwaru głosów.

Starsi rodów zasiedli już pod dachem, reszta tłoczyła się dookoła. Nie, nie tłoczyła się. Stała w karnych szeregach, stado obok stada, ród obok rodu, wataha obok watahy, za basiorami wadery. Hrehory patrzył z przyjemnością na ten porządek. Rodziny mogły się między sobą wadzić, walczyć o władzę, łączyć się i dzielić w długotrwałych i krótkich sojuszach, ale w chwilach zagrożenia wszyscy wierni byli prawu, gotowi podporządkować się jednej głowie, pójść do szaleńczego ataku, jeśli padnie taki rozkaz.

Ataman stanął pośrodku, obrócił się, aby ogarnąć spojrzeniem całe zgromadzenie.

–Wilcy! – zawołał. – Oto wróg stanął u naszych bram! Oto ludzie wzięli przed się postanowienie, aby wytępić tych, którzy byli tu przed nimi, którzy wyparli z ziem tych wszystkich Sarmatów, Awarów i wszelkie inne dzikie plemiona! Pamięć naszych przodków jest dzisiaj z nami. Patrzą na nas z góry, ze stepów niebiańskich. Patrzą badawczo, w nadziei, że okażemy się ich godni! Okażemy się?

–Okażemy! – zabrzmiał krzyk.

–Widzę tu wszystkie rody i wszystkie stada. Nikt nie wyłamuje się z obowiązku, nie uszczupla szeregów. Pójdziemy na bój z zarozumiałym i przebiegłym przeciwnikiem! Przegryziemy wrogom gardła! Wypijemy krew z żył krzywdzicieli!

–Wypijemy krew! – odezwał się zgodny chór.

–Nie przysporzymy wstydu naszym przodkom! Okażemy się ich godni!

–Okażemy się godni!

Hrehory spojrzał w jasne niebo, otworzył usta i wydobył z piersi przenikliwy, zawodzący głos. Pozostali poszli za jego przykładem, całą okolicę wypełniło wycie, mrozący krew w żyłach wilczy zew. Wszystkie zwierzęta mające nory schroniły się pod ziemią, inne rzuciły się do panicznej ucieczki, ptaki w lesie ukryły się w gniazdach i dziuplach. Wojska kozackie przystanęły na trakcie pośród drzew, chłonąc przerażające echo, błędzące dookoła, spływające z gałęzi, liści, z najmniejszych igieł, wysokich sosen i niskich, gęstych jodełek. Ludzie struchleli, ale wtedy z wozu dobiegło głośniejsze mamrotanie, a właściwie nie mamrotanie już, lecz wyraźne słowa:

–*Pan moj i Bog moj, Ty spasi mienia i bratiew moich. Gospodin nasz, Bog na niebie, nie daj wozmożnosti, szto by ubili mienia kogti cudowiszcz.* – A potem słowa stały się niezrozumiałe: – *Eilah masarda, kohodei garraa. Maliah kodera, komoson warrah.*

Jednak to, że Kozacy nie byli w stanie zrozumieć modlitwy, nie przeszkadzało im. Każdy dźwięk niósł uspokojenie, zdawał się czynić z potępieńczego wycia coś mniej

groźnego od pisków przestraszonego szczenięcia.

Wojsko ruszyło z otuchą w sercach.

A Hrehory zamilkł i czekał, aż uspokoi się sicz.

–Idą ku nam ogromną siłą – rzekł, gdy zapadła cisza. – I przywitamy ich tak, jak mamy we zwyczaju witać każdego wroga. Twarzą w twarz, ostrzem na ostrze, kula na kulę. Z Kozakami Chmielnickiego jeszcześmy nie wojowali, ale skoro są aż tak głupi, by porywać się na nas w czas Okołopełni, choć nie potrafiliby dać rady nawet wówczas, gdy nie możemy się przemienić, niechaj żałują. Do broni, bracia Wilcy!

–Do broni! – rozległ się gromki okrzyk.

Hrehory stał pośrodku majdanu aż do chwili, kiedy rozeszły się ostatnie oddziały. Miał pięciuset czterdziestu pełnowartościowych wojowników-basiorów, niespełna siedemdziesięciu starców zdolnych jeszcze do walki, osiemset dwadzieścia wader, z czego dwieście obciążonych małymi dziećmi. Tak prezentowała się największa wilcza sicz naprzeciw nadchodzącej armii. Z doniesień postrzegaczy oceniał liczebność wroga na cztery i pół tysiąca pieszego luda, do tego przeszło dwie setnie konnicy i artyleria. Nie powinni dać rady Wilkom. Ale Hrehorego niepokoiło jakieś niedobre przeczucie. W tej chwili zaczął żałować, że nie próbował prowadzić walki wcześniej, nie szarpał zmierzającej ku Siczy Hylewskiej potęgi. Nawet wbrew zasadom i literze prawa, zabraniającego rozdrabniania sił przed walną rozprawą. Może słuszość ma przebiegły Worszczy, że teraz trzeba się nauczyć wojować ludzkimi sposobami? Za późno już jednak na wątpliwości. Musi uczynić, co należy. Chyba że...

–Chodźmy – rzucił do Gurdy, tknięty nagłą myślą. Ten niepokój... Nie płynął z duszy, ale bił gdzieś z zewnątrz, od strony nadchodzących oddziałów wroga. I zaczął się nagle, w chwili gdy Wilcy wydobyli z gardeł wspólny zew. Jakby od strony nadciągających wojsk napłynęła ciemna, groźna chmura, zdolna zasłonić słońce i księżyc, mogąca omotać zmysły. Dlaczego nie wyczuł tego wcześniej? Dlaczego nawet zwiadowcy, podchodzący bliżej pod obozowisko, niczego nie donieśli?

–Zwołaj na naradę starszych rodów i wszystkich kurennych. Musimy na nowo ustalić, jak poprowadzimy walkę.

–Na nowo? – zdumiał się młody Wilk. – Wszak od wieków bronimy siczy tak samo, sam rzekłeś, atamanie. Wychodzimy w pole całą siłą. Nikt jeszcze nie zdołał nas zgryźć.

–Nas nie. Ale sicze we władztwie Moskwy poszły ponoć w rozsypkę, jeśli wierzyć opowieściom. Kozacy szarpali nas rzadko, a już nigdy w siczach. Dopiero pierwszy raz w Żelaznych Chutorach i teraz. Coś za bardzo pewni są siebie. Musimy się naradzić.

Marikę ogarnął duszący niepokój. Odczuwała go już od kilku dni, ale tego ranka narastał i potężniał w piersi, jakby miał ją rozsadzić. Ogarnęło ją pragnienie powrotu do sicy tak wielkie, że ledwie mogła iść naprzód. Było bardziej bolesne niż tamto zaraz po ucieczce. Wtedy się z niego wyrwała. Ale teraz nadszedł czas Okołopełni. Być może właśnie to było przyczyną tej nieludzkiej, pełnej cierpienia tęsknoty.

Lecz podążała naprzód, wiedzona uczuciem jeszcze silniejszym. Mąciło jej się w głowie. Nadchodziła pierwsza noc przemiany... Kobieta czekała na nią z utęsknieniem. Wreszcie znów poczuje się wolna, znikną dręczące ją w ludzkiej postaci wątpliwości, zmieni się w żądnego krwi wilka...

Spojrzała w stronę słońca schodzącego z nieboskłonu. Szybciej, gorąca, oślepiająca kulo! Zniknij wreszcie za widnokrzem, niechaj twoje palące promienie nie przeszkadzają w przemianie! Po raz pierwszy w życiu Marika nienawidziła słońca, tęskniła do zmierzchu...

Na pewno pierwszy? Chyba nie. Chyba już odczuwała coś takiego. Nie, nie takiego. Przed oczami mignęła wąsata twarz młodego Kozaka – wychynęła na mgnienie oka z mętnej czeluści wspomnień. Tak, to na niego czekała niecierpliwie, przeklinając dzień i błogosławiąc noc, kiedy przychodził ukradkiem pod zagrodę ojca, a ona wymykała się, by wskoczyć za nim na koński grzbiet i popędzić w pola.

Wspomnienie znikło tak samo szybko, jak się pojawiło. I znów nie potrafiła sobie przypomnieć jego twarzy, imię rozplynęło się w mętnej mgle. Nie, nie rozplynęło się – w ogóle go nie było... Przecież nawet w chwili przeblysku pamięci Marika nie wiedziała, jak nazywała tego ogorzałego od słońca i wiatru młodzieńca.

Pobiegła w stronę niewielkiego wzniesienia. Już dawno porzuciła trakty i ścieżki wydeptane przez ludzi i zwierzęta. Pędziła przez step bez wytchnienia, sypiając po kilka ledwie godzin, z coraz większą wprawą łowiąc zające, susły, przepiórki czy cietrzewie. Raz musiała walczyć o zdobycz z wyjątkowo walecznym myszołowem. Kuropatwa uciekła, bo drapieżny ptak okazał się nazbyt zajadły, a przy tym głupi. Mięso myszołowa z kolei zupełnie nie nadawało się do jedzenia, za to dziewczyna wypila jego krew, czując wstępujące w nią nowe siły. Zupełnie jak wtedy, gdy wiedzona zabójczą oskomą, wychłęptała posokę zabitego Kozaka. W ogóle zauważyła, że krew i mięso każdego zwierzęcia smakuje inaczej i daje inny rodzaj siły. Zajac był jak ożywczy powiew, zmieszany z gorzkim posmakiem lęku przed nadciągającą burzą. Kuropatwa lub drop orzeźwiały, za to cietrzew zdawał się przytępiać zmysły. Po spożyciu cietrzewia zmorzył Marikę ciężki, pełen dziwnych zjaw sen. Potem dopiero domyśliła się, że nie powinna jeść tego ptaka, jeśli nie może go przegryźć potem innym stworzeniem, a najlepiej po prostu nań nie polować, jeśli nie trzeba. Musiała się jeszcze wiele nauczyć.

Tych, którzy za nią podążali, straciła z oczu dzień wcześniej. Skorzystała z potężnej burzy, jaka przeszła nad stepem. Kiedy tamci chronili się przed ulewą, kobieta odważnie pobiegła w stronę kęp burzanów, a potem dopadła niewielkiego lasku. Za nim, jak się okazało, płynęła niezbyt szeroka rzeczka, a przeciwległy łąg ocieniały znowu drzewa. W tym miejscu kończył się niegościnnie step, a zaczynała zamieszkała przez ludzi ziemia. Marika, nie bacząc na nic, wpadła między gęsto rosnące drzewa. Pioruny były bez przerwy, widziała, jak błyskawica trafia w wysoki dąb, biegnie po pniu ku ziemi, a kilkusetletni olbrzym z ogłuszającym trzaskiem zostaje rozszczępiony na pół. Nie zważała na niebezpieczeństwo. Nigdy przedtem nie widziała takiej burzy. Dawna Marika z pewnością kuliłaby się ze strachu w kącie izby, modląc się z całych sił o zmiłowanie, ale jako Wilczyca miała inne serce. Nie bała się, a raczej bała, ale strach nie był w stanie przeszkodzić w tym, co zamierzała uczynić. A w tej chwili najważniejsze było pozbyć się tamtych dwóch. Gdyby to byli ludzie, po prostu by ich podeszła i zabiła. Ale też gdyby to byli ludzie, nie dotrzymaliby jej kroku inaczej niż konno.

Jednak od tamtej burzy już ich nie widziała i nie wyczuwała. Za to nadciągnęła ta niemożliwa do stłumienia tęsknota za siczą, za zjednoczeniem się we wspólnocie z Wilkami.

Marika przymknęła oczy, wciągnęła głęboko w płuca pachnące jesienią powietrze, po czym ruszyła z trudem do przodu, mając wrażenie, jakby płynęła pod prąd wezbraną rzeką. Niech sobie Sicz Hylewska radzi bez niej. Ona już tam nie wróci, choćby niebo miało zwalić jej się na głowę. Lepsze to niż życie, jakie by ją tam czekało.

Wszelkie próby rozmów z dowodzącym eskortą wozu mnichów Rusinem spełzały na niczym. Koroman zagadnął go tylko raz, ale potem na prośbę Demena starał się do ponurego kapitana dragonów zbliżyć gadatliwy i umiejący sobie zjednywać ludzi Ilja Zając. Nic nie uzyskał. Carski oficer tylko łypał gniewnie i machał ręką. Wyglądało, jakby nałożono nań śluby milczenia. Że tak jednakowoż nie było, najlepiej świadczyły postoje, kiedy to rugał swoich podkomendnych słowy tak grubymi, że dziwowali się nawet doświadczeni w życiu obozowym Kozacy. Zaś Moskale zdawali się nie zwracać większej uwagi na połajanki, za które każdy mołojec rozjechałby dowódcy łeb, nie bacząc na nic. Robili swoje, wartowali przy wozie, gotowali spyżę, siedząc całkiem osobno, otoczeni kozackim wojskiem. Sarkali krewcy żołnierze Koromana na zarozumiałych Rosjan, ale ich nie tykali. Zapowiedział pułkownik, że na gardle pokara każdego, kto się waży naruszyć mir tak w marszu, jak i w obozie. A wiadomo było powszechnie, że Demen zawsze dotrzymuje słowa.

Lecz tego popołudnia kapitan sam zbliżył się do Koromana, kiedy wojska wyszły z lasu i stanęły na krótki popas. Do Siczy Hylewskiej pozostało ledwie parę godzin

marszu.

–Co powiecie, Fiodorze Michajłowiczu? – spytał dowódca Kozaków po rosyjsku.

–Wiedzą już – burknął dowódca eskorty.

–Co wiedzą? I kto, na Boga? – zdumiał się Demen.

–Wilkozacy – odparł Wołoczko. Wydawało się, że wygłosić zdanie dłuższe niż liczące trzy wyrazy jest dlań niewykonalne. – Oni wiedzą. Że idziemy nie tylko z wojskiem.

–Nie rozumiem. Pewnie, że wiedzą. Ich szpiegunowie nie mogli przeoczyć tego wspaniałego wozu, w którym modlą się ojcowie.

–Nie. – Kapitan potrząsnął głową. – To nie tak. Dopóki ojczulkowie się modlili, Wilkozacy nie wiedzieli. – Zamilkł, jakby zmęczyła go ta krótka wypowiedź. Chyba tylko kląć umiał płynnie i długo, bez znużenia. – Teraz inne modły zanoszą, bo pora, to ich muszą już czuć.

–To coś zmienia?

–Nie wiem. – Kapitan podrzucił ramieniem. – Nie wiem, jakie te wasze wilkołaki. Mądre czy głupie. Pod Moskwą sprytne siedziały na wschodzie, a już na północy głupie całkiem.

–Te nasze raczej nie są głupcami.

–To wiedzą, że coś jest nie tak. Będą ostrożni, przemienicy. – Splunął, okraszając ostatnie słowa paskudnym przekleństwem. – Lecz nic im nie pomoże. Tyle że ostrożniejsi będą. Trza mnichów ubezpieczyć bardziej. By na nich sił większych nie pchnęli.

–Dam pół setki najlepszych mołojców – obiecał Koroman.

–Daj setkę. Ojczulkowie ważniejsi niż twoje całe wojsko.

–Stu ludzi i wy razem będziecie sobie tylko przeszkadzać.

Kapitan dragonów kręcił uparcie głową.

–Setkę daj, powiadam. Już ja ich rozłożę tak, by sobie radzili. A ja z połową swoich, gdy się jeno zaczniesz, skoczemy.

–Dokąd?

–Do środka siczy. Baby i szczeniaki wyróżnąć do nogi.

Koroman skrzywił się. Nie cierpiał zabijania dzieci. Nawet wilczych.

–Tak trzeba – rzekł spokojnie Fiodor. – Wilkołaki źle się mnożą. Wyciąć im wszystkie szczeniaki, to się szybciej skończą. Do ostatniego trza wyplenić.

–Ale przecież są nieśmiertelni. I potrafią ugryzieniem wilkołactwem zarazić.

–Nieprawda – Fiodor podniósł nieco głos, ale zaraz się powstrzymał. – To znaczy może są. Ale nie przy ojculkach. A od ugryzienia nie wiem. Nie widziałem.

–A ci mnisi to kto tak naprawdę?

–Mnisi. – Rosjanin zmrużył oczy w wąskie szparki. – I nic ci do tego, panie Kozak.

Koroman bezwiednie położył dłoń na rękojeści szabli, słysząc pogardliwy ton w głosie kapitana. Tamten także sięgnął do broni.

–Uważaj – wycedził przez zęby. – Jeśli odejdziemy, wilkołaki rozwłóczą wasze flaki po polach.

–Jeśli zechcecie odejść, wpierw moi mołojcy posiekają was na drobne.

–Car się o nas upomni. I sojusz wam padnie. Kogutki czubate.

Demenowi uderzyła krew do głowy. Moskale szydzili z kozackich oseledców, to wiedzieli wszyscy, ale żaden jeszcze nie odważył się powiedzieć tego w oczy pułkownikowi. On sam nie nosił długiej kity, podgalał się wysoko, węgierską modą, ale szanował zwyczaje.

–Nie czas teraz na zwady – rzekł. – Ale gdy się to wszystko skończy, staniesz mi do walki, brudny pacholku. I to wiedz, że w rzyci mam twego batuszkę cara, co, jak powiadają, synem koniucha czy jakiegoś lokaja jest, bo Michał Fiodorowicz nie bardzo sprawiał się w łożu. Dziecków miał dziesięcioro, jeno nie wiada, które jego są. Ani czy któreś w ogóle.

Cios był celny. Kapitan ze zduszonym okrzykiem wydobył rapier. Koroman również nie zwlekał. Stanęli naprzeciwko siebie, Rosjanin ciężko dysząc z wściekłości, Demen z krzywym uśmiechem. Natychmiast otoczyli ich najbliżej stojący Kozacy, przybiegli również dragoni. W wojsku zapanowało poruszenie. Fiodor uspokoił oddech.

–Na pewno tego chcesz? – spytał drwiąco Koroman. – Co powie twój cariuszka, gdy się dowie, żeś zamiast rozkaz wykonać, w bijatykę się wdał?

–Nikt nie będzie lżył pana mego – warknął kapitan.

A potem zniecała ruszył do natarcia. Uderzył mocno na skos z góry, jakby chciał rozplatać lewy obojczyk Demena, ale ostrze zatoczyło półkole tak, by przejść nad zasłoną i ugodzić krótkim sztychem. Lecz Koromana podobną sztuczką zaskoczyć było trudno. Zamarkował krótkim ruchem szabli zasłonę, zamiast jednak odbić cios, postąpił krok naprzód, zatrzymał uzbrojoną rękę Moskala i trzymając klingę skierowaną w dół, wyrznął tamtego pałakiem osłaniającym dłoń prosto w usta. Dragon zatoczył się, na jego wargach pojawiła się krew, a Koroman, nie czekając, wytrącił mu rapier krótkim, mocnym uderzeniem.

–Wystarczy – warknął. – Dokończymy potem. Jeśli będziesz miał jeszcze odwagę!

Fiodor wypluł wybitego zęba, rękawem próbował tamować krwawienie. Wargę miał mocno rozciętą, prawie pod sam nos.

–Cyrulika zawołajcie, którego prowadzą ze sobą – rozkazał Koroman. – Niech mu to zszyje, jeno prędko. Nie mamy wiele czasu na zbyciu.

–Bładź – wybełkotał Moskał. – Ty kozacka szlucha!

–Zamknij pysk, bo zapomnę, żeś mi potrzebny – powiedział groźnie Koroman i Rosjanin zamilkł, zdając sobie sprawę, że to nie przelewki. – Powtarzam ostatni raz: wyjaśnimy sobie wszystko potem! Jasne?

Kapitan łypnął nienawistnie, ale nie odpowiedział. Dwóch podkomendnych ujęło go pod ręce, aby odprowadzić na bok, gdzie już cyrulik szykował się do opatrzenia rany.

–Wroga śmiertelnego sobie napytaliście, pułkowniku – do Koromana podszedł Ilja Zajac. – Potrzebne wam to było?

–Przed bitwą każdy musi wiedzieć, przy kim komenda. A ten zabierał się wydawać mi rozkazy.

–Nie w smak wam przyjaźń Moskali? – uśmiechnął się domyślnie Kozak.

–Nie masz z nimi przyjaźni – odparł ponuro Demen. – Zawsze patrzą swego i tylko swego. Przyjaźnić się można z równym sobie. Karzeł dla olbrzyma zawsze pozostanie tylko karłem. Ninie jesteśmy im przydatni jako wrogowie Rzeczypospolitej, na nas rozbijają się Sapiehy, Wiśniowieccy, Koniecpolscy czy Radziwiłłowie. Pewnie poprą nawet pretensje Tymoszki Chmielnickiego do wołoskiego stolca, by właśnie Radziwiłłów podrażnić, co także mają chrapkę na Lupulową córę.

Zajac kiwnął głową, wskazał brodą opatrywanego Wołoczkę.

–Trza będzie na niego uważać. Gotów nam na zdradzie stanąć, boście go jak pętaka

potraktowali.

–Jakby różnem robić umiał, nie miałby teraz wstydu.

–Tym bardziej jest zły. Gdyby w dobrej walce przegrał, inaczej by było.

Koroman skrzywił się.

–Masz słuszność. Poniosło mnie. Posłuchaj więc, Ilja. Będziesz gada pilnował z Semenem i Liwką. Przypniesz się do niego jak rzep.

–Mogę – zgodził się Zając. – Nie wiem tylko jak? Przegna mnie, jeśli ot, tak sobie się przypalętam.

Koroman bez słowa wyciął Kozaka w twarz, a potem wrzasnął:

–Won, ścierwo, jak ci się nie podoba!

Zając potrząsnął głową, a potem odkrzyknął:

–Zakazał hetman drażnić carskich! Kazał mi was przypilnować, a wy co?

–Precz mi z oczu! – zaryczał Demen. – Moja rzecz, co czynię, i nie będzie mi z gębą się pchał byle pacholek Chmiela! Wynoś się do swoich przyjaciół, jeśli oni ci bliżsi!
Won mi z wojska!

Znów rąbnął Zająca w zęby

Ilja pozbierał się z ziemi, splunął pułkownikowi pod nogi krwawą plwociną.

–O wszystkim doniosę hetmanowi – oznajmił. – Poroh, Pastuch, idziemy!

–Dokąd? – Semen zbliżył się, zaniepokojony.

–Do nich – Zając wskazał moskiewskich dragonów. – Nie porzucę sprawy tylko dlatego, że nasz dowódca ogłupiał! – A pod nosem dodał: – Mam nadzieję, że ten Moskal jest takim głupcem, na jakiego wygląda.

Rozdział 14

Wilcy ustawili się naprzeciw wojska kozackiego w zwartych szykach. Dowodzący watahami zgromadzili się przy Hrehorym. Nie udało mu się przekonać rady, że należy tym razem zamknąć się za palisadą i czekać na to, co uczynią ludzie. Zaraz poderwał się Stepan, prowadzący watahę Gryszczych i Bedruszczych w zastępstwie Micheja, i oznajmił, że jeśli tak uczynią, on za swoich Wilków ręczyć nie może, bo to rzecz bab, starców i wyrostków kryć się za murami. Mitygował go Koszko, ale na próżno. Zresztą i inni przyłączyli się do sprzeciwu. Oczywiście, ataman mógł zarządzić wszystko i wymóc posłuch, ale potrzebował wojowników walczących z pełnym przekonaniem, a poza tym padł argument, z którym trudno mu było dyskutować. Doświadczony Agłaj Bereszczy odczekał, aż ustanie wrzawa, po czym rzekł:

–Wrogowie przyprowadzili działa, bracia Wilcy. Bijaliśmy się już z Kozakami, ale zawsze w polu, zawsze były to potyczki i drobne utarczki, zawsze kula na kulę, szabla na szablę. Teraz, jako widzicie, postanowili nas zniszczyć. A kula armatnia to nie ołów muszkietu czy stal klingi, które nawet jeśli nam skórę naruszają, to rzadko czynią wielką krzywdę. Właśnie tym bardziej trza wyjść. Gdy popędzimy na nich przemienieni, żadna armata nie pomoże. Chcesz dać się rozstrzelać, atamanie? Zetrą sicz do szczętu, jeśli ukryjemy się wewnątrz.

–Chcę poznać ich zamiary. Nie czujecie, bracia, że jakaś zła moc od nich płynie? Nie dziwi was ów wielki, całkowicie zakryty wóz, którego zwiadowcy nie widzieli aż do dzisiaj? Podstęp ludzie szykują.

–Strach cię obleciał? – spytał drwiąco Stepan.

Ataman zachował spokój. Kiedy indziej odpłaci się za zniewagę.

–Moją rzeczą jest dbać o dobro siczy, szczeniaku, twoją – krew przelewać. Swoją i wrogów. Rozumiem, że rada nie chce uczynić tego, com przedstawił?

Zapytał tylko dla porządku. Wiadomo już było, co myślą. Zgodzili się tylko pozostawić starców wraz z waderami jako obsadę warowni. W każdej chwili byli oni gotowi pójść bądź to z odsieczą, bądź wzmocnić szeregi ścigające umykającego wroga.

Stanęli więc w szykach, pięciuset pięćdziesięciu naprzeciw prawie dziesięćkroć silniejszego wroga. Słońce zaszło już całkiem, na niebie nie pojawił się wprawdzie jeszcze księżyc, lecz to nie miało znaczenia. Był czas Okołopelni, więc z nadejściem zmroku Wilcy mogli ulegać przemianie.

Hrehory uniósł rękę, dając znak, by żołnierze się przygotowali. Szyki natychmiast rozluźniły się, bo to wymagało przestrzeni. Każdy wszak musiał mieć miejsce, aby

stanąć na czterech łapach, a ponadto wielu podczas oblekania się w skórę wilka musiało przetoczyć się po ziemi.

Lecz zanim opuścił dłoń, poczuł coś niepokojącego. Ogarnęła go nieznana dotąd słabość. Słabość, która sprawiła, że zrozumiał, iż nie będzie w stanie się przemienić. Napływała od strony wroga. Kozacy ustawili się w grupach, gotowi w każdej chwili rzucić się na przeciwnika. W ich dłoniach błyszcząły szable, co drugi trzymał pochodnię. Hrehory z początku na ten widok zaśmiał się tylko. Wiedział, że światło pochodni tyleż daje widoku, co i oślepia. Trzeba być szaleńcem, aby iść na Wilki z czymś takim. Ale teraz już nie było mu do śmiechu. Bowiem wraz ze słabością dotarła doń silna poświata, mocniejsza niż blask drzemiącego wciąż za widnokręgiem księżyca. Była dość mocna, by ludzie dobrze widzieli. Pochodnie mieli widać tylko od wypadku albo dla groźniejszego wyglądu.

Ataman powoli opuścił rękę. Spróbował się przemienić. Zgromadzeni wokół dowódcy, gotowi pod zwierzęcymi postaciami pognać do oddziałów, patrzyli pytająco.

–Nie mogę – wykrztusił Hrehory. – Nie mogę! A wy?

Mnisi zaczęli się modlić głośno, jeszcze zanim słońce schowało się za widnokręgiem. Koroman przysłuchiwał się nieznanym słowom wypowiedzanym w obcej mowie, gardłowej, jakby na wpół dzikiej. Miał poczucie, jakby wypływała ona nie z wozu, lecz z głębi ziemi, jakby biła niczym czarne, cuchnące źródło, jakby rosła, przelewała się, spływając ku wilczej siczy rwącą rzeką. A gdy zaczęły zapadać ciemności, ujrzał także poświatę – z początku sinoczerwoną, potem błękitniejącą, nabierającą srebrzystych poblasków, pełznącą śladem owej niewidzialnej rzeki.

Dragoni stanęli obok ugrupowań kozackich. Pięćdziesięciu konnych pod wodzą kapitana Wołoczki. Czekali, aż rozpocznie się bitwa. Pułkownik nie musiał pytać, by odgadnąć, co zamierzali. Gdy Wilkozacy zaczną walczyć z ludźmi, objadą tumult bitewny, by wdrzeć się do siczy. To dlatego tak pilnowali, by działa ciągnęły wraz z całym wojskiem. Dlatego Chmielnicki podporządkował artylerzystów Moskałom! To one były dla nich najważniejsze! Puszkarze wycelowali połowę z nich w sicz. Zaś jedynie pozostała połowa miała posiać śmierć w wilkozackich szeregach.

Pułkownik zaczął podejrzewać, że istotnie nie było najważniejszą rzeczą zniszczenie sił Wilkozaków stojących w sprawie. A w każdym razie nie było bardziej ważne niż to, co zamierzał kapitan.

Chmielnicki czegoś nie powiedział nielubianemu dowódcy. Czegoś najważniejszego.

Dwaj Wilcy podchodzili ostrożnie pod kozacki tabor. Pozostało w nim sporo wojska, gotowego przyjąć rannych towarzyszy, a w razie niepowodzenia dać zza wozów pierwszy odpór wrogowi. Tak walczyli zawsze i nie zamierzali zmieniać zwyczajów, prowadząc wojnę z Wilkozakami.

–Niech to zaraza – szepnął Michej. – Spóźniliśmy się. Teraz do siczy nie dojdziemy, nie przestrzeżemy ich. Rozpatrzę się co i jak i wrócę.

Kirył kiwnął głową, zaległ w trawie. Michej przetoczył się w tył, ulegając przemianie, ruszył naprzód, ominął wozy taborowe, kierując się ku temu, który majaczył w ciemnościach wielką czaszą, podobny bardziej namiotowi niż pojazdowi. Biła od niego poświata, ale dziwna, nieogarniająca wszystkiego dookoła, niczym lampa, jeno skierowana ku Siczy Hylewskiej. Wokół wozu łuna rozjaśniała ziemię na przeszło sto kroków, ale wydłużała się właśnie tam. Michej zmarszczył brwi, zbliżył się jeszcze bardziej. Zobaczył dookoła tajemniczego wozu strażę. Kozacy i rosyjscy dragoni stali kręgiem, pilnując modlących się mnichów. Prawdę powiedział Paweł Melech, że Chmielnicki wyjątkowo perfidny przyszykował podstęp. Że też nie udało się wcześniej Michejowi i Kiryłowi dotrzeć do siczy! Po jatce, jaką urządzili przeklętym Kozakom, musieli jeszcze kluczyć, by ominąć wojska. Tego dnia liczne oddziały kręciły się wszędzie, osaczając warownię szczelnym kordonem. Dwaj Wilcy nie mieli się jak przekraść. A poza tym, gdyby nawet pojawili się w siczy, pierwsze co, zostaliby schwytani i zamknięci. Nie wiadomo, czy ktoś chciałby z nimi rozmawiać.

Michej odetchnął głęboko. Obiecał przyjacielowi wrócić, ale tak naprawdę zamierzał sam spróbować szczęścia. Dwa Wilki czy jeden, jeśli uda się wtargnąć do namiotu, w mgnieniu oka z wołchwów nic nie zostanie. Lecz gdy znalazł się w kręgu poświaty, z miejsca ogarnął go niepokój. Za daleko jeszcze było, by skoczyć, a on poczuł słabość. Trudno, trzeba zrobić swoje. Ostrzegał więzień, że moskiewska broń przeciw Wilkozakom straszna jest. Nie ostrzegł tylko, że tam, gdzie mnisi się modlą, nie można leżeć w wilczej skórze. Michej zmienił się znów w człowieka, poczuł, jak okropna słabość odchodzi. Znów przetoczył się po trawie, lecz... Nie mógł się przemienić! Nie mógł już stanąć na czterech silnych łapach, poczuć w sercu wściekłości drapieźnika. Wciąż znajdował się w ludzkiej postaci! To było przerażające, gorsze od wszystkiego, czego w życiu doświadczył. Położył się na ziemi z mętlikiem w głowie. Na tym więc polegał podstęp! Melech ostrzegwał, że mnisi mają osłabić przemieńców, ale nie umiał powiedzieć jak. Teraz Michej mógł to odczuć na własnej skórze. Nie dość, że nie był w stanie zmienić się w wilka, to tracił w dodatku możliwość trzeźwego rozumowania. Zupełnie jakby na umysł opadła dusząca szmata. W ciele wilka myślenie szło inaczej niż w ludzkiej postaci, ulegało ograniczeniu, ale było jednocześnie jasne i proste, zabrudzone tylko niejako zwierzęcymi żądzami. Teraz Michejowi wydawało się, że nie Wilkiem jest, ale tchórzliwym susłem, przerażoną nornicą, nad którą zawisł cień polującej sowy. Czym prędzej wycofał się poza świetlistą granicę. Oddychał ciężko, z ust ciekła mu ślina. Zbawienna noc przywracała jednak siły, sprawiała, że do serca wracała otucha.

Pobiegł do miejsca, w którym zostawił Kiryła. Krótkimi, urywanymi słowami opowiedział mu, co przeżył. Drugi Wilk zaklął.

–Wybiją naszych do nogi – warknął. – Coś musimy zrobić!

–Musimy – przyznał Michej. – Nie umiem jednakowoż powiedzieć co. Najlepiej byłoby zarznąć wołchwów. Ale zanim dotrzemy do tego namiotu, Kozacy z Moskalami zarzną nas i rozniosą na szablach. Nie zdążymy dobiec nawet do połowy drogi. Chyba że...

Zastanawiał się przez chwilę. W głowie świtała pewna myśl.

–W tym kręgu nie możemy się zamienić w wilki – rzekł powoli. – A teraz?

Spróbował. Z trudem, bo z trudem, ale przemienił się w zwierzę. Łapy mu drżały, nie czuł w sobie tych samych sił co zawsze, jednak udało się. Wrócił do postaci człowieka.

–Co chcesz uczynić? – spytał Kirył.

–Musimy spróbować – odparł Michej. – Tam będzie ciężko, poczujesz, jakbyś miał zaraz paść, jakby ci niedźwiedź pierś rozrywał, ale musimy pójść! Inaczej gotowi sicz całą zniszczyć i z ziemią zrównać.

–Co chcesz uczynić? – powtórzył pytanie Kirył.

–Biegnij za mną. Ile sił i nie zatrzymuj się, choćby nie wiem co!

Kozacy czekali na rozkaz do ataku. A Koroman czekał z kolei, aż od strony namiotu przypędzi goniec i powie, że ojczulkowie zyskali największą moc. Pułkownik widział poruszenie wśród wrogów. Musieli być zdumieni, że nie mogą zamienić się w wilki. W Siczy Zaporoskiej krążyły opowieści o tym, jak walczą Wilkozacy, gdy napada się ich siedziby. Próbowali to nieraz czynić Tatarzy, Kozakom surowo zabraniano do tej pory nękania przemieńców. Ponoć było mimo to kilka wypraw przeciwko nim, ale nie wrócił z nich nikt, kto by porządnie opowiedział, jak przebiegały. Wszystko, co ludzie mieli do powiedzenia, trzeba było dzielić na cztery i jeszcze najlepiej na dwa, a z reszty wierzyć w co dziesiąte słowo. Wilkozacy byli żywą legendą i ludy Ukrainy tak do tego przywykły, że te mieszkające z dala od wilczych siedzib nie zawsze traktowały samo ich istnienie jako prawdę. Dopiero kiedy jakaś wataha napadła na odległą wioskę, ludzie na własnej skórze doświadczali okrucieństwa przemieńców. Było wprawdzie niczym w porównaniu ze spustoszeniem, jakie potrafili nieść Tatarzy, ale przerażająca obcość budziła większy strach niż krwawe obyczaje pohańców.

Zaś śmiali i bezmyślni bisurmani porywali się nawet na sicze. Zresztą Wilkozacy także woleli iść zdobywać łupy i porywać jasyr na tamtą stronę, niż zaczepiać osiedleńców na ziemiach dawniej tylko do nich należących. Koroman doskonale to rozumiał. Niewiele wiedział o wilczym prawie, tajemniczym nie mniej od wszelkich innych spraw związanych z Wilkozakami, ale miał świadomość, że dla przemieńców najważniejsze jest przetrwanie siczy i watah. Dlatego był pewien, że nawet jeśli mnisi pozbawią przeciwnika sporej części sił, Kozaków czeka krwawa i zacięta walka.

Silne, ale mniej doświadczone oddziały okrążyły szeroko sicz, aby wyjść na flanki i tyły wroga, skoczyć nań w razie niebezpieczeństwa, ale zasadniczo ich zadaniem było dopilnowanie, aby nikt z pogromu nie umknął. Zaś jako siłę uderzeniową pułkownik wystawił tych, do których największe miał zaufanie. Znał z imienia bodaj każdego żołnierza z czołowych formacji, wiedział, do którego kurenia ów należy, kto jest jego dziesiątnikiem, a kto setnikiem.

Koroman czekał na walkę bez radości. Nie czuł do Wilkozaków nienawiści – przy żołnierzach wyrażał się o nich najgrubszymi słowami, ale tylko dlatego, że tak było trzeba, aby krzepić ducha w wojsku. Dostał rozkaz i zamierzał go wykonać najlepiej jak potrafił. Chociażby po to, by pokazać, że nie musi się zgadzać we wszystkim ze zdaniem Chmielnickiego, by pracować dla wspólnego dobra. A jeśli z tego, co teraz robią, nie wyniknie nic dobrego, niech osława na hetmana spadnie.

Te myśli sprawiły, że poczuł do siebie obrzydzenie. Cóż, gdyby odmówił pójścia na Wilkozaków, zostałby okrzyknięty tchórzem i stracił głos w radzie. A gdyby ktoś mógł mu zarzucić, jakoby niedbale wykonywał obowiązki, czekałoby go to samo. A przecież powinien być człowiek potrafiący sprzeciwić się choć od czasu do czasu samowoli przywódcy.

Westchnął ciężko. Nie uczyniło mu się lżej od tego tłumaczenia. Nie miał serca do walki z Wilkozakami. Ale zamierzał zrobić swoje. Patrzył na szeregi wroga. Mimo ciemności i księżycy, który już wypłynął na niebo, wciąż stali bez ruchu. Z prawej strony dolatywało parskanie koni, zaniepokojonych zarówno dziwną łuną, jak i zapachem Wilków niesionym podmuchem od strony siczy.

I wtedy nagle wszystko uległo zmianie. Wilkozacy ruszyli z wyciem do ataku. Nie wszyscy, jakaś czwarta część ich sił. Koroman był nie mniej zdziwiony niż kapitan Wołoczko, który krzyknął na swoich, by uchodzili w bok, odsłaniając paszcze armat.

I to był wielki błąd. Bo Wilkozacy właśnie w tamtą stronę skierowali kroki. Działa ryknęły, rzygnęły żelazem, ale tylko część kul poleciała ku szarżującym, reszta runęła na sicz. Koroman wskazał chorążemu kierunek.

–Juszko! – zawołał – Bierz trzy setnie i pędź na odsiecz puszkarzom!

Tego nikt się nie spodziewał. Wilcy powinni stać i czekać, aż przeciwnik ruszy pierwszy, albo zaatakować całą masą, w każdym razie tak mówił na ostatniej naradzie przed bitwą moskiewski oficer. Brał udział w zdobywaniu czterech siczy, za każdym razem przemienicy postępowali tak samo: czekali na ruch wroga lub zniecierpliwieni zaczynali bitwę, starając się zyskać przewagę dzielnością i siłą. Nawet wtedy, gdy nie mogli się przemieniać.

–Bodaj ci łeb odgryźli – wycedził przez zęby Demen, patrząc na Fiodora umykającego wraz z jazdą z drogi przemiencom.

Pewnie, walka z Wilkozakami z koni nie miała wiele sensu, bo zwierzęta nieodmiennie płoszyły się w pobliżu bestii, ale zsiadliby tchórze, stawili czoła atakującym, jak na dragonów przystało!

Juszko już biegł na czele Kozaków, dać odpór napastnikowi. A artylerzyści gorączkowo przeładowywali działa, wybijali kliny, aby razić zbliżających się Wilków. Zdążyli oddać jeszcze jedną salwę. Kilkunastu atakujących padło, ale zaraz większość z nich pozbierała się i dołączyła do szturm. A przecież Koroman mógłby przysiąc, że widział, jak siekance rwą ich ciała. Ale nie miał czasu teraz o tym myśleć, patrzył, co robi reszta Wilkozaków. A tamci, zamiast rzucić się na centrum ugrupowań, stali i nie wyglądało, by mieli zamiar włączyć się do walki. To było dziwne. Bardzo dziwne.

Hrehory miotał się. Miotał się oczywiście w duchu, bo na zewnątrz starał się okazywać opanowanie. Wilcy wprawdzie nie znali strachu, ale uczucia, których w tej chwili doświadczał, chyba mogły przypominać właśnie ten stan, właściwy ludziom. Nie wiedział, co robić. Zdawał sobie sprawę tylko z jednego – nie mogli walczyć tak, jak do tego przywykli. W wielkich starciach między siczami, jakie niegdyś się zdarzały, żołnierze obu stron zmagali się, stając twarzą w twarz, bez podstępów i manewrów. Lecz tutaj byli ludzie, nie Wilcy.

Musiał teraz wziąć pod uwagę inne rozwiązanie. Zostali zaskoczeni. Najpierw lirnik przyniósł wieści o zamiarach Chmielnickiego walki z Wilkami, potem nadeszły ostrzeżenia z Besarabii. Tyle tylko, że mowa była o znacznie potężniejszych wojskach niżli te, które w końcu nadeszły. Zaspaleś, Hrehory! – powiedział do siebie. Zaspaleś, dałeś się podejść jak szczeniak! Jak jakiś wartogłowy Michej, Semen czy Kirył! Chmielnicki chciał, aby Wilcy wiedzieli o niebezpieczeństwie, bo wówczas miał pewność, że ataman ściągnie do siczy wszystkie siły, wycofa luźne watahy, kręcące się zawsze gdzieś w bliższych lub dalszych okolicach. Chciał mieć podły hetman kozacki całą sicz na jednym haku... I dopiął swego! Jeśli teraz zginą, nie będzie miał kto odrodzić rodów przynależnych do Siczy Hylewskiej! Dwóch wygnańców i dwóch wojowników ścigających niesforną waderę, mających dokonać na niej pomsty, to za

mało.

Ach, jakże małą i zupełnie nieważną rzeczą wydawał się teraz rewanż na znienawidzonym chorążym! Chociaż... Niechaj go zabiją! Niech pójdzie wieść wśród ludzi, że Wilcy, nawet mając nóż na gardle, nie darują wrogom krzywd... W sercu starego Wilka pękła gorzka kula nienawiści. Skoro oni tu mają szczerząc do ostatniego, niech zdycha też głupi Serhij i jego pomiot! I niech nawet ci dwaj zagryzą przekłętą waderę, co za sprawą obmierzłego pochutliwca, Kary, stała się nie wiadomo czym. Jeśli ona nie spełni pokładanych w niej nadziei, niechaj ją zarzną bez litości! Hrehory przestał myśleć o niej jako o podarunku od Stwórcy. Niech zdycha suka.

Spojrzał w niebo, na półkole wstającego księżyca. Wybacz, Ojczy na niebie, któryś stworzył słońce i księżyc, i ziemię pod stopami, któryś zapełnił świat istotami wszelakimi, wybacz swemu dziecku, że nie potrafi ocalić tych, co zostali oddani pod jego opiekę.

Słowa, kierowane do Pana, zdawały się nieco rozjaśniać myśli Wilka. Nie opadła z nich dusząca szmata, ale zyskał możliwość trzeźwiejszego spojrzenia na to, co się działo dookoła. Kozacy stali, czekając nie wiadomo na co. Obok mołojeckich szeregów, przesłonięte częściowo luźnym szykiem konnicy, szczyrzyły się armaty, podobne rzadkim kłom jakiegoś mitycznego stworzenia. Hrehory z wysiłkiem wyteńczył umysł. Przed chwilą sam do siebie powiedział, że trzeba coś zrobić. Coś, co wykraczało poza reguły sztywnych zasad i żelaznego prawa.

–Dzielimy siły – zdecydował. – Stepanie, tęgi z ciebie żołnierz i posłuch masz nie tylko wśród swoich, przejmiesz tutaj dowodzenie, a ja z dwiema watahami uderzę na tamte armaty. Zobaczymy, czy ludzkie czary zdołają nas zatrzymać. Bo dzielności w sercach naszych nie zabiły.

–Zawsze atakowaliśmy wspólnie – zaprotestował Muhrud Makczy, prowadzący watahy największego rodu siczy.

–Hrehory ma słuszość – przyszedł atamanowi w sukurs Stepan, zupełnie inaczej niż podczas rady. Coś do niego dotarło. – Na nic nasze obyczaje, jeszcze nie zrozumiałeś? Ludzie właśnie tego chcą: żebyśmy trzymali się starych zasad. Tych, o których wiedzą. Jeno nie on pobiegnie na puszkę, ale ja! Nie kłóć się, atamanie! Tyś potrzebniejszy tutaj! My tam – machnął ręką w stronę szeregów – idziemy na zatracenie. Lecz sicz trzeba uratować! Wiesz, co bym uczynił na twoim miejscu, Hrehory?

–Wiem – odparł cicho ataman. – I nie dziwię się, że wolisz odejść. Zgoda, niech spadnie to na mnie. Czyń swoje! Zanim na nas uderzą i nie będzie czasu!

Stepan machnął na swoje oddziały, wydobył szablę i ruszył biegiem. I on odczuwał ciężar poświaty, lecz mając więcej sił vitalnych od starego Wilka, lepiej znosił niedogodność. I jego przeraziła niemożność przemiany, ale tyle już razy podczas wypraw pod Michejem przychodziło prowadzić boje w ludzkiej postaci, że nie uważał tego za niezwykle. Minęły czasy, kiedy Wilcy wychodzili na żer tylko w czas Okołopełni. Starzy jeszcze się z tym nie pogodzili, lecz nowe czasy wymagały nowych wyzwań. Odkąd ziemie ukraińskie gęściej się zaludniły, odkąd w każdej chwili można się było spodziewać najazdu tatarskiego, skończył się czas spokojnych łowów. Na takie przyjdzie pora na tamtym świecie. Patrzyć tylko, a ludzie powszechnie przekonują się, że wilcze plemię jest równie śmiertelne jak każde, otrzymało tylko od Boga więcej siły i twardsze życie. Może właśnie dziś nadchodzi noc rozwiązywania tajemnic...

A Hrehory tymczasem powiedział do dowódców:

–Pchnąć mi gońca do siczy. Wszystkie baby na mury, a tych siedemdziesięciu starych tutaj. Na czoło.

–Co chcesz uczynić, atamanie? – spytał z niepokojem Koszko, mający służyć doświadczeniem, a do tej pory stojący w milczeniu z boku.

–To, co do mnie należy – odparł stłumionym głosem Hrehory. – To, co nakazuje prawo.

–Nakazuje bronić siczy! – rzekł twardo Muhrud Makczy.

–Nakazuje chronić sicz, watahę, stado i każdą rodzinę – przypomniał Koszko. – Za wszelką cenę.

Ataman skinął głową. Czuł dławienie w gardle na myśl o tym, co za chwilę uczyni, ale nie widział wyjścia. Dobrze powiedział Koszko – prawo nakazuje chronić sicz, watahę, stado i każdą pojedynczą rodzinę, ale ta kolejność w wyliczeniu nie jest i nigdy nie była przypadkowa. Najważniejsza jest sicz. Wryto to na świętych słupach. Jak dotąd losy watah, stad i rodzin były nierozzerwalnie związane z losem całych siczy. Lecz dziś uległo to zmianie. Dziś Wilcy przestali być prawdziwymi Wilkami, świat stanął na głowie, a zatem i prawo należało odczytać na nowo... A może raczej odczytać je właśnie wprost? Może to mieli na myśli przodkowie, tak, a nie inaczej je zapisując?

–Powołując się na najwyższe prawo Wilków – rzekł Hrehory zduszonym głosem – powołując się na nakaz przetrwania, żądam całkowitego posłuszeństwa. Zaś jeśli coś uczynię nie tak jak trzeba, nie wy mnie będziecie sądzić, lecz Ojciec Niebieski i przodkowie. I niechaj mnie nie wpuszczą na stepy niebiańskie, niechaj nigdy nie oglądam księżyca, jeśli tak zechcą. Oni, nie wy!

Muhrud aż cofnął się, porażony potęgą tych słów. Dusząca poświata zdawała się przed nimi ustępować. Zapalczywy wódz nie odważył się sprzeciwić atamanowi. Od tej chwili rada była niczym. Hrehory mógł uczynić wszystko.

Wszystko dla dobra siczy... Dla dobra Wilków. Lub na ich zgubę...

Drzwi wpadły z przeraźliwym trzaskiem do środka chaty. Serhij zerwał się, sięgnął po pistolet. Na szczęście kurek odwiódł już przedtem. Wprawdzie wspomnienie koszmarnej nocy zbladło już mocno, ale babka upierała się, by zachowywać najdalej idącą ostrożność. W wyłamanym otworze pojawił się wilczy pysk. Chorąży wystrzelił, dym przesłonił mu widok. Halszka w kołysce krzyknęła wielkim głosem i zaczęła żałośnie płakać. Zaś wilk tylko przypadł do ziemi i warknął wściekle. Za jego prawym uchem pojawiła się krwawa krecha.

Parasza, która drzemała już na swoim wyrku, aby odpocząć nieco przed północą, kiedy miała zmienić Serhija, zerwała się na równe nogi, pognąła do kołyski, zasłaniając ją własnym ciałem.

A wilk nie czekał, aż Kozak porwie za janczarkę. Skoczył mu na pierś, przewracając. Serhijowi pociemniało w oczach z bólu, kiedy uderzył pokaleczonymi plecami o polepę. Na chwilę stracił przytomność. Kiedy znów mógł patrzeć, ujrzał w świetle kaganka i ognia z komina bestię z wyszczerzonymi zębami naprzeciwko Paraszy zagradzającej drogę do dziecka.

Chorąży sięgnął powoli do szabli, która spadła ze stołu i leżała na wyciągnięcie ręki. Wilk dostrzegł ruch, a może coś usłyszał, bo odwrócił nagle łeb, zwinął się i ugryzł Kozaka w przedramię. Chorąży krzyknął, spodziewając się trzasku łamanej kości i bólu, ale ukąszenie nie było tak mocne. Wprawdzie zęby przebiły skórę, ale zwierzęciu chodziło najwyraźniej o to, by odsunąć Serhija od broni, a nie skrzywdzić, bo zamiast zewrzeć potężne szczęki, szarpnęło tylko mocno, tak że przetoczył się pod ścianę. Potem szybkim ruchem łapy posłało szablę w drugi kąt.

Serhij od początku wiedział, z kim sprawa, ale teraz nie mógł mieć już najmniejszych wątpliwości. Zdrętwiał. Przerazenie lodowatą falą pełzło zdradziecko od koniuszków palców stóp przez kostki, kolana aż do łędźwi, a potem wyżej, ku sercu. Chorąży był przekonany, że nie zdoła się poruszyć, stał się niczym zimny posąg, mogący tylko patrzeć, co dzieje się dookoła, tak bierny, jak tylko biernym może być kamień. Z otwartej na powrót rany zaczęła sączyć się krew, prawe ramię zdrętwiało, w lewym szaleńczym biegu przemieszczały się mrówki.

Wilk znów stanął naprzeciwko wróżychy. Stara z zaciśniętymi wargami, z ołowiem w oczach zasłaniała kołyskę. Zupełnie jakby była w stanie sprzeciwić się Wilkozakowi, a

nawet zwyczajnemu wilkowi. Wyglądało jednak na to, że jest do tego zdolna. Bo bestia przysiadła na tylnych łapach i pisnęła cicho. A potem z gardła nawykłego do warczenia i wycia wydobył się odgłos niski, bulgoczący, ale brzmiący nieoczekiwanie miękko. Parasza otworzyła szeroko oczy.

–To ty – wyszeptała. – Przyszłaś do dziecka czy po dziecko?

Odstąpiła się od zanoszącej się płaczem dziewczynki.

–Co robisz? – wychrypiał Serhij.

Wyciągnął lewą rękę, jakby tym gestem mógł czemukolwiek zapobiec.

Bestia ruszyła w stronę kołyski.

Kiedy złapała trop i pędziła w stronę niewielkiej zagrody, w piersi czuła tylko nienawiść. W skórze wilka, w chwili przemiany, zrozumiała wreszcie, dlaczego tak bardzo ciągnęło ją w tę stronę. Musiała zabić. Musiała utoczyć krwi, oczyścić się strumieniem czerwonej posoki z tego wszystkiego, co trzymało ją w innym świecie, co sprawiało, że wciąż jeszcze chciała być człowiekiem. Z każdym krokiem tęsknota za siczą stawała się coraz większa, coraz dotkliwsza. Sprawiała, że ciepłe promienie słońca zdawały się parzyć, a lekki chłód nocy stawał się mrozem. Na nic przekleństwa, na nic przysięgi, że Wilczyca tam nie wróci. To było silniejsze.

Nienawidziła. Nienawidziła i żałowała. Trzeba było zostać, dać się zapłodnić basiorom, urodzić szczenię i zajmować się nim, tak jak inne Wilczyce. Ale ją ciągnęło tutaj, gdzie zostawiła serce, a raczej duszę, tę jej część, która wciąż próbowała wziąć górę nad wilczą naturą.

Waderę ogarniało szaleństwo. Żądza krwi. Wiedziała już, dlaczego ci dwaj ją śledzili. Mieli zanieść Hrehoremu wieść, że Wilczyca dokonała pomsty na znienawidzonym chorążym kozackim, że rozszarpała też jego pomiot. Jego i swój... To drugie nie miało w tej chwili znaczenia. Na to właśnie liczyli... Tęsknota do dziecka nieoczekiwanie przerodziła się w kamień u szyi, ciągnący w odmęty. Trzeba odciąć sznur, tak jak odcina się pępowinę łączącą dziecko z łonem matki. Wilczyca Marika musi narodzić się powtórnie – w cierpieniu, w okrzykach bólu, w strumieniu krwi.

Lecz gdy wyłamała drzwi i wtargnęła do środka, pierwszym, co poczuła, był zapach. Nie jeden – cały bukiet woni – lecz łączący się w coś, co budziło wspomnienia nawet w omotanej zwierzęcą wściekłością wilczej głowy. Zapach tego mężczyzny, który porwał się na jej widok i wypalił z pistoletu. Zapach ziół, przywodzący w pamięć dom rodzinny. Matka też suszyła zioła, nie tyle może, ale w pobliżu pieca zawsze wisiał jakiś pęk. I jeszcze zapach mleka... i dziecka...

A kiedy usłyszała płacz, opadło z niej wszystko. Przysiadła na tylnych łapach naprzeciwko tej wątłej staruchy, która zagradzała jej drogę do upragnionej zdobyczy.

Nie.

Nie!

Nie zdobyczy!

–Moja Halszka – powiedziała. – Moje serduszko.

Była w ciele wilka. Stara kobieta nie mogła zrozumieć warczenia. A jednak odstąpiła. Przestraszyła się czy rozumiała? Nie wyglądała na zalęknioną, nie cuchnęła strachem. Zrozumiała.

Marika postanowiła się przemienić. Po co ich straszyć? Inaczej będą patrzeć na człowieka niż Wilka. Nawet wiedząc, że jest przemieńcem.

Lecz w chwili, gdy chciała to uczynić, w wyłamanych drzwiach stanął basior. A drugi wpadł do środka, rozbijając w drzazgi zamknięte okiennice.

–Jesteś – warknął ten przy drzwiach. Miał wredny, wykrzywiony pysk. Obwisła z prawej strony warga ukazywała rząd pożółkłych zębów. – Zabij!

Drugi zatrzymał się przy kołysce, którą znów zakryła wątłym ciałem kobieta.

–Odejdź, starucho! – ryknął. – Za tego bękarta ataman uczyni mnie setnikiem!

Marika stanęła sztywno na łapach. Ten przy wejściu zbliżył się niespiesznie do Kozaka... do... do...

–Krew jego na zadośćuczynienie za krzywdy nasze – rzekł. – Skoro suka nie chce, my to uczynimy!

Do Serhija! Przypomniała sobie! Kochała tego człowieka! Kochała go nawet teraz, w wilczej skórze. Czuła jeszcze zapach jego krwi, która spłynęła jej na język i podniebienie, gdy odciągała go pod ścianę.

–Zostaw go – warknęła.

Wilk zaśmiał się. Dla ludzi musiało to brzmieć jak potępieńcze wycie, bo stara przy kołysce zadrżała.

–Silna jesteś, suko, ale starczy cię ledwie na takich marnych Kozaków jak ci przy źródle. Ja jednakowoż jestem prawym Wilkiem. Tak jak i Riumen. Naszych trzewi nie rozwłóczysz po podwórku.

Marika chciała odpowiedzieć, ale słowa jakoś się nie układały. Nic dziwnego, przemieniona nie myślała jak człowiek, a jeszcze całkiem nie nawykła do zwierzęcego, ograniczonego znacznie umysłu. Miała chęć zmienić się w człowieka, ale nie wiedziała, czy wtedy basiory nie skorzystają z okazji, by tym łatwiej uczynić swoje.

–Hrehory was wysłał? – spytała, aby zyskać na czasie.

–Hrehory – przyświadczył Wilk. – Wiedział, że doprowadzisz nas tutaj. Do Kostenki i szczyenięcia.

I wiedział, że sama będę chciała ich zabić? – miała ochotę zapytać, ale powstrzymała się. Nie wiadomo, jak by to zabrzmiało w wilczej mowie. Słowa nabierały innych znaczeń. Rozmawiając z tym intruzem, Marika miała poczucie, że stąpa po bardzo kruchym lodzie. Nie chciała go sprowokować do ataku, ale wiedziała już po pobycie w siczy, że Wilcy potrafią być drażliwi, a dysputy z waderami są w stanie szybko wyprowadzić z równowagi każdego basiora. Szczególnie z takimi jak ona, nienależącymi tak naprawdę do nikogo.

–Odsuń się, ścierwo – warknął ten drugi, Riumen. – Uwiniemy się szybko z tymi ludźmi i wracamy do siczy...

Postąpił groźnie naprzód. Marika zjeżyła sierść na karku, pokazała kły.

–Odstąp – zażądał pierwszy Wilk.

Zebrał się, by skoczyć.

–Marika – usłyszała ledwie dosłyszalny szept Serhija. Patrzył na nią z wyrzutem. Rozumiała go i nie szukała w jego oczach miłości, nie spodziewała się jej. Nie potrzebowała.

Leż, człowieku, zaklinała go w myślach. Leż, bo inaczej nie pożyjesz nawet tyle, by zdążyć uczynić mały znak krzyża kciukiem na piersi. Warknęła przeciągle, by odwrócić uwagę Wilków od chorążego.

I wtedy to poczuła. Jakby serce rozdarło się w niej na pół. Uczucie płynęło z zewnątrz, gdzieś z oddali, ale było tak przejmujące i dojmujące, że jęknęła. Obaj Wilkozacy też tego doświadczyli. Znieruchomieli bowiem, zwrócili łby ku wschodowi.

–Sicz – Riumen zapiszczał niczym szczyenię. I znów zamarł w bezruchu.

Skorzystał z tego Serhij. Marika zobaczyła kątem oka, jak Kozak zrywa się nagle z ziemi, dopada ustawionej przy ścianie janczarki. W innych okolicznościach, zanim dopadłby do broni, już by się w jego kark wpiły ostre kły, a pazury rozdarły ciało na

strzępy. Lecz teraz nie dość, że zdołał pochwycić broń i odciągnąć kurek, miał jeszcze dość czasu, żeby przystawić lufę do samego ucha wilka przy drzwiach.

Huknął strzał, wrywając z odrętwienia zarówno Riumena, jak i Marikę. Wilk skoczył na znachorkę, lecz zanim zdołał rozszarpać jej pierś pazurami, a zębami przegryźć krtań, został odepchnięty w bok straszną siłą. Ze zdumieniem spojrzął na rozorany, krwawiący bok i leżącego kompana.

–Zapominasz się, suko. – W gardle aż mu się gotowało. – Zapominasz, kim jesteś.

Nikim jestem, pomyślała wadera, i dla was, Wilków, i dla ludzi.

Ta myśl była szybsza od błyskawicy, zagościła tylko gdzieś na granicy świadomości, bo ciało robiło swoje. Wilk rzucił się na Marikę, zamierzając ją skarcić tak, jak do tego przywykł w utarczkach z innymi waderami, ale ta – wbrew jego oczekiwaniom – nie próbowała umknąć. Przyjęła walkę. Na to basior nie był przygotowany. Otwarta paszcza minęła o włos jej ucho, a szczęki Wilczycy zacisnęły się na łapie, uniesionej, by po ukąszeniu we wrażliwą małżowinę, opaść na pysk ofiary. Nie zamierzał jej bardziej krzywdzić i to był jego największy błąd. Chrupnęła miazdżona kość, Wilk zawył przeraźliwie. Widząc zbliżające się po raz kolejny zęby, tym razem celujące w gardło, odskoczył, a potem rzucił się do okna. Marika pognęła za nim. Nie mogła pozwolić, aby opamiętał się i wrócił. Zdołała się już przekonać, jak twarde jest wilcze plemię.

–Serhiju! – krzyknęła Parasza, podnosząc się z trudem. Wilk powalił ją samym pędem, nie musiał nawet dotykać starej kobiety. – Serhiju! Bierz szablę i odrąb mu głowę!

Porwała z kołyski łkającą Halszkę, przycisnęła ją do piersi, otoczyła ramionami, jakby słabe ręce staruszki mogły uratować maleńkie życie przed zabójcami.

Kostenko stał na drżących nogach nad leżącym bezwładnie Wilkiem.

–On nie żyje – wykrztusił. – Nie wiedziałem, że można tak zwyczajnie zabić przemieńca.

–Bo nie można! – wrzasnęła babka. – Łeb mu urąb, powiadam, zanim wstanie i zrobi to, po co go przysłano!

Było w głosie kobiety tyle rozpaczliwego błagania, że Kozak sięgnął po szablę. Wydawała się ciężka jak nigdy dotąd. I upadek, i sponiewieranie przez Marikę odebrały mu siły. Musiał stracić sporo krwi, koszula na plecach lepiała się cała. Niepewnie stanął nad trupem. Ze zmasakrowanego ucha sączyła się krew.

–On nie... – Nagle dotarło do niego, że trupy nie krwawią!

Uniósł szaszkę i opuścił ją z rozmachem. I jeszcze raz, i jeszcze!

Z podwórza dochodziły odgłosy walki, warczenie i skowyt.

Wpadli między zabudowania pieszo. Musieli zeskoczyć z koni tuż przed rozbitym trzema salwami ostrokołem, bo nawet posłuszne zwierzęta dragonów nie chciały iść dalej. Wokół dział trwała zażarta walka, ale te, które miały za zadanie zniszczyć umocnienia, stały nieco z tyłu, a rozkazy zarówno Koromana, jak i kapitana Moskali były jasne. Za plecami pozostawili szczęk oręża, przed sobą mieli nowe niebezpieczeństwo. Rozżarte wadery Wilkozaków. Wyskoczyły na nich ze wszystkich stron z wyszczerzonymi zębami, każda miała w ręku jeśli nie szablę lub berdysz, to przynajmniej solidny drewniany kołek. Biegący na końcu oddziału Ilja z towarzyszami przystanął, porażony tym widokiem jako i inni. Między kobietami widzieli postacie niedorostków, także pragnących stawić czoła wrogowi. Semen splunął.

–Z babami to nie wojowanie.

Zaraz jednak musiał zmienić pogląd na tę kwestię. Doskoczyły do niego dwie Wilczyce. Kozak o mały włos uniknął potężnych uderzeń, następnie przyjął na klingę. Lecz o ile uderzenia z pewnością okazały się słabsze od tych, które zapamiętał ze starcia z Wilkozakami, o tyle nie można było odmówić waderom biegłości. Liwka obok klął szpetnie i odcinał się następnym samicom, a Ilja, korzystając z chwili spokoju, spojrzał do przodu. Moskiewscy żołnierze wlewali się w sicz, widać było od razu, że czynią to nie pierwszy raz. Ich trójce kazali jechać zupełnie z tyłu. Kapitan nie ufał im. Był może tępy, ale miał w sobie chłopską przebiegłość. Z jednej strony radowało go, że skłóceni z pułkownikiem żołnierze przyszli do niego, uznał ich tłumaczenie, że odejść nie mogą, bo zostaliby uznani za tchórzy, ale z drugiej, nie potrafił się pozbyć nieufności względem obcych, w dodatku Kozaków. Miał do czynienia z dońskimi pułkami, wiedział, że synowie stepów to porywczy ludek, skory do zwady, dzielny, ale najzupełniej nieobliczalny. Widział wprawdzie, jak karni potrafili być żołnierze Koromana, jednakowoż ci trzej wydawali się samowolnymi watażkami, jakich pełno można znaleźć w tych stronach. Kazał ich obserwować swoim podoficerom, a Zajac musiałby być całkiem ślepy i głupi, by tego nie zauważyć.

Lecz teraz minął czas nieufności. Wszyscy jechali na tym samym wozie, z tym że trzej Kozacy musieli uważać, aby nie odcięto ich od reszty oddziału.

–Naprzód! – krzyknął Ilja.

Semen potężnym ciosem ściał głowę najbliższej Wilczycy, odrąbał rękę następnej.

Spodziewał się wycia, złorzeczenia, ale ranna tylko zwinęła się z cichym skowytym i odskoczyła za róg najbliższego domu.

A dragoni szaleli już w środku siczy. Stu uzbrojonych po zęby stawiało czoła rozszalałym waderom i zażartym wyrostkom. Pracowali sprawnie, niczym rolnicy przy żniwach. W sinobłękitnym świetle płynącym od wozu mnichów krew miała burą barwę, leżące wokół ciała przypominały poskręcane i byle jak rozrzucone szmaty.

Kozacy ruszyli pędem, by dołączyć do oddziału, bo zaczęło się wokół nich robić gęsto. Semen spieszył przodem, obalając potężnym ciałem wszystko na drodze. Wilczyce okazały się silne, ale nie tak, by go powstrzymać. Pleców pilnowali mu Zając z Liwką, robiąc szablami. Głównie połyskiwały mętnie, pokrywając się coraz bardziej posoką.

Wadery rzucały się na intruzów i odskakiwały, padały na ziemię zabite, ale nie odstępowały. To było nieludzkie. Ilja brał udział w pogromach, jego szabla nieraz pokosztowała krwi niewiast, czy to przez pomyłkę, czy w szaleństwie walki, był w Żelaznych Chutorach, a teraz przeżywał ten koszmar kolejny raz. Po niewiastach spodziewać się należy, że będą umykać przed taką przewagą, chronić dzieci, kryć się w każdym możliwym miejscu.

Kozak starał się uniknąć zwarć z wilczymi podrostkami, ale nie mógł dokonywać wyboru, kiedy dookoła powietrze warkotało od śmigającej broni. We trzech dobili wreszcie do dragonów. Ci odcinali się atakującym, przegrupowując siły. Po krótkiej chwili rozczłonkowali się na trzy formacje, które runęły dalej w głąb siczy.

Za wałów rozległa się kolejna salwa armatnia, niechybny znak, że Wilkozacy nie zdołali wyciąć artylerzystów. A potem pod niebo popłynęło żalosne wycie, przypominające jęk. Kobiety zatrzymały się, znieruchomiały, a potem odpowiedziały podobnym głosem. Brzmiała w nim beznadzieja pomieszana z żalem, zupełnie jakby wadery żegnały się z kimś na wieki.

I wtedy opór się skończył. Wilkozackie kobiety opuściły broń, pozwalając się bezkarnie mordować ogarniętym amokiem żołnierzom. Tylko trzech Kozacy stali pośrodku rzezi, spoglądając z niedowierzaniem na to, co się działo dookoła.

–Rany boskie – wyszeptał Liwka, patrząc na dragona, który za włosy wywlókł z pobliskiego domu Wilczycę z młodym. Przyszpilił szablą bezwonną samicę, wyrwał z jej objęć dziecko, chwycił za nóżki i wprawnym ruchem rozbił jego główkę o próg domu. – Rany boskie... Druhowie, co my tu robimy?

Rozdział 15

Świt zastał ich leżących bez ruchu pod krzakiem. Michej z trudem dźwignął głowę, spojrzał na przekłęty wóz odległy o jakieś pięćdziesiąt kroków. Straże przy nim czuwały, rozstawione tak gęsto, że nie można było podejść nawet teraz, po wszystkim. Na szczęście zniknęła ta dojmująca słabość, która dopadła Wilków w tym miejscu i przygwoździła aż do końca nocy. Zupełnie jakby przy dniu wraz ze zniknięciem poświaty traciły moc tajemnicze zaklęcia.

–To koniec? – spytał ochrypłym szeptem Kirył.

–Koniec? – powtórzył pytanie Michej. – Nie wiem. Nie widać stąd siczy. Ale chyba tak, skoro ludzie się ostali...

–Co to za diabelstwo?

–Nie wiem, przyjacielu. Wiem tylko, że prawdziwe się okazały pogłoski, jakoby ludzie znaleźli sposób na Wilki.

–Przekleństwo...

Michej położył kompanowi rękę na ramieniu.

–Ale stało się też coś, że ci tam, w środku, wciąż mamroczą, tak jak i w nocy. Słyszysz? Gdyby wybili wszystkich, po co by im była ta osłona? Może sicz nie padła całkiem?

Odczołgali się, by za skłonem niewielkiego wzgórza wyjść na miejsce, z którego było widać warownię.

–Boże mój – wymamrotał Kirył.

Nad siczą unosił się dym, między spalonymi i płonącymi wciąż jeszcze budynkami krzatali się ludzie. Sprawdzali, czy jakaś wadera lub wilczek nie ocalały z pogromu.

–Coś mało trupów. – Michej wskazał na przedpole. – Widzisz? Tu przy armatach leży naszych z pół setni albo lepiej, ale tam, przed bramą, gdzie stali naprzeciw ludziom, nawet stu trupów nie widzę. Coś tu zaszło.

–Ale co?

–Jeszcze nie wiem – rzekł w zamyśleniu Michej. – Ale zamierzam się dowiedzieć. Wpierw jednak zmusimy ludzi do odejścia stąd. To nasza sicz, nasza ziemia!

–Jak chcesz to zrobić?

Michej wskazał bez słowa kilku dragonów w zielonych uniformach idących w stronę lasu. Ciągnęli ze sobą sporą skrzynię i rozglądali się uważnie na wszystkie strony.

–To nasz skarbiec – powiedział Kirył.

–Ludzie są chciwi – skinął głową Michej. – A chciwość, jak sami powiadają, bywa bardzo zgubna.

Patrzył w rozjaśniające się niebo. Wczesny poranek w stepie przywodzi na myśl narodziny życia, zupełnie jakby właśnie tutaj Bóg dokonywał aktu stworzenia. Jan kochał step. Za młodu uwielbiał pędzić wierzchem konno przez trawy, przeskakując wykroty i co niższe krzewy, kochał wiatr we włosach i rozwianą końską grzywę. Kładł wtedy dłoń na karku rumaka, napawając się jego siłą, czując mięśnie grające w szaleńczym galopie. I teraz chętnie by wskoczył w siodło, choć pewnie już by się nie odważył wypuścić wierzchowca w cwał, dać się ponieść w niewiadomą dal.

Bohdan sądził, że najgorszą karą dla starego Kozaka będzie śmierć w stepie. Dlatego nie kazał go zwyczajnie zabić i porzucić, ale polecił rozpiąć na wbitych w ziemię kołkach ręce i nogi skazańca tak, aby nie mógł się poruszyć nawet o włos.

–Niech mu ptaszyska oczy wydziobią – rzekł drwiąco. – Niechaj wie, że umiera.

Sam Tymoszko dopilnował wykonania rozkazu. Zanosił się śmiechem, kiedy odjeżdżał z trzema oprawcami.

Przeliczyli się. Jan był już stary. Może nie latami, bo z hetmanem byli prawie w jednym wieku, ale duszą na pewno. Stracił cały dawny zapał i werwę w chwili, kiedy zaczął wraz z Melechem spiskować przeciw Chmielnickiemu. Tak było trzeba, co do tego nie miał wątpliwości. Oddanie Ukrainy pod rządy Moskwy mogło skończyć się tylko jednym – ujarzmieniem kozackiego żywiołu przez cara, wydaniem kochających wolność ludzi na żer samowoli bojarów. W porównaniu z tym ocalenie znienawidzonych Wilkozaków wydawało się drobnostką.

Tak, przeliczyli się oprawcy. Bo od chwili pojmania ataman koszowy marzył tylko o jednym – żeby jak w tej pieśni ujrzeć choć jeszcze jeden raz zorzę i wstający nad stepem dzień. Potem mógł już umrzeć bez żalu.

I stało się. Teraz czekał, aż stepowe drapieźniki zaczną żywcem obgryzać jego ciało, kiedy zrozumieją, że nie może się obronić. Przylecą też kruki czyhające na największy smakołyk – oczy.

Uśmiechnął się do siebie.

–Dzięki Ci, Boże mój, żeś mi ostatni raz pozwolił zobaczyć nowy dzień. Mam nadzieję, iż przyjmiesz mnie do siebie, mając wzgląd nie na czyny moje jeno, ale też zamiary, jakie za tymi czynami stały.

Koroman z kamienną twarzą patrzył na trupy. Na białych szatach plamy i rozbryzgi krwi przypominały upiorne kwiaty. Tuż za plecami pułkownika sapał gniewnie kapitan dragonów. Koroman nie dziwił się jego wściekłości, ale też nie czuł się winny tego, co zaszło. Jego ludzie, pilnujący wozu, utrzymywali, że pojawiło się dwóch dragonów i weszło do środka. Ponieważ często rosyjscy żołnierze zaglądali do mnichów, nikt im wstępu nie bronił. A potem wyszli, nie budząc podejrzeń. Potwierdzili to także odpoczywający po nocnych krwawych żniwach podwładni Wołoczki.

–Car nie będzie rad – wycedził kapitan.

Koroman wzruszył ramionami. To było oczywiste.

Chmielnicki także nie będzie szczęśliwy z wyniku wyprawy. Nie dość, że ktoś zarznął ojczulków, to jeszcze większość Wilkozaków uszła z pogromu. Nie było dla nich zresztą żadnego pogromu, pozabijano tylko starców, broniących dostępu do siczy, wszystkie wadery i dzieci. Na oczach osłupiałych Kozaków, siły wroga, stojące w sprawie, rozpierzchły się nagle. Najpierw doleciało z ich szeregów potępieńcze wycie, a potem wojownicy rzucili się do ucieczki. Koroman z trudem powstrzymał swoich przed pogonią. Od razu odgadł, co się dzieje. Wszyscy wiedzieli, że pierwszą sprawą i najważniejszym prawem Wilków jest dobro siczy. A nie masz siczy bez mężczyzn. Ich ataman podjął jedyną rozsądną decyzję. A poza tym, kiedy Wilcy wyrwali się z kręgu świetlistej poświaty, z pewnością znów mogli się przemieniać. Gdyby Kozacy zapędzili się za nimi zbyt daleko, marny by ich czekał los. A Demen nie lubił tracić żołnierzy nadaremnie. Tym bardziej że odwrót Wilkozaków osłaniali starcy, którzy okazali się zadziwiająco twardzi i zajadli. Ich najpierw trzeba było zgnieść.

Tymczasem przemienicy bez większego trudu i strat przebili się przez oddziały zabezpieczające flanki, mające służyć okrążeniu sił wroga pod koniec bitwy. Ale bitwy nie było, jeśli nie liczyć ataku Wilków na artylerię i krwawego starcia z oddziałem leciwych weteranów... Była za to potworna rzeź, na której wspomnienie twardy jak kamień Ilja Zajac zwymiotował niby rekrut, co pierwszy raz zobaczył trzewia towarzyszy broni.

–Na dobitek twój człowiek zabił dwóch moich – dyszał dalej Wołoczko. – Na szpiegunów ich przysłałeś. To wiedziałem. Ale zabił.

Koroman westchnął. No cóż, mocarny Semen, straszny w boju, ale odznaczający

się gołębiem sercem dla dzieci, nie wytrzymał widoku bestialsko mordowanych wilczą. „Ja rozumiem przebić rapierem, rozchlastać berdyszem”, powiedział. „Ale żeby jak jakieś psy!” I widać było, że zrobiłby to jeszcze raz.

–Co to za wilkołaki? – zawarczał wyjątkowo tego ranka mowny kapitan dragonów. – W naszych siczach bili się do ostatniego, ani jeden nie uciekł z pola, a tutaj...

–A tutaj widać mądrzejsi niż u was – rzekł z rozdrażnieniem Koroman. – Albo nauczyli się już od ludzi, że aby przetrwać, trzeba czasem ustąpić. Widać mądrego mają wodza. A teraz w dodatku zmusili nas, byśmy odeszli jak najprędzej. Bez tych twoich guślarzy niebezpiecznie zostawać na noc w pobliżu.

–Guślarzy?! – wrzasnął Wołoczko.

Do namiotu wpadł zaalarmowany Zając, za nim dwóch dragonów.

–A guślarzy – rzekł spokojnie Koroman. – By ich gorzej nie nazwać. Czarownikami na przykład. To widziałeś kiedyś?

Zanim kapitan zdążył zaprotestować, pułkownik pochylił się nad najbliższym trupem, rozsunął koszulę na jego piersi. Oczom obecnych ukazał się umazany krwią, ale wyraźny tatuaż: odwrócony pentagram, a na każdym jego rogu widniał tajemniczy symbol. Poniżej dolnego szczytu gwiazdy i dziwaczego zawijasa znajdowały się napisy w obcym alfabecie.

–Do Boga się modlili czy do szatana? – spytał drwiąco Demen.

–A może i do jednego, i do drugiego? – dorzucił pyskaty jak zawsze Ilja. – No bo niby wzywali imienia pańskiego, ale kto to słyszał, by święty człowiek takie znaki nosił na skórze? Wielu ma takich na usługach twój car?

–Żebyś wiedział – warknął kapitan dragonów. – Wszak by nie dał jedynych swoich takim durnym czubom!

–A może batiuszka car sam ma takie malunki na ciele, co? – zadrwił Zając. – Może on sam nie w Boga jeno wierzy, ale i...

–Brać ich! – wrzasnął Wołoczko do swoich, rzucając się jednocześnie na Koromana.

Nie miał szczęścia do pułkownika moskiewski dragon. Nadział się bowiem na ostrze kindżału i zmarł z otwartymi ustami. Dwaj pozostali dragoni patrzyli na śmierć dowódcy, nie ruszając się. Właściwie bardziej niż na kapitana spoglądali w lufy pistoletów, trzymany pewnie przez Zajęca.

–Spiesz się wam na tamten świat? – spytał Ilja, widząc, że jeden z żołnierzy

próbuje ukradkiem sięgnąć do swojej broni. – Semen, Liwka, do mnie!

Płachta odchyliła się, Poroh i Pastuch przystanęli, czekając na rozkazy.

–Związać ich i zostawić w wozie. Każcie naszym Kozakom po cichu i szybko wszystkich dragonów wziąć do niewoli. Wystarczy nam tej jatki, która się już tutaj odbyła. Wracamy do Czehrynia.

–Wracamy? – zdumiał się Liwka. – Mieliśmy zapasć gdzieś, może do Serhija się udać, a nie leżć pod topór. Chmiel nam tego nie daruje.

–Tak – odparł Ilja. – Wracamy. W każdym razie ja, a wy jak chcecie. Chcę rzucić hetmanowi pod nogi te ścierwa – wskazał mnichów – i zapytać, czy godzi się prawosławnemu chrześcijaninowi z usług czarowników korzystać.

–Zgłupiałeś chyba – odezwał się Poroh. – Myślisz, że Chmielnicki dziecko jest? Nie wiedział niby? Wyprze się wszystkiego, jak zawsze, a nas każe na pal nawlec jak nieszczęsnego Szpaka.

–Semen ma słuszność – rzekł Koroman. – Nie macie czego szukać w Czehryniu, Białocerkwi, albo nawet na Zaporozżu. Jedźcie tam, gdzie was łapy hetmana nie dosięgną.

Zając zastanawiał się przez chwilę, kiwnął głową.

–A wy, pułkowniku? – spytał z troską. – Rzućcie to wszystko, ninie byle oficer wojsko poprowadzi i jedźcie z nami. Wam też Chmiel nie odpuści.

Demen uśmiechnął się smutno.

–Nie porzucę wojska. Kim bym był, zostawiając ich w odwrocie, może na pastwę rozwścieczonych Wilków? Ci tutaj już nas nie obronią. A poza tym zamierzam uczynić to, do czego tobie tak się spieszyło, przyjacielu. Też jestem ciekaw, co powie Bohdan, gdy przed radą zapytam go o tych mnichów rzekomych. Idźcie już. Pomóżcie naszym uwięzić dragonów i jedźcie w swoją stronę. Bóg z wami, mołojcy.

–Bóg z tobą, pułkowniku – odpowiedział Ilja.

–Niech Święty Spas czuwa nad twoją hardą głową – dodał Semen.

–I nad waszymi – zaśmiał się krótko Koroman. – Wszystkim nam przyda się jego opieka.

Patrzył za oddalającymi się Kozakami.

Zazdrościł im. Będą wprawdzie od tej pory wieść życie wygnańców, ściganej

zwierzyny, bo hetman nie daruje im nieposłuszeństwa, a przede wszystkim tego, iż za dużo wiedzą, ale przynajmniej znajdą się z dala od tego smrodu i zgnilizny, w jakie zamieniała się święta wojna o wolność. Poza tym każdy prawdziwy mołojec i tak jest po trosze wygnańcem, człowiekiem bez domu i bliskich. Gdy się obabi, osiedli i przestaje kozaczyć, robi się podobniejszy do chłopca niż wojownika.

Jego zaś czekała ciężka przeprawa z Chmielnickim. Choć pułkownik zadanie wykonał tylko połowicznie, nikt nie mógł mu zarzucić, że zaniedbał obowiązków, nie uczynił wszystkiego, by odnieść pełne zwycięstwo. Wszak Sicz Hylewska przestała istnieć, mimo iż Wilkozacy nie zostali zniszczeni. Zrobili coś, czego nikt nie potrafił przewidzieć, nawet doświadczony w zmaganiach z nimi Wołoczko. Widocznie po tej stronie granicy żyli przemienicy ulepieni z innej nieco gliny niż mieszkańcy wielkich równin Rosji.

Demen znał doskonale hetmana zaporoskiego. Chmielnicki z całą pewnością będzie chciał sprawę zatuszować, ukręcić jej łeb, a najlepiej wymazać z pamięci, zrzucić całą odpowiedzialność na pułkownika. Jednak nie może go ukarać przykładowo, wydać na męki i śmierć, by o całym wydarzeniu nie uczyniło się zbyt głośno w Ukrainie. Hetman powinien zachować najdalej idącą ostrożność, postarać się zbagatelizować znaczenie wyprawy przeciw Wilkom. O ile bowiem z rzezi w Żelaznych Chutorach uczynił skuteczne narzędzie polityczne, o tyle masakra starców, kobiet i dzieci w Sicy Hylewskiej mogła mu się odbić czkawką. Przecież wysłał przeciw przemiencom wielkie siły, a te nie zdołały rozprawić się ostatecznie z garstką pozbawionych mocy Wilków. To bolesny cios. Na tyle bolesny, żeby nie żałować sił i środków na wymazanie go z pamięci. A przede wszystkim sprawić, aby ludzie o wszystkim jak najszybciej zapomnieli. O ile to w ogóle możliwe...

Kirył z Michejem z oddalenia patrzyli na ruch, jaki wszczął się przy namiocie wołchwów. Biegający dookoła ludzie przypominali rój rozwścieczonych szerszeni. Wystarczyła chwila nieuwagi, oddechu po bitwie, a stało się coś, czego nie potrafili cofnąć, czemu nie mogli już zaradzić.

Mnisi na widok wchodzących do wozu Wilków próbowali krzyczeć, jednak nie mieli szans. Zanim którykolwiek z nich zdążył wydobyć ze zmęczonych piersi najmniejszy dźwięk, wszyscy leżeli z rozplatanymi gardłami, dusili się zalewającą płuca krwią.

–Przeklętnicy – mruknął Michej. – Złe czary mieszają z modlitwami. Tfu!

–Co teraz? – spytał Kirył. – Co robimy?

Zaczął zrzucać dragoński mundur. Budził w nim obrzydzenie, był przesiąknięty odorem potu i przelanej w nocy krwi. Poza tym cuchnął strachem, jaki stał się

udziałem żołnierza w ostatniej chwili życia. Czuły nos Wilka nie mógł tego znieść.

–Zostaw – mruknął Michej. – Musimy znaleźć naszych. W tych szmatach prościej będzie się przekraść przez czujki kozackie.

–Kiedy to śmierdzi gorzej niż wspólny wychodek! – poskarżył się Kirył.

–Wiem, też mnie mierzi ludzki odór. Ale, powiadam ci, lepiej w nim się kisić, niż od razu walczyć z każdym, na kogo się napatoczymy. Rozlazło się Kozactwo po okolicy, mogą wyskoczyć zza każdego krzaczka. Widok moskiewskich mundurów osłabi czujność, jeśli kogoś napotkamy. A nam wystarczy, że ten i ów zawaha się na mgnienie oka.

–Co chcesz zrobić? Odnaleźć naszych?

–A ty nie?

–Nie wiem – powiedział z wahaniem Kirył. – To chyba nie najlepszy czas, żebyś wyzywał na pojedynek Hrehorego. Zresztą rada może nie zezwolić...

–Oszalałeś?! – ofuknął towarzysza Michej. – Nie zamierzam walczyć o władzę! Nie teraz, druhu.

Zamilkł na chwilę, patrząc na kolejny tumult pod wielkim wozem z martwymi mnichami. Kozacy otoczyli właśnie zaskoczonych dragonów, którzy posłusznie porzucali broń i unosili ręce w górę.

–Nie teraz – powtórzył ciszej. – Jesteśmy potrzebni siczy, a sicz jest potrzebna nam.

–Siczy już nie ma – przypomniał mu Kirył.

–Bzdury! – zachnął się Michej. – Sicz jest tam, gdzie Wilcy! Zawsze!

–Prawo stanowi... – zaczął nieprzekonany Kirył.

–Prawo stanowi, że sicz jest najważniejsza – przerwał mu Gryszczy. – A dopóki żyją wojownicy zdolni do rozrodu, dopóki możemy zdobyć i zapłodnić samice, dopóty jesteśmy zdolni powołać do życia nową sicz, rozumiesz? Musimy nauczyć się czytać prawo na nowo.

Kirył kiwnął głową.

–W takim razie nie ma na co czekać. Chodźmy.

Milczeli. Nie było o czym mówić. Marika wsparła na dłoni policzek. Od ucha do tyłu głowy biegła jej krwawa krecha, miała pogryzione prawe ramię, lewe rozcięte do kości, ale nie zważała na to. Stoczyła z Riumenem ciężki bój. Niewiele z tego pamiętała – gorejące w mroku oczy, wściekłe warczenie i bryzgi piany wściekłości z rozwartego pyska przeciwnika. Chciał ją zabić, a potem wrócić do chaty i zagryźć w wilczej bądź zarąbać w ludzkiej postaci pozostałych, to już jak by mu było dogodniej. Dokładnie zapamiętała tylko jedną scenę. Nagle Riumen znów znieruchomiał, a potem zaczął emanować dziwną mocą. Odgadła, że oto ten drugi zginął i przekazał mu duszę. Przeraziła się. Nie wiedziała, czy w tej chwili jej wróg stał się silniejszy, ale nie mogła czekać, aby przekonać się o tym na własnej skórze. Rzuciła się na oślep na Riumena, korzystając z jego zaskoczenia, nie mniejszego niż jej. Ale Wilk już się opamiętał, odskoczył, a potem zaatakował, taranując ją ciałem i gryząc w łapę. Skręciła się, wywinęła spod niego, a potem z całej mocy uderzyła pazurami w wysunięty do przodu łeb. To było wręcz nieprawdopodobne! Okazała się silniejsza od dorosłego basiora, w dodatku wzmocnionego przed sekundą duszą towarzysza! Powaliła go na ziemię, sprawiła, że zaległ na mgnienie oka bez świadomości, a kiedy tylko uniósł się niepewnie, zacisnęła mu na szyi kły, szarpnęła w górę i w dół. Gorąca krew buchnęła jej aż do gardła, przez chwilę myślała, że się zadławi, ale przełknęła posokę i nadal trzymała Wilka, czekając, aż zwiotczeje. Zwalił się ciężko na ziemię, w gasnących oczach zaśniła nienawiść.

–Będziesz przeklęta – wyrzeził.

Stała jej przed oczami umierający Kozak, też złorzeczący w ostatnich chwilach życia.

–Już jestem – odparła, podobnie jak tamtemu. – Bardziej nie mogę.

–Tak ci się tylko zdaje...

Wyprężył się. Czowała, jak uchodzi z niego moc, ulatując gdzieś daleko. Nie mógł znaleźć w pobliżu Wilka, któremu chciałby ją przekazać, a ona była ostatnim przemieńcem na świecie, jakiego obdarzyłby mocą. Ale przez mgnienie oka poczuła znów zjednoczenie z tymi istotami, znienacka zapragnęła zanurzyć zęby w ciele przeklętego Kozaka, pozostałego w chacie, wychłęptać krew jego potomstwa...

Jej potomstwa!

Popędziła w stronę lasu, byle dalej od tego miejsca i pokusy.

Ale nad ranem wróciła. Nie mogła tak ich zostawić. Znalazła córeczkę, jedyną istotę, która łączyła ją z dawnym życiem.

–Jesteś – powiedziała stara kobieta, kiedy Marika weszła do chaty. – Siadaj, opatrzę cię.

–Nie trzeba. – Potrząsnęła głową, rozsiewając wokół karminowe kropelki. Kiedy zrzuciła wilczą skórę, przyschnięte rany otworzyły się. – Lepiej mnie nie dotykać. Nie wiem, jak to jest, może zarazam wilkołactwem?

–Nie zarazasz, dziecko – mruknęła Parasza. – To tylko głupie gadanie. Żeby stać się basiosem Wilków, trzeba się nim urodzić, a by zmienić się w Wilczycę, trza czegoś więcej niż krew lub ślina.

–Ja nie jestem zwykłą Wilczycą – odparła ponuro Marika. – Dziś w nocy zarznąłam dorosłego samca jak jakiegoś szczeniaka. Nie wiedziałam, że tak można...

Znachorka milczała przez długą chwilę.

–Nie wiem aż tyle o przemieńcach, by coś orzec. Lecz że nie zarazasz, tego jestem nadal pewna.

Jednak Marika nie chciała, by jej pomagać. Rany nie bolały tak mocno jak serce. Ten mężczyzna, którego kochała, dla którego była niegdyś gotowa uciec spod opieki rodzica, gdyby ten nie zgodził się na ich związek, patrzył na nią jak na obrzydliwego płaza. Siedzieli tak w ciszy przy jednym stole, on z opatrzonymi już plecami, ona patrząca w stronę kołyski ze śpiącą, zmęczoną płaczem i strachem Halszką i wróżycha, przyglądająca im się z troską.

–Wolałbyś, żebym nie żyła – przerwała wreszcie milczenie Marika.

Serhij poderwał się, nie bacząc na ból pod łopatką. Przez głowę przelatywało mu tysiące myśli. Przez całe życie chyba nie było ich tam tak dużo jak teraz, jak w ciągu ostatnich dni i miesięcy. Tak, miał nadzieję, że Marika nie żyje, lecz nie dlatego, by się jej wyrzec, ale z obawy, że może cierpieć, że Wilkozacy krzywdzą ją dla zemsty na nim. A tej nocy, gdy odgadł, kim jest to potężne zwierzę, poczuł najpierw ulgę, a potem strach. Ulgę, że oto porzucona wśród przemieńców żona zdołała przeżyć, a strach, bo nie wiedział, czy jest już tylko krwiożerczą bestią, czy jeszcze człowiekiem.

–To nie tak... – zaczął i zaciął się. Nie wiedział, jak wyrazić to, co kotłowało się w duszy. Był prostym Kozakiem, nie poetą, uczonym lub chociaż lirnikiem, któremu nigdy nie brakuje słów w gębie.

Marika nie próbowała go popędzać. Zdawała sobie sprawę, że nie jest mu łatwo, może nawet ciężiej niż jej.

–To nie tak – próbowała pomóc Kozakowi znachorka. – On cię nigdy nie zapomniał. Żebyś widziała, jaki zamyślony siedział nieraz. Przychodzą tu różne baby. Młode i stare, często takie, co by chętnie przed mołojcem kiecki zadarły. Nawet nie spojrzął na żadną. Ciebie miał w pamięci, choć słowem nie pisał.

Marika spojrzała na męża pytająco. Umknął spojrzeniem. On, który bez lęku patrzył śmierci prosto w twarz, bez zmrużenia powiek przyjmował straszliwe rany własne i przyjaciół, nie potrafił zmierzyć się z głębokimi, ciemnymi oczami żony... To znaczy tej, którą jeszcze niedawno żoną nazywał... Bo teraz sam nie umiał powiedzieć, czy wciąż jest tą dziewczyną, co kiedyś, tą samą córką mądrego Barańczuka.

–To ja i nie ja – bez trudu odgadła jego myśli. – Nie pytaj, kim jestem bardziej, człowiekiem czy Wilczycą. Jeszcze wczoraj odpowiedziałabym, że tym drugim, ale dziś, gdy zobaczyłam maleńką, gdy przypomniałam sobie to wszystko, co było między nami... Nie wiem, Serhiju. – Zwiesiła smutno głowę.

Kostenko wciąż milczał, nie umiejąc wydobyć słowa. Marika wstała, powoli podeszła do kołyski. Na widok jasnej twarzyczki dziecka serce zaczęło szybciej bić, w piersi wezbrał żal. Delikatnie, żeby nie obudzić córeczki, pogładziła jej pełny policzek, uczyniła na czole znak krzyża.

–Czas na mnie – powiedziała cicho, nie odwracając się.

Chorąży poczuł ulgę i smutek. Ułożył się już trochę z myślami. Z jednej strony chciał, aby odeszła, ciążyła mu jej obecność, z drugiej szkoda mu było osamotnionej kobiety, którą przecież kiedyś kochał. Kiedyś? Niedawno przecież, a zdawało się, jakby minęły lata całe. Tak, lepiej będzie, jeśli sobie pójdzie, wróci do swoich, bo teraz przecież Wilkozacy są dla niej najbliżsi.

–Chcesz wrócić do siczy? – spytała Parasza. I w niej serce rwało się na widok nieszczęśliwej, zagubionej matki.

–Nie ma już siczy – odparła. – Ale gdzieś w lasach i stepach odnajdę wilcze watahy. Tam moje miejsce.

Odwróciła się i nie patrząc na Serhija i zielarkę, ruszyła ku drzwiom. Pod jej stopami zachręściły rozbite deski, przystanęła jeszcze w progu, odetchnęła głęboko, po czym wyszła zdecydowanym krokiem.

–Stój! – krzyknął Serhij.

W pierwszej chwili nie wiedział, dlaczego to uczynił, dopiero potem przyszedł żal i ogarnęła go fala litości. Nikt nie zasługiwał na taki los. Nawet Wilk, jeśli Marika całkiem się nim stała.

Cień dziewczyny, widoczny w drzwiach, zatrzymał się.

–Stój – powtórzył chorąży, a kiedy Marika wróciła do izby, rzekł sztywno: – Twoje miejsce jest przy Halszce. Zostań z nami... Proszę... – dodał z wahaniem.

Skinęła głową. Była mu wdzięczna. Domyślała się, ile musi kosztować dumnego Kozaka ta prośba skierowana do kobiety, która stała się dla niego obca. Widziała to w jego oczach, wbitych teraz prosto w jej źrenice. Znalazła w nich ból i niepewność, i upokorzenie.

–Na pewno tego chcesz, Serhiju? – spytała. – Zastanów się dobrze.

Nieważne, jaka będzie odpowiedź, przeleciało jej przez głowę, ale na pewno nie pozwolę już, by jego imię uleciało z pamięci. Nawet prawo wilków nie może mi tego nakazać.

–Nie wiem – wykrztusił z wysiłkiem. – Lecz jeśli odejdziesz, nigdy nie będę wiedział... Nie będziemy wiedzieli...

Parasza wodziła wzrokiem od jednego do drugiego. Zmagali się spojrzeniami, jakby chcieli odczytać to, co drzemało w ich sercach. Dobrze powiedział Kozak – nie wiadomo, jak będzie. Nie wiadomo, na ile Marika jest w stanie poskromić nową naturę. Ale spróbować trzeba.

Halszka kichnęła potężnie, połaskotana wpadającym przez wyłamane okno promieniem słońca, a potem zapłakała, jakby przeraziło ją własne kichnięcie. Parasza i Serhij zerwali się, by pobiec ku małej, ale znachorka zatrzymała się, położyła dłoń na ramieniu chorążego. Nie musiała nic mówić, zrozumiał od razu.

Marika zamarła, a potem potrzęsnęła głową i podeszła do kołyski.

***Rafał Dębski* – Roczniak'69. Redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”. Debiutował w 1998 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Siódmy liść*. Autor kilkudziesięciu opowiadań i dziesięciu powieści, w tym czterech z nurtu literatury fantastycznej. Pisarz wszechstronny, dobrze czuje się zarówno w czasach, kiedy Słońce było Bogiem, jak i kiedy człowiek stał się zdobywcą tysięcy Słońc.**

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Obok pisania książek, jego wielką pasją jest historia, przez którą, niczym w krzywym zwierciadle, postrzega ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

Ma wielki apetyt na życie. Chciałby osiągnąć wiele i żyć tak, aby nie żałować... Najlepiej nie żałować niczego. Niestety, natura wpisała mu w geny dawkę lenistwa. To przesądza o tym, że nie boi się wyzwań i dużo pracuje. Bo dzięki temu może jak najszybciej uporać się z tym, co tak czy inaczej musi być wykonane. Niestety, jak już się zdążył przekonać, to działa w obie strony. Praca, niczym owa Ciemność, dostrzegła go, pokochała i zawsze wie, gdzie Rafała znaleźć, dopaść i usidlić.

Z Fabryką Słów opublikował powieści: *Czarny Pergamin* (2006), *Kiedy Bóg zasypia* (2007), zbiór opowiadań *Serce teściowej* (2008), *Łzy Nemezis* (2009) oraz *Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu* (2010). Jego teksty znalazły się także w czterech najlepszych antologiach Fabryki Słów.

* [The Ukrainians, „Olenka”](#).

* [Lube – fragmenty piosenki „Koń” w przekładzie własnym](#).

* [Ukraińska piosenka ludowa – przekład własny](#).

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-02-13

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/